

Gisbert Haefs

Kochanka Piłata

(Die Geliebte des Pilatus)

Przełożyła Monika Łesyszak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Księżniczka i wojownik

Prawo zabraniało mężczyznom hańbić się noszeniem jedwabnych strojów.

GAJUSZ KORNELIUSZ TACYT

...w jedwabnej sukni ukazuje ci się prawie naga...

KWINTUS HORACJUSZ FLACCUS

Aromat wonnych olejków, chłodny dotyk jedwabiu na odświeżonej skórze – o takich luksusach mogła jedynie pomarzyć. Wiedziała, że nie może sobie na nie pozwolić; zapas złotych monet niemalże się wyczerpał. Lecz żal nie doskwierał zbyt mocno – łagodziła go inna, znacznie przyjemniejsza myśl: – świadomość, że złoto, wonności i drogie tkaniny mogą stać się znowu dostępne. Przynajmniej póki skóra zachowa gładkość i nie przeminie uroda.

Gdy w wieku trzynastu lat spędziła pierwszą noc z mężczyzną, przeraziło ją to, co uczyniła. W dwudziestą wiosnę życia wkroczyła już kompletnie zużyta. Gdy skończyła dwadzieścia pięć lat, pojawiły się zmarszczki, jak na twarzach wieśniaczek. Teraz miała dwadzieścia sześć, troski gdzieś się rozproszyły, żałowała tylko, że nie może zażyć porządnej kąpieli. W prawdziwej rzymskiej łaźni, z gorącą, ciepłą i zimną wodą, z zastępem niewolników, którzy myli, szorowali i nacierali rozgrzane ciała. No i z obfitością pachnideł.

– Podoba się pani?

Kleopatra opuściła zwierciadło wykonane z brązu i pokryte błyszczącą warstwą srebra. Wysoko upięta fryzura przypominała piramidę, lub raczej ciemną, strzelistą wieżyczkę. Spinały ją klamry, podobne do miniaturowych drabinek, wysadzanych klejnotami. Prawdziwe piramidy zbudowane były schodkowo. Ich ściany tworzyły wygodne stopnie. Któż chciałby się trudzić wspinaniem po drabinach? I kogo, oprócz arabskich wszy, mogło zachwycić jej misterne uczesanie?

– Tak, możesz odejść.

Glauke skinęła głową. Bezszelestnie zsunęła się ze stołka, na którym przed chwilą klęczała, i podeszła do drzwi. Zatrzymała się przed ciężką, skórzaną zasłoną, oddzielającą pokój Kleopatry od pomieszczenia, w którym mieszkały jej trzy towarzyszki. Przystanęła i obejrzała się.

– Czy ma pani, jeszcze jakieś życzenia, czy wolno mi będzie pójść na chwilę do portu?

– Thais wkrótce wróci. Jeżeli będę czegoś potrzebowała, pošlę ją po ciebie. Idź już.

Nie potrafiła zrozumieć, czemu dziewczynę tak ciągnie na nadbrzeże. Ona sama obawiała się morza. I Wielkiego na północy, i Czerwonego, które przemierzyły, i oceanu, oddzielającego Arabię od Indii. Wszystkie napawały ją lękiem niczym trzy oblicza tej samej straszliwej bestii. Żywiół pożerał okręty, ludzi i majątki. Czy ryby, jadalne małże i kraby mogły zrównoważyć te straty? Może przynajmniej handel? Nie pora jednak w tej chwili oddawać się bezowocnym rozważaniom.

Wstała z rzeźbionego fotela i podeszła do okna, lecz niezbyt blisko. Stała w cieniu, tak by z zewnątrz pozostać niewidoczną i z ukrycia obserwować, co dzieje się na placu. „Niezbyt wiele” – pomyślała. Celowo wybrała właśnie tę porę – wczesne popołudnie, gdy większość mieszkańców pozostaje w domach. Tylko nieliczni dostrzegą Rzymianina. To pozwoli uniknąć plotek. Ludzkie gadanie, szepty, pogłoski z byle błahostki uczynią wielką aferę.

Thais pewnie nie wróci szybko, Glauke poszła na przystań, Arsinoe odwiedziła żonę kupca Baschama, który zdawał się żywić najmniej uprzedzeń wobec obcych. Thais otrzymała zadanie pokręcić się wśród żon rybaków i marynarzy na długim, północnym wybrzeżu zatoki. Miała dyskretnie rozpytać, czy jakaś łódź nie wyrusza na północ przez Morze Czerwone.

– Przecież właśnie stamtąd przyплыliśmy – zdziwiła się dziewczyna.

– Co nie oznacza, że musimy tu utkwąć na wieki, prawda? Kleopatra zacisnęła usta. Thais i Arsinoe wiedziały, po co je wysłała. Postarają się wrócić akurat w najodpowiedniejszym momencie, żeby zobaczyć, co trzeba. Choć Glauke jest na przystani, na pewno zauważy stamtąd nadejście Rzymianina. Z jej twarzy łatwo dało się odczytać zaniepokojenie, dla kogo to księżniczka każe sobie w środku dnia kręcić, układać i upinać włosy.

– A dla kogóż by? – mruknęła. – Dla siebie samej.

Nadszedł Rzymianin. Zatrzymał się przed domem kupca, lub raczej przy świątyni boga deszczu, i stamtąd obserwował tylną ścianę gospody. Cofnęła się o krok, choć miała pewność, że nie może jej dostrzec. Powtórzyła sobie w myślach wszystko, co zamierzała powiedzieć i czego

od niego chciała. A także to, co należało przemilczeć, co napawało ją odrazą i o czym wolałaby zapomnieć. „Mężczyzn tak łatwo omotać” – dodawała sobie odwagi. Lecz nie mogła sobie pozwolić na lekkomyślność. Takich jak Waleriusz Rufus nie wolno nie doceniać. Mógł sobie pochodzić z bocznej linii, lecz ród Waleriuszów był stary, bogaty i wpływowy. Rufus wydawał się starannie wykształcony, odznaczał się dowcipem i inteligencją. Żaden prefekt nie wysłałby głupca na tak ważną strategiczną placówkę na odległych rubieżach. Od niego przecież zależało, czy wraz z trzema tuzinami żołnierzy obroni, czy utraci podległy mu obszar. Na pewno nie miała do czynienia ani z miernotą, ani z prostym centurionem.

Rozległo się pukanie do drewnianych drzwi, oddzielających przedsionek od mrocznej sieni. Kleopatra odsunęła zasłonę i zawołała:

– Kto tam?

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa gospodarza.

– Pani, jakiś Rzymianin do ciebie.

Z trudem powstrzymała śmiech. Głos właściciela zajazdu brzmiał jak wyrzut. Słowo „Rzymianin” wypowiedział z taką odrazą, jakby mówił o potworze morskim. Poza tym jego głowa, owinięta zwojami żółtej materii, wyglądała równie dziwnie jak ręka, którą nie wiadomo kiedy wydobyl z ciemności wicherząc sobie brodę.

– Bądź tak dobry i pokaż mu drogę – poprosiła. Przypomniała sobie swoje przybycie przed miesiącem i pierwszą rozmowę z tym człowiekiem. Wtedy w jego głosie nie słyszała niechęci, lecz dumę z długoletniej tradycji gospody i jej popularności wśród wędrownych kupców. Chcąc uzyskać dobrą cenę, zachwalał zalety domu. Kleopatra uniosła wysoko rękę i pokazawszy mu złotą monetę, rzymskiego aureusa, stwierdziła, że woli go wydać gdzie indziej. Potrzebuje ciszy, a hałaśliwy tłum Hindusów, Persów i Arabów na pewno nie pozwoli jej zasnąć. Grymasiła, że dwusetletnie mury w każdej chwili grożą zawaleniem. Właściciel zapewnił o solidności budowli, która przecież nie popada jeszcze w ruinę. Obiecał też spokój, jako że niewielu gości obecnie u niego nocuje.

– Skoro twój lokal świeci pustkami – odparła – to pewnie się ucieszysz, gdy w zamian za tę sztukę złota wynajmiemy u ciebie dwa pokoje na miesiąc.

Targowali się jeszcze trochę, w końcu stanęło na jedenastu dniach za jednego aureusa. „Mężczyzn tak łatwo oszukać” – powtórzyła w myślach. Słyszając kroki na schodach, z przewrotną przyjemnością wspomniła jeszcze ponure oblicze gospodarza.

– Rzym pada do stóp szlachetnej pani – przywitał ją Rufus.

W rzeczywistości wcale nie osunął się na kolana, tylko pochylił, a raczej lekko skłonił głowę.

– Niech więc Rzym powstanie z tej niezbyt wygodnej pozycji – odrzekła, odwróciła się, przeszła do drugiego pokoju i zajęła miejsce w fotelu. Postąpił za nią. Gdy znalazł się tuż obok, zauważyła pośpieszne spojrzenie, którym lustrował wnętrze: barwne tkaniny na ścianach, ciężkie, ciemne boazerie, skrzynię z czarnego drewna, a zwłaszcza łóżko. Naciągnięte na ramę skórzane obicie pokrywały koce i skóry, które Kleopatra rozmyślnie rozrzuciła w nieładzie.

– Możesz tam usiąść – wskazała stopą stołek. – Albo tam – zwróciła głowę w kierunku drugiego. – Albo na łóżku.

Rufus uśmiechnął się.

– Żołnierz, któremu księżniczka oferuje miejsce na łożu, powinien zapiąć hełm i trzymać miecz w pogotowiu. – Nie spuszczać jej z oczu, przysunął sobie nogą zydel i usadowił się na nim.

– Moje towarzyszki wyszły, więc nie mogę zaproponować ci nic do picia.

– Przyszedłem pokrzepić się twoimi słowami. – Oparł łokieć na udzie, a podbródek na zwiniętej dłoni. – Po co mnie zaprosiłaś?

– Uważałam, że dwoje poddanych Augusta Tyberiusza, których los rzucił na koniec świata, powinno się bez trudu dogadać.

– Jaki rodzaj porozumienia masz na myśli? – uśmiechnął się krzywo, prawie dwuznacznie. – Pakt szlachetnie urodzonych, zawarty na obczyźnie, czy znowę złoczyńców?

– Raczej przysiężenie patrycjusza, zmuszonych upodobnić się do rzezimieszków.

Milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– Czyżbyśmy mieli jakieś wspólne cele?

Kleopatra starała się zachować kamienną twarz. Nie mogła zdradzić swoich uczuć, zwłaszcza triumfu, że tak nadspodziewanie łatwo i szybciej, niż się spodziewała, ściągnęła go do siebie.

– Czy mogę ci zawierzyć? – Uznała, że udało jej się przybrać przekonujący ton. Przemawiała z obawą, lecz bez zbędnej pokory. Jak księżniczka, która zwraca się o pomoc, ale o nią nie błaga.

– Spróbuj – odrzekł – ale nie mogę ci obiecać niczego poza uczciwością.

– Uczciwość i rzetelność. Zalety rzymskiego wojownika?

– Ktoś powiedział, że cnota nie niszczy, lecz buduje. Potraktuj ją więc jako oznakę mojej przychylności.

Udawala, ze sie waha. Wreszcie westchnęła głęboko i wzdrygnęła się.

– A więc do rzeczy. Potrzebuję pomocy, lecz będę mogła za nią zapłacić dopiero, gdy mi jej udzielisz i osiągnę swój cel.

Rufus odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona na piersiach. Kleopatra odczekała chwilę. Ponieważ się nie odezwał, kontynuowała:

– Odebrano mi coś. Chcę to odzyskać. Jeżeli mi się uda, będzie mnie stać, by wynagrodzić wszelkie twoje wysiłki, i już nigdy nie będę zmuszona nikogo prosić o wsparcie.

– Nie zostałem tu wysłany, żeby poszukiwać zagubionych przedmiotów. Naszym zadaniem jest strzec pokoju cesarstwa. No i handlu.

– Wiem, ale gdy ostatnio odwiedziłam wasz obóz, usłyszałam coś, co rozbudziło moją nadzieję, że może nas połączyć wspólny cel.

– Cóż to takiego?

– Podobno opuszczacie Adane i macie udać się na północ.

– Ach tak – wyszczerzył zęby. – Zatem znów ktoś nie potrafił utrzymać języka za zębami?

– Nie miej mu tego za złe. Ani mnie – uśmiechnęła się. – Sam wiesz, jak trudno samotnemu żołnierzowi zachować coś w tajemnicy przed piękną kobietą.

– Więc któryś z moich ludzi zwierzył się jednej z twych towarzyszek? Ty przecież cały czas spędzałaś ze mną.

– Możemy to przedłużyć i jeszcze upiększyć – tu zaplanowała przeciągłe, uwodzicielskie spojrzenie, lecz zrezygnowała. Dość go już kusila, nie potrzebował wejrzenia Afrodyty o sarnich oczach. Zresztą pewnie by go nawet nie docenił. Starannie obmyślaną grę w wabienie i odpychanie należało prowadzić z umiarem.

Powtórzył jej słowa, uśmiechnął się krzywo, popatrzył na łóżko, potem na nią.

– Dość tych zagadek, powiedz wreszcie, czego chcesz.

– To nie takie proste, sprawa jest bardzo skomplikowana.

– No i dobrze, mów wreszcie.

– Spróbuję wyrażać się jasno. Część mojej opowieści dotyczy prefekta Judei.

– Poncjusza Piłata? – uniósł brwi. – Cóż on ma wspólnego...? No dobrze, nie będę ci przeszkadzał, zamieniam się w słuch.

– W drodze z Judei do Rzymu zatrzymał się na pewien czas w Aleksandrii, pewnie o tym wiesz – zmrużyła oczy. – Wtedy właśnie spędziliśmy razem parę pięknych godzin. Poprzedniej

zimy znów przybył z Cezarei, wtedy spotkaliśmy się znowu.

Rufus zamknął oczy i przybrał znudzony ton.

– I potrzebny ci centurion, żeby pomagał w aranżowaniu następnych schadzek?

– Słuchaj uważnie, a zrozumiesz, że gra toczy się o znacznie wyższą stawkę. Piłat poprosił, bym nastawiała uszu, zbierała informacje i przekazywała mu wszystko, co może go dotyczyć. Powszechnie wiadomo, że Żydzi z Aleksandrii mają wielkie wpływy, niektórzy zasłynęli w całym cesarstwie.

– Myślisz o Filonie?

– O nim także, lecz prócz pisarzy i filozofów inni też zyskują na znaczeniu. Dowiedziałam się o pewnym spisku.

– W Aleksandrii?

– Miały go zawiązać Jerozolima i Aleksandria, przeciwko Piłatowi. Chodzi o akwedukt i fundusze świątyni.

Rufus roześmiał się, lecz w jego śmiechu nie było wesołości.

– Moim zdaniem postąpił słusznie, lecz Żydzi uznali to za niewybaczalne bluźnierstwo.

Kleopatra uniosła rękę.

– Nie wiem o tym zbyt wiele, powstrzymajmy się lepiej od osądów.

– Prefekt musi oceniać i rozstrzygać. Zaopatrzenie Judei w wodę należy do jego obowiązków. A że sfinansował inwestycję ze środków, które Żydzi z całego świata przysyłają dla świątyni jerozolimskiej? – spochmurniał. – To przebiegłe z jego strony, ale w oczach Żydów dopuścił się świętokradztwa. Lecz powiedz, czego chcesz, i nie wdawajmy się w rozważania o decyzjach władzy.

– To nie moja rzecz, w końcu to wy ponosicie za nie odpowiedzialność.

Rufus wydał pomruk niezadowolenia.

– No, dalej – ponaglił.

– Usłyszałam te nowiny w drodze do moich posiadłości w Koptos. Zachowałam się lekkomyślnie i w czasie podróży statkiem po Nilu zbyt wiele powiedziałam, zanim miałam okazję napisać do Piłata.

– Zdarza się, zwłaszcza księżniczkom.

Opowiadała dalej, płynnie, ciekawie i zwięźle: o rzymskim handlarzu, który się szybko wzbogacił i od dawna pożywał jej dóbr i domów, więc zmówił się przeciwko niej ze swym

żydowskim współnikiem. Obydwaj postanowili ją obrabować i zmusić do milczenia. Mówiła też o przekupionych urzędnikach administracji okręgowej w Tebach, o pospiesznej ucieczce przez pustynię do Berenike, o depczących jej po piętach prześladowcach, przed którymi umknęła na statku.

– A teraz, gdy dowiedziałam się, że wkrótce wyruszenie na północ, chciałam cię poprosić, żebyśmy mogły się z wami zabrać. Cztery samotne kobiety, sam wiesz.

Rufus skinął głową.

– Domyślam się, że chcesz ostrzec Piłata i zwrócić się do niego, żeby pomógł ci odzyskać utracone dobra?

– Zależy mi na obydwu tych sprawach i jeszcze na czymś.

– Cóż to takiego?

– Utracona rzecz. Rufus westchnął.

– Niewykluczone, że chodzi o coś bardzo cennego – powiedziała Kleopatra powoli – podobnie jak wszystko, co ci dwaj mi zrabowali. – Wstała z fotela i podeszła do okna.

– Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu, zdradź klucz do tej zagadki, pani. – Wbrew słowom, w tonie jego głosu nie pobrzmiwało zaciekawienie.

Arsinoe przystanęła przy świątyni boga deszczu, jakby obserwowała dwóch mężczyzn szamoczących się z upartym osłem. Gdy Kleopatra oparła rękę na gzymsie, skinęła głową i ruszyła drobnymi kroczkami w kierunku domu. Jej pani odwróciła się i ponownie podeszła do Rzymianina.

– Chodzi o coś cenniejszego niż złoto i najdroższe balsamy – powiedziała stłumionym głosem. Poruszyła się przy tym tak, że musiał poczuć zapach jej skóry.

Wyciągnął rękę. Przez chwilę myślała, że położy ją na jej biodrze.

– Wyborny aromat, zniewalający – stwierdził. – Powiedz, co to za przedmiot? – spojrzął na nią i podrapał się w kark.

– Kopalnia szmaragdów. Aż zagwizdał ze zdziwienia.

– I coż się z nią stało? Zginęła?

– Znajduje się w skalistej dolinie na pustyni. Kiedy Rzymianie... to znaczy, kiedy August opanował Egipt, zamknięto wszystkie dojścia, a szyby zasypano. Został jednak sporządzony plan. Spisano też informacje, jak ponownie udostępnić złoża.

– Czekaj no – przerwał jej Rufus. – Szmaragdy... przypominam sobie, że coś o tym

słyszałem. Stare sztolnie w kamiennej dolinie na pustyni, na północ od Berenike?

– Sieć znaków – ciągnęła – które mogą doprowadzić do niewyobrażalnych bogactw. Jak linie na dłoni. Podaj mi rękę, Rzymianinie – ujęła prawicę wojownika i pochyliła się nad nią.

– Na północ od Berenike – powtórzył ze ściśniętym gardłem. Skłonił przy tym głowę, dotknął czubkiem nosa upiętych włosów Kleopatry i wciągnął w nozdrza ich zapach. Zabrzmiało to prawie jak westchnienie.

– Dobre linie – jej głos przeszedł w szept – na przykład ta tutaj...

Arsinoe pojawiła się w przejściu, cmoknęła, powiedziała: „Wybacz, pani”, jeszcze raz cmoknęła i zniknęła. „W razie czego, może zaświadczyć, że trzymał mnie za rękę – pomyślała Kleopatra – lub, jeśli to się okaże konieczne, opowie, że się dotykaliśmy”.

– Twoja towarzyszka – zaczął Rufus i chrząknął – czemu...

– Dla pewności – Co to znaczy?

– Od czasu do czasu sprawdza, czy niczego mi nie brakuje.

– Ach – westchnął z niepewną miną. Kleopatra powstrzymała się od śmiechu. Udało się jej uzyskać zamierzony efekt.

– Plan drogi i wskazówki dotyczące kopalni zostały nakreślone w dwóch miejscach.

– Poczekaj. Ta dziewczyna... nieważne. Ale szmaragdy w Berenike... – Wpatrywał się w nią zwężonymi jak szparki oczami.

– W czym rzecz?

– Są własnością monarchów. Ostatnio należały do królowej, twojej imienniczki.

– I co?

– Jak więc mogłaś posiadać je ty, twoja rodzina czy przodkowie?

– Istnieje... pokrewieństwo.

– Z nią? – Rzymianin zrobił wielkie oczy. – A może po prostu zmyśliłaś to wszystko?

– Księżniczka nigdy nie kłamie – odparowała oschle. – Chcesz słuchać dalej czy nie?

Bez słowa skinął głową.

– Jak już wiesz, linie wyryto w dwóch miejscach. Na, a właściwie pod cokołem posągu boga Anubisa. I na odwrotnej stronie kamienia w pewnym sygnecie.

– Gdzie znajdują się te wskazówki?

– Nie chcę mówić głośno, przez ściany zbyt dobrze słychać – szepnęła Kleopatra. – Chodź, powiem ci na ucho.

Rufus jęknął cicho, podniósł się jednak i uklęknął tak blisko, że prawie dotykała ustami jego ucha.

– Posąg bóstwa... – Przerwała na widok Thais, która chwilę wcześniej bezszelestnie wśliznęła się do pierwszego pomieszczenia, a teraz zjawiała się w przejściu.

– Księżniczko? Odprawiła ją ruchem ręki – Nie przeszkadzaj, dołącz do dziewcząt. Gdy skończymy, zejdem na dół.

Thais skinęła głową, odwróciła się i zniknęła. „Może zaświadczyć, że Rzymianin klęczał przede mną – cieszyła się w duchu Kleopatra – jej pomoc przyda się, gdy zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności”.

– Co z rzeźbą? – spytał gość, wciąż na klęczkach.

– Została zrabowana – ściszyła głos – lecz wiem, gdzie się znajduje, i potrafię ją odnaleźć. Pierścień także skradziono, ale nie znam jego dalszych losów.

– Gdzie więc jest ten posąg?

– W pewnym mieście w oazie, na południe od traktu z Petry do Damaszku.

Zdawało jej się, że zadrżał, ale nie miała pewności.

– Mówisz o Ao Hidis? – Ledwie poruszał wargami, mówił tak cicho, że trudno go było usłyszeć.

Położyła mu dłonie na ramionach, odsunęła go lekko od siebie i popatrzyła w oczy. Nawet nie próbowała ukryć zdumienia.

– Skąd o tym wiesz? Wyprostował się.

– Rządzi tam pewien książę, który napsuł nieco krwi Rzymowi. Ale powiedz, jak statua Anubisa trafiła w to miejsce?

– Sześćdziesiąt lat temu ojciec księcia zatrzymał się w jednym z pałaców Kleopatry. Był zwolennikiem i przyjacielem Marka Antoniusza. Przybył wraz z oddziałem dzielnych wojowników, by bronić jego i królowej. Gdy wszystko przepadło... – Uniosła ramiona.

– Zgarnął, co mu wpadło w ręce, i potraktował jako żołąd? – dokończył z ironicznym grymasem. – Takie postępowanie doskonale pasuje również do jego potomka, więc nietrudno mi uwierzyć w tę historię.

– Kleopatra miała pierścień z planem na palcu, gdy oczekiwała na pocałunek węża. Nie był to sygnet królestwa Ptolemeusza, toteż August, który jeszcze wtedy zwał się Oktawianem, nie zatrzymał go dla siebie, lecz podarował pewnemu zasłużonemu Egipcjaninowi.

– Czy też Macedończykowi?

– Egipcjaninowi, który pomagał Rzymianom. Obdarowany wyjechał później do Arabii i zginął. Nikt nie wie, co się stało z pierścieniem.

Rufus usiadł z powrotem na stołku.

– Twojej opowieści brakuje spójności. – Na moment odsłonił zęby.

– Czyżby?

– Skoro szkice kopalni sporządzono po klęsce królowej, nie mogły znajdować się wcześniej ani na wizerunku bóstwa, ani na sygnecie.

Kleopatra uśmiechnęła się.

– Co za jasność umysłu – pochwaliła. Pochyliła się i pogłaskała Rufusa po policzku. – Były to niezwykle obfite i dochodowe złoża. Ich istnienie trzymano w tajemnicy. Nikt, kto tam pracował, nie miał prawa za życia opuścić doliny. Plany i wskazówki wyryto znacznie wcześniej na wypadek, gdyby nikt nie umiał wskazać drogi.

– Więc moje wojsko miałoby eskortować cię do Judei, żeby Piłat wysłuchał twej skargi, zlikwidował spisek i pomógł ci w odzyskaniu majątku – podsumował Rufus po dłuższej chwili milczenia – a po drodze powinniśmy jeszcze zahaczyć o Ao Hidis i zbadać cokół Anubisa.

– Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę.

– A jeśli zdecyduję się dotrzeć do posągu bez ciebie i odrysować plan?

– Nic ci to nie da. Tylko ktoś, kto posiada dodatkowe informacje, potrafi go zinterpretować. Znaki prowadzą od pewnego konkretnego miejsca. Ja je znam, a ty nie. Nie uda ci się tam trafić samemu.

Skinął głową. Wydawało się, że usłyszane rewelacje przestały go dziwić.

– A więc Palestyna i Arabia?

– Właśnie.

– A honorarium, o którym wspomniałaś?

– Złoto, jak tylko odzyskam majątek lub jeżeli ktoś mi pożyczy, choćby Poncjusz Piłat. Szmaragdy, gdy uzyskam dostęp do złoża.

– Mrzonki – burknął Rufus. – Ale czasem zupełnie nierealne marzenia się spełniają.

– Poza tym czeka nas daleka droga. – Zeszła z fotela i uklękła u jego stóp. – W długiej podróży można się zaprzyjaźnić. Myślę, że moim dziewczętom podobają się rzymscy oficerowie, przynajmniej ci młodzi i przystojni. A ja... – Zamilkła.

– Ty? – roześmiał się. – Woń, którą roztaczasz, zachęca, żeby poszukać jej źródeł. Źródła wszystkich twoich zapachów. Ale Piłat to znaczna osobistość.

– Ma żonę Rzymiankę. Nie byłam dziewicą, gdy się z nim spotkałam, i nie zamierzam nawrócić się na drogę cnoty.

– Mimo wszystko – ujął jej twarz w dłonie, jego oczy płonęły pożądaniem – podwładni nie powinni kłusować w rewirach swoich zwierzchników.

– To zależy.

– Od czego?

– Kim jest myśliwy. Kto wkroczył na dane terytorium. Przed nami długa droga, pamiętaj. Nadal dotykał jej twarzy. W pewnej chwili pochylił się i musnął wargami jej usta.

– Wspaniała zdobycz, zachwycająca.

– Lepiej porozmawiajmy o podróży – zaprotestowała ze śmiechem. Chwyliła go przy tym za nadgarstki i odsunęła jego ręce od policzków, jednak na tyle wolno, że zdążyła popieścić koniuszkiem języka wnętrze prawej dłoni. – Kiedy i jak chcesz wyruszyć?

– Otrzymał mi rozkaz przybycia do Judei około równonocy wiosennej, zostało więc jeszcze trochę czasu. Może do tej chwili zorganizuje się jakaś karawana, do której dołączymy, albo też stworzymy własną. Lub też – wzruszył ramionami – dostaniemy nowe polecenia, które przyspieszą bądź opóźnią wyprawę.

– Czyli spodziewacie się rozpocząć podróż w przyszłym miesiącu? – wróciła na swój fotel.

– Mniej więcej. – Nagle wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło?

– Twoje służące nieprzypadkowo się tu zjawiały. W razie gdybyśmy się pokłócili, opowiesz prefektowi, że widziały, jak natrętnie się wobec ciebie zachowywałem.

– Każdy prefekt uwierzy mi bez świadków – posłała mu lodowate spojrzenie.

– Niewykluczone, ale to bez znaczenia, nie mam zamiaru wdawać się z tobą w spory. Powinnaś jednak pomyśleć o czymś jeszcze.

Uniosła brwi i wpatrywała się w niego intensywnie.

– O moich żołnierzach. To wyborni wojownicy. Jeżeli chcesz, żeby bronili ciebie i twoich kobiet, też musisz coś dla nich uczynić.

– Co masz na myśli?

– Powiedzmy, doprowadzić do pewnej zażyłości. Byłoby wskazane, gdyby mieli

świadomość, że ich opiece powierzono nie jakąś obcą księżniczkę wraz ze świtą, lecz osoby, które dobrze znają. Wtedy będziesz mogła na nich polegać i liczyć na ich życzliwość.

Kleopatra zacięła usta.

– Nie wyobrażasz sobie chyba...

– Nie martw się, nic z tych rzeczy – uniósł rękę w uspokajającym geście. – Powinni żywić do was szacunek, a nie pogardę.

– Więc co mam zrobić? Rufus zachichotał.

– Urządzimy małe zawody. Ach, prawda, wspomniałaś, że ściany mają uszy. Podejź bliżej, wolę mówić szeptem.

Kleopatra pochyliła się i słuchała. Gdy skończył, klasnęła w ręce i roześmiała się na całe gardło.

– Świetnie, to mi się podoba.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na kadzidlany wybrzeżu

Korzenną krainę można podzielić na trzy części: kadzidło i mirrę uzyskuje się z drzew, kasję z krzewów. Niektórzy jednak twierdzą, że kasja pochodzi z Indii, a Persja jest ojczyzną najlepszego kadzidla. Według innego podziału cała Szczęśliwa Arabia składa się z pięciu królestw. Jedno z nich zamieszkują wojownicy i obrońcy, drugie – rolnicy dostarczający zboża i innego pożywienia, trzecie – rzemieślnicy. Pozostałe to krainy, w których pozyskuje się mirrę i kadzidło. Występują tam też kasja, cynamon i nard. Nikt nie przekazuje obcym wiedzy, lecz tajemnice zawodowe przechodzą z ojca na syna. Najwięcej wina wytwarzają tam z palmy, a bracia traktowani są lepiej niż dzieci.

STRABON

Gdyby kupcy lub żeglarze wiedzieli tyle co zasiedziali uczeni, nie dotarliby donikąd.

ANTIGONOS KARCHEDONIA

Demetrios doszedł do wniosku, że wprawdzie nie należy kupować starych i słabych niewolników, ale czasami opłaca się zrobić wyjątek. Podobnie jak nie powinno się stawiać w wyścigach na nieznaną drużynę: stratę łatwo z góry obliczyć, ale nigdy nie wiadomo, co wyniknie z niespodziewanej wygranej. Te przemyślenia przyszyły jednak znacznie później.

Najpierw zauważył starego człowieka, który stanowił jedyną nieruchomą plamę wśród falującego tłumu. Odkąd opuścili Morze Czerwone, musieli zmagać się z silnym południowoschodnim wiatrem, który wypiętrzał grzywy fal w zatoce koło Adane, targał koronami palm i świszczął w olinowaniu statku. Pierzaste chmury pędziły po niebie na północ, w kierunku Arabii, wicher jęczał i zawodził pośród zrefowanych żagli, a spienione grzywacze opryskiwały marynarzy kroplami słonej wody. Zmęczenie, czy raczej ostrożność powstrzymała ich przed okrążeniem skalistego półwyspu i przybiciem do południowego portu. Tam, gdzie

wyspa osłaniała wejście do basenu, cumowały głównie statki z Indii. Zamiast tego załoga powiosłowała ostatkiem sił w kierunku szerokiej, zachodniej zatoki, a następnie do małego portu przy wąskim cyplu. Stały tam domy mieszkalne i magazyny. Pod palmą na suchym pniu siedział starzec. Demetrios z daleka zauważył jedyną nieruchomą sylwetkę – i natychmiast o nim zapomniał.

Pomost, przy którym zacumowali, unosił się i opadał pomiędzy filarami. Umieszczone na nim pierścienie z brązu skrzypiały i rzęziły niemiłosiernie. Na brzegu kręcili się robotnicy, przenoszący deski i bale. Nawałnica porywała tumany piachu i ciskała go w oczy ludziom i wielbłądom. Nieszczęsne zwierzęta próbowały zerwać się z uwięzi i uciec w przeciwnym kierunku.

– Dobra robota, panie – pochwalił szyper. – W końcu nie po to nas wynająłeś, żeby samemu chwytać za wiosła. – Strzepnął parę razy rękoma, żeby rozluźnić napięte mięśnie.

– Mądry handlarz woli przyłożyć się do pracy, niż paść ofiarą sztormu. – Demetrios uśmiechnął się z wysiłkiem. Skórę miał szorstką od soli, a stopy poranione o burty, bo wciąż ślizgał się, zapierał i balansował, żeby nie stracić równowagi.

Jeden z marynarzy przymocował linę do pala przy pomoście. Szyper sprawdził wiązania skórzanej torby, która osłaniała tylne wiosła przed uderzeniami o deski. Następnie zwrócił się do Demetriosia:

– Jak długo chcesz tu zostać?

– Nie wiem. To zależy, jak pójdą interesy. Jeżeli zarobię, skompletujemy karawanę i wybierzemy drogę lądową. Jeżeli stracę, nie będzie mnie stać na podróż powrotną – mrugnął okiem. – A ty, jak długi pobyt planujesz?

– Ja też nie potrafię przewidzieć, co i kiedy uda mi się załatwić. Muszę dostarczyć parę pism, a potem zobaczymy. Może ktoś zechce przy przeciwnym wietrze przewieźć jakiś ładunek do Kane lub przez Morze Czerwone? Trudno powiedzieć.

– Jeżeli szybko dojdę do porozumienia ze szlachetnym Kharkhairem, dam ci znać – odrzekł kupiec i skinął na czterech towarzyszy, którzy przybyli wraz z nim z Egiptu.

– Chodźcie.

Wszyscy zabrali się do wyładowywania bagaży i z ulgą opuścili rozkołysany okręt. Dopiero teraz Demetrios zauważył, że nieruchoma plama pod palmą to stary człowiek, odziany tylko w przepaskę na biodrach. Opierał się plecami o chropowaty pień drzewa, jakby wcale nie

odczuwał bólu. Jego piersi i ramiona pokrywały blizny, a stopy – nagniotki. Miał tylko jedną rękę, kikut drugiej kończył się na przegubie, po którym łążyły dwie muchy.

– Proszę o datek na przebłaganie bogów. Zechciej, panie, podziękować Neptunowi za pomyślną podróż – kaleka ułożył potężną zdrową dłoń w kształt miseczki i wyciągnął ją w kierunku kupca.

Demetrios nie przepadał za łaciną, ale tu, na arabskim wybrzeżu, zabrzmiała w jego uszach prawie swojsko. Przystanął i przyjrzał się starcowi.

– Rzymianin, tutaj? I do tego w tym stanie? – wskazał żelazną obrożę na szyi starca, znak niewolnictwa.

– Ano tak. Żeby przewoźnik miał mnie za co złapać, w razie gdybym chciał uciec przez Styks – roześmiał się żebrak i odsłonił jedyne trzy zęby.

– Czy nie powinniśmy raczej rozejrzeć się za kwaterą? – odezwał się z tyłu Meleagros. Doświadczony podróżnik przemawiał dość śmiało, lecz na tyle uprzejmie, żeby nie urazić przywódcy wyprawy. Zmarszczył przy tym czoło i szarpał rzemień worka, który sięgał mu od karku do pośladków. Preksaspes stał obok, też nieco zniecierpliwiony i zmęczony. Chudy Leonidas przestępował z nogi na nogę, a Mikines zdjął ciężar z pleców i układał go na ziemi.

– Idźcie przodem – rozkazał im Demetrios – u ujścia doliny, tuż przed końcem półwyspu, stoi gospoda Raviego. Pozdrówcie go od Demetriosia Spóźnialskiego i zamówcie dla nas dwa pokoje. Zaraz was dogonię.

– Spóźnialski? – zdziwił się Meleagros – pewnie zaraz poczęstujesz nas legendą o tym, jak dorobiłeś się tego przezwiska – skinął ręką na towarzyszy.

Demetrios patrzył za nimi przez dłuższą chwilę. Było upalne popołudnie. Pomiędzy domami i skałami stało gorące powietrze, tylko ponad dachami wiatr poruszał czubkami palm. Tu i ówdzie w cieniu siedzieli ludzie. Niektórzy drzemali, inni rozmawiali. Olbrzymi Murzyn w skórzanej przepasce na biodrach szedł w tym samym kierunku co kupcy. W pewnym momencie zdjął bukłak z ramienia, nalał sobie w dłoń wody i zaczął ją siorbać. Gdy się roześmiał, Demetrios zauważył spiłowane siekacze i ufarbowane na czerwono włosy. Czarnoskóry potknął się o coś, upadł jak długi, wstał, uśmiechnął się z triumfem i podniósł naczynie.

– Czerwonowłosy Nubo – przedstawił go niewolnik – prawdopodobnie syn jakiegoś pomniejszego księcia. – A to Demetrios Spóźnialski, partner handlowy równie bogatego jak

nieokrzesanego Kharkhaira, prawda?

– Skąd wiesz? – zdziwił się przybysz. Stary nie mógł wcześniej słyszeć, jak rozmawiali na statku o arabskim handlarzu.

– Zawitałeś tu już parę lat temu. Ty mnie wtedy nie zauważyłeś, za to ja zwróciłem na ciebie uwagę.

– Opowiedz mi swoją historię – zaproponował kupiec – jeżeli mi się spodoba, dostaniesz pół drachmy. – Wyciągnął z sakiewki srebrną monetę i podniósł ją do góry.

– Dniówka wolnego robotnika. No to muszę się postarać.

– Jakim sposobem Rzymianin opadł w niewolę w Adane? Czemu niewolnik musi żebrać? I co jeszcze wiesz o mnie, oprócz tego, że znasz moje imię i widziałeś mnie z Kharkhairem? – Demetrios opadł na pięty i przyjrzał się żebrakowi. Jego poorane zmarszczkami oblicze wyglądało jak spękana powierzchnia ziemi po długim okresie suszy. Starzec przymknął oczy i zaczął mówić:

– Mam siedemdziesiąt trzy lata. Pięćdziesiąt pięć lat temu przybyłem tu, do Arabii, z oddziałem wywiadowczym wojsk Aeliusza Gallusa. Nie wróciłem wraz z nimi. Zostałem ranny i uwięziony. Przez dwadzieścia lat służyłem Mukhatarowi, przywódcy karawany, w Adane, a od kilku miesięcy służę jego synowi.

– Czyżby stary umarł? Kiedy? – przerwał Demetrios.

– Na wiosnę.

– Wcześniej czy później bogowie podziemi upomną się o każdego z nas. Zastanawiam się tylko, po co? No, ale mów dalej.

– Powiedziałem kiedyś młodemu Mukhatarowi, że odziedziczył po ojcu imię i majątek, ale ani śladu rozumu. Za karę muszę teraz żebrać. Jeżeli zbiorę odpowiednią sumę, mogę się wykupić. Jeżeli nie, utnie mi głowę, o ile do tego czasu nie umrę z głodu.

– Kiedy mija termin?

– Z końcem miesiąca.

– Czyli pojutrze. Ile musisz zapłacić za wolność?

– Taniutko. Silny robotnik kosztuje w Adane półtorej do dwóch min, czyli dwieście drachm. Mój pan chce za mnie sto. Sto razy więcej, niż wart jest bezużyteczny kaleka. – Spojrzał bystrym wzrokiem, mrugnął i dokończył po grecku: – Ale stary niewolnik sporo się nauczył. Znam drogi przez pustynię, wszystkie studnie pomiędzy Adane a ziemią Nabatejczyków, ceny towarów

i zyciorysy wszystkich handlarzy i rozbójników. Mówię też językami wszystkich ludów, które zamieszkują obszar od Adane aż do Syrii. Demetrios rzucił mu pół drachmy, wstał i spytał jeszcze:

– Jak się nazywasz?

– Opiter Perperna.

– O, bogowie! Samo nazwisko wystarczy, żeby cię skrócić o głowę. Nie ma tu żadnych Rzymian, którzy chcieliby cię wykupić?

– A po co? Do czego mógłbym się przydać? W dodatku z takim nazwiskiem jak moje?

– Zastanowię się i jeszcze rozpytam o ciebie. Tylko się nie pośpiesz i nie umrzyj przedwcześnie z głodu, słyszysz? Muszę przemyśleć sprawę. – Demetrios odwrócił się, by odejść. Gdy spojrzał na przeciwległy brzeg, dostrzegł robotników, budujących coś z belek, pali i desek. – Co oni tam robią?

– Przygotowują tor wyścigowy. – Perperna wykonał pierwszy ruch od początku spotkania: uniósł lekko ramiona. – Tuż przed zachodem słońca odbędzie się bieg z lektykami. Moi rodacy – odwrócił głowę w kierunku zachodniego brzegu – uparli się w nim uczestniczyć. Twierdzą, że chcą dla odmiany przynajmniej raz doprowadzić Arabów do śmiechu, a nie do płaczu.

– Patrzysz na zachód. Czyżby więc tutejsi Rzymianie mieszkali po tamtej stronie, daleko za miastem?

– A kto by chciał żołnierzy w centrum?

– Żołnierzy? – zdziwił się Demetrios.

– Zaskoczony? Znasz jakąś miejscowość z tej strony Indii, gdzie nie stacjonują wojska cesarstwa?

– Znam parę. Myślałem, że Adane też do nich należy. Perperna przybrał ironiczny wyraz twarzy.

– Zaufanie dobra rzecz, ostrożność – jeszcze lepsza. Ale najlepiej zburzyć wszystko, a potem nikomu nie ufać i stale nadzorować podbity naród.

– Tak postępują twoi rodacy, nie moi – rzucił na odchodnym kupiec. – I co komu z tego przyjdzie?

Ravi pochodził z Muchiri – dużego portowego miasta na zachodzie Indii. Przed trzydziestu laty wysiadł na brzeg w Adane i wybudował gospodę dla podróżnych. Rdzenni mieszkańcy miasta zatroszczyli się o to, żeby nie uzyskał zezwolenia na prowadzenie interesu w centrum.

Usadowił się więc na północny wschód od przystani i doliny, w której leżało miasto. Dzięki temu stał się jednym z najbogatszych obywateli. Jego zajazd znajdował się pod palmami, przy końcu półwyspu. Wszyscy przybysze musieli tamtędy przejechać i był to pierwszy budynek, który dostrzegali, nim dotarli do Adane. Poza tym gospoda Ravięgo posiadała cztery zalety, przyciągające klientów: najlepszego kucharza, również Hindusa, najpiękniejsze dziewczyny z różnych krajów, obszerne stajnie, a przede wszystkim świeżą wodę. Na całym półwyspie odkryto tylko dwa nędzne źródła, poza tym korzystano z usług wozowodów. Na początku działalności Ravi kupował od nich codziennie kilka wielkich bukłaków. W końcu, po długich poszukiwaniach, kopaniu i wierceniu w skale, założył własną studnię. Parter domu zbudowano z kamieni spojonych zaprawą. Pod wysokim, belkowanym stropem mieściła się karczma, a powyżej pokoje dla gości. Ściany piętra wymurowano z cegieł. Szeregi kolumn podpierały rzeźbione belki sufitu. Demetrios spotkał tu kiedyś Iberyjczyka, który określił wypoczynek w tych pomieszczeniach jako sposób na oczyszczenie duszy. Na lewo znajdowały się łazienki i ubikacje, na prawo kuchnia i spiżarnie.

Preksaspes oparł się o filar. W jednej ręce trzymał gliniany kubek, drugą wykonywał dziwne gesty. Towarzyszyła mu jedna z tutejszych dziewczyn, około dwudziestoletnia. Nosiła krótki chiton z jasnego lnu, biodra przepasała czerwoną szarfą. Jej rysy twarzy przypominały raczej oblicze perskiej księżniczki niż arabskiej kurtyzany.

– Pochodzi z gór Babilonu – wyjaśnił Preksaspes i zwinął dłoń w pięść. Dziewczyna odpowiedziała ruchami obydwu rąk.

– Czy ona jest głucha?

– Głuchoniema, panie, ale za to niezwykle zręczna.

– Nie wiedziałem, że znasz język migowy.

– Człowiek uczy się różnych rzeczy – Preksaspes wzruszył ramionami.

W tym momencie z zaplecza wyszedł gospodarz, spostrzegł Demetriosą, wydał kilka niezrozumiałych okrzyków, rzucił mu się w ramiona i uściskał serdecznie.

– Tysiąc lat! – wykrzyknął. Odwykłem już od twojego widoku. Bałem się, że nie zdążę już cię zobaczyć, zanim zwinę interes.

– Zestarzałeś się, jak my wszyscy – zauważył gość – no i zbrzydłeś.

– Jak my wszyscy – powtórzył jak echo Ravi.

– Mizernie wyglądasz. Chyba nie masz nastroju do żartów. Cóż miały znaczyć twoje słowa:

„zanim zwinę interes”?

– Najpierw siądźmy i napijmy się, potem pogadamy o poważnych sprawach. Chodź.

Demetrios wszedł za nim za przepierzenie. W drugim pomieszczeniu stały niskie, sięgające zaledwie kolan stoły, a wokół nich skórzane pufy. Przy wejściu do kuchni umieszczono wyższe stoły, krzesła i taborety dla gości o innych obyczajach. Ravi pochylił się nad ladą, wziął dwa dzbany i gliniane kubki i popatrzył w oczy kupca.

– Adane jest martwe, przyjacielu – powiedział smutno.

– Myśleliśmy, że się jeszcze podniesie, ale ono powoli, lecz stale niszczeje.

– Zauważyłem, że w zatoce prawie nie ma statków – odrzekł Demetrios po chwili milczenia.

– Ale przypuszczałem, że cumują w południowym porcie.

– Zaledwie kilka.

– A co z karawanami z głębi kraju?

– Cóż miałyby tu robić? – Ravi rozłożył ręce. – Zwozić towary, których nikt nie chce, czy kupować te, których nikt nie przywiózł? Nie licz lat, przynajmniej tych naszych, oblicz, ile mi jeszcze zostało czasu, i powiedz, dokąd mam pójść? – Na twarzy karczmarza malowała się rozpacz i zniechęcenie.

– Idź tam, gdzie skoncentruje się lub rozproszy twoja karma. Egipcjanie nazywają to „ka” lub „ba” – odpowiedział Demetrios.

– A jak wy to nazywacie?

– Kto? My, Grecy, czy panowie świata?

– Czy oni w ogóle znają takie pojęcia? I odpowiednie słowa? – zastanawiał się Ravi.

– „Anima” albo „animus”. Od kiedy stacjonują tu wojska cesarstwa?

– Od niespełna roku.

– Po co?

– To przecież oczywiste. Dla sprawowania nadzoru. Ale mówmy o nas.

– Dokąd chcesz się udać?

– Do domu? – Hindus pokręcił głową. – Nie wyobrażam sobie, za długo tam nie byłem.

Człowiek, który traktuje życie jak wędrówkę do celu, nie powinien zawracać.

– A jaki jest cel twojej podróży?

– Gdybym umiał go określić, mógłbym tam dotrzeć, a potem zmienić kierunek i podążać gdzie indziej. – Ravi spochmurniał i pochylił się nad dzbanem. Zamierzał dolać również

Demetriosowi, lecz ten zakrył kubek ręką.

– Jeszcze nie teraz. Na razie potrzebuję trzeźwej głowy. Później chętnie ci pomogę utopić smutki w winie.

– Interesy? – Gospodarz zmrużył oczy. – Spodziewasz się w Adane jakichś zysków? Próżne nadzieje, tu nie ma już nawet nic do stracenia.

– A jednak zawsze coś pozostaje – zaprotestował handlarz – chociażby życie.

– Tani towar. Kto zauważy stratę?

– Każdy, kto czegoś od ciebie chce. Jak leci staremu Kharkhairowi?

Ravi zagryzł wargi.

– Nie zaszczycił mnie wizytą z powodu twego przyjazdu. Ale z tego, co słyszałem, i jemu w tym ogólnym marazmie nie najlepiej się wiedzie.

– No i dobrze, może uda się od niego coś korzystnie kupić.

– Jeszcze raz pytam, co chcesz załatwić w tym mieście żywych trupów?

W drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni. Demetrios odwrócił głowę w ich kierunku. Obcy rozejrzeli się po sali, wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wycofali się bez słowa.

– Tak się właśnie sprawy mają – powtórzył gospodarz. Podniósł się, jakby próbował wstać, lecz znowu opadł na siedzenie. – Ty i twoja załoga jesteście jedynymi gośćmi, jacy zawitali tu w ciągu ostatnich pięciu dni. Mieszka tu jeszcze Nubo, ale on nie płaci.

– Ten wielki Murzyn? Czemu nie bierzesz od niego pieniędzy? Nie lubisz go?

– Skąd, goszczę go chętnie. To nieszkodliwy głupiec. Ale przebywa u nas tak długo, że wrósł w otoczenie. Traktuję go jak domownika. A poza nim... – Ravi rozłożył ręce.

– Przykro mi to słyszeć. No, ale do rzeczy. Obiecałem opowiedzieć ci trochę o celu mojej wyprawy. Jak wiesz, panowie świata miewają nietypowe zachcianki.

– Jak na przykład zrujnowanie Adane przed dwudziestu pięciu laty.

– To nie był kaprys, tylko konieczność.

– No, nie! – Ravi rąbnął z całej siły pięścią w stół, aż kubki podskoczyły – Co niby ich do tego zmusiło?

– A co ty byś zrobił na miejscu Augusta? – Demetrios uniósł brwi.

– Nie wystarczyła mu okupacja?

– Musiałby co roku tłumić rozruchy, wyposażać nowe okręty i wysyłać kolejne oddziały żołnierzy. Niezbyt dobrze się orientuję. Ilu ich teraz stacjonuje na zachodnim brzegu zatoki?

– Dwa tuziny, może trzy – Ravi wzruszył ramionami i mruknął coś pod nosem.

– Przypuszczam, że podlegają prefektowi Egiptu. Potem pewnie ktoś ich zmieni. Być może mają za zadanie tylko obserwować i czuwać, ale ich obecność przypomina mieszkańcom, że zawsze mogą przybyć następni.

– Żeby nikt nie zapomniał, kto tu rządzi? – Hindus skrzywił się i cichutko westchnął. – Ale nie można całej winy zwać na okupanta. Uważam, że tutejsi książęta, kapłani i kupcy popełnili niewybaczalny błąd. Nie przestępstwo, jeszcze gorzej – głupotę. Zastrzegli mianowicie wyłącznie sobie prawo handlu. Tylko im wolno było dostarczać mirrę, kadzidło, pieprz, jedwab i inne drogocenne towary na statkach czy wielbłądach. Żyło z tego tysiąc osób albo i więcej. Gdyby dopuścili cudzoziemców, może z początku niektórzy miejscowi nieco by stracili, ale w końcowym bilansie wszyscy by zyskali. Zagraniczne okręty, karawany i kupcy przywoziliby nieznane dotąd wyroby, ludzie by potrzebowali noclegu, pożywienia i wody. A sto obcych statków daje cieślom, powroźnikom, szkutnikom i krawcom szyjącym żagle więcej miejsc pracy niż pięćdziesiąt własnych.

– Dajmy spokój przypuszczeniom. To nas do niczego nie doprowadzi. Błądzić jest rzeczą ludzką, podobnie jak nie zastanawiać się nad przyszłymi konsekwencjami obecnego postępowania. Pomówmy lepiej o twoich i moich planach – zaproponował Grek.

– Wiem już, że chcesz tu robić interesy, tylko nie zdradziłeś, jakiego rodzaju – Ravi potarł palcem nos.

– Przyplłynęliśmy w pięciu statkiem z Berenike. Z pewnością nie twoim, bo już byś się *zdążył* pochwalić. No i nie schodzilibyście na ląd z bagażami – trącił nogą torbę Demetriosia i zagwizdał przez zęby. – Ciężka, nawet nie drgnęła. Zawartość musi sporo ważyć. Co tam masz? Chiton z ołowiu? Nie przypuszczam, raczej monety, i to w znacznej ilości.

– Bez żadnej wartości. – Handlarz zmrużył jedno oko. – Ołowiane drachmy i denary z kamienia.

– Gdybyś miał coś wartościowego do sprzedania, wolałbyś raczej przenocować na statku. Skoro zszedłeś na ląd, to znaczy, że nastawiasz się na zakupy. Ciekawe, co chcesz nabyć.

– Jak już powiedziałem, władcy świata...

– Do których się zaliczasz – przerwał gospodarz.

– ...miewają dziwaczne kaprysy. Nawiasem mówiąc, nie jestem jednym z nich, więc nie powinienesz mi dokuczać.

– Fakt, że tak mocno się od nich odżegnujesz, dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. – Ravi uśmiechnął się przewrotnie. – Chcesz czy nie, należysz do nich, tak jak połowa świata.

– Odziedziczyłem obywatelstwo po ojcu. Urodziłem się jako Rzymianin i nie mogę nic na to poradzić. Nie wybierałem sobie narodowości, tak jak nie mogłem wybrać koloru włosów, oczu czy skóry. Ale dajmy wreszcie spokój jałowym rozważaniom i przejdźmy do rzeczy.

Nubo wbiegł do gospody tanecznym krokiem, nucąc coś pod nosem. Wykonał parę podskoków, podrzucił mieszek do sufitu, zaklaskał w dłonie, złapał go w locie i zagwizdał.

– Masz jakiś powód do radości? – spytał Demetrios.

– E, nie, ja tylko tak sobie, dla zabawy. – Murzyn skinął głową, jakby właśnie zakończył poważną dyskusję, i wybiegł na schody.

– Może prostoduszność głupca jest więcej warta niż cała mądrość filozofów? – westchnął Ravi. – Ale wróćmy do Rzymian. Jakież to dziwne życzenia miewają, oprócz panowania nad innymi narodami?

– Przede wszystkim uwielbiają zbytek. Patrycjusze, a zwłaszcza bogacze o mniej szlachetnym pochodzeniu, chętnie kolekcjonują zbędne, lecz osobliwe przedmioty. Podejrzewam, że zabawiają się w ten sposób z braku lepszego zajęcia.

– Bezużyteczne, ale może chociaż zyskowne albo pouczające.

– Niekoniecznie. Znam jednego, który zbiera okazy odznaczające się szczególną brzydota. Inni poszukują czegoś wyjątkowo pięknego: malowideł, rzeźb, kamieni, niekoniecznie szlachetnych, ale za to ze skamieniałościami wymarłych zwierząt. Te ostatnie nie muszą odznaczać się urodą, wystarczy, że zawierają w swym wnętrzu utrwalony na wieki kawałek przeszłości Ziemi.

– Zachwyca mnie twoja opowieść. – Hindus aż zaklaskał w dłonie. – Wyrafinowane gusta świadczą o złagodnieniu obyczajów. Może z czasem pozbędą się również okrucieństwa.

– Raczej na to nie licz. – Demetrios sięgnął po dzban i nalał sobie wody. – To, że jeden czy drugi Rzymianin zechce zaimponować gościom, podając pieczeń z dzika, nie oznacza, że przestaną podbijać tereny, na których można upolować tę zwierzynę.

– Ale ty nie zechcesz chyba dostarczyć klientom dziczyzny z Adane? Tutaj jej przecież nie znajdziesz.

– Człowieku – roześmiał się Grek – gdybym przywiózł z dalekiego kraju mięso stworzeń, o których istnieniu nie mają pojęcia, dopiero odniósłbym sukces! Po taką nieprawdziwą świnię

ustawiłaby się kolejka, a ja mógłbym żądać niebotycznej ceny, wyższej niż za najrzadsze kolekcjonerskie okazy.

– Już sobie wyobrażam, jak stoisz na rynku i zachwalasz towar: „Szanowni państwo, popatrzcie tylko, mam tu parkę prześlicznych chimer. Kto kupi obydwie, dostanie ode mnie w podarku pięknego małego feniksa” – podchwycił żart Ravi.

– Brawo, przyjacielu, pojąłeś w lot, o co mi chodzi. Ale nie zapomnij opowiedzieć mi także o swoich planach.

Gospodarz ociągał się chwilę, wreszcie zapytał z wahaniem:

– Naprawdę chcesz teraz poruszać poważne tematy? Chyba trochę za wcześnie. Światło słońca nie sprzyja poważniejszym rozmowom, bezlitośnie odsłania wszystkie luki w logicznym rozumowaniu. Lepiej zaczekać trochę i pogadać pod osłoną nocy.

Demetrios pochylił się i położył rękę na ramieniu Hindusa.

– Najpierw chciałbym się trochę pokręcić, rozejrzeć się po okolicy i zobaczyć, jak wyglądają wyścigi z lektykami. Nie słyszałem jeszcze o czymś takim. To dla mnie nowość, jestem jej ciekaw i chcę zachować trzeźwy umysł, żeby móc bacznie obserwować i zapamiętać wszystkie szczegóły. Interesy mogą trochę poczekać. Mam nadzieję odwiedzić jutro Kharkhaira i paru innych. Ale zanim wyruszę, powiedz mi wreszcie, co ty zamierzasz uczynić?

– Czego ja mogę się spodziewać, przyjacielu? – powiedział Ravi bezbarwnym głosem. – Wszystko skończone. Stare klany kupieckie jeszcze trochę pociągną. Mają krewnych, oddziały i składy w Kane czy Mariabie. Inni, jeśli nie przestawią się na rybołówstwo albo zbieranie żywicy, powymierają z głodu. Stary Hindus nie ma tu już nic do roboty.

– Masz jakikolwiek pomysły?

– Nic konkretnego. Zostało mi jeszcze trochę grosza z dawnych, dobrych czasów. Najchętniej opuściłbym tę przeklętą dziurę. Może potrzebujesz towarzysza podróży?

ROZDZIAŁ TRZECI

Rozgrywki na pustyni

To, co wiarygodne, chociaż niemożliwe, przedkładaj nad to, co możliwe, lecz niewiarygodne.

ARYSTOTELES

Niedostrzegalna harmonia zjawisk ma większe znaczenie niż to, co można zobaczyć gołym okiem.

HERAKLIT

Z Kafamaum pojechał na południowy wschód. Przekroczył Jordan i wzgórze Gaulanitydy, a po zachodzie słońca zatrzymał się na odpoczynek przy skąym źródle niedaleko jakiejś wioski bez nazwy. Pozostał tam do północy, po czym wyruszył dalej w tym samym kierunku. Droga prowadziła wśród skalistych i kamienistych wzniesień, później pomiędzy wydmami. Około południa dotarł do umówionego miejsca: do pewnej doliny na Ziemi Niczyjej. Kartografowie określali te tereny jako własność Nabatejczyków z południa. Inni uważali, że stanowią one posiadłość tetrarchy Filipa, podobnie jak pozostały obszar na zachód od starego szlaku handlowego z Tadmoru do Petry. Niektórzy mądrzy Rzymianie zwali tę ziemię „Auranitis”, lub „Chauran”. Lecz naprawdę władały nią tylko słońce, wiatr, piaskowe burze i arabscy nomadzi. Kilka zbiorowisk nędznych chat nazwano miastami, jak na przykład Kanata czy Asztarot. On zaś miał zadbać o to, by nikt prócz skorpionów, paru lwów i nomadów nie panował na tym terytorium. Wyruszył w tę podróż, bo życzył im z całego serca, żeby ten stan nie uległ zmianie. Podobną sympatią darzył mieszkańców Kafarnaum. Było mu obojętne, czy podlegali królowi, czy słuchali uczonych w Piśmie, czy też owego nowego kaznodziei, który przyjaźnił się z rybakami i uważał, że wszyscy ludzie są równi.

W chwili, gdy pomyślał o rybakach i wodzie, pobyt na pustyni wydał mu się jeszcze bardziej uciążliwy. Zdjął z głowy skórzane nakrycie, napełnił je wodą i napił konie. Na wszelki

wypadek, aby móc jechać dalej wierzchem, gdyby jedno ze zwierząt złamało nogę na skalistym wybrzeżu, zabrał ze sobą dwa wierzchowce. Usiadł w cieniu, napił się trochę wody i patrzył, jak zwierzęta próbują skubać suche liście jakiegoś krzewu. Zamknął oczy, żeby trochę odpocząć, ale nasłuchiwał uważnie, czy gdzieś w pobliżu nie rozlegnie się tętent kopyt, szuranie skorpiona czy drapanie pazurów dzikiego zwierza. Wrócił myślami do Kafamaum, jeziora, ryb i ludzi, którzy je łowili. Do prostych robotników, z którymi sąsiedował od chwili, gdy wyprowadził się z twierdzy. Zamieszkał wtedy w domu we wschodniej części miasta, jak przystało centurionowi zaciężnych wojsk Heroda Antypasa.

Nazywał się Tertius Agabianus Afer i służył żydowskiemu królowi. Aż parsknął na wspomnienie werbunku. Jacyś oficerowie zaproponowali mu wstąpienie do oddziałów pomocniczych w Mauretanii. Nie wiedział, czy działali z rozkazu cesarza Tyberiusza, czy z ramienia wszechwładnego prefekta pretorianów, Sejana. Nieważne zresztą, komu podlegali, grunt, że oferowali korzystne warunki współpracy: siedem lat służby w wojskach żydowskiego księcia wraz z dodatkowymi, nieoficjalnymi obowiązkami. Po tym terminie miał otrzymać obywatelstwo i przydział do specjalnej jednostki w Rzymie lub na prowincji. Gdyby się na nich nie natknął, pozostałby nikim. Sięgnął myślami jeszcze dalej wstecz i kolejny raz przeklął własnego ojca, który zmarł, zanim cokolwiek osiągnął. Mógł pozostać w Agbii jako punicki hodowca koni i zostawić synowi nazwisko Abdsapon i wspaniałe stajnie. Albo też przyjąć imię Saponiusa Agabianusa Afera i pracować w służbie cesarstwa. Ale zrezygnował z tej pierwszej możliwości, a drugiej też nie wykorzystał. Tak więc zostawił Tertiusa z niczym, bez żadnych widoków na przyszłość. Nawet imię nie odpowiadało prawdzie. Urodził się wprawdzie faktycznie jako trzecie dziecko, lecz jako pierwszy syn. On sam dodał sobie do przydomka środkowe „a”, żeby nieco utrudnić skojarzenia z Agbią, zapadłą dziurą w Afryce Prokonsularnej. Takimi to sposobami musiał torować sobie drogę wzwyż, podobnie jak czynił to w Galilei.

Sąsiedzi uważali go tam za dziwaka. Który Rzymianin dobrowolnie wynająłby się do służby w oddziałach Heroda Antypasa? Lecz on nie przejmował się opinią innych; było mu z tym nawet wygodnie. Ani król, ani inne ważne osobistości, ani przełożeni nie powinni się domyślać, na czym miała polegać jego prawdziwa misja. Wystarczyło, że już same oficjalne zadania budziły powszechną odrazę. Miał zaledwie paru znajomych wśród ludzi niskiego stanu. O przyjaźni pomiędzy pogańskim dowódcą a żydowskimi rzemieślnikami, rolnikami czy rybakami nie było mowy.

Zarówno on, jak i inni najemnicy służyli królowi, lecz ludność uznawała ich za okupantów. Mieli bronić prawa i porządku, a także ochraniać celników i poborców podatkowych – Żydów, poddanych żydowskiego króla, zaprzyjaźnionego z cesarzem. Budowali też ulice i pilnowali bezpieczeństwa, walczyli z rozbójnikami i strzegli granicy dzielącej cesarstwo od państwa Filipa. Rzeczywiście, paskudne, odrażające obowiązki! W dodatku posługiwali się zniechęcającą tu mową najeźdźców. Tutejsi ludzie nie mogli im tego wybaczyć. Sami mówili po aramejsku. Ten język przejęli od Persów. Za czasów ich okupacji obowiązywał jako urzędowy. Większość mieszkańców posługiwała się również greką, zapożyczoną od wojsk Aleksandra i następnych ciemnych – Seleucydów. Z rzadka tylko można było usłyszeć pojedyncze hebrajskie wyrazy. Od dawna nie posługiwano się mową ojczystą; nędzne jej resztki zachowały się w obrzędach liturgicznych. Nawet uczeni w Piśmie formułowali zazwyczaj swe zagmatwane wywody po aramejsku. Znaleźli się jednak zapaleńcy, odnowiciele starego porządku. Zamierzali oni ożywić dawne obyczaje i z pomocą jedyne Boga i jego słowa przepędzić prześladowców: Rzymian z Judei i najemników z Galilei. Nie stanowili większości, lecz dysponowali znacznymi wpływami. Nawet rozsądni obywatele nie śmieli się im przeciwstawić i spoufalać z obcymi. Jako część narodu wybranego nie mogli się nawet przyznać, że niezliczone objaśnienia i interpretacje słowa Bożego w martwym, zapomnianym języku nie poruszają ani ich umysłów, ani serc.

Kiedyś Afer wybawił z rąk rozbójników pewnego uczonego w Piśmie. Uratowany nie miał prawa objąć po przyjacielsku swojego wybawcy, czy nawet uścisnąć mu ręki. Nie wolno mu też było go ugościć, czy choćby odwiedzić. W dowód wdzięczności wydał w ogrodzie ucztę dla dowódcy i jego oddziału, z obfitością jadła i napojów, oraz specjalnie na ten cel zamówioną zastawą. Po zakończeniu biesiady nie umyto naczyń i sztuców, lecz wszystko, co do sztuki zniszczono.

Zwyczajni Żydzi nic sobie nie robili z przepisów i zakazów. Prości ludzie, pracownicy i pozbawieni uprzedzeń, odwiedzali go w domu lub w twierdzy, a nawet, gdy zaszła taka konieczność, gościli go u siebie. Lubił ich i rozumiał. Byli ulepieni z tej samej gliny co on. Mieli takie same marzenia, obawy, czasami nawet podobne poglądy. Jednak nawet oni traktowali go jak obcego, jak okupanta.

Afer usłyszał tętent kopyt i łoskot toczących się kamieni. Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Oślepił go blask słońca. Jeden z koni podniósł łeb i cicho zarżał. Zza występu skalnego wyłonił się jeździec. Centurion rozpoznał go, puścił rękojeść miecza, wstał i zapytał po

aramejsku:

– Miałeś dobrą podróż?

Arab zeskoczył z czarnego ogiera i uśmiechnął się. Następnie uniósł dłoń do czoła, a potem przyłożył ją do ust i piersi.

– Zaszczycasz mnie – odrzekł. – Przybyłeś osobiście. Już się obawiałem, że będę musiał tłumaczyć skomplikowane zagadnienia jednemu z twoich podwładnych.

– Może i dla mnie okażą się za trudne?

– Zobaczymy.

Przyjezdny napoił wierzchowca, związał mu przednie nogi, po czym usiadł w cieniu, napił się wody, zjadł parę suszonych daktyli i trochę chleba. Afer czekał cierpliwie, aż przybysz skończy posiłek. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– Mów, Numanie, jak przedstawia się sytuacja w Ao Hidis?

– Dobrze dla tych, którym nie podobał się dawny stan rzeczy. Ale fatalnie dla przeciwników nowego porządku.

– Czyli tak, jak się spodziewaliśmy.

– O ile miałeś taką nadzieję.

– Żarty na bok, przyjacielu – Afer westchnął cicho. – Przede mną nie musisz niczego udawać. Powiedz lepiej, jak sprawuje się nasz kandydat?

– Lepiej, niż można było oczekiwać.

– A pozostali?

– Wkrótce pójdą w jego ślady. Kiedy przyjdzie czas, czyli za dwa, może trzy miesiące. Zaraz po święcie wiosny.

– Cieszę się – centurion skinął głową – ale zdradź wreszcie trochę więcej szczegółów.

Numan odchylił się do tyłu i przymknął oczy.

– Czasami prawie się go boję. Jest taki podobny do księcia, nie z wyglądu, lecz z usposobienia. Błyskotliwy i prędko w podejmowaniu decyzji.

– Jaką pozycję ma na dworze?

– Awansuje.

– Muszę wiedzieć więcej – Afer założył ręce na piersiach i czekał na dalsze informacje.

– Takiś ciekaw? – Arab roześmiał się i otworzył oczy.

– Od tego, co mi przekażesz, zależy powodzenie lub klęska naszego wielkiego planu. A także

decyzja, czy pozostać przy tym, co ustaliliśmy, czy wymyślić coś innego.

– Musi się udać.

Numan zamilkł na chwilę. Gdy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał monotonnie i spokojnie, jak podczas skomplikowanego wykładu. Afer znał dobrze ten ton. Wiedział, że świadczy on o maksymalnej koncentracji. Jego informator starał się odtworzyć z pamięci wszystkie najdrobniejsze szczegóły, nawet te, które sam uważał za nieistotne. W grze, którą razem prowadzili, najbłahsza informacja mogła okazać się ważną kartą przetargową.

Wszystko zaczęło się mniej więcej przed rokiem. Belhadad, Książę Pustyni, Pan Lwów, Syn Gwiazd, Król Szlaków, władca Ao Hidis, od dawna utrzymywał kontakty z Rzymianami. Ale równocześnie przyjaźnił się z ich zaciekłymi wrogami, Partami. Miasto w oazie leżało na wschód od starego traktu handlowego z Petry do Damaszku. O jego bogactwie przesądzała obfitość wody, żyzne doliny, sady i pastwiska. Oraz mądry książę, który wiedział, jak korzystać z tych darów natury. Zbiegowie z cesarstwa i jego rubieży, o ile dysponowali odpowiednią ilością srebra i złota albo odznaczyli się szczególnymi zdolnościami lub wiedzą, znajdowali tam gościnę. Dawniej kupcy omijali oazę, woleli raczej korzystać z innych źródeł, dość częstych przy drodze. Teraz ci sami ludzie szukali kontaktu z Belhadadem i jego podwładnymi. Niekoniecznie z własnej woli. W pewnym momencie na trasie wędrówek zaczęli pojawiać się rabusie, którzy bronili dostępu do wody, a za jej zaczerpnięcie żądali opłaty w srebrze. Równocześnie książę nałożył na przewożone tamtędy towary cło w wysokości dwudziestu procent ich wartości. W zamian za to gwarantował ochronę przed rozbójnikami. Ten, kto zdecydował się wprowadzić karawanę do Ao Hidis, otrzymywał prawo do bezpłatnego korzystania ze wszystkich studni. Płacił też niższy podatek: „tylko” piętnaście procent ceny sprzedanych lub kupionych rzeczy.

Do miasta ściągali nie tylko fenicycy budowniczy i greccy rzemieślnicy, którzy woleli działać poza strefą wpływów rzymskich. Wolność życia na pustyni i opieka Belhadada wabiły też przeróżne typy spod ciemnej gwiazdy, których ulubionym narzędziem był sztylet, a porą dnia – zmierzch. Dopóki nie złamali tutejszego prawa, nikt nie pytał, czym się zajmowali w przeszłości. Jeżeli zaś popełnili przestępstwo, mogli wybierać pomiędzy szybką śmiercią a długoletnią służbą wojskową.

Belhadad stopniowo rozszerzał swoje wpływy na coraz większe obszary pustyni. Z początku dyskretnie, później już bardziej oficjalnie, ale wciąż bez przeszkód. W końcu kontrolował już tak rozległe tereny, że każde przedsięwzięcie wymagało jego aprobaty, a także udziału w zyskach.

W pewnym momencie zarówno Nabatejczycy, jak i Żydzi i Rzymianie dostrzegli potęgę księcia, ale nic mu już nie mogli zrobić. Dopóki dysponował pięćdziesięcioma wojownikami, nie było sensu organizować przeciwko niemu wyprawy. A gdy dowodził już dwutysięczną armią, trudno byłoby go pokonać. Żydowski królowie, Nabatejczycy i rzymscy prefekci z Cezarei i Antiochii nieraz przeklinali Ao Hidis. Ale niczego nie przedsięwzięli. Do usunięcia Belhadada potrzebowaliby wielu legionów. W Cezarei stacjonowały zaledwie dwie kohorty wojsk pomocniczych, złożone przeważnie z cudzoziemców. Armii syryjskiej wyznaczono inne zadania. Musiała walczyć z piratami i rzezimieszkami, których wielu grasowało w tamtych okolicach. Gdyby oddziały z Syrii wysłano na pustynię, Partowie z pewnością opanowaliby Babilon. Straż graniczna wzdłuż Eufratu potrzebowała nieustannego wsparcia dobrze uzbrojonych żołnierzy.

Ale istniały inne możliwości. Należało znaleźć zdolnego młodzieńca, który zdobędzie zaufanie władcy, zaciągnie się do jego straży przybocznej i szybko awansuje. A kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zechce przeforsować pewne zmiany.

Afer wiedział, że nie wszystkich zachwycają panujące w Ao Hidis obyczaje. Kupcy zostawiali w mieście o wiele więcej pieniędzy, niż wynosiła wartość nabytych tam przedmiotów. Wielu patrzyło złym okiem na przyjaźń Belhadada z partyjskimi posłami.

– Hiqar zdążył już zebrać wokół siebie wielu niezadowolonych – poinformował Numan.

– Niedobrze – westchnął Afer – to może rzucać się w oczy.

– Może użyłem niewłaściwego słowa. Raczej pozyskał ich zaufanie.

– W jaki sposób?

– Bardzo sprytnie – roześmiał się Arab. – Młody, przystojny kapitan gwardii spotyka się z wieloma osobistościami, często dość znacznymi. Nie musi zbyt wiele mówić. Wystarczy, że słucha i milczy w odpowiednich momentach, gdy inni wypowiadają się lub tylko coś sugerują. W ten właśnie sposób Hiqar dowiedział się, że w bezpośrednim otoczeniu księcia jest wielu przeciwników jego polityki. Gwardzistów, którzy wprawdzie nie pałają miłością do Rzymu, ale zdają sobie sprawę z bogactwa, potęgi i bliskości cesarstwa. Dlatego uważają utrzymywanie zbyt bliskich kontaktów z Partami za wysoce nierozważne.

– Opowiadają się za neutralnością wobec obydwu mocarstw? – zapytał Afer i uśmiechnął się.

– Bardzo mądre rozwiązanie. Dobrze by było, gdyby udało im się je przeforsować.

– Jeżeli zaś chodzi o tę drugą sprawę... – Numan mówił powoli, przeciągając każdy wyraz. Zamiast dokończyć, pochylił się do przodu i zaczął rysować palcem na piasku rodzaj

uproszczonej mapy.

– Tak, słucham?

– Popatrz tutaj. Słyszałem, że północna grupa rozbójników poi w tym miejscu zwierzęta, ale to nic pewnego. A południowa...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wielbłądy i lektyki

Czy biegniesz po to, żeby pochwycić gałąź wawrzynu?

Może wyruszasz po to zwycięstwo, bo pociąga cię inna nagroda. Na przykład drachma?

DYMAS Z HERAKLEI

Na piętrze gospody urządzono piętnaście dwuosobowych pokoi. W razie konieczności każdy z nich mógł pomieścić nawet sześciu ludzi, o ile oczywiście nie mieli zbyt wielkich wymagań. W skład wyposażenia wchodziły materace, poduszki i okrycia, miednice i dzbany na wodę, a także odwrócona do góry dnem beczka do siedzenia. Ponieważ nikt poza czarnoskórym Nubo nie nocował u Ravięgo, towarzysze Demetriosa nie musieli ograniczać się do dwóch pokoi, jak planował ich przywódca. Hindus wynajął im pięć pomieszczeń w cenie dwóch.

Podczas mycia Demetrios zastanawiał się nad sytuacją gospodarza. Po raz pierwszy zatrzymał się tu w drodze powrotnej z Indii dziesięć czy jedenaście lat temu. Już wtedy Adane chyliło się do upadku, ale prosperowało jeszcze całkiem niezłe. W obu portach cumowało wiele statków, karawany stale przybywały i odjeżdżały. Istniała nadzieja, że po spustoszeniach dokonanych przez Rzymian miasto kiedyś odżyje. Pięć lat po śmierci Kleopatry, ostatniej królowej z rodu Ptolemeuszy, i po przyłączeniu Egiptu do cesarstwa August polecił prefektowi w Aleksandrii wysłać wojsko do Arabii. Według oficjalnej nomenklatury jego zadanie polegało na „pozyskaniu możliwych przyjaciół lub rozgromieniu potężnych wrogów”. Aeliusz Gallus dotarł aż do dawnego królestwa Saby. Musiał jednak odstąpić od oblężenia jego stolicy, Marib. Trzydzieści lat później Rzymianie wysłali z portów nad Morzem Czerwonym flotę do Adane. Miała ona złamać potęgę tutejszych książąt i otworzyć rzymskim kupcom drogę do rynków w Arabii i Indiach.

Władca położonego dalej na wschód Kane potraktował klęskę miasta jako dar losu. Zapewnił on zagranicznym kupcom korzystne warunki: opłata celna wynosiła zaledwie pięć procent wartości sprzedawanych towarów. Jego żołnierze pilnowali bezpieczeństwa na drogach w całym

kraju. Wiele karawan wyruszało z Kane przez Marib na północ, do ziemi Nabatejczyków i dalej do portu w Gazie. Jedynie nieliczni handlarze przyplływali jeszcze do Adane na statkach. I to tylko gdy musieli dostać się przez Morze Czerwone do Egiptu. Uzupełniali wtedy zapas wody i naprawiali pomniejsze uszkodzenia. Pozostali wybierali raczej długą trasę lądową, żeby uniknąć zawijania do egipskich portów, takich jak Berenike czy Myos Hormos, i wędrówki w kierunku Nilu, a potem ponownego przeładunku całego dobytku na statki rzeczne.

„Za późno ronić łzy nad przeszłością – myślał Demetrios – nie ma też sensu spekulować, jak potoczyłyby się losy Adane, gdyby jego władca i mieszkańcy odpowiednio wcześniej zrozumieli, na czym polega polityka Rzymu. Dziś z dawnej świetności nie pozostał nawet ślad”.

Pierwszy raz Demetrios trafił tu przypadkiem. Pracował wtedy jako pomocnik zamożnego kupca imieniem Nikolaos. Jego zwierzchnik nie chciał czekać ponad trzy tygodnie na skompletowanie następnej karawany i wołał popłynąć statkiem na zachód. Zatrzymał się właśnie w Adane, żeby uzupełnić zapas słodkiej wody i zakupić nieco towaru. Jako kwatery wybrali zajazd Ravięgo. Spędzili tu dwa dni i dwie noce, a potem wyruszyli przez Morze Czerwone do Berenike. Pracodawca zabierał swojego młodego pomocnika na rokowania i zapoznawał go z ważniejszymi osobistościami, między innymi z Kharkhairem. W ten sposób mijały dni. A wieczorami gospodarz przy dzbanie wina przekazywał im nowiny z dalekich Indii i przybliżał sylwetki hinduskich bogów. Poznawali też smak greckich przypraw i urodę arabskich dziewcząt. Gdy tylko opróżnili kubki, Ravię ponownie je napełniał. Po rozkoszach stołu noc oferowała chwile jeszcze słodsze, jeszcze bardziej wyczerpującego upojenia w ramionach Arabek o gorącej krwi, równie pięknych co nieskromnych.

Drugi raz zawitał tu przed pięciu laty. Zwabiła go pogłoska, że w głębi lądu wyhodowano, lub też odkryto, nowy gatunek mirry. Mówiono, że ta odmiana jest dużo lepsza od zwyczajnej, arabskiej, a nawet że dorównuje najdroższej, pochodzącej z Erytrei. Na miejscu okazało się, że w rzeczywistości nie różni się od tej, którą dotychczas pozyskiwano w Arabii. Demetrios podejrzewał, że zachwalano ją tylko po to, żeby przyciągnąć jak najwięcej ludzi i ponownie ożywić handel. Niemniej jednak właśnie dzięki temu, że Adane straciło już wtedy na znaczeniu, udało mu się zawrzeć parę korzystnych transakcji. Kupił za niewielkie pieniądze tkaniny, pachnidła i przyprawy i załadował je na okręt. Mieszkał wówczas trzy noce u Ravięgo i handlował między innymi z Kharkhairem. Zanosilo się na to, że obecna, trzecia wizyta będzie równocześnie ostatnia. Miasto wyglądało jak wymarłe i nic nie zapowiadało poprawy

koniunktury. Demetrios zastanawiał się, po co cesarstwo wysyła tu jeszcze żołnierzy i czy w ogóle odnosi z tego jakieś korzyści. On sam zyskał jedynie pewność, że na następnej podróży do Adane mógłby tylko stracić.

Godzinę przed zachodem słońca wokół przyszłego toru wyścigowego panował już tłok. Za to gospoda opustoszała. Przypuszczalnie jej właściciel postanowił się trochę rozerwać, a Preksaspes i inni wyruszyli wraz z nim, żeby zdążyć na początek widowiska. Wszystko wskazywało na to, że Demetrios się spóźni. Zezłościł się na siebie, że zbyt długo marudził w kąpielu. Ubrał się pospiesznie i wyruszył szybkim krokiem na północ, przez cypel. Mimo wszystko udało mu się przybyć na czas.

Przy torze wyścigowym zgromadzili się wszyscy znaczniejsi kupcy: Kharkhair, Mukhatar, Baschama, Ilazar i inni. Każdy z nich mógł sobie pozwolić na pozostanie w Adane, bo na ich utrzymanie zarabiała filie w Kane i Marib. Demetrios dostrzegł też w tłumie Raviego i szerokim uśmiechem powitał jego kucharza, Aszokę. Preksaspes przyprowadził głuchoniemą perską dziewczynę. Mikines i Leonidas stali przy wozie, z którego sprzedawano wino. Czerwonowłosy Nubo jeszcze bardziej rzucał się w oczy w jaskrawym, złotym chitonie i najwyraźniej miał trudności w porozumieniu się z Meleagrossem, bo obydwaj energicznie wymachiwali rękami. Większość mężczyzn wybrała sobie miejsca w pobliżu punktu startu i mety. Trasę wyścigów wytyczono w kształcie owalu o długości pięciuset kroków, czyli około trzech stadiów. Niby niewiele, ale przebycie tego krótkiego odcinka wymagało morderczego wysiłku. Biegacze musieli dźwigać pokaźny ciężar, i w dodatku grzęznąć w sypkim, pustynnym piachu. Demetrios zastanawiał się, czy wszystkie ekipy wytrzymają do końca. Tragarze jeszcze odpoczywali. Pomędzy lektykami rozstawione były stoły, przy których przyjmowano zakłady.

Demetrios zbliżył się do najmoźniejszego z kupców. Kharkhair zauważył go pierwszy, skinął na niego, a następnie uściśnął mu prawicę.

– Demetrios Spóźnialski. Witam serdecznie! Co cię tu sprowadza po tylu latach?

– Nadzieja, że zaszczycisz mnie uśmiechem. No i że ubiję z tobą jakiś korzystny interes.

– Tak też myślałem – Kharkhair skinął głową. – Ale wiesz, że najbardziej mnie raduje, gdy nie ty zyskujesz na transakcji, lecz ja.

Podobnie jak inni, książę kupców nosił obszerną białą szatę. Haftowana opaska przytrzymała chustę, której rogi były związane na czubku głowy. Po ich opuszczeniu powstawał rodzaj welonu chroniący przed słońcem, wiatrem i piaskiem pustyni.

Greki przyjrzał się odsłoniętej twarzy Kharkhaira. Czas odcisnął już na niej swe piętno. Bystre, chłodne oczy nadal patrzyły nieufnie, lecz brwi i broda posiwiały zupełnie, a orli kształt nosa jeszcze się wyostrzył. Miał silne dłonie, lecz na palcach pozostała już tylko skóra i kości. „Posiadłeś wszystko – pomyślał Demetrios – majątek, wpływy i władzę. Ale Parki już ostrzą nożyce, żeby przeciąć linię twego życia. Wkrótce będziesz bogaty, sławny i martwy”. A głośno powiedział:

– Z pewnością i tym razem odnajdziemy złoty środek pomiędzy moim zyskiem i twoją stratą, pomiędzy moim smutkiem a twoją radością. Załatwimy interesy ku obopólnemu zadowoleniu. Wilk będzie syty i owca cała.

– Nie licz na to, że ktokolwiek z nas pójdzie na kompromis z obcym tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność – wtrącił się Mukhatar. Kharkhair i Baschama rzucili mu gniewne spojrzenia, a Demetrios zwrócił się do niego:

– Wydaje mi się, że twój ojciec, mimo niewątpliwej inteligencji, popełnił trzy zasadnicze błędy.

– Oświeć nas, i wytłumacz, co masz na myśli – zażądał Baschama gniewnie i odwrócił się, żeby odebrać od służącego kubek z sokiem owocowym.

– Odznaczał się wspaniałymi przymiotami, licznymi jak ziarenka piasku na wybrzeżu. Ale gdyby każdą z jego wad zamienić na kubek wody, starczyłoby, żeby napełnić całe morze.

– Do morza zawsze przylega plaża, a tam znajdziesz jeszcze więcej ziaren piasku, które porównujesz do zalet mojego ojca – odburknął Mukhatar i wykrzywił twarz. – Twoje wyliczenia łatwo podważyć, więc lepiej oszczędź nam tego rodzaju wywodów. Ponieważ i tak nie potrafisz podać prawidłowego wyniku twoich rachunków, zdradź lepiej, co ci się nie podobało u nieboszczyka.

– Przede wszystkim, zamiast zostawić mądrość w spadku synowi, zabrał ją ze sobą jako dar dla bogiń podziemnego świata. Po drugie, podobnie jak inni, nie troszczył się o korzyść i zadowolenie odwiedzających Adane cudzoziemców. Dlatego zdecydowali się przybyć tu na okrętach wojennych. Po trzecie, zapomniał przekazać spadkobiercy wniosków wypływających z tej historii i ostrzec przed następstwami takiego postępowania.

Oblicze Kharkhaira nie zdradzało rozbawienia. Mruknął coś pod nosem, odwrócił się i popatrzył w kierunku lektyk. Jedną z drużyn składała się z rzymskich żołnierzy. Nie nosili ani broni, ani pancerzy, ale łatwo ich było rozpoznać po czerwonych tunikach i sandałach

z rzemieniami, oplecionymi wokół łydek.

– Nie mówmy o sprawach, które rzucają cień na pamięć przeszłości – odezwał się wreszcie.

– Skoncentrujmy się lepiej na bieżących wydarzeniach. Przyjrzyj się na przykład tym ludziom. Rozpiera ich taka pycha, że chcą stanąć w zawody z naszymi służącymi. Pewnie wydaje im się, że potrafią ponieść lektykę równie szybko i pewnie jak ci, którzy przez całe życie wyłącznie tym się zajmują. Zamierzasz wziąć udział w zakładach?

– Czyż obcy, który nie zna zawodników, mógłby się na coś takiego odważyć?

– Chętnie ci pomożemy – roześmiał się Baschama. – Naturalnie doradzimy ci coś wręcz przeciwnego, niż sami uważamy za roztropne.

– Gdyby nawet wasze opinie zabrzmiały sensownie, nie uwierzyłbym własnym uszom i postąpił odwrotnie – odparł Demetrios i zwrócił się do Kharkhaira:

– Z drugiej strony, gdybyś mi pomógł wygrać, zdobyłbyś moje zaufanie i uspił czujność. Przystąpiłbym jutro do negocjacji w lepszym nastroju, a ty więcej byś utargował i łatwiej byłoby ci mnie oskubać.

Kharkhair strzepnął płaszcz, jakby chciał odpędzić natrętne muchy.

– Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele. Uważam, że każdy powinien sam odnaleźć swoją drogę do gwiazd albo do podziemi. Jedyne porażka poniesiona z własnej winy rani dotkliwie i tylko zwycięstwo osiągnięte własnym wysiłkiem naprawdę upaja.

Mukhatar zrobił ponurą minę.

– Niektórym obcym nie brakuje odwagi, żeby osądzać naszą przeszłość, ale tchórzostwo nie pozwala im podjąć decyzji w dniu dzisiejszym – powiedział z nienawiścią w głosie.

– Trafne spostrzeżenie – zgodził się Demetrios – ale niejeden śmiałek skończył już jako żebrak.

Arab odwrócił się i rozejrzał, jakby szukał kogoś w tłumie. Wreszcie uniósł rękę i wskazał zbiorowisko nędznie ubranych ludzi.

– Tam stoi taki jeden. Niewolnik ukarany za bezczelność. Dziś musi prosić o datki, a za dwa dni straci głowę. Znajdzie się wtedy w takim stanie, jaki i dla ciebie przewiduję.

Baschama dotknął ręki Demetriosa, westchnął cicho i odszedł w kierunku grupy lepiej ubranych osób. Kharkhair popatrzył z dezaprobatą na Mukhatara i powiedział:

– Potrafię zrozumieć niechęć do cesarstwa. Ale kiedy nienawiść do obcych przekracza pewne granice, zaczyna przeszkadzać w rokowaniach i obrażać gości, wtedy urasta już do głupoty.

– Stawiam sto drachm – zadeklarował Demetrios i zaraz uznał, że podjął zbyt pochopną decyzję tylko dlatego, że sprowokował go nieokrzesany syn dawnego partnera w interesach. W zakłopotaniu chwycił się za lewe ucho, ale nie wycofał się, tylko zapytał:

– A ty, ile gotów jesteś zaryzykować?

– Jednorękiego niewolnika – parsknął Mukhatar – pod warunkiem, że postawisz na Rzymian.

– Daj mi chwilę na zastanowienie. Chcę się im przyjrzeć.

Mukhatar wzruszył ramionami, a Kharkhair patrzył przed siebie obojętnym wzrokiem.

Wszyscy tragarze wyglądali na silnych i zdrowych. Siedem z ośmiu drużyn należało do tutejszych bogaczy, między innymi do Kharkhaira, Mukhatar i Baschamy. Demetrios zasięgnął informacji przy stołach, gdzie przyjmowano zakłady, i dowiedział się, że wszyscy właściciele obstawiali własne ekipy. Za Rzymianami nie stał nikt. Powszechnie uznano ich za kandydatów do ostatniego miejsca.

– Ile wynosi wygrana? – zapytał Demetrios.

– To zależy. – Arab długo wodził palcem po zabazgranym papirusie. – Ludzie Baschamy uchodzą za faworytów. Jeżeli przybiegną pierwsi, za każdą wpłaconą drachmę dają dwie. A za Rzymian... och, dziewiętnaście do jednego.

– Czy ktoś w ogóle wie, kto siedzi w lektykach?

– Kobiety – odrzekł mężczyzna. – Oczywiście młode i możliwie szczupłe. Po wyścigach wyjdą i wszyscy będą mogli je zobaczyć. Gdyby się okazało, że zwycięzcy nieśli dziecko, wygrana przypadnie załodze, która dotarła do mety druga.

– Muszę się jeszcze zastanowić. – Demetrios pokiwał mu ręką i poszedł dalej. Pomyślał, że stać go na utratę paru min. No i miał wielką ochotę zobaczyć wyraz zawodu na twarzy Mukhatar. Stał jeszcze parę minut i rozważał swoje postanowienie. W końcu zwrócił się po łacinie do człowieka, który stał obok lektyki i tłumaczył coś rzymskim tragarzom.

– Jak masz na imię?

– Marek Waleriusz Rufus. – Zapytany przyjrzał się Grekowi uważnie. – Czemu pytasz i kim jesteś?

– Nazywam się Demetrios. Jestem kupcem i obywatelem rzymskim. Dowiedziałem się tam, przy stole, że nie macie tu zwolenników.

– Nie sądzę, żeby aż tak nisko oceniali naszą sprawność. Raczej trafiła im się dobra okazja, żeby okazać nam niechęć. Jeszcze może się okazać, że z powodu przekory popełnili błąd.

Demetrios przyjrzał się rozmówcy. Wyglądał na około trzydziestu lat. Wystawiał się jak człowiek wykształcony, pochodzący z wyższych warstw społecznych, ale w jego oczach od czasu do czasu zapalały się groźne błyski.

– Ciekaw jestem, z której gałęzi rodu Waleriuszów pochodzisz.

– Jakie to ma znaczenie? I jakie masz prawo wypytywać? Czego ode mnie chcesz?

– Zamierzam postawić na twoją drużynę, pewnie jako jedyny prócz ciebie. Dlatego chciałbym się czegoś dowiedzieć o zawodnikach.

– To dobrzy żołnierze, silni i wytrzymali.

– Nie boicie się narazić na pośmiewisko? I dlaczego postanowiliście wziąć udział w tych dziwacznych igrzyskach?

Rufus pochylił się i szepnął mu do ucha:

– Tego się ode mnie nie dowiesz, jeszcze byś rozgadał.

– Nie jestem tak głupi, żeby zdradzać ludzi, w których inwestuję własne pieniądze.

– No dobrze, a więc posłuchaj. Wkrótce wyjeżdżamy. Pozwoliliśmy sobie na taki pożegnalny gest dla uczczenia rozstania z tym miastem. Nawiasem mówiąc, wygramy.

Demetrios przyjrzał się jeszcze raz całej czwórce i skinął głową.

– To mi w zasadzie wystarczy. Ale pozwól, że chwileczkę z nimi porozmawiam.

– Nie mam nic przeciwko temu – Rufus wzruszył ramionami. – Proszę bardzo.

– Słuchajcie, przyjaciele – zwrócił się Demetrios do zawodników. – Mieszkacie tu już dość długo i pewnie zdążyliście już poznać wielu zarozumiałców, którzy wszystkich obywateli cesarstwa uważają za ostatnie łamagi.

Dwóch żołnierzy nie zareagowało na jego uwagę, jeden się uśmiechnął, a czwarty powiedział:

– Nie ćwiczyliśmy biegów, nie mamy zbyt wielkiej wprawy.

Wszyscy czterej odznaczyli się krzepką budową ciała i silną muskulaturą. Demetrios przypomniał sobie wszystko to, co wiedział o ćwiczeniach armii rzymskiej, o długich i szybkich marszach z maksymalnym obciążeniem i o wynagrodzeniu legionistów. Zwykły żołnierz otrzymywał jedną sestercję dziennie. Doświadczeni wojownicy w odległej placówce prawdopodobnie wielokrotność tej sumy. Ile? Chyba nie więcej niż czterokrotną wysokość normalnego żołdu. Demetrios próbował obliczyć, ile powinien im zaoferować. Cztery sestercję to tyle co srebrny denar lub pół drachmy. Pomyślał jeszcze chwilę, po czym przedstawił im swoją

propozycję.

– Postawiłem na was sto drachm. Jeżeli wygram, dostanę tysiąc dziewięćset. Zadowolona was tysiąc?

Cała czwórka uśmiechnęła się szeroko. Tylko jeden, ten najśmielszy, który odezwał się poprzednio, zapytał:

– A co z nim? – Wskazał przy tym na Marka Waleriusza Rufusa, który stał tak blisko, że na pewno wszystko słyszał, ale specjalnie zachowywał się tak, jakby wynik negocjacji w ogóle go nie interesował.

– Jeżeli macie ochotę się z nim podzielić, to już wasza sprawa. – Demetrios uniósł brwi. – Mam nadzieję, że nie będziecie dźwigać zbyt grubej kobiety?

– Też wolelibyśmy szczupłą – odezwał się inny Rzymianin. Równocześnie z wnętrza lektyki rozległ się figlarny śmiech o miłym, dźwięcznym brzmieniu.

– Jeżeli lubicie wino, zapraszam później do gospody Ravięgo.

– Skoro nalegasz, panie, zapomnimy dziś wieczór o wstrzemięźliwości. Dziękujemy.

Demetrios uważnie przyjrzał się prostej, pozbawionej ozdób lektyce z zasłonami z cienkiej materii. Pozostałe wyglądały dostojnie i bogato. I musiały być znacznie cięższe. Wrócił do stołu i wpłacił sto drachm za zwycięstwo Rzymian. Potem podszedł do Mukhatara.

– Zgadzam się na twoją propozycję. Mukhatar obliznął wargi.

– Gdy odszedłeś, założyłem się z Kharkhairem. Jeżeli przegrasz, przyrzekł, że nie będzie z tobą więcej handlował.

– A jeśli wygram?

Stary książę kupców odpowiedział z obojętną miną:

– Wtedy dostanę od Mukhatara trzy wspaniałe ogiery. Demetrios nie marnował więcej czasu na zastanawianie się nad postępowaniem Mukhatara. Znał jego ojca, jednego z najzamożniejszych kupców. Tamten też nie przepadał za obcymi, obojętnymi, czy pochodzili z Rzymu, czy z zupełnie innych okolic. Ale przestrzegał zasad dobrego wychowania i był uprzejmy wobec partnerów. Syn nie przejął od niego szlachetnych obyczajów. Toteż najwyraźniej nie cieszył się poważaniem nawet wśród własnych współników. Ciekawe tylko, co miały oznaczać te trzy rumaki? Bezsensownie wysoka stawka w mało ważnych zawodach.

Tragarze ustawiali się już na stanowiskach startowych. Demetrios wziął kubek, napełniony w równych częściach winem, wodą i sokiem, i wyruszył na poszukiwanie swoich ludzi. Znalazł

ich na północ od trasy wyścigu. Stali razem z Ravim oparci o płot i oglądali stado kilkudziesięciu wielbłądów. Zwierzęta odważnie patrzyły im w oczy i przeżuwały paszę w takim skupieniu, jakby rozważały poważne, filozoficzne zagadnienia.

– Czy nie przypominają ci trochę niektórych tutejszych wielmożów? – zapytał Ravi na powitanie.

– Więcej nawet. Wyglądają jak kapłani bogów pustyni. Jak rada starszych, poszukująca zaklęcia, które zamieni ocean piasku w falującą łąkę pełną soczystych traw. – Demetrios uniósł puchar w kierunku wielbłądów, jakby wznosił toast za ich zdrowie.

– Jeżeli dobrze widziałem, panie – zagadnął Mikines – bierzesz udział w zakładach. Kim są twoi faworyci?

– Mam nadzieję, że przyszłymi zwycięzcami.

– Wszyscy na to liczą – roześmiał się Hindus. – Może zapytamy bogów o wynik?

– A odpowiedzą? I jak się to robi? Ravi skinął głową w kierunku stada.

– Policzmy od prawej. Założmy, że pierwszych osiem reprezentuje ekipy, które startują w zawodach. Niech ten pierwszy należy do Kharkhaira. – Kolejno nazywał zwierzęta imionami właścicieli lektyk. Ostatniego przydzielił Rzymianom. Potem schylił się i nabrał w dłoń piasku. – Rzucę w ich kierunku całą garść, może się poruszą. Ten, który z nich zwróci się w naszą stronę, wywróży wygraną swoim zawodnikom. No co, spróbujemy?

Nikt się nie sprzeciwił. Wszyscy z rozbawieniem obserwowali poczynania Ravięgo. Faktycznie udało mu się nieco wystraszyć wielbłądy. Jedne odskoczyły w bok, inne próbowały się cofnąć. Tylko jeden podszedł do ogrodzenia, jakby uznał całe to zamieszanie za dobrą zabawę i prosił o następne rozrywki.

– Ósmy – odliczył Mikines. – Mam nadzieję, że postawiłeś na Rzymian?

– Najpewniejszy typ. Wygrywają niezmiennie od trzystu lat – skomentował Leonidas. – Nie wiem tylko, czy dotyczy to również tego rodzaju zawodów.

– Zaraz się zacznie, wtedy się przekonamy. – Preksaspes wskazał na trasę wyścigu.

Osiem ekip szykowało się do rozpoczęcia biegu. Tragarze obrzucali się przekleństwami i wyzwiskami. W odległości stu kroków tor znacznie się zwężył. Demetrios oszacował, że od tego miejsca najwyżej trzy drużyny mogą biec obok siebie.

– Za chwilę da znak – Ravi wyciągnął rękę i wskazał potężnego mężczyznę, który jeszcze przed chwilą rozmawiał z innymi przy stołach. Teraz szedł w kierunku wzgórzka po południowej

stronie wyznaczonej trasy. W prawej ręce trzymał skórzany pejcz. Jego koniec włókł się za nim po piasku niczym długi wąż.

– Trafiło nam się dobre miejsce – ucieszył się Demetrios – nie musimy się tłoczyć i wszystko widzimy.

Stali na dosyć wysokim, piaszczystym pagórku. Preksaspes gestykulował żywo, próbując wyjaśnić coś swej głuchoniemej towarzysze.

– Ciekawe, czy można w tym języku zagrzewać do walki? Na przykład okrzykami?

Preksaspes zezłościł się i pokazał język. Sędzia krzyknął coś głośno, a następnie strzelił z bicia.

– Postawiłeś na kogoś? – spytał Demetrios Ravięgo.

– Nie będę wyrzucał pieniędzy na takie głupoty. Mogę najwyżej popatrzeć.

– Kto to w ogóle wymyślił?

– Przypuszczam, że Baschama, ale nie mam pewności. Wieść głosi, że po całonocnym pijaństwie. W każdym razie gdzie indziej czegoś takiego nie zobaczysz.

– Można by ten pomysł przeszczepić do Rzymu. Rozległ się drugi sygnał. Tragarze pochylili się, chwycili za drążki i oparli je na ramionach. Gdy usłyszeli trzeci świst bata, wystartowali. Widzowie krzyczeli i klaskali. Demetrios nie rozumiał ani jednego słowa, ale zauważył, że przy niektórych komentarzach Ravi uśmiecha się, przy innych zaś kręci głową z dezaprobatą. Zawodnicy poruszali się w równym tempie, aż znaleźli się w pobliżu pagórka, na którym stał Demetrios z towarzyszami. Teraz miał okazję dokładnie obejrzeć lektyki, ich rzeźbione drążki, ciężkie brokatowe draperie i dekoracje, podobne do tych, jakie bogaci armatorzy umieszczają na dziobach statków. Potem przyjrzał się zawodnikom, obserwował ich napięte mięśnie i uginające się pod ciężarem ramiona. Jedenastu z nich miało czarną skórę. Prawdopodobnie większość spośród trzydziestu dwóch mężczyzn stanowili niewolnicy. Demetrios nie potrafił odgadnąć, czy był wśród nich choćby jeden wolny człowiek. Nie wiedział też, czy właściciele zachęcali ich obietnicą nagrody czy też groźbą kary cielesnej. W każdym razie już przed półmetkiem zyskał pewność zwycięstwa. Jego legioniści nie różnili się wzrostem, szli pewnym, wyćwiczonym krokiem i utrzymywali stałe tempo. Lekka konstrukcja nie obciążała ich ramion nadmiarem draperii czy rzeźb, a skórzany pokrowiec na drążkach zapobiegał odgnieceniom. Dwie inne załogi dotarły do zakrętu pierwsze, ale widać było, że uginają się pod brzemieniem i nie potrafią zsynchronizować ruchów. W drodze powrotnej Rzymianie wysunęli się na prowadzenie

i z każdym krokiem zwiększali przewagę. Z dziecinną łatwością na długo przed innymi dobiegli do mety. Ravi poklepał Demetriosą po ramieniu.

– Twoi ulubieńcy, gratuluję. Może za wygraną odkupisz moją gospodę?

– Żartujesz czy mówisz poważnie?

– W każdym razie daj znać, kiedy wyjeżdżasz, żebym się zdążył spakować.

Wśród publiczności zapanowała cisza. Żadnych wiwatów, okrzyków, żadnych oznak radości. Obrażeni kupcy oddalili się w pośpiechu. Na placu pozostało tylko kilku uboższych mieszkańców Adane, żeby dopić trunki i pocieszyć przegranych. Niektórzy zegnali zwycięzców spojrzeniami, które wyrażały równocześnie podziw i pogardę. Demetrios podszedł do zamkniętej lektyki i poklepał jednego z Rzymian po ramieniu.

– Jak zwykle odpowiedni ludzie uratowali honor cesarstwa. A teraz chętnie dowiedziałbym się, kto siedzi tam w środku.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość – odpowiedział Rufus. – Za chwilę mistrz ceremonii odsłoni kotarę, żeby sprawdzić, czy nie umieściliśmy karzełka w naszej lektyce.

– To znaczy, że jeszcze nie mam prawa zgłosić się po wypłatę?

– Mogę cię uspokoić. Moi ludzie nie nieśli kaleki ani małej dziewczynki, tylko normalną, zdrową kobietę. Ale i ja chcę pewnych informacji. Słyszałem plotki, które mnie nadzwyczaj zainteresowały. Podobno robisz tu jakieś interesy, a potem chcesz skompletować karawanę i wyruszyć do Gazy – Rufus podrapał się po głowie – ale nie wiem, czy w tych pogłoskach zawarte jest ziarno prawdy.

– Zgadza się, mam takie plany. Chyba że mi się nie powiedzie, wtedy wszystkie zakupione towary zmieszczą się na jednym statku i zdecyduję się na podróż przez morze.

– Z całego serca życzę ci powodzenia. Otrzymaliśmy rozkaz, żeby nie wracać do Egiptu, tylko oddać się na pewien czas do dyspozycji prefekta Cezarei.

– Poncjusza Piłata? – upewnił się Demetrios. – Czyżby w Judei znów zapanował niepokój?

– Jak zwykle, to nic nowego. – Centurion uśmiechnął się przelotnie. – W większej grupie podróżuje się znacznie lepiej. Jeżeli pozwolisz, chętnie się do ciebie przyłączymy.

– A czemu miałbym się sprzeciwiać? Obecność żołnierzy cesarstwa ostudzi nieco zapalę rabusiów z pustyni.

Z tyłu rozległo się chrząknięcie. Kupiec odwrócił się i spostrzegł starego niewolnika bez dłoni.

– Mukhatar, niech mu robaki wyżrą trzewia, kazał mi się do ciebie zgłosić, panie. Podobno już do niego nie należę.

Demetrios wyczytał w jego oczach wszystkie możliwe uczucia naraz: ulgę, troskę, uległość i przekorę. A może jeszcze inne. Nie próbował nawet ich odgadnąć ani wyrazić swoich.

– Opiterze Perperno – powiedział – mam nadzieję, że umiesz jeździć konno. Karawana powiększa się z każdym dniem. Pewnie niedługo zaczniemy szykować się do drogi.

– Może jeszcze urośnie – wtrącił się Meleagros. Razem z nim podszedł Nubo.

– Jak to?

– Wyświadczyłbyś mi przysługę i uczynił wielki zaszczyt, gdybyś pozwolił mi przyłączyć się do tak szlachetnego towarzystwa – poprosił pokornie Murzyn.

– Jeszcze jeden! No dobrze, dopóki nie muszę się wami opiekować lub kupować kolejnego towarzysza podróży, nie będę się sprzeciwiał.

Podczas gdy tak rozmawiali, sędzia podszedł do lektyki, odsłonił kotarę i zawyrokował:

– Przepisy nie zostały naruszone, wygraliście. Dopiero teraz ukazała się czarnowłosa kobieta, lat około dwudziestu pięciu, i spojrzała na Demetriosą. Prawie utonął w jej błyszczących, ciemnych oczach. Dopiero po chwili zauważył w nich zielonkawą isierki i miedziany poblask we włosach.

– Demetriosie – przywitała go. Jej głos brzmiał ciepło i słodko. – Zanim zgłosisz się po nagrodę, zastanów się, proszę, czy pozwolisz księżniczce z rodu Ptolemeuszów i jej towarzyszkom zabrać się razem z twoją karawaną.

Rufus wybuchnął głośnym śmiechem. Demetrios pomyślał sobie, że pewnie jego niezbyt mądry wyraz twarzy wywołał taką wesołość.

ROZDZIAŁ PIĄTY

List syna do ojca

Demokryt odrzuca małżeństwo i wychowywanie dzieci, ponieważ obie te rzeczy wiążą się z wieloma kłopotami i niedogodnościami.

Nie istnieje żadna naturalna więź pomiędzy rodzicami a potomstwem.

EPIKUR

Czcigodny ojcze, wielmożny władco stad i stepów!

Podobnie jak w poprzednich listach, zwracam się do ciebie z prośbą, żebyś dał mi znak do powrotu i oszczędził dalszego nagabywania.

Pragnę znów skosztować wody z twych studni. W długie, bezsenne noce tęsknię za posłaniem w tych komnatach, które kobiety odwiedzają z uśmiechem, a opuszczają z pieśnią na ustach. Brakuje mi zapachu lasów o poranku i znajomych potraw na stole. A także dyskusji z uczonymi i wesołych pieśni. Pamiętam dotyk gładkich kamieni dziedzińca naszego pałacu i grę światła na malowidłach, które zdobią jego ściany. Ściany domu, z którego wysłałeś mnie w świat, żebym poznawał prawdy, od dawna nam znane.

To, co ja umiem, nie przyda się tutaj nikomu. Nikogo nie interesuje wiedza o leczniczych właściwościach ziół ani o tym, jak sporządzać kompresy czy napary. Rośliny, które znam, tutaj nie rosną, a o tych, które tu występują, ja z kolei nic nie wiem. No i jaki pożytek z doświadczonego myśliwego w kraju pasterzy i rolników? Cóż, że znam obyczaje hipopotamów i nosorożców, ścieżki i wodopoje słoni, skoro żadnego z tych zwierząt tutaj nie spotkasz. Wśród piasku pustyni brakuje jezior i stawów. A i ludzie są inni. Używają nawet innej przynęty na ryby. Nie mam pojęcia, czy to, co ja nazywam haczykiem, oni zwą gwoździem, robakiem, czy jeszcze jakoś inaczej. Wiem, że papirus wygładzony za pomocą pumeksu wymaga innego atramentu niż drugi, bardziej chropowaty jego rodzaj. Ale ty wysłałeś mnie jako pisarza do kraju, gdzie pisze się na glinianych tabliczkach za pomocą ryłca, ja zaś nie mam wprawy w posługiwaniu się tym narzędziem. Czuję się tu zagubiony, mój ojcze i panie. Miejscowi nie znają prawdziwego koloru

moich włosów, bo ufarbowałem je na czerwono, żeby porażał ich oczy, tak jak dźwięk rozrywanego jedwabiu rani uszy. Czy taki miałeś cel, mój ojciec – narazić mnie na pogardę? Pamiętaj, że zaszczyty dzieci wywyższają rodziców, a poniżenie potomków z całą pewnością przynosi im ujmę. Czy chcesz, żeby drwiono z ciebie, ponieważ twój syn musi udawać błazna, aby przeżyć?

Jeżeli chodzi o to, czego się miałem dowiedzieć, to muszę ci donieść, że w żadnym z krajów, które odwiedziłem, nie lubią Rzymian. Mówi się, że ich armia maszeruje przed siebie, depta i tratuje wszystko po drodze, nie zważając na to, że zostawia za sobą tylko ruiny i zgliszcza. Trudno temu zaprzeczyć, ale to tylko połowa prawdy. Rzym buduje też wodociągi i drogi, utrzymuje porządek, zatrudnia lekarzy i prawników i zaopatruje ludność w zboże. Jedni poddani chwalą lepsze życie, inni nie mogą przeboleć utraconej wolności. Może i lepiej, że powstało jedno imperium, kierowane przez najzdolniejszych władców. Podobno cesarz mieszka na jakiejś wysepce, a rządzi państwem pozostawia zaufanym współpracownikom.

Ale to wszystko wiedzieliśmy już od dawna. Nasi przodkowie, których z racji wieku znałeś lepiej niż ja, przekazali nam w spadku różne stare historie. O tym, jak rosło w potęgę imperium Egipcjan greckiego pochodzenia, aż opanowali nasze ziemie. O tym, jak później tracili na znaczeniu i musieli się wycofać. Starsze pokolenie pozostawiło w naszej pamięci opowieści o atakach, obronie, manewrach i potyczkach. Ptolemeusz dokonywał tych czynów tylko po to, żeby zdobyć słonie bojowe. Nie mógł wyprawić się po nie do Azji, bo tereny pomiędzy Egiptem a Indiami okupowali jego przeciwnicy. Tym zaś zależało, aby inteligentne i silne zwierzęta nie dostały się w ręce wroga – byłaby to zabójcza broń. Dlatego Ptolemeusz postanowił zdobyć słonie afrykańskie. Ale tu, gdzie żyje ich najwięcej, ludność nie łowi ich i nie przyucza, tylko poluje na nie, żeby je zjeść. Dlatego rozpoczął z nami wojnę. Raz wygrywał, raz przegrywał, w końcu zyskał tylko parę ufortyfikowanych portów nad morzem, ale nie udało mu się przesunąć granic. Potrzebował słoni, żeby skutecznie walczyć przeciwko swym macedońskim braciom, ludziom Seleukosa z Syrii. W jakim celu? Ponieważ ten i ów z nich uznał, że jeszcze za mało posiada.

Wódz Macedończyków, boski Aleksander, odebrał Persom Persję, Egipcjanom Egipt, a Asyryjczykom Syrię. Jeszcze wcześniej narody te weszły w posiadanie tych ziem, ciemiężąc i mordując dawnych mieszkańców. A gdy sięgniemy pamięcią jeszcze dalej, okaże się, że i ci zdobyli swoje posiadłości ogniem i mieczem. Każdy skrawek lądu przechodził z rąk do rąk

poprzez morze krwi. Czy przypominasz sobie, ojcze, ruiny domów trzy dni drogi na południowy zachód od twojego pałacu? I moje pytanie, na które nikt nie umiał odpowiedzieć: jak wyglądały te gmachy dawniej, kim byli ich budowniczy i gdzie się podziiali?

Wszystko, co posiadają Rzymianie, Żydzi, Arabowie, Partowie, a nawet ty sam, należało kiedyś do innych. Wszystko się zmienia, stała jest tylko nietrwałość rzeczy i ludzka natura. Lecz to wszystko wiedzieliśmy od dawna. Więc po co wysłałeś mnie w świat? Czemu podałeś mi gorzki kielich pożegnania, zamiast odsunąć go od moich ust? Czy po to, żebym doświadczył upokorzeń i pogardy na obczyźnie? Czy też uczyniłeś to dlatego, abym nauczył się rozróżniać, czym jedna forma okrucieństwa różni się od drugiej? Czy wiedza o tym, jak należy podpalać siedziby nieprzyjaciół, wzbogaci mój umysł? Wcześniej jeszcze torturuje się jeńców w tak wyrafinowany sposób, że wzniesienie pożaru staje się zaledwie zakończeniem potwornej ceremonii. Podobnie jak upieczenie kozła, uprzednio żywcem odartego ze skóry.

Mnie w każdym razie wystarczy świadomość, że każdy każdego uśmierca i wynajduje najrozmaitsze powody, żeby ukryć prawdziwą przyczynę, dla której dopuszcza się zbrodni. Jedyny powód wojen, to ludzka namiętność zabijania. Mówi się, że organizacja państwowa służy bezpieczeństwu obywateli. Ja jednak jestem pewien, że zadanie państwa polega na czymś innym: chodzi o to, żeby stworzyć mechanizm, który pozwoli sprawniej i szybciej mordować.

Czym więc jest Cesarstwo Rzymskie? Wspólnotą narodów czy budowniczym wodociągów? A może doskonałą machiną wojenną? Każdy jej element – pojedynczy żołnierz – osiągnął największą w historii biegłość w pozbawianiu życia innych osób.

Ojcze mój! Przecież na długo, zanim mnie tu wysłałeś, wiedzieliśmy o tym, że Rzymianie zostawiają za sobą pustynię, a swój porządek nazywają pokojem. I o tym, że urosli w potęgę, bo stworzyli organizację, która pozwala szybko wysłać dowolną liczbę wojska do najodleglejszych zakątków świata. Ich bogowie też przewyższają innych. Są tak potężni, że nie opląca się nawet zwalczać innych kultów ani zabraniać oddawania czci obcym idolom. Rzym podbija nawet cudze bóstwa i nadaje im własne obywatelstwo.

Być może kiedyś pojawi się bóg znaczniejszy od rzymskich. Być może kiedyś powstanie naród, który wykorzysta chwilę słabości cesarstwa i położy kres jego wszechwładzy. Ale to kwestia dalekiej przyszłości. Może nasze prawnuki dożyją takich czasów. Nam nie pozostaje nic innego, jak utrzymywać z Rzymianami przyjaźń, dopóki nie przekroczą naszych granic. A jeśli spróbują to uczynić – zabijać. Gdy pojawi się ich zbyt wielu, znów będziemy musieli poszukać

schronienia w leśnej głuszy, czekać na odpowiedni moment i atakować znienacka. Kiedy zaczną się wycofywać, trzeba rzucić się na nich i wytłuc ich do ostatniego człowieka. Tak jak robiliśmy od stuleci i jak nasi sąsiedzi postępują wobec nas. W przeszłości, teraz i w przyszłości.

Powtarzam tu prawdy znane od wieków. Czy przysłałeś mnie tu po to, żebym stwierdził fakty, których nie trzeba udowadniać? Czy po to, żebym pomógł ci znaleźć wymówkę, która pozwoli dyplomatycznie wycofać się z obietnicy i odmówić rzymskim posłom wysłania w ziemie oddziałów do Libii? A może chciałeś, żebym na obczyźnie przygotował się do objęcia władzy i zdobył wiedzę, która w przyszłości pomoże mi rządzić krajem?

Nie potrafię sam znaleźć odpowiedzi, jaki cel ci przyświecał. Uświadom mnie, przeklnij lub wezwij do domu, tylko nie każ zostać w Adane, gdzie nic nie zdziałam ani niczego nowego się nie nauczę.

Odkąd Rzymianie opanowali twierdzę, rzeki karawan popłynęły innym łózyskiem. Pozostał ledwie nędzny strumyczek, a i ten wkrótce wyschnie. Przybył tu pewien kupiec z cesarstwa. Nazywa się Demetrios. Wydaje mi się, że kiedyś zawitał do twojego i mojego kraju. Chcę się do niego przyłączyć i pojechać na północ. Pewnie tylko po to, żeby się przekonać, że żyją tam inni ludzie – podobni do tych, których już znam.

O samym Adane nie mogę zbyt wiele powiedzieć. O upadku miasta już ci pisałem. Jego mieszkańcy handlują jeszcze z ludźmi z pobliskiego wybrzeża. Ale i te kontakty wkrótce się skończą, bo przestały się opłacać. Nie żał mi adańczyków, nie polubiłem ich. Są zarozumiali i opryskliwi. Uważają się za spadkobierców dawnych książąt i zamożnych kupców. Mówią, że gdy jeszcze Rzym był maleńką wioską, władcy Adane przemierzali już morza, budowali zapory, sztuczne jeziora i kanały. Współcześni chlubią się świetnością przodków, żeby nie przyznać się do własnej małości. Niegdyś tutejsi możnowładcy opanowali wszystkie szlaki do Indii, wiedli prym w handlu ziołami i korzeniami. Teraz ich potomkowie zloszczą się na Rzymian, że złamali ich potęgę. Lub raczej że dokonali tego bez większego wysiłku, jak zabija się muchę lekkim uderzeniem ręki. Zniszczenie Adane nie wymagało ani odwagi, ani wielkich nakładów, za to bezlitośnie odsłoniło słabość obrońców. Rzym nie musi wprawdzie niczego udowadniać, ale łatwość, z jaką legiony dokonały tu spustoszenia, świadczy o tym, że osławiona potęga Adane istniała tylko w wyobraźni jego mieszkańców. A następne pokolenie ubolewa nie tyle nad samą klęską, co nad własną niemocą i pohańbieniem. Długo nie mogłem zrozumieć ich sposobu myślenia. Nie udało mi się przełamać ich uprzedzeń, toteż wymyśliłem własny sposób

postępowania. Pozwoliłem, żeby traktowali mnie jak głupka, dobrowolnie zrobiłem z siebie przedmiot kpin, żeby mieli się nad kogo wywyższać.

Pragnę opuścić to miejsce jeszcze z innego powodu. Niskie poczucie własnej wartości zmusza tu ludzi do okazywania pogardy innym. Łatwiej wyśmiewać się z cudzych obyczajów niż zdobyć się na pokorę i przyznać, że czasami bywają one mądrzejsze, rozsądniejsze, czy choćby zabawniejsze niż własne. Żaden Rzymianin, którego tu spotkałem, ani kapitan, ani prosty żołnierz, nie odczuwa potrzeby wynoszenia się ponad innych. Ani z powodu koloru skóry czy włosów, ani też odmiennej religii, języka czy dlatego, że spożywa inne potrawy. Świadomość własnej siły pozwala im wznieść się ponad podziały i traktować wszystkich równo. Albo raczej obojętnie. Ponieważ inne narody znaczą dla nich tyle co stado much.

Ojcze muchy, panie wielu much. To są na dłuższy czas ostatnie moje słowa do ciebie. Ufam, iż mi wybaczysz, że nie cieszysz mnie ciężar, który każesz mi dźwigać, a który nazywa się wygnaniem. Wygnaniem po to, by uczyć się rzeczy, które od dawna znamy. Mam nadzieję, że będę mógł ci przebaczyć twój rozkaz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Handel i kupcy

Na pytanie, które rodzaje działalności uważam za zaszczytne, a które za niegodne, odpowiem w następujący sposób:

Nie należy imać się zawodów, które podsycają nienawiść do ludzi, takich jak celnik czy lichwiarz. Niższe są również takie zawody, jak zawód najemnego robotnika, w którym wynagradza się nie zdolności, lecz samą siłę; zapłata jest wówczas ceną za zniewolenie. Za nieprzyzwoite należy uznać też poczynania pośredników, którzy odkupują towary, żeby następnie odsprzedać je komu innemu. Nie mogą oni osiągnąć zysku bez uciekania się do kłamstwa, a trudno wyobrazić sobie coś bardziej odrażającego niż oszustwo. Rzemieślnicy parają się brudną robotą, praca w warsztacie nie sprzyja rozwojowi umysłu. Na największą pogardę zasługują te czynności, które służą przyjemnościom zmysłowym. Zaliczam do nich handel rybami, drobiem czy pachnidłami, a także zawód kucharza, tancerza czy aktora. Kramarze także nie zasługują na szacunek.

Sztuki piękne, budownictwo czy nauczanie wymagają większych zdolności, zaspokajają wyższe potrzeby i są godziwe dla osób odpowiedniego stanu.

Lecz spośród wszystkich zawodów, które ludzie wykonują, żeby osiągnąć dochody, rolnictwo jest tym, które najbardziej przystoi wolnemu człowiekowi, ponieważ daje zarówno najwięcej satysfakcji, jak i obfite owoce.

CYCERON

„Na najciekawsze opowieści będzie trzeba trochę poczekać” – myślał Demetrios. Przypuszczał, że w podróży znajdzie się wiele okazji do rozmów. I przewidział coś jeszcze. Coś, co Ravi wyraził głośno, gdy tylko gospoda opustoszała:

- Zastanawiałeś się nad tym, czy nie będzie ci potrzebny przywódca stada?
- Kto taki?
- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Karawana jest jak statek. Na morzu można natknąć się na

rafę, ale i na pustyni nie brakuje zasadzek. Gdy nie wiadomo, kto wydaje rozkazy, kto trzyma ster, a kto ma tylko słuchać, lepiej nie wyruszać w drogę.

– Na razie najbardziej interesuje mnie wino. Nalej mi jeszcze trochę.

Ravi zajął do dzban, mruknął coś pod nosem i wstał, żeby go znowu napełnić. Demetrios rozparł się wygodnie na krześle i próbował rozpoznać twarze w półmroku. Wielu gości widział po raz pierwszy, wygląd innych odmienił nadmiar trunku. Na podłodze, poniżej wypalanej pochodni, spał na siedząco jeden z legionistów. Platy sadzy spadały mu na głowę, a krople żywicy skleiły włosy nad czołem, tak że przypominały mały róg. Dwaj inni grali w kości, czwarty wyciągnął się na matach, oparł rękę na jednej z poduszek i chrapał w najlepsze. Rufus wyszedł gdzieś dawno temu. Brakowało też Preksaspesa i perskiej dziewczyny oraz Meleagrosa. Mikines i Leonidas usiłowali dogadać się z tubylcami po aramejsku, grecku i łacinie. Niespecjalnie im szło, bo uzupełniali wypowiedzi bogatą gestykulacją i przedziwną pantomimą. „Gdyby wątek tej rozmowy posłużył do utkania okrycia – pomyślał Demetrios – nie byłoby z niego pożytku. Nocne zmory dostałyby się przez liczne dziury, żeby nastraszyć śpiącego lub przenieść go w zaświaty”.

Dwie towarzyszki księżniczki, nie wiadomo:– pokojówki, służące czy przyjaciółki, były równie pijane jak piękne. A ona sama...

Ravi też z trudnością utrzymywał równowagę. Jedną ręką oparł się o brzeg stołu, druga, w której trzymał dzban, niebezpiecznie dygotała.

– Kleopatra – wymamrotał. – Ciekawe, dlaczego musi się akurat tak nazywać?

– A czemu nie? No i dlaczego nie nalewasz?

– Bo kubki wirują.

Naczynia oczywiście stały sobie spokojnie, tylko gospodarzowi kręciło się w głowie i plątał się język. Gdy wreszcie przechylił dzban, zaledwie połowa zawartości znalazła się tam, gdzie powinna, druga natomiast połała się po jego rękach na stół.

– Ciekaw jestem, czy księżniczki też się tak kręcą – dodał Ravi, z ciężkim westchnieniem opadł na fotel i opuścił powieki.

– Na co dzień czy w jakichś szczególnych sytuacjach? – Demetrios bawił się coraz lepiej. Był pewien, że Hindus zasnął na siedząco, ale okazało się, że słyszał jego pytanie. Otworzył oczy i spojrzał na rozmówcę dość przytomnie.

– Przebywa tu wraz z towarzyszkami już od wielu dni. Przyplłynęła statkiem, który zaraz

wyruszył w dalszą drogę.

– Czego tu szuka?

– Niczego, chce się stąd jak najszybciej wydostać.

– A wcześniej?

– Znam tylko plotki. Ale za to niezwykle intrygujące. Ona i pozostałe kobiety mieszkają w zajeździe w pobliżu właściwego portu. – Przetarł oczy. – To nic pewnego, do tej pory słyszałem tylko same domysły. Niektórzy mówią, że jest kochanką bardzo znacznego Rzymianina. Podobno trafiła tu przypadkiem. Nie chciała przyjeżdżać do Adane, ale musiała jak najszybciej opuścić Berenike. Wsiadła na pierwszy statek, który stamtąd odpływał, i w ten sposób znalazła się tutaj.

– Czyli właściwie nic nie wiesz.

– Sporo czasu potrzebowałeś, żeby dojść do tego wniosku.

– Nie mówiłem ci tego przez zwykłą uprzejmość – powiedział Demetrios, opróżnił kubek i wstał.

– Do tej pory nie silileś się na grzeczność.

– Wystarczająco, żeby nie wytknąć ci, że nie masz pojęcia, co się dzieje w najbliższej okolicy. Ale dość gadania. Czas wracać do pokoju.

– Spać czy trochę się pokręcić? – roześmiał się Ravi.

– Nie żartuj. Zbyt wiele na to wypilem.

– Szkoda. Zmarnowana noc.

– Niekoniecznie. Ale żeby się pokręcić, trzeba mieć towarzystwo.

Pierwszą osobą, którą Demetrios spotkał, gdy następnego ranka wyszedł z gospody, był Perperna. Siedział pod palmą, owinięty w starą, dziurawą derkę. Lewym łokciem oparł się o jakiś tobołek, a pomiędzy kolanami trzymał skórzany bukłak. W prawej ręce miał kawałek chleba, już trochę nadgryziony. Demetrios pomyślał, że trudno mu jeść trzema ostatnimi zębami. Poczul też wyrzuty sumienia, że zostawił na pastwę losu człowieka, który miał odtąd do niego należeć.

– Niech dzień będzie dla ciebie miły, panie – pomimo strawy w ustach pozdrowienie zabrzmiało bardzo wyraźnie. Starzec potrafił równocześnie jeść, mówić i jeszcze się uśmiechać.

– Dla mnie nie zaczął się zbyt przyjemnie – odparł Demetrios. – Wstyd mi, że nie zatroszczyłem się o swoją żywą nagrodę. Spałeś tutaj?

– Smacznie i spokojnie. Świadomość, że ocaliłem głowę, dodała moim snom kolorów.

Spodziewam się, że nie miałeś podobnych pomysłów jak mój poprzedni właściciel.

Demetrios usiadł na piętach obok niego.

– Jeżeli jesteś głodny, wejdź do środka i zamów sobie coś u Ravego.

– Wczoraj stałem się zamożnym człowiekiem. – Perperna uderzył kikutem w przepaskę na brzuchu. – Większa część twojego wczorajszego daru jeszcze tu została.

– W porządku. Pozostałe sprawy omówimy później. – Demetrios wstał.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli pozwolisz.

– Słucham. Jeżeli to nie potrwa zbyt długo. Niewolnik skinął głową.

– Pilne interesy?

– Właśnie. O co chodzi?

– Szlachetny Kharkhair odkupił parę tygodni temu cały ładunek pewnego statku.

– Co zawierał?

– Tkaniny, przyprawy, pachnidła i korzenie. Statek przyплыł z Indii. Miał zaopatrzyć się w słodką wodę i wyruszyć dalej do Myos Hormos. Ale kadłub przeciekał i groziło zatonięcie. Właściciel musiał szybko sprzedać cały towar, inaczej nie mógłby sobie pozwolić na zakup nowego statku.

Demetrios pochylił się i poklepał staruszkę po ramieniu.

– Miło mi to słyszeć. Sprawiłbyś mi jeszcze większą przyjemność, gdybyś dowiedział się, kiedy Kharkhairowi nadarzy się następna okazja sprzedania wszystkich tych dóbr.

– Kolejnej karawany można się spodziewać dopiero około przesilenia zimowego. Czyli mniej więcej za dwa miesiące.

– Im więcej się wie, tym łatwiej prowadzić negocjacje. Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co. – Perperna potrząsnął głową. – Lepiej dla starego niewolnika, jeżeli podróżuje z zadowolonym panem. A im większe zyski, tym lepszy nastrój.

Podobnie jak wszyscy zamożni kupcy, Kharkhair miał ufortyfikowany zamek w głębi łądu. A także stajnie i magazyny. Tym razem jednak zdecydował się prowadzić rozmowy w publicznym budynku, przeznaczonym do tego celu. Gmach z białego kamienia znajdował się w środku miasta, w niecce po dawnym kraterze, i niewiele się zmienił od czasu, gdy Demetrios widział go po raz ostatni.

Podobnie jak poprzednio, wizycie w domu kupców towarzyszyło niemiłe poczucie ograniczenia swobody.

Przez całe stulecia cypel opierał się skutecznie wszelkim najazdom. Strome grzbiety gór i skaliste urwiska utrudniały wrogom dostęp do twierdzy, a wąskie wejście do portu łatwo było w razie inwazji zablokować. Do czasu, aż przybyli Rzymianie. Część floty związała siły obrońców w porcie, podczas gdy reszta okrętów skierowała się od zachodniej strony do zatoki i cypla. Tam wysiedli żołnierze i wyładowano maszyny oblężnicze. Wojska rzymskie obróciły w gruzy część północnej krawędzi krateru. Później mieszkańcy Adane uzupełnili zniszczoną część fortyfikacji. Wzniesli w tym miejscu mur obronny i bramy miejskie. Obecnie były one otwarte. Nikt ich nie pilnował ani nie zatrzymał Demetrios. Ale kupiec pomimo wszystko czuł się w ten ciepły, zimowy poranek, wśród pustych, jakby wymarłych ulic jak schwytyany w pułapkę. Zastanawiał się, czy na miejscu adańczyków chciałby pozostać w starym, zrujnowanym mieście. Gdyby zdecydowali się przeprowadzić gdzie indziej, trudno byłoby im znaleźć miejsce o podobnych walorach obronnych. Nowe siedziby stałyby się łatwym celem napadów dla rozbójników lub wrogów.

Dom kupców znajdował się przy najważniejszej świątyni – świątyni boga deszczu. Kharkhair siedział w przedsionku na kamiennej, pokrytej futrami ławie. Pozdrowił Demetrios nieznacznym skinieniem głowy, wstał i poprowadził go do innego, mniejszego pomieszczenia. Na jego wyposażenie składały się drewniane krzesła, stół i dywany. Służący wniósł czarki z naparem ziołowym. Kharkhair mówił przez jakiś czas o kapryśkach pogody, niestabilnej sytuacji i nieposłuszeństwie synów. Narzekał, że przez swoją niefrasobliwość przysparzają mu tylko strat w Kane i Mariabie. Demetrios pił napój i uprzejmie kiwał głową.

– Ale nie przybyłeś tu, żeby słuchać zrzędzenia zgryźliwego starca – zakończył Kharkhair.

– Jakże mógłbym pozostać obojętny na niedolę długoletniego partnera w interesach – odpowiedział Demetrios.

– Poza tym z kilku słów mędrca wynika więcej niż z długiego przemówienia gaduły.

Kharkhair położył kościste ręce na stole.

– A spotkałeś takiego nudziarza?

– Nie zawsze można tego uniknąć.

– Czy ten plotkarz doniósł ci o pewnym statku?

– O tak. I jeszcze o gwiazdach, piasku, wietrze i wielu innych rzeczach – uśmiechnął się Grek.

– Jestem starym, zmęczonym człowiekiem. Nudzą mnie rokowania i ciągnące się

w nieskończoność pertraktacje. Pewnie zdążyłeś się już także dowiedzieć, że następna karawana wyruszy dopiero po przesileniu zimowym. A w moich składach zalega nadmiar towaru.

– O tym mi nie mówiono, ale skoro ty sam tak twierdzisz...

– Olejki i maści – wyliczał Kharkhair słabym głosem – trochę jedwabiu, pieprzu, cynamonu, parę kolorowych kamyków i resztki jesiennych zapasów mirry i kadzidła. Zbyt mało dla karawany. Można to wszystko załadować na grzbiety zaledwie dwunastu czy trzynastu wielbłądów – westchnął – a ja mogę umrzeć, zanim zbierze się następna karawana. Być może żadna już nie wyruszy, ponieważ handel zamiera i nikt tu nic nie przywozi.

– Chętnie ci pomogę.

– Miałem taką cichą nadzieję – stary wyciągnął spomiędzy fałd szaty kawałek papirusu. – Kazałem spisać rzeczy, które posiadam w nadmiarze. Jeżeli uwolnisz mnie od tego ciężaru, chyba rozplączę się z radości, o ile moje oczy jeszcze całkiem nie wyschły.

Greki wziął listę do ręki i przeczytał. Pisarz na pewno sporządził jej odpis na użytek arabskich handlarzy. Grecka wersja zaskoczyła i zdumiała Demetriosą.

– Nie przypuszczałem, szlachetny Kharkhairze, że zaprosiłeś mnie tu tylko dla żartu.

Funt kadzidła zależnie od jakości kosztował na terenie cesarstwa półtorej do trzech drachm. W tę cenę wliczano wszystkie koszty transportu: paszy dla wielbłądów, wynagrodzenia dla poganiaczy, ceł tranzytowych i wywozowych. Arabowie pakowali razem do worków różne rodzaje żywicy. Po przywiezieniu na miejsce handlarze i aptekarze sortowali ją i rozdzielali na mniejsze porcje. Długoletni partnerzy ufali sobie wzajemnie. Gdyby któryś z nich spróbował sfalszować surowiec czy zamienić go na gorszy, byłaby to jego ostatnia transakcja. Należało zatem wykluczyć oszustwo i przyjąć, że to, co oferował Kharkhair, odpowiadało średniej jakości i cenie. To oznaczało, że po uiszczeniu wszystkich opłat związanych z transportem i przewiezieniu żywicy do Gazy można było uzyskać w najlepszym wypadku dwie drachmy za funt. A Kharkhair żądał tyle w Adane. Szczyt bezczelności. A może wiara w bezdenną głupotę kupującego? Za inne rzeczy liczył sobie równie drogo. Takiej ceny nie usprawiedliwiała nawet najwyższa jakość oferowanego towaru.

Stary Arab zmarszczył czoło.

– Żarty? Raczej prezenty. Oddaję to prawie za darmo.

– Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu – powiedział Demetrios i wstał. – Napar smakował wyśmienicie. Życzę ci powodzenia.

Kharkhair skinął lub raczej machnął ręką. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Demetrios spodziewał się, że zawoła go od progu lub wyśle za nim służącego. Ale dotarł do bramy i nic takiego nie nastąpiło. Uznał, że się przeliczył. Tylko dlaczego? Po co stary kupiec go zapraszał, jeżeli nie miał zamiaru nic sprzedać? Chyba nie po to, żeby ponarzekać na swoje dolegliwości i nieposłuszeństwo synów. Za ledwie minął bramę, usłyszał kobiecy głos.

– Szlachetny panie Demetriosie! – zawołała po grecku Arsinoe, jedna z towarzyszek egipskiej księżniczki. Prawdopodobnie biegła, bo oddychała szybko. Gdy dogoniła Demetriosą, poprawiła płaszcz i szczelniej się nim owinęła.

– Czego sobie życzysz?

Uśmiechnęła się. Wyglądała prześlicznie. Cóż za odmiana w porównaniu z ponurym obliczem starego Araba!

– Mogłabym wymienić wiele życzeń, ale nie chodzi o moje marzenia. Moja pani ujrzała cię przed świątynią i prosi, żebyś poświęcił jej trochę swego cennego czasu.

– Jakże mógłbym odmówić? Prowadź mnie do niej. Arsinoe zawróciła w miejscu i ruszyła z powrotem w kierunku miasta. Demetrios trzymał się kilka kroków za nią. Patrzenie na jej zgrabną postać i lekki chód sprawiało mu wielką przyjemność. Kobieta rzuciła mu spojrzenie przez ramię.

– Dlaczego nie idziesz obok mnie?

– Wolę oglądać ciebie niż ulicę przed sobą. Bardzo ładnie się poruszasz.

– Skoro już moje ruchy cię zachwycają, to co powiesz, kiedy zobaczysz mnie w pozycji siedzącej?

– To zależy, na czym usiądziesz i w co będziesz ubrana. Nie odpowiedziała. Demetrios przyspieszył kroku, dogonił ją i spytał:

– Naprawdę podróżujecie tylko we czwórkę: ty, Glauke, Thais i księżniczka? Nie towarzyszy wam nikt więcej? I co was tu sprowadziło?

Odnosił wrażenie, że Arsinoe waha się lub zastanawia, jakiej odpowiedzi powinna udzielić. Milczała przez chwilę, w końcu znalazła właściwe słowa:

– Myślę, że moja pani odpowie na niektóre twoje pytania.

– Mam nadzieję, ale chętnie dowiedziałbym się również czegoś od ciebie.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie powinnam uprzedzać księżniczki.

– To brzmi, jakbyście skrywały jakieś tajemnice.

– Zawsze jest coś do ukrycia – spojrzała na niego z ukosa. Kleopatra siedziała z dwiema pozostałymi towarzyszkami na tarasie gospody. Rozciągał się stamtąd widok na port. Wszystkie trzy kobiety miały na sobie wełniane peleryny. Przed nimi na stole stały głębokie miseczki, z których unosiła się para. Zapewne zamówiły sobie gorący bulion. Demetriosowi przeszło przez myśl, że ludzie pochodzący z dusznego Egiptu zawsze będą odbierać łagodną bryzę Morza Arabskiego jako przeraźliwy ziąb. Księżniczka powitała go uśmiechem i lekko skłoniła głowę.

– Dziękuję, że tak szybko przybyłeś.

Demetrios z trudem oderwał wzrok od pasemka kręconych włosów, poruszanych powiewem wiatru. Ukłonił się i przywitał:

– Oby bogowie wiatru zawsze wam sprzyjali. I niech morskie potwory czołgają się w pokorze u waszych stóp.

Skinął głową Glauke i Thais i usiadł na taborecie obok Kleopatry.

– Co mogę dla ciebie zrobić, pani?

– Chętnie dowiedziałabym się czegoś o twoich planach. Kiedy wyruszacie i jak zamierzacie podróżować? O ile zgadzasz się zabrać nas ze sobą.

– Starzy podróżnicy przywykli do widoku kamieni, wielbłądów i piachu. Uroda pięknych kobiet na pewno porazi ich oczy, ale jakoś to wytrzymają. Tylko nie wiem jeszcze, jak zorganizujemy wyprawę ani czy w ogóle uda nam się wyruszyć.

– Dlaczego miałyby się nie udać? – Kleopatra zachowała kamienną twarz. Demetrios nie potrafił odgadnąć, czy jego odpowiedź ją rozczarowała, czy tylko zdziwiła.

– Jeszcze nic nie kupiłem – odrzekł.

– No tak. Po co kompletować karawanę, jeżeli nie ma nic do przewiezienia?

Księżniczka położyła swe piękne ręce na stole. Wokół smukłych palców wiły się trzy złote węży. Jeden trzymał w paszczy czerwony kamień, drugi zielony, a trzeci niebieski. Malowała paznokcie na ciemny kolor i spiłowywała je ostro, przez co jej dłonie wyglądały, zdaniem Demetriosia, nieco drapieżnie. Ale kogo obchodził jego gust?

– Nakreśliłem pokrótce obecną sytuację. Ale może coś się zmieni.

– A jeżeli nie? Co wtedy zrobisz?

– Nie mam ochoty teraz się nad tym zastanawiać.

– Ale ja cię proszę. – Zabrzmiało to raczej jak rozkaz.

– Statek, którym przyплыliśmy, stoi jeszcze w zatoce. Jeśli nie zdołamy nic kupić, wrócimy nim do Berenike albo do Myos Hormos.

Kleopatra splotła dłonie i oparła na nich podbródek. Potem przeniosła wzrok z twarzy Demetriososa na morze, wyspę czy też na port. Arsinoe wysunęła dolną wargę, dwie pozostałe dziewczyny wymieniły szybkie spojrzenia. Gość obserwował kobiety. Wolał przyglądać się nowo poznanym pięknościom, niż zadawać im pytania. Przypuszczał, że i tak usłyszałby zmyślane historie, a mówiąc mniej elegancko – zwyczajne kłamstwa. Księżniczka nie wyróżniała się zbyt spośród towarzyszek ani sposobem bycia, ani postawą. Wszystkie były w tym samym wieku dwudziestu paru lat i miały szczupłe, ale nie chude, raczej ponętne figury. Thais spinała kruczoczarne włosy złotą klamrą i malowała paznokcie na ciemnowiśniowy kolor. Spod regularnych brwi i długich rzęs patrzyły czarne, głębokie oczy. Glauke miała znacznie jaśniejszą cerę, brązowe oczy o dziwnym blasku i kasztanowe włosy, sięgające ramion. Nie malowała się i nie nosiła ozdób. Gdy Arsinoe poruszyła się, Demetrios poczuł aromat drogich olejków. Zapach zadbanej kobiety, świadomej własnej urody.

Cztery kobiety opuściły Berenike w pośpiechu, bez żadnej eskorty, bez męskiej opieki. Demetrios był ciekaw przyczyny tak nagłego wyjazdu, lecz wolał nie pytać. Kleopatra przestała interesować się widokiem morza i ponownie zwróciła twarz w jego kierunku. Jej spojrzenie miało w sobie coś drapieżnego, podobnie jak ostro spiłowane końce jej paznokci.

– Pewnie chcesz wiedzieć, w jakim celu przybyliśmy do Adane?

– Właśnie myślałem sobie, że więcej przyjemności sprawia mi patrzenie na was niż narzucanie się z pytaniami i słuchanie zmyślonych historyjek – roześmiał się Demetrios.

Glauke zmarszczyła tylko nos i dalej milczała. Podobnie jak Kleopatra. Thais popatrzyła na swoją panią, wyczytała w jej oczach przyzwolenie i odpowiedziała w imieniu całej czwórki:

– Dlaczego miałybyśmy cię okłamywać? A to, czy twoje pytania uznamy za natrętne, zależy od tego, czego będą dotyczyć i w jaki sposób je sformułujesz.

Wszedł posługacz. Demetrios wskazał na miseczki ze stygnącą już potrawą i poprosił:

– Dla mnie to samo.

Potem znowu zwrócił się do kobiet:

– Jak dotąd doszły do mnie jedynie plotki. Podobno opuściłyście Berenike w pośpiechu, pierwszym środkiem transportu, jaki się nawinął. Skoro zależało wam tylko na tym, żeby się stamtąd oddalić, czemu nie zeszłyście na ląd w Okelis, gdzie wszystkie statki uzupełniają zapas

słodkiej wody? Wyrusza stamtąd sporo karawan, mogłyście przyłączyć się do którejś z nich i przedostać się na północ wygodną drogą wzdłuż wybrzeża. Albo dlaczego nie popłynęłyście jeszcze dalej, do Kane? Z jakiego powodu zatrzymałyście się właśnie w Adane? No i jak to jest, że cztery piękne kobiety, właścicielki drogocennej biżuterii, nie boją się przebywać w kraju rozbójników i złodziei bez męskiej opieki? Nasuwa mi się jeszcze parę innych pytań, ale chyba nie odważę się ich zadać.

– Ależ śmiało, proszę, nie krępuj się – Kleopatra zadrżała mu w oczy.

– Wygląda na to, że nieźle wam się powodzi. Inaczej nie mogłybyście sobie pozwolić na przyjazd tutaj ani na opłacenie dalszej podróży. Jak wam się udało dostać tutaj i uniknąć rabunku? I co zrobicie, jeżeli jeden z członków karawany lub nawet sam jej przywódca złamie zasady dobrego wychowania?

– To wszystko?

– Nie, ale na początek wystarczy.

Zapanowała cisza. Wydawało się, że zaległa nad całą okolicą i rozszerzała się, jak kręgi na wodzie, gdy ktoś ciśnie do stawu bryłę błota. Ale fale powstają nie tylko wówczas, kiedy ktoś zanieczyści wodę; podobnie dzieje się, gdy wpadnie do niej szlachetny kamień. Kleopatra sięgnęła po miseczkę, wypila jej zawartość i popatrzyła gdzieś w dal, ponad głową Demetriosa.

– Może najpierw ty powiedz, czego szukasz w Adane.

– Powinienem chyba teraz zmyślić jakąś niezwykłą opowieść. Może w ten sposób łatwiej wydobyłbym od was prawdę.

Arsinoe znowu poruszyła się niespokojnie. Demetrios miał wrażenie, że z największym trudem panuje nad sobą. Pewnie gdyby mogła, wstałaby i uderzyła go w twarz. Thais poruszyła głowę, a Glauke przygryzła wargi. Tylko Kleopatra wyglądała na odprężoną.

– Spróbuj, ale nie wiadomo, czy ten wysiłek ci się opłaci. Może nasza historia nie jest warta aż takiego zachodu.

– Ja akurat nie mam nic do ukrycia.

– No to chyba jesteś jedynym kupcem w całym cesarstwie i poza jego granicami, który może się poszczycić aż taką uczciwością – roześmiała się Thais.

– A więc do dzieła. Jeżeli nie masz się czego wstydzić, chętnie posłuchamy – dodała jej chlebobawczyni.

– Spróbuję. – Demetrios skinął głową. – Wyprawilem się na południe, w górę Nilu. Chciałem

zdobyć kilka rzeczy zamówionych przez klientów z Rzymu i Aten. Udało mi się załatwić to, co zaplanowałem, więc przy pierwszej katarakcie załadowałem zakupiony towar i część mojej załogi na statek. Prawdopodobnie dowieźli już wszystko do Aleksandrii. A ponieważ przy transakcjach dopisało mi szczęście, zostało mi jeszcze trochę pieniędzy. Dlatego wraz z towarzyszami udałem się do Berenike i Adane z nadzieją na dalsze, korzystne interesy.

Kleopatra uniosła brwi.

– To wszystko?

– Jeżeli znajdziecie jakieś braki w mojej relacji, chętnie je uzupełnię.

Księżniczka ociągała się chwilę. Potem zwróciła się do towarzyszek:

– Może uda nam się nieco poprawić nastrój i zbudować wzajemne zaufanie. Z całą pewnością łatwiej dochodzi się do porozumienia we dwójkę niż w piątkę.

Trzy kobiety wstały i wyszły. Thais i Arsinoe do gospody, a Glauke na nadbrzeże. Rzuconą mimochodem aluzję potraktowały jak rozkaz. Demetrios zastanawiał się, czy są tak posłuszne, czy raczej przebiegłe.

– Zapoznaj mnie bliżej ze swoimi sprawami, a i ja opowiem ci trochę o sobie. – Kleopatra zachowywała powagę, nie siliła się ani na przymilny uśmiech, ani na kokieterię. Demetriosowi podobało się, że nie próbuje kobiecych sztuczek, żeby zdobyć jego przychyłność. Gdyby tak postąpiła, wzbudziłaby tylko jego nieufność.

– Trochę może mi nie wystarczyć, pani.

Zamknął na chwilę oczy. W ciszy, która zapadła po ostatnich słowach, usłyszał krzyki mew, skrzypienie statków w basenie portowym, szum fal uderzających o brzeg. A także lekki oddech stojącej przed nim kobiety. Pachniała olejkiem sezamowym i nardowym. Roześmiał się w duchu na myśl, że sam nie może poszczycić się taką świeżością. Tego ranka nie zdążył się jeszcze wykapać i nagle zatęsknił za porządną łaźnią, gorącą wodą, pachnidłami i pomocą niewolników. Po chwili w jego wyobraźni pojawiła się inna wizja: wspólnej kąpieli z Egipcjanką. Wyobraził sobie wzajemne pieszczoty, zapragnął, żeby delikatne palce wcierały w jego skórę pachnące maści. Uznał, że najwyższa pora otworzyć oczy, przepędzić nieprzystojne mrzonki i wrócić do rzeczywistości. Nie przyszło mu to łatwo, ale kiedy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał całkiem spokojnie i rzeczowo. Przedstawił Kleopatrze wydarzenia ostatnich miesięcy: zakończenie interesów w Rzymie, podróż do Kapui i kilkudniowy odpoczynek w tym mieście. Przebywał tam w towarzystwie przyjaciół, którzy zapoznali go z kilkoma zamożnymi

obywatelami o osobliwych zainteresowaniach – poprosili oni Demetriosa o dostarczenie z Afryki rzadkich gatunków zwierząt. Dostał też listy od wspólników i zamówienia na afrykańskie dzieła sztuki. Kleopatra przerwała mu:

– To mnie dziwi. Dostawą zwierząt do cyrków zajmują się przecież wyspecjalizowane przedsiębiorstwa handlowe. Mają swoich pośredników w dalekich krajach, łowców, a nawet odpowiednio przystosowane statki, przeznaczone do transportu egzotycznych stworzeń. I jakich dzieł sztuki spodziewasz się w głębi Afryki? Egipcjanie od dawien dawna uważają, że nie można tam znaleźć nic interesującego.

– Chodzi o rękodzieło. Można tam znaleźć ciekawe rzeźby. Strusie jaja, na których miejscowi rzemieślnicy wyryli postacie demonów pustyni i bogów wiatru. Ozdobne kołeczki, jakimi Murzynki przekłuwają sobie uszy i nosy. Greczynki z Aten używają ich do spinania szat.

– To rozumiem – odrzekła Kleopatra – ale zwierzęta?

– Wyspecjalizowani dostawcy zaopatrują cyrki. Ale niektórzy bogacze nie chcą oglądać krwawych widowisk. Wolą hodować młode zwierzęta w domu, oswajać je i bawić się z nimi. No i zadziwiać przyjaciół przyjaźnią z dziką bestią.

– Wyobrażam sobie urocze małe słoniątko, jak w upalny dzień nabiera wody w trąbę i opryskuje swojego pana dla ochłody. Albo dorodnego młodego lewka, który nie tylko bawi, ale także pomaga odciążyć domowy budżet i pozbyć się nadmiaru potomstwa niewolników. – W głosie księżniczki brzmiała raczej ironia niż rozbawienie.

– Można też sobie zamówić jadowitego węża, takiego jak ten, który pomógł królowej Egiptu ostatecznie rozwiązać wszystkie problemy.

– No dobrze – roześmiała się krótko i raczej niewesoło Kleopatra. – Co dalej?

– Po jakimś czasie miałem już sporo zleceń i zaliczki od klientów.

– Płacą z góry?

– Przy niektórych transakcjach. Zwłaszcza wtedy, gdy całą wyprawę organizuje się na specjalne zamówienie.

– Rozumiem – kiwnęła głową – zatem dali ci zaliczkę, żebyś udał się w odległe zakątki świata i zaspokoił ich niecodzienne zachcianki. Jak to załatwisz? Masz tutaj, czy też w Rzymie, Kapui, albo w Atenach, wspólników albo filie?

– Nie tylko tam. Także w Tarrako, Trapezuncie, Tomi. – Demetrios uśmiechnął się. – Ale tam brakuje zarówno pieniędzy, jak i ludzi o wyrafinowanych upodobaniach.

– Ach, o dobry smak wszędzie trudno. Czy właśnie w Tomi nie mieszkał taki jeden, który narzekał na prostactwo i zły gust współobywateli?

– Myślisz o pisarzu, prawda? Nazywał się Owidiusz.

– Tak, Publiusz Owidiusz Naso – wymawiała to imię z wahaniem, jakby z obawą.

– Niektórzy czują się dobrze tylko tam, gdzie znają każdy kamień i każdego człowieka po imieniu. Może poeci potrzebują tego rodzaju trwania, ja wolę zmiany.

– A może właśnie dlatego handlujesz, a nie piszesz – zmarszczyła nos – i może właśnie z tego powodu twórcy cieszą się większym szacunkiem?

– Może dlatego, że czytelnicy także wolą unikać zetknięcia z życiem i prawdziwych emocji?

– Przynajmniej niektórych rodzajów. Demetrios rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Najpierw był wiek złoty, początek dziejów. Później nadszedł czas wielkich królów i bohaterów, wreszcie epoka znakomitych pisarzy, którzy opiewali ich czyny. Być może twój Owidiusz nie został Homerem, bo zabrakło mu ważnych wydarzeń do opowiedzenia?

Kleopatra uniosła brwi i milczała, więc Demetrios dokończył myśl:

– O nie! Miałby sporo tematów. Wyobraź sobie na przykład taki początek poematu: „O muzo! Bądź dla mnie łaskawa i pomóż mi ułożyć pieśń o czynach Gajusza Juliusza”. Albo o wzajemnej rzezi Mariusza i Sulli. Lub o powolnym upadku Hellady, który poprzedziły wydarzenia bardziej krwawe i jeszcze okropniejsze niż klęska Troi. Wiele wersów można by też ułożyć o perypetiach Oktawiana, zanim został Augustem.

– Dlaczego twoim zdaniem Owidiusz nie opiewał tych wszystkich wydarzeń?

– Z wygodnictwa. – Demetrios pochylił się w jej kierunku. – Z umysłowego lenistwa. Nie czuł się na siłach albo może nie miał ochoty zapuszczać się na nieznane tereny. Mitologia i liryka miłosa to znacznie bezpieczniejsze dziedziny. Lecz czym są opowieści o bogach, o wyczynach herosów, przemiany ludzi w gwiazdy, drzewa i zwierzęta wobec rzeczywistych wydarzeń, które dokonały się, zanim Oktawian przybrał imię Augusta?

– Lenistwo? – Wydawało się, że Kleopatra zastanawia się nad tym, co powiedział. – A może rezygnacja z fizycznych form aktywności, ze zmiany miejsca pobytu, sprzyja koncentracji na sprawach duchowych i rozwojowi wrażliwości twórczej?

– ...która pomoże pojąć i opisać przemiany w rzeczywistym świecie? – odparł Demetrios z rozbawieniem. – Obawiam się, że wyjaśnienie biernej postawy jest znacznie prostsze i raczej żałosne.

– Co takiego? Nazywasz Owidiusza żalonym?

– Dotyczy to także innych poetów. Przypuszczam, że większość z nich woli zamknąć się w wygodnych komnatach i układać rymy o cudzym bohaterstwie, niż samemu zmierzyć się z rzeczywistością. Ze zwykłego tchórzostwa.

– Czy świat nie byłby doskonalszy, gdyby ludzie oddawali się sztuce, zamiast wyruszać na wojny i uciskać inne narody? Może nam wszystkim żyłoby się lepiej. Demetrios przyjrzał jej się uważnie.

– Nie wiem, jak bliskie jest twoje pokrewieństwo z domem Ptolemeuszów. Ale gdyby ich przodek nie wyprawił się kiedyś z Aleksandrem do Egiptu, może pasałabyś dziś kozy w górach Macedonii.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Lecz czy to znowu aż tak straszny los?

– Gdyby handlarze nie podróżowali po nard i wonne olejki, siedziałabyś teraz pod gołym niebem na kamieniu i pachniała stajnią.

Kleopatra milczała przez dłuższą chwilę.

– Nie tylko ja. Wtedy nikt inny z moich ziomków nie miałby też mirry i nardu, nie wiedziałabym nawet, co tracę. Nie mogłabym więc cierpieć z powodu niedostatku czegoś, co nawet nie zaistniało w mojej świadomości.

– Twoi ulubieni poeci pisaliby tylko o kozach i krzakach, a nie o wyprawie Jazona po złote runo. Nie poznałabyś dziejów Troi, Medei, Antygony czy Fedry.

Kleopatra popatrzyła na swoje dłonie.

– A ja sama miałabym szorstkie, spuchnięte ręce i pełno brudu za połamanymi paznokciami. Ale wróćmy do twoich podróży.

– Pytałaś, w jaki sposób się dorobiłem. To żadna tajemnica. Niektórzy dziedziczą po przodkach ziemię i miecz, żeby mogli jej bronić lub zdobywać nowe obszary. Mój ojciec zostawił mi wiedzę, dobre kontakty i pieniądze. Niewielkie wprawdzie, ale wystarczyły, żeby poszerzyć zakres wiadomości, umocnić powiązania i zarobić jeszcze więcej.

Nie wdając się w szczegóły, Demetrios opowiedział o interesach ojca. Stary kupiec podróżował pomiędzy Grecją a portami na wschodzie. Wymieniał zdobione naczynia i wyroby metalowe z Hellady na korzenie, zioła, olej sezamowy i przyprawy. Zaczynał od jednego statku, potem dorobił się drugiego, trzeciego i kolejnych. Gdy zatonął wraz z siódmym, Demetrios otrzymał w spadku jego domy, składy, flotę i współpracowników. Oraz odpowiedzialność za

matkę i obowiązek utrzymania trzech młodszych sióstr.

– To pewnie znasz wszystkie kobiece sztuczki. Chyba żadna cię nie omami.

– Przeciwnie. Nie potrafię oprzeć się pięknej kobiecie, a świadomość własnej słabości każe mi zachowywać ostrożność w kontaktach z płcią przeciwną.

– Szkoda, ale mów dalej. Przypuszczam, że z czasem rozwinąłeś odziedziczone przedsiębiorstwo?

– Tak. No i wprowadziłem trochę zmian. Główna siedziba znajduje się nadal w Atenach. Konkretnie, w Pireusie, w pobliżu portu, jak przystało na armatora. Mam oddziały w Rzymie, Bizancjum, Aleksandrii i Antiochii.

– I zapewne pracujesz z ludźmi godnymi zaufania? – W tym pytaniu zabrzmiała nuta smutku, tęsknoty albo nawet zawiści.

– Nie należy mylić uczciwości w interesach ani wzajemnych finansowych zależności z przyjaźnią.

– Któż może o tym wiedzieć lepiej ode mnie? – Księżniczka pokręciła głową. – A zatem udałeś się na południe po zwierzęta i rzeźby. A teraz, co robisz w Adane?

Demetrios wzruszył ramionami.

– Z powodów, których nie potrafię odgadnąć, stary Kharkhair postanowił zabawić się moim kosztem i potraktować mnie jak głupiego żółtodzioba. Zaoferował mi wprawdzie to i owo, ale zażądał nieprzyzwoicie wysokich cen. Chyba nawet ostatni dureń by się na nie nie zgodził. Będę musiał pogadać z innymi kupcami. Jeżeli coś kupię, wyruszę z karawaną do Gazy. Jeżeli nie – nie pozostaje mi nic innego, jak powrót przez morze do Berenike. Lub też do Kane. W tej chwili nie potrafię przewidzieć, co się jeszcze wydarzy.

– Jeżeli zdecydujesz się na drogę lądową, chętnie się z tobą zabierzemy. Chciałabym tylko znać twoje warunki.

Demetrios odchylił się do tyłu, ale na tyle ostrożnie, żeby nie spaść ze stołka.

– Są dwa warunki. Drugi jest podobny jak w każdej karawanie. Musicie ponieść wszystkie koszty, związane z waszą podróżą. Albo kupicie sobie wielbłądy, opał, żywność i inne niezbędne rzeczy, albo ja wam to wszystko wypożyczę. Przypadnie na was także część opłat celnych i okupu dla rozbójników.

– Tych ostatnich może uda się uniknąć. Rufus i legionieści jadą z nami i będą nas bronić.

– Tak byłoby najbezpieczniej. Ale to jeszcze nic pewnego.

– Zacząłeś od drugiego warunku, a nie wspomniałeś nic o pierwszym.

– Chcę wiedzieć, kim jesteście i dokąd zmierzacie – powiedział z szelmowskim, prawie szyderczym uśmiechem. – I czy mogę wam zaufać.

– A komu dzisiaj można wierzyć? I do czego potrzebna ci ta wiedza?

– Wolałbym mieć pewność, że nocą nie zamienicie się w jadowite żmije lub straszliwe demony i nie wbijecie sztyletów w piersi śpiących wędrowców.

Oczy Kleopatry zwięzły się w dwie maleńkie szparki. Starła się opanować. Jej głos brzmiał spokojnie, lecz Demetrios wiedział, że najchętniej obrzuciłaby go wyzwiskami i wyrzuciła za drzwi.

– Jak możesz przypisywać takie potworności księżniczce z rodu Ptolemeuszy?!

– Nie rozśmieszaj mnie, proszę. Czy od czasu śmierci szlachetnego przodka któraś z jego córek i wnuczek zawahała się przed popełnieniem najbardziej odrażających czynów? Do tego nigdy nie brakowało im śmiałości. Ale do rzeczy. Kim jesteście: ty, Thais, Glauke i Arsinoe? Czemu opuściłyście Egipt i co was tu sprowadziło? Dokąd chcecie jechać i w jakim celu?

– Pochodzę z bocznej linii – mówiła znów spokojnie i rzeczowo. – Pradziadek wielkiej Kleopatry miał przyrodnią siostrę. Od niej wywodzi się moja rodzina. Potomkowie w prostej linii jeszcze żyją. Ale od czasu, gdy Egipt drogą podboju i dziedziczenia dostał się w ręce Rzymian, kwestia dalszego czy bliższego pokrewieństwa straciła dawne znaczenie. Pozostały pałace, ziemia i złoto. No i prześladowcy.

– Jacy?

– Lepiej zapytaj, kogo wśród nich nie ma. Przede wszystkim krewni i powinowaci roszczą sobie prawa do majątku. Niejeden z wysokich urzędników rzymskich też chętnie przeprowadziłby się do tego czy innego zamku. Niejeden przedsiębiorczy kupiec zrobiłby wszystko, żeby dla ukoronowania swojego bogactwa wejść w posiadanie któregoś budynku lub kawałka ziemi. Poza tym jacyś ludzie czują się znieważeni czy też pokrzywdzeni przez moich przodków i uważają za stosowne mścić się na mnie.

Zamilkła i zagłębiła się we własnych myślach. Demetrios miał wrażenie, że jej oczy patrzą w przeszłość.

– Życie wśród wilków – podsumował.

– Nie znajdziesz ich w Egipcie – roześmiała się niewesoło – nie przeżyłyby wśród ludzi – Kim są twoje towarzyski? Służącymi, niewolnicami?

– Pomocnicami. Przyjaciółkami i poddanymi, jeżeli to możliwe.

– Czemu nie? Chyba przyjaźń nie wymaga równości stanu? Może zaistnieć pomiędzy osobami różniącymi się od siebie pod każdym względem. O ile w ogóle się zdarza.

Kleopatra przyjrzała mu się z uwagą. Demetrios wyczytał z jej twarzy zaskoczenie, prawie zdumienie.

– Nikt nie odmawia kupcom inteligencji, jest w tym zawodzie niezbędna. Ale na ogół przypisuje im się raczej spryt, niezbędny do prowadzenia interesów niż skłonność do filozoficznych rozważań.

– Księżniczek w ogóle nikt o myślenie nie podejrzewa. Ale nie wszystkie księżniczki są takie same, mam nadzieję; podobnie jak nie wszyscy kupcy – to wiem.

– Wybacz, zbyt nisko cię oceniłam – jej głos brzmiał teraz miękko, w oczach pojawił się jakby cieplejszy blask.

Demetrios wyszedł z gospody i zatopił się w rozmyślaniach. Nie zwracał uwagi na to, co się dzieje dookoła. Zastanawiał się, czy to, co usłyszał od Kleopatry, jest prawdą, czy tylko wiarygodnymi kłamstwami, ale nie doszedł do żadnych logicznych wniosków. Czy faktycznie miał do czynienia z przedstawicielką książęcego rodu, od dzieciństwa oswojoną z zagrożeniem i wyćwiczoną we władaniu bronią? Bez wątpienia umiała zranić spojrzeniem i słowem. Niewykluczone też, że potrafiła gołymi rękami zabić człowieka. A jej towarzyszkę? Dźwięczały mu jeszcze w uszach skargi na prześladowców i opowieść o pospiesznej ucieczce. I nutka nadziei w głosie, gdy Kleopatra marzyła, że dotrze do jedyne go człowieka zdolnego zażegnać niebezpieczeństwo i zapobiec dalszemu bezprawiu: do prefekta Judei, Poncjusza Piłata. Podobno przed laty w drodze z Rzymu do swojej prowincji spędził nieco czasu w Aleksandrii. Żydowska gmina miała tam znaczne wpływy. Ta kłótniwa społeczność mocno dała się prefektowi we znaki. Miał okazję poznać przedsmak problemów, z którymi później musiał się zmagać w Cezarei i Jerozolimie. Demetrios dopatrzył się pewnych nieścisłości w opowieści Kleopatry, ale nie śmiał wypytywać o szczegóły. W każdym razie zrozumiał, że władca zaznał ukojenia i rozkoszy w jej ramionach. Mógł na pewien czas zapomnieć o niezliczonych poddanych, utarczках i sporach.

W samej Aleksandrii nic jej nie groziło. Lecz dobra, do których zgłaszali pretensje przeciwnicy Kleopatry, leżały daleko na południe, w Koptos. A tam rządili jej wrogowie. Pozbawiona ochrony i wsparcia możliwych przyjaciół, księżniczka musiała ratować się ucieczką z Koptos przez pustynię do Berenike. Tam wsiadła na jedyne dostępny statek. Ten jednakże nie

płynął na północ, lecz na południe. Tak więc przez przypadek wylądowała jeszcze dalej od Palestyny, Poncjusza Piłata i nadziei na wsparcie. Demetrios zastanawiał się, ile prawdy zawiera ta mało wiarygodna historia. W końcu doszedł do wniosku, że Kleopatra nie mogła wszystkiego zmyślić, zwłaszcza powiązań z tak ważną osobistością jak rzymski prefekt. Nie puściłaby w obieg kłamstwa, które łatwo udowodnić.

Pomyślał jeszcze chwilę o Rzymianach. Panowie świata. Jako Grek gardził nimi i równocześnie ich podziwiał.

Około południa wyszedł na obsadzoną palmami drogę, żeby wrócić do gospody Raviego. W pobliżu nie napotkał żadnego człowieka. Jedyne gdzieś daleko, na końcu półwyspu, majaczyły jakieś niewyraźne postacie, nie wiadomo – ludzi czy wielbłądów. W rozedrganym, rozszarpanym powietrzu nie mógł rozróżnić kształtów, może to tylko pustynne demony tańczyły w blasku słońca. Nagle kątem oka dostrzegł, że coś wyłania się zza pni palm. Trzech mężczyzn rzuciło się na niego z nienacką. Zanim go dopadli, przemknęło mu przez głowę pytanie, kto ich nasłał. Żałował, że nie nosi miecza, ale w ostatniej chwili udało mu się wyciągnąć zza pasa sztylet. Napastnicy też mieli noże. Odparował dwa ciosy, uchylił się przed trzecim i oparł się plecami o drzewo, żeby zapewnić sobie ochronę przynajmniej z jednej strony. Jedno ostrze o włos ominęło ucho, drugie zagłębiło się w ramię. Rana krwawiła i piekła.

Nagle usłyszał krzyk. Postacie, które początkowo uznał za wielbłądy lub pustynne zjawy, ruszyły do biegu i przybliżyły się w błyskawicznym tempie. Rozpoznał rzymskich legionistów, dostrzegł jeszcze błysk światła na końcu krótkiego miecza, zanim żołnierze zepchnęli bandytów z drogi w cień palm. Po krótkiej chwili złoczyńcy uciekli. Oszołomiony Demetrios opuścił rękę z nożem i przyjrzał się krwawiącej ranie. Usłyszał za sobą głos Rufusa:

– Wygląda na to, że już zdążyłeś narobić tu sobie wrogów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

List siostry do brata

Dowiedz się, Orestesie, o mojej i jego niedoli. W jakich szatach tu chodzę, jaki brud mnie otacza, pod jakim dachem muszę mieszkać.

EURYPIDES

Nie wiem, kiedy dostaniesz ten list, ani nawet kiedy go komuś oddam, aby ci go dostarczył. Nie znam tu nikogo, kto wybierałby się w twoje okolice. W dodatku wszyscy traktują mnie z taką nieufnością, że nawet nie mam śmiałości zapytać. Chociaż nigdy nie pozostaję sama, czuję się bardzo samotna. Wciąż ktoś się koło mnie kręci, mam wrażenie, że po to, żeby śledzić każdy mój krok. Nie wiem, czy tak jest w istocie, czy tylko mi się wydaje. Może właśnie w tej chwili inna osoba skarży się w liście do kogoś bliskiego, że ją ciągle obserwuję i patrzę jej na ręce. Po tych wszystkich tygodniach nadal nie potrafię odgadnąć celu naszej podróży. Nie chodzi mi o punkt na mapie. Wiem, że mamy dotrzeć do Palestyny. Tylko po co? Jak dotąd słyszałam same niespójne i sprzeczne wypowiedzi. Może błąkami się bez sensu tylko po to, żeby oddalić się od jakiegoś miejsca? Czyż ucieczka nie jest wystarczającym powodem, żeby wyruszyć w drogę? Ja sama mogłabym wymienić co najmniej trzy rzeczy, które chciałabym pozostawić daleko za sobą. Ale jak samotna kobieta bez żadnych środków może odważyć się na odłączenie od towarzyszek i samotną wyprawę w nieznaną? Miałam nadzieję, że tu, w arabskim Eudaimonie, nazywanym przez miejscowych Adane, zastanę jakąś wiadomość od ciebie. Na pewno już dostałeś mój list z Koptos. Nie umiem obliczyć, jak dawno go wysłałam; podczas długiej żeglugi straciłam rachubę czasu. W drodze z Berenike dni, podobne jeden do drugiego, wypadały kolejno za burtę w swoim własnym, monotonnym rytmie.

Ciekawa jestem, czy dowiedziałeś się prawdy o mojej chlebowczyni. Niewykluczone, że istotnie pochodzi z możnego rodu, w każdym razie jej zachowanie może na to wskazywać. Nie brak jej też ogłady i wiedzy. Trudno mi wyciągnąć jakieś wnioski. W Aleksandrii nie obracałam się w tych samych kręgach co ona. W czasie, gdy ona rzekomo romansowała z prefektem Judei,

ja przebywałam w Cyrenie i Memfis. Nic nie wiem na pewno, ale cała ta historia wydaje mi się bardzo dziwna. Dręczy mnie niepokój. Zarówno w Egipcie, jak i na statku i wreszcie tu, w gospodzie na arabskim wybrzeżu, spędzam każdą chwilę w towarzystwie trzech kobiet. Zastanawiam się, czy są tymi, za kogo się podają. Wydaje się, że one także nie mają do mnie zaufania. Ale nie będę się powtarzać. W każdym razie opowieści księżniczki robią wrażenie zupełnie niewiarygodnych. Gdy wyruszałyśmy z Koptos, miała dwadzieścia dziewięć lat, posiadłość i dom w tym mieście. Teraz, trzy miesiące później, ma dwadzieścia sześć, mały pałacyk w Krokodylopolis i udziały w interesach w Naukratis. Zanim przybyłyśmy do Berenike, podróżowałyśmy po kryjomu, nocą i w pośpiechu. Wy tłumaczono mi, że w dzień na pustyni nawet jesienią panuje nieznośny upał, który uczyniłby podróż jeszcze bardziej uciążliwą. Pewnego dnia odpoczywałyśmy przy studni. Kleopatra uniosła oczy do gwiazd, jak to czynią żeglarze, potem obróciła się na północ i westchnęła:

– O kraino młodości, piaszczyste drogi ojczyzny!

I na tym poprzestała, pomimo że towarzyszki prosiły o wyjaśnienie. Pytałam właściciela gospody, co jest na północy. Odpowiedział, że stare kamieniołomy i nieczynne szyby górnicze. Oprócz wieku zmieniła jeszcze parę detali w swoim życiorysie. Czy dlatego, żeby nas zmylić, czy też zapomniała, co wcześniej zmyśliła? Bo to, co człowiek rzeczywiście przeżył, nie umyka tak łatwo z pamięci. Najpierw opowiadała, że spędziła dzieciństwo w Aleksandrii, później, że w Numidii, a nawet w Mauretanii. Jeszcze w Koptos podawała się za córkę bratanka wielkiej Kleopatry, z czasem zaś została wnuczką swej słynnej imienniczki. Jako mała dziewczynka mieszkała w Rzymie. Egipska królowa urodziła Markowi Antoniuszowi bliźniaki. Chłopiec miał na imię Aleksander Helios, a córka – Kleopatra Selene. August wydał ją za króla Mauretanii, Jubę. Od dnia jego śmierci rządzi tam jej syn, Ptolemeusz. Jeżeli moja księżniczka jest wnuczką wielkiej królowej i Marka Antoniusza, to kim była jej matka? I czemu nie mieszka na dworze kuzyna, czy chociaż gdzieś w pobliżu? Czyżby kuzynka króla Mauretanii wróciła do Egiptu? I czy moja pani miała na myśli te właśnie drogi przez pustynię na północ od Berenike? Nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Czy znają ją dwie pozostałe towarzyszki? Jeżeli nasza pani naprawdę pochodzi z książęcego rodu, można by postawić następne pytania. Chociażby, dlaczego uciekła z Koptos przez morze do Eudaimonu. Jeżeli zaś w jej żyłach nie płynie królewska krew, rodzi się jeszcze więcej wątpliwości. Czy naprawdę miała romans z Poncjuszem Piłatem i czy on zgodzi się udzielić jej pomocy? A jeśli nic ich nie łączyło, co spodziewa się

zyskać?

Wybacz, że cię zamęczam, ale jako że nie mogę usłyszeć twojego głosu, ten list zastępuje mi rozmowę. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak samotna czuje się macedońska Egipcjanka, poddana Augusta Tyberiusza, na arabskiej pustyni? Obca wśród Arabów, obca wśród innych kobiet. Piszę w tajemnicy, bo nie spuszczają mnie z oka, obserwują każdy mój krok. Gdybym chociaż wiedziała, czy dostałeś mój poprzedni list. Słyszę kroki. Muszę kończyć.

Wreszcie mogę znów chwycić za pióro. Przed chwilą przeczytałam moje poprzednie zapiski. Brzmiały jak zwierzenia dziewczynki, która próbuje udawać dorosłą kobietę: pomimo pozorów opanowania zdradzają wewnętrzne rozdarcie. Nie chcę już dłużej ukrywać prawdziwego stanu mojej duszy: osamotnienia, zagubienia i strachu. Tak, mój umiłowany bracie, boję się i nie umiem sobie z tym poradzić. Osoby, z którymi przebywam, mogą być jak słowiki albo przemienić się w straszliwe mureny. Nie potrafię odgadnąć, przed czym i z jakiego powodu uciekałyśmy ani też dokąd zmierzamy. Dowiedziałam się tylko, że mamy przyłączyć się do karawany i wyjechać z nią na północ, prawdopodobnie do Gazy.

Chcę cię jeszcze krótko poinformować o pewnym wydarzeniu. Za dużo tu zagadek, nawet obszerny opis niczego by nie wyjaśnił. Tutaj, w Eudaimonie stacjonuje mały oddział rzymski – centurion i trzydziestu sześciu żołnierzy. Prawdopodobnie podlegają prefektowi Egiptu, ale wyglądają na rodowitych Rzymian. Ciekawe, skąd się tu wzięli? Ich dowódca nazywa się Waleriusz Rufus, mówi płynnie po grecku, trochę po egipsku i, o ile się orientuję, dość biegle po arabsku. Na pewno pochodzi z dobrej rodziny i mógłby sięgnąć w cesarstwie po najwyższe urzędy i zaszczyty. Jako centurion dowodziłby tam całą kohortą, tymczasem tu podlega mu zaledwie garstka żołnierzy. Księżniczka odwiedziła ich cztery lub pięć razy, zawsze w towarzystwie którejś z pozostałych dziewcząt. Za każdym razem odnosiłam wrażenie, że ta, która ze mną zostawała, miała za zadanie mnie obserwować. Z drugiej jednak strony, nigdy nie miałam ochoty wybrać się z taką wizytą, toteż nie wiem, czy moja pani by mnie zabrała, gdybym o to poprosiła. Może zresztą niektóre rzeczy są tylko wytworem mojej wyobraźni, za dużo sama sobie dopowiadam. Często jedno podejrzenie zatruwa umysł i wyzwala całą gonitwę myśli. Rzymianie wkrótce wyjeżdżają z Eudaimonu, nie wiem dlaczego. Najbardziej mnie dziwi, że księżniczka z dynastii Ptolemeuszy zgodziła się na udział w niezbyt mądrej zabawie. Podobnie jak legionieści. Zgłosili się mianowicie do wyścigów tragarzy. W lektyce, którą nieśli żołnierze, siedziała sama Kleopatra. Ze też nie bali się narazić na drwiny! Może już sama potęga cesarstwa

chroni ich przed śmiesznością? Poza Rufusem tylko jeden człowiek postawił na Rzymian. To kupiec, który organizuje karawanę. Nazywa się Demetrios i przybył na dzień przed wyścigami. Nie tylko my się z nim zabierzemy, legioniści również. Księżniczka zaprosiła go na rozmowę. Jej przebieg nieco mnie zaskoczył, podobnie jak inne wydarzenia. Dowiedziałam się, że Demetrios wraca z wyprawy w górę Nilu. Kupował tam zwierzęta i jakieś przedmioty na zamówienie bogatych Rzymian. Robi miłe wrażenie, choć wydaje się nieco prostoduszny. To chyba jednak tylko pozory. Powodzi mu się dobrze, a przecież prostaczek nie zdołałby osiągnąć ani wysokiej pozycji, ani okazałego majątku. Podczas tego spotkania parę razy wyczytałam z jego twarzy zdumienie, czy też wątpliwości, nie wyraził ich jednak głośno.

Pojedziemy z jego karawaną na północ. Mam nadzieję, że wcześniej uda mi się przekazać komuś ten list. Podobno statek, którym Demetrios przybył z Berenike, cumuje jeszcze w porcie. Może kapitan okaże się uczynny i zabierze to pismo. Mówią, że na dotarcie do ziemi Nabatejczyków potrzeba osiemdziesięciu dni. W Leukekome rozpytam o wiadomości od ciebie. Spróbuj do mnie napisać, odpowiedzieć chociaż na niektóre pytania i zostawić list dla mnie u dowódcy tamtejszej straży granicznej. Najbardziej uszczęśliwiłbyś mnie, gdyby udało ci się zgromadzić środki, przyjechać i zabrać mnie stamtąd. Twoja siostra, służąca księżniczki, nie ma bowiem pieniędzy. Mogłabym w inny sposób odwdzińczyć się komuś za pomoc w ucieczce i wiem, że byś mnie za to nie potępił. Rufus wydaje się całkiem znośny, ale myślę, że porozumiał się z Kleopatrami. O Demetriosie jeszcze bardzo mało wiem, muszę go trochę poobserwować. Poza tym uciekanie się do tego typu środków napawa mnie odrazą. Chyba bogowie złośliwie poplątali mój los i postawili na mojej drodze tę księżniczkę, gdy szukałam zajęcia w Memfis.

Gdyby nasz ojciec wszystkiego nie zaryzykował i nie utracił, ja nie zostałabym służącą, a ty nadzorczą niewolników na jakiejś nędznej budowie. Ale pocieszam się, że mogłam trafić jeszcze gorzej. Teraz podróżuję, narażam się na niebezpieczeństwa i żyję w niepewności. Ale lepsze już to niż małżeństwo z jakimś niekochanym mężczyzną i wychowywanie jego dzieci.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Karawana wyrusza

Zarówno władzę królewską, jak i inne wysokie stanowiska, dziedziczy pierworodny. Majątek należy do wszystkich krewnych, ale zarządza nim najstarszy. Wszyscy mają jedną żonę. Wstępujący na tron najpierw poślubia ją, postawiwszy laskę przed jej drzwiami, bo według tutejszych obyczajów każdy chodzi z laską. Ale ona nocuje z najstarszym, a dzieci należą do wszystkich. Kto złamie prawo małżeńskie, zostaje skazany na śmierć. Lecz za zdrajcę uznaje się tylko przedstawiciela obcego rodu.

Przepiękna córka pewnego króla miała piętnastu braci. Wszyscy ją kochali i nawiedzali. Wyczerpana dziewczyna uciekła się do podstępny. Kazała wyrzeźbić laski identyczne jak te, które nosili jej bracia. Gdy któryś z nich od niej wychodził i zabierał swoją, stawiała przed drzwiami jej kopię, a zaraz potem inną. Starła się tak to urządzić, by żaden nie znalazł tam laski podobnej do swojej. Pewnego dnia wszyscy członkowie rodziny udali się na targ. Został tylko jeden z mężczyzn. Poszedł do pokoju siostry i ujrzał opartą o drzwi laskę. Ponieważ wiedział, że reszta rodziny przebywa poza domem, podejrzewał zdradę i oskarżył siostrę przed ojcem. Gdy sprowadził go na miejsce, udowodniono mu, że rzucił fałszywe oskarżenie.

STRABON

– To wielbłąd Demetrios – oznajmił Ravi i pociągnął za sznurek. Jeden z pakunków urwał się i z głuchym łoskotem spadł na piasek. Za ładunek odpowiadał Meleagros. Rozejrzał się dookoła, próbując znaleźć poganiacza, który zaniedbał obowiązki.

– Pokroję łotra w plasterki – warknął groźnie.

Demetrios stał nieopodal z Rufusem. Próbował wysondować, czy legionieści okażą się przydatni na pustyni. Właśnie wypytywał o ich dotychczasowe doświadczenia, kiedy usłyszał przekleństwo. Odwrócił się i rzucił przez ramię:

– Oszczędź sobie trudu, nie ja to mocowałem. Poza tym nie nadaję się na pieczeń.

– Nie byłbyś smaczny – zachichotał Ravi. Meleagros pomógł mu umieścić ładunek

z powrotem na grzbiecie zwierzęcia.

– Jesteś nam winien pewne wyjaśnienie. Skąd wzięło się to dziwne przezwisko „Spóźnialski”? I jak dalece odpowiada prawdzie?

– Może chodzi o jego związki z kobietami? – podpowiedział Mikines z szelmowskim uśmiechem. Przyniósł właśnie kolejne toboły do zapakowania.

– O jego życiu osobistym nic nie wiem – odrzekł Ravi – ale zawsze zjawia się w Adane w najmniej odpowiednim momencie, przeważnie za późno. Wydaje się, że może już tylko stracić, ale on zawsze wychodzi na swoje. Nie mam pojęcia, jak to robi.

– To wszystko? – W głosie Meleagrosa brzmiało rozczarowanie. – A ja oczekiwałem jakiejś niezwyklej historii.

Samemu Demetriosowi wydarzenia ostatnich dni dostarczyły wystarczająco dużo niecodziennych wrażeń. Przybył do Adane jak zwykle nie w porę, poznał Egipcjanki i Rzymian, obejrzał przedziwny wyścig z lektykami. Zaskoczyło go też nietypowe postępowanie Kharkhaira, późniejsze wyjątkowo korzystne zakupy i skład karawany: żołnierze, kobiety, wygrany w zakładzie niewolnik i jeszcze ktoś, kto dołączył ze swymi ludźmi.

Nie umiał powiedzieć, dlaczego wypadki potoczyły się w ten właśnie sposób i jak się to wszystko zaczęło. Po napadzie Rufus i jego podwładni zaprowadzili Demetriosą do gospody.

– Uważaj na siebie. Nie wiadomo, kto jeszcze chowa do ciebie urazę – ostrzegali.

Leonidas próbował uzyskać możliwie najlepszą mieszankę piwa z winem, ale na widok Demetriosą odstawił dzban.

– Chodź, panie, opatrzę ci ranę.

Nieszczęśliwie mu to wychodziło, toteż powierzył zadanie jednej z dziewcząt Ravięgo. Nie obyło się oczywiście bez śmiechów, docinków i przekomarzania. Nikt nie zwracał uwagi na gospodarza. Ten zaś zaszył się w najciemniejszym kącie i naradzał się szeptem z Rufusem. Po jakimś czasie Hindus wstał i przyniósł Demetriosowi dzban wina rozcieńczonego wodą. Twierdził, że celowo dobrał takie proporcje, żeby uzupełnić ubytek krwi. Biesiadnicy jeszcze dość długo zastanawiali się nad wydarzeniami minionego dnia i snuli najdziwniejsze przypuszczenia na temat rozbójników, ich mocodawców i powodów napaści. Później Demetrios opowiedział zebranym o obydwu wizytach: u Kharkhaira i Kleopatry.

– Niezła kobietka – skomentował Rufus. – Po czym zwrócił się do żołnierzy: – Koniec z tym winem. Popadacie jak muchy, zanim nadejdzie wieczór. Co sobie pomyślą Arabowie?

– To co zawsze – odpowiedział Leonidas – że Rzymianie to głupcy.

Wziął kubek ze swoją wybuchową mieszanką, przysiadł się do legionistów i przetłumaczył wypowiedzianą po grecku uwagę na łacinę:

– Delirant Romani – Masz jakiś pomysł? – Ravi oparł się plecami o filar i popatrzył na centuriona.

– Chciałbym dołączyć do Demetriosia. Ale jeśli nie uda mu się nic kupić, nie zorganizuje karawany. Trzeba by jakoś przycisnąć tutejszych kupców.

– No to powiedz im, że zostajecie – zaproponował Hindus. – Możesz jeszcze dodać, że zamierzacie sprowadzić dodatkowe oddziały wojska.

– Sam nie wiem.

– Ja też. Ale gdyby coś przyszło ci do głowy, wspomnij przy okazji, że chcę sprzedać karcznię. Jeśli nikt się nie zgłosi, spróbuj ich nastraszyć.

– Jak to się stało, że księżniczka zgodziła się wsiąść do waszej lektyki? – zapytał Demetrios żołnierzy. Mówił na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli.

– Przekonaliśmy ją komplementem – roześmiał się jeden z żołnierzy – że taka piękna i lekka jak piórko.

– Sami byliśmy zaskoczeni, kiedy wyraziła zgodę – dodał drugi.

– Stwierdziła, że spadkobierczyni Ptolemeusza przystoi podróżowanie w lektyce. I że odkąd Rzymianie odebrali Egipt Macedończykom, nikt nie okazuje władcom należnego szacunku. – Rufus podrapał się za uchem. – Sądzę, że ucieszyła ją perspektywa zatrudnienia wojowników cesarstwa w charakterze tragarzy. Potraktowała pewnie całą tę zabawę jako częściowe zadośćuczynienie za jakieś tam krzywdy.

– Chcesz powiedzieć, że ma poczucie humoru? – zdziwił się Demetrios. – Ja odniosłem zupełnie inne wrażenie.

– Jakież nudne byłoby życie, gdyby los oszczędził nam niespodzianek.

Rufus jeszcze przez chwilę rozmawiał półgłosem z Ravim, po czym skinął na swoich ludzi i wyszedł. Dopiero po jakimś czasie Demetrios dowiedział się, dokąd się udali. Ale nadal nie miał pojęcia, w jaki sposób centurion doprowadził do tego, co nastąpiło później.

Następnego dnia zjawił się jeden z ludzi Kharkhaira, prawdopodobnie zarządca składów. Stary Arab chętnie zlecał współpracownikom zadania, które jego samego nudziły lub męczyły. Ravi ustawił mały stolik pod palmami przed gospodą. Demetrios rozsiadł się wygodnie i popijał

chłodną mieszankę ziołowego naparu z sokiem. Preksaspes zabawiał towarzystwo niezwykleymi historiami z partyjskich gór. Perperna przykucnął na ziemi i oparł się plecami o palmę. Demetrios poprosił go, żeby i on opowiedział coś o sobie.

– Trochę później, panie, jeżeli pozwolisz. Jestem wprawdzie twoją nagrodą i własnością i nie powinienem ci się sprzeciwiać, ale...

Demetrios spojrział na niego z dezaprobatą.

– Nadajesz się do pracy? W twoim wieku i w dodatku bez dłoni?

– Tak. – Perperna uśmiechnął się przelotnie, jak złodziej, który się obłowił, ale stara się nie okazywać radości, żeby nie wzbudzić podejrzeń. – Czemu pytasz?

– Jako Grek nie darzę Rzymian przesadnym szacunkiem. Cóż z tego, że panują nad światem? To barbarzyńcy. A jako niewolnicy nie nadają się do niczego. Jesteś wolny. Jeżeli karawana wyruszy, będę potrzebował opiekunów wielbłądów i poganiaczy. Zatrudnię cię wtedy za wynagrodzeniem. A jeżeli mi się nie powiedzie? – uniósł brwi. – Zobaczymy.

Perperna otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo w tej samej chwili pojawił się urzędnik Kharkhaira. Mężczyzna w średnim wieku nosił obfity białą szatę, w prawej ręce trzymał laskę, a pod pachą gruby zwój papirusu. Za nim podążali dwaj biali i dwaj czarni niewolnicy, obładowani pakunkami i koszami.

– Szlachetny Demetriosie. – Przybysz lekko skłonił głowę i natychmiast uniósł ją do góry. Mimo oficjalnej uprzejmości jego twarz wyrażała pogardę dla cudzoziemca, obywatela znieawidzonego cesarstwa. – Dostojny i łaskawy, Kharkhair polecił mi pokazać ci próbki towarów i zapoznać cię z ich cenami.

– Jeżeli wolno zapytać... – zaczął Demetrios i przerwał. Uznał, że ten obcy człowiek i tak nie wyjawi mu przyczyny nagłej zmiany postępowania swojego mocodawcy.

Rozwinąwszy papirus, Demetrios stwierdził, że nowe ceny są niezwykle satysfakcjonujące. Studiował listę towarów z coraz większym zdumieniem. Poślaniec stał nieruchomo, z założonymi rękami, i obojętnym wzrokiem obserwował pobliską zatokę.

– Jeżeli rzeczy, które przyniosłeś ze sobą, ucieszą moje oczy w równym stopniu jak ten spis, który trzymam w ręku, szybko dobijemy targu – rzekł kupiec.

Urzędnik odwrócił się z lekceważącym uśmiechem i strzelił palcami na niewolników. Czterej mężczyźni zaczęli wyciągać torby z koszy i rozwijać kolejne pakunki.

Demetrios lekko trącił Preksaspesa.

– Idź i sprowadź Mikinesa i Leonidasa. Potrzebujemy teraz zręcznych palców i wrażliwych nosów.

Po chwili wszyscy razem wachali kadzidło, mirrę, lepkie bryłki żywicy i maleńkie dzbanuszki, zabezpieczone warstewką wosku, zawierające sporządzone przez arabskich mistrzów najprzedniejsze maści i pachnidła. W pewnym momencie Demetrios zauważył żalosne spojrzenie Perperny i zawołał go do stołu. Teraz i on wdychał woń olejków spożywczych i kosmetycznych, wciągał w nozdrza zapach piżma, którego odrobina wydobywa z perfum najczarowniejsze aromaty. Przez ręce kupców przelewały się zwiewne chusty i delikatne suknie z najcieńszej sierści wielbłąda. Niecierpliwe palce przesypywały perły, szafiry i rubiny z Indii, gładziły misterne figurki z kości wieloryba. A wszystko to wśród szelestu chińskiego jedwabiu i odurzających woni imbiru, cynamonu, kurkumy i pieprzu.

– Dobrze – ocenił Demetrios, nieco już zmęczony.

– Jakżeby inaczej – oburzył się posłaniec. W czasie oględzin stał obok z obojętną miną, patrzył w inną stronę, nie pozwolił się nawet zaprosić do stołu. Teraz skorzystał z okazji, żeby zarówno głosem, jak i spojrzeniem okazać obcym pogardę. Nawet odpoczywający pod palmą niewolnicy szeroko otworzyli oczy, zdumieni jego bezceremonialnym zachowaniem.

– Jeżeli wszystko, co macie do zaoferowania, okaże się równie dobre jak te próbki, szybko się dogadamy.

– Kiedy chciałbyś obejrzeć resztę?

– Gdzie trzymacie zapasy?

– W głównym magazynie, naprzeciwko. – Arab podszedł do stołu, wziął laskę, którą uprzednio oparł o blat, i wskazał północną stronę zatoki.

– W takim razie zjawimy się tam za dwie godziny. Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

– Słucham.

– Masz braci? I czy też chodzą z laskami? Mężczyzna zrobił zdziwioną minę. Potem zacisnął usta i potrząsnął głową.

– Nie mam ani jednego brata. A te historie, które sobie przekazujecie z ust do ust, mogły się wydarzyć pięćset lat temu, albo jeszcze dawniej, gdzieś na pustyni. W każdym razie nie w dzisiejszych czasach, no i z całą pewnością nie w mieście.

Perperna okazał się doskonałym rzeczoznawcą. Odznaczał się zarówno wiedzą, jak i wyczulonym powonieniem. Meleagros oceniał wielbłądy, a także wybierał spośród tłumu

adańczyków, ubiegających się o pracę opiekunów zwierząt i poganiaczy. Były niewolnik bardzo mu pomógł. Mieszkał tu wiele lat i sporo wiedział o ludziach. Często odradzał jakiegoś kandydata, a za to polecał kogoś bardziej odpowiedniego. Po pięciu dniach ustalili ostateczny skład karawany. Demetrios był uszczęśliwiony, a Meleagros i Perperna zadowoleni z podjętych decyzji. Przez cały ten czas rzadko widywali Rzymian, najczęściej tylko wieczorem w zajęzdzie. Demetrios wcale za nimi nie tęsknił, przygotowania pochłaniały mu zbyt wiele czasu. Poza tym przypuszczał, że zwinięcie obozu, który istniał w Adane od dwudziestu pięciu lat, także wymaga wielu starań i wyteżonej pracy.

Czwartego lub piątego dnia od przyjazdu kupca Ravi zgotował Demetriosowi niemiłą niespodziankę. Wcześniej starał się unikać jego towarzystwa, chociaż nie mógł narzekać na nadmiar zajęć. Przybyło wprawdzie nieco gości, jednak nie było ich tak wielu, żeby dziewczęta same nie mogły ich obsłużyć. Wieść o planowanej podróży ściągnęła do gospody zarówno kupców z ofertami handlowymi, jak i ludzi poszukujących pracy. Choć po tylu latach sąsiedztwa nadal traktowali Hindusa jak obcego, nadzieja na zarobek okazała się silniejsza od uprzedzeń. Demetrios oblegał tłum, ale uważał, że liczba odwiedzających nie usprawiedliwia zachowania Ravięgo. Te refleksje pojawiły się jednak znacznie później, gdy izba opustoszała, a gospodarz, który go do tej pory unikał, podszedł w jakiś dziwny sposób, jakby się skradał chyłkiem, jak człowiek, który stara się pozostać niezauważony.

– Jak tam interesy? Jak przygotowania do odjazdu? Demetrios opróżnił kubek, Ravi ponownie go napełnił.

– Powolutku wszystko zaczyna się układać. A co z tobą i twoją karczmą?

– O tym właśnie chciałem powiedzieć – gospodarz uśmiechnął się smutno – ale nie mam odwagi.

– To pewnie ukrywasz w zanadru jakieś przerażające nowiny – roześmiał się gość. – Chcesz mnie delikatnie przygotować na to, że zabierasz ze sobą skrzydlate smoki i jadowite węże?

– Jeszcze gorzej.

Demetrios czekał. Ravi w milczeniu gapił się to na dzban i kubek, to na siedzenie jednej z młodych służących.

– No, wykrztuś wreszcie, co ci leży na sercu!

– Chyba nie mam innego wyjścia – westchnął zgnębiony Hindus. – Pojawiły się dwie przeszkody. O jednej już się pewnie dowiedziałeś od Rufusa.

– Nic podobnego. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Rzymianom nie udało się pozyskać wystarczającej liczby wielbłądów.

– Niemożliwe! Przecież pełno ich tutaj.

– Zgadza się. Ale nie wszyscy właściciele chcą je sprzedać. Rozumiesz, tacy przywiązani do swoich zwierzątek! – Ravi silił się na ironię, lecz jego głos brzmiał raczej ponuro.

– No i co?

– Istnieje jeszcze jedna szansa, ale pewnie ci się nie spodoba.

– Jeżeli zamierzasz przeciągać rozmowę w nieskończoność, to dotrę do Gazy, zanim skończysz.

Karczmarz skinął głową.

– Masz sztylet przy boku?

– Jak zwykle – Demetrios sięgnął za pas.

– To go odłóż.

– Nie ma mowy – Demetrios wyciągnął broń i wymierzył ostrze w kierunku gospodarza. – Albo wreszcie wykrztusisz, o co ci chodzi, albo zaraz utnę ci język.

– Ktoś chce kupić moją gospodę – zabrzmiało to tragicznie, jak zawiadomienie o śmierci.

– No to powinieneś skakać do góry z radości.

– Czyżby? Pewnie masz rację. Mój klient chce zmienić zajazd na magazyn. Zdecydował się dobić ze mną targu, bo zależy mu na dostępie do źródeł.

– Dobre i to.

– Ten sam człowiek oferuje Rzymianom wielbłądy.

– Wspaniale. Dlaczego się nie cieszysz?

– Bo on postawił pewien warunek. Mianowicie chce się do nas przyłączyć.

Demetrios zmrużył oczy, przyjrzał się uważnie rozmówcy i wycedził przez zęby:

– Po tonie twojego głosu poznaję, że ten dobroczyńca to wyjątkowo miła osoba. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, jak tylko nasz serdeczny przyjaciel, Mukhatar.

– Właśnie.

Demetrios roześmiał się bez wesołości.

– Tylko trzymaj go ode mnie z daleka. I niech Rzymianie mają go na oku, żeby nie wchodził mi w drogę.

Ravi odetchnął z ulgą, ale czuł się w obowiązku ostrzec Demetriosa:

– Podczas długiej podróży może się to okazać dosyć trudne.

– Postaraj się.

– Spróbuję. Pomyślałeś już o przewodniku stada wielbłądów?

– Oczywiście. – Grek przymknął jedno oko. – Myślę, że Rzymianie doskonale nadają się do tej roli.

Tuż przed świtem przytroczone ostatnie ładunki i karawana ruszyła: Demetrios z czwórką pomocników, Perperna, Kleopatra z dziewczętami, Rufus i trzydziestu sześciu żołnierzy, czyli połowa centurii. Hinduski karczmarz zabrał ze sobą głuchoniemą perską służącą, bo poprosiła, żeby jej nie zostawiał. Jechał z nimi także Nubo, dwunastu poganiaczy i Mukhatar z sześciuosobową, uzbrojoną eskortą. Ravi przytoczył do siodła koszyk, w którym umieścił jakąś amforę. Demetrios przypuszczał, że zawiera przednie wino albo wyborną mieszankę aromatycznych przypraw. Hindus ze smutkiem potrząsnął głową.

– To prochy mojej żony. Nie mogłem jej przecież zostawić w Adane, żeby Arabowie załatwiali się na jej grób.

Demetrios nie miał okazji poznać tej kobiety. Pochodziła z jednego z etiopskich plemion zza Morza Czerwonego i zmarła, zanim on pierwszy raz zagościł w Adane.

W pierwszych dniach nie wydarzyło się nic szczególnego. Mukhatar trzymał się z daleka, co bardzo odpowiadało Demetriosowi. Kleopatra, Thais, Glauke i Arsinoe też zadowolaly się własnym towarzystwem, co już znacznie mniej mu się podobało. Ale rozumiał, że męczyły je upały na pustyni, niewygodne siodła wielbłądów i przedzieranie się wśród skalistych grzbietów, gdzie nieruchome powietrze jeszcze bardziej się nagrzewało. Co jakiś czas musieli zsiadać i wędrować pieszo na obolałych nogach. W dodatku niedostatek opału zmuszał ich do zbierania każdej grudki wielbłądziego nawozu. Pojawiały się jeszcze i inne trudności, zwyczajne dla doświadczonych wędrowców, ale nie do zniesienia dla nowicjuszy. A przecież te pierwsze, upiorne dni miały okazać się najłatwiejsze: drogi w królestwach, które przemierzali należały do najlepszych, najobfitszych w oazy i wolnych od rozbójników. Władcy tutejszych plemion, królowie i administratorzy pomniejszych stolic dbali o bezpieczeństwo podróżnych. Kosztowało to dość drogo – żądali ceł nie tylko na granicy państwa, ale i każdej prowincji, każdego najmniejszego księstwa. Rzymianie również rozstawiali tam celników i pobierali opłaty.

Demetrios zatopił się w rozmyślaniach, zaczął obliczać przyszłe koszty i zyski. „Funt średniej jakości kadzidla, kupiony od Kharkhaira za cztery obole, czyli dwie trzecie drachmy,

można przy odrobinie szczęścia sprzedać w Gazie za dwie i pół drachmy, czyli pięć denarów – myślał. – Jeden wielbłąd udźwignie około czterystu funtów, ale przecież nosi na grzbiecie nie same tylko towary, lecz przede wszystkim wodę, żywność i zapas opału. Przy czym zwierzę, które zaginie, zabiera ze sobą w nieznane mirrę, cały zapas szlachetnych kamieni oraz inne dobra. Czterysta funtów kadzidła kosztuje w Adane prawie dwieście siedemdziesiąt drachm, w Gazie – dziewięćset do tysiąca. Ale po drodze trzeba nakarmić wielbłądy, opłacić ludzi i cło; trzeba na to liczyć co najmniej trzysta pięćdziesiąt drachm”. Demetrios zostawił w Adane wiele złota. Nie chciał zabierać go ze sobą w niebezpieczną podróż przez pustynię. W pierwszych dniach całkowicie pochłaniały go skomplikowane wyliczenia oraz planowanie trasy. Organizacja takiego przedsięwzięcia jak karawana wymagała tęgiej głowy. No i czasu, żeby wszystkie jej elementy mogły sprawnie działać i ze sobą współgrać. Pół centurii zdyscyplinowanych żołnierzy okazało się prawdziwym darem losu. Rufus podzielił ich na małe grupki, które zapewniały ochronę podróżnym i pilnowały porządku. Karni legioniści usuwali także inne, napotkane po drodze przeszkody, jeszcze zanim przywódca karawany zdążył się dowiedzieć o ich istnieniu.

Inne rozważania Demetrios odłożył na później. Obecny stan rzeczy go zadowalał i nie miał ochoty zadawać zbędnych pytań. W każdym razie nie teraz. Zamierzał wyjaśnić pewne wątpliwości dopiero pod koniec podróży, o ile sprawy potoczą się po jego myśli. Nie bardzo wierzył w historyjkę Kleopatry i miał ochotę poznać jej rzeczywiste plany. A także sposób, w jaki Waleriusz Rufus skłonił Kharkhaira do negocjacji. Intrygowało go też, czemu Mukhatar zdecydował się wyruszyć na północ, do znienawidzonego cesarstwa, i to w towarzystwie rzymskich legionistów.

Po trzech dniach przyzwyczał się znowu do jazdy na wielbłądzie. Zmęczenie ustąpiło i nabrał ochoty na rozmowę z Perperną. Wieczorem, przy ognisku, poprosił starca, żeby opowiedział o swoim życiu w niewoli. Perperną tym razem nie odmówił. Rozłożył sobie na ziemi siodło, rozparł się w nim jak w fotelu i uśmiechnął się. Co jakiś czas nabierał garść piasku i powolnym strumieniem wysypywał go z dłoni.

– Jedno ziarenko za każdy zmarnowany dzień życia – wyjaśnił.

– Skoro mówisz o tym, co utraciłeś, nie zapomnij też wspomnieć o zyskach – upomniął go Demetrios.

– Od czego mam zacząć? – stary rozejrzał się dookoła. Mikines i Preksaspes pochylali się nad ogniem, Leonidas i Meleagros przemierzali obóz, sprawdzając, czy wszystko w porządku.

Jedna z kobiet przysłuchiwała się z daleka, oparta o skałę. Demetrios nie mógł w ciemności rozpoznać sylwetki, lecz przypuszczał, że była to Glauke. Od strony drugiego ogniska zbliżał się jakiś mężczyzna. Jego chód i strój wskazywał na rzymskiego żołnierza. Gdy podszedł bliżej, zapytał:

– Panie, czy potrzebny ci Rufus?

– Niekoniecznie. Ale możesz powiedzieć jemu i innym, że Perperna zaraz nam opowie o przygodach rzymskiego wojska w Arabii.

– Przekażę mu wiadomość. – Legionista przyłożył rękę do piersi i odszedł w mrok.

Wąska dolina miała kształt długiego wąwozu. Na jej końcu znajdowało się źródło mętnej, słonawej wody. Słaby żar rozproszonych na dużej przestrzeni ognisk nie przyćmiewał blasku gwiazd.

– Może jeszcze ktoś zechce posłuchać? – spytał Preksaspes.

– Kto na przykład? – Perperna przyjrzał się Persowi z uwagą.

– Choćby Leonidas i Meleagros, szlachetne damy z Egiptu, czy wreszcie sam Mukhatar – roześmiał się Preksaspes.

– Skoro nalegasz – odrzekł Demetrios – pozwalam ci odejść i poinformować kogo chcesz.

Preksaspes wstał, rozłożył ręce w przesadnie udanym geście bezradności i oddalił się. Kobieta, w której Demetrios rozpoznał Glauke, prawie równocześnie zniknęła za skałą. Ravi podniósł się z miejsca.

– Znam twoją historię na pamięć. Nie mam ochoty jej słuchać po raz trzydziesty czwarty.

– Przesadziłeś, trzydziesty trzeci – sprzeciwił się były niewolnik.

– Czemu się wcześniej nie odezwałeś? – Mikines wskazał głową w głąb doliny. – Skoro i tak stąd idziesz, mogłeś oszczędzić wysiłku naszemu przyjacielowi.

– Tylko czy on by tego chciał? – Hindus potrząsnął głową i odszedł, zanim zdążyli dostrzec uśmiech na jego obliczu.

Słuchacze zgromadzili się wokół ogniska – co najmniej dziesięciu Rzymian wraz z Rufusem, dwie Egipcjanki, Leonidas, Nubo i paru poganiaczy, którzy rozumieli co nieco łaciny. W ciemności trudno było rozróżnić twarze i sylwetki. Gdy wreszcie się zeszli, Perperna zauważył z satysfakcją:

– A wszystko to z powodu mojej niegodnej osoby. – Najwyraźniej radowało go niespodziewane powodzenie i liczebność audytorium.

– Głośniej, niegodna osobo – krzyknął ktoś z tłumu. Stary westchnął, podniósł się z siodła i wdrapał się na skałę, mniej więcej wysokości człowieka.

– Tak lepiej? W porządku. To od czego mam zacząć? Losy rzymskiego młodzieńca nikogo nie zainteresują, nawet jeżeli urodził się synem wojownika.

– Dobrze urodzenie nie hańbi – zaoponował Rufus i westchnął.

– Racja, ale nie pozwala czynić rzeczy użytecznych. Wytyczona od początku droga kariery wiedzie do stanowiska legata czy nawet prefekta. Tak jak w przypadku Aeliusza Gallusa, najbardziej nieużytecznego człowieka, jakiego wydał Rzym.

– Daruj sobie tego typu uwagi, lepiej ugryź się w język. Zastanów się, kogo obrażasz – głos Rufusa brzmiał szorstko i groźnie.

– Głupca – Perperna roześmiał się na całe gardło – zaraz się przekonacie. Minęło prawie pięćdziesiąt lat od czasu, kiedy wysłano mnie do Egiptu z kohortą wywiadowców. Ledwo się tam znalazłem, musiałem wyruszyć dalej.

– Dokąd? – zapytał Leonidas. – I po co ten pośpiech?

– Dotarłem prawie do tego miejsca. Aeliusz Gallus prowadził kampanię przeciwko Arabom, a my mieliśmy zbadać teren. W czasie tej tułaczki dowiedziałem się o krajach arabskich znacznie więcej, niż się spodziewałem i niż Aeliusz Gallus mógł sobie wyobrazić.

– Jaki był cel wyprawy? – dopytywał się jakiś głos. Demetrios przypuszczał, że należy do jednego z poganiaczy.

– Cesarz August wysłał Aeliusza Gallusa, żeby dowiedział się jak najwięcej o Arabach, Etiopczykach i ziemiach, które zamieszkują. Wtedy jeszcze nie miałem o niczym pojęcia, jak większość ludzi, którzy wykonują za innych brudną robotę.

– Gdybyś wtedy zrozumiał, w czym rzecz, dziś wyrażałbyś się zupełnie inaczej – odburknął Rufus. Chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował.

– Niewykluczone. Nie jestem tak subtelny jak ty i ten twój dureń, Gallus. Ale wróćmy do Augusta. Wiedział już, że afrykańskie wybrzeże na południe i południowy wschód od Egiptu to kraina barbarzyńców. Zamieszkane przez nich tereny ciągną się daleko na południe, a morze, które oddziela ich od Arabów, jest w pewnym miejscu bardzo wąskie.

– Nie tylko on posiadał tę wiedzę – wtrąciła się jedna z kobiet. – Macedończycy z Egiptu od dawna utrzymywali kontakty handlowe z ludami z południa. – Mówiła niewyraźnie, jakby równocześnie coś żuła, i Demetrios nie mógł rozpoznać, do kogo należy głos.

– Egipcjanie handlowali z nimi już znacznie wcześniej – odrzekł Perperna – ale nie w tym rzecz. August, szlachetny princeps, pan świata, zamierzał uczynić te ludy swymi sojusznikami albo też poddać je swej władzy. Naturalnie fakt, że o ich nieprzebranych bogactwach krążyły legendy, nie miał żadnego wpływu na jego decyzję.

– Nie sil się na szyderstwa – oburzył się Rufus – nie możesz ograniczyć się do opisu wydarzeń?

Perperna wzruszył ramionami.

– Ciągłe mi przerywacie, nic dziwnego, że tracę wątek. Oczekał chwilę, ale centurion nie odezwał się więcej.

Inni słuchacze szeptem wymieniali między sobą jakieś uwagi. Westchnął więc i powrócił do swojej opowieści:

– No więc do rzeczy. Wspomniałem o bogactwie. Mieszkańcy tych ziem wymieniali drogie kamienie i korzenie na złoto i srebro, ale nie wydawali zarobionych w ten sposób pieniędzy. W dodatku jedynie ich kupcy i żeglarze otrzymali wyłączne prawo przewozu towarów. Toteż August postanowił albo pozyskać możnych przyjaciół, albo zwyciężyć bogatych wrogów. Ale jak pozyskać przychyłność ludów, które nie żywią przyjaznych uczuć?

– Na tym właśnie polega polityka Rzymu – skomentował Demetrios. – Nazywa się to wprowadzaniem pokoju.

– Przemieniają kwitnący kraj w usłaną trupami pustynię i nazywają to pokojem – odezwała się jedna z kobiet.

– Kto to powiedział? – Rufus wstał i rozejrzał się dookoła z groźną miną, szukając winowajczynie. Nikt się nie przyznał.

– Szkoda – Rufus cedził słowa przez zęby. – Chętnie zacytowałbym tę opinię, gdy znajdę się ponownie w Rzymie. Żeby udowodnić, że już wszyscy rozszyfrowali nasz sposób postępowania.

– Ha – cmoknął Perperna.

– Dalej – domagali się pozostali słuchacze.

– August liczył na pomoc sprzymierzonych z nim Nabatejczyków. Otrzymał od nich przyrzeczenie, że będą go wspierać we wszystkich przedsięwzięciach. Wysłał więc Aeliusza Gallusa. Jego oddział był zbyt dobrze uzbrojony jak na przyjacielską wizytę i zbyt słabo przygotowany jak na wyprawę wojenną.

– Gdy nie masz pewności, czy sąsiad otworzy ci drzwi, weź ze sobą taran – zachichotał

Mikines.

– Syllaios, po łacinie Sylleus, namiestnik króla Nabatejczyków na obszarach należących do właściwej Arabii, obiecał poprowadzić Rzymian. Miał im pokazać drogę przez pustynię, a także zaopatrzyć ich w żywność i wodę. Lecz gdy kampania ruszyła, oszukał nas.

– Przecież wskazał wam drogę – odezwał się męski głos – inaczej nie trafiłbyś do Adane.

– A ktoś chciałby się tam dostać?

– Na przykład paru Rzymian jakiś czas później, nawet przy pomocy floty. Ale wróćmy do tej przeklętej nabatejskiej świni. Łotr otrzymał w końcu należną zapłatę.

– Skąd wiesz? – zapytał Demetrios. – Przecież wtedy ty przebywałeś w Arabii.

– Wieści szybko się roznoszą. Moi rodacy co prawda nie mieli ochoty wykupić mnie z niewoli, ale za to opowiedzieli mi to i owo.

– Nie wykupili cię, żebyś ich nie zanudzał opowieściami, tak jak nas w tej chwili – zażartował jeden z legionistów.

– Trafne spostrzeżenie. Jak już mówiłem, ten Nabatejczyk, Sylleus, ułożył sobie podstępny plan działania. Nie prowadził nas ani wzdłuż wybrzeża, ani uczęszczanymi drogami, tylko przez pustynię, skały i bezdroża, pełne wertepów i zapadlisk. W końcu znaleźliśmy się na bezludnym, stromym brzegu, pełnym mielizn i raf, daleko od jakiegokolwiek portu.

– Wspinaliście się na skały? Ciekawy widok.

– Nie, ale... – Perperna jakby się zawahał. – Aeliusz Gallus popełnił drugi z kolei błąd. Pierwszym było zaufanie Sylleusowi.

– O, nie. Pierwsza pomyłka polegała na tym, że zanim podjął się zadania, nie przestudiował naszych map lądowych i morskich – zaprotestowała któraś z dziewcząt, Glauke albo Thais.

– Jak zwykle. Nic mi o tym nie wiadomo, ale zgadzam się z tobą. Zatem postąpił nieroztropnie już po raz trzeci. Kazał zbudować potężne okręty wojenne, chociaż nie planowano bitwy morskiej. Jest tu w pobliżu Mukhatar?

Jakiś człowiek siedzący blisko ogniska odpowiedział:

– Na szczęście nie. Czemu pytasz?

– No to dobrze. Mogę mówić swobodnie. Arabowie, nawet Mukhatar, to kupcy i kramarze, stworzenia wybitnie lądowe. Nie budują okrętów i nie umieją poruszać się po morzu. Dlatego nie mogło dojść do bitwy morskiej. Oni nie nadają się na żołnierzy.

– A jednak trudno ich zaliczyć do narodów szczególnie miłujących pokój.

– Gdybyście wiedzieli, jak się obchodzą z rzymskimi jeńcami.

– Którzy przybyli do nich z przyjacielską wizytą – roześmiał się ktoś na całe gardło. – Ale opowiadaj dalej.

– Wróćmy do okrętów. Aeliusz Gallus kazał zbudować nad starym kanałem Nilu przynajmniej osiemdziesiąt dwu– i trójwiosłowych łodzi. Zajął to sporo czasu. Paru rozsądnych ludzi próbowało mu wybić ten pomysł z głowy, ale jak Rzymianin sobie coś umyśli... Szkoda gadać. Sami wiecie: panowie świata, uważają się za nieomylnych. W pewnym momencie sam się zorientował, że popełnił błąd. I zaraz nakazał zbudować sto trzydzieści statków transportowych. Którymi my...

– To znaczy kto? Ilu was było? – dopytywał się Leonidas.

– Dziesięć tysięcy piechurów z Rzymu, Egiptu, oraz innych sprzymierzonych krajów, w tym pięciuset Żydów od króla Heroda i tysiąc Nabatejczyków Sylleusa. Przeprawiliśmy się przez morze i chyba nigdy w historii tylu Rzymian równocześnie nie cierpiało na chorobę morską. Dopiero później zorientowaliśmy się, że nabatejscy sternicy celowo zmieniali kurs, żeby przedłużyć nasze męczarnie podczas sztormowej pogody. Zamiast popłynąć najkrótszą drogą, najpierw żeglowali na południe, przez środek Morza Czerwonego, a potem w przeciwnym kierunku. Po piętnastu dniach ścisku, rosgardiaszu i boleści dotarliśmy wreszcie do Leukekome – handlowego portu Nabatejczyków.

– Znamy go wszyscy – wtrącił się Demetrios – ale płynąć tam z Egiptu piętnaście dni, to już bezczelność!

– Po drodze straciliśmy parę statków wraz z załogą – kontynuował Perperna już nieco spokojniej. – Bez walki, wyłącznie z powodu burzy, wirów i mielizn.

– Któż zawinił? – wykrzyknął Rufus. – Wyłącznie Sylleus i jego oszustwa!

– Nade wszystko głupota Gallusa, który mu zaufał. Uwierzył w jego zapewnienia, że droga lądowa nie nadaje się do przemarszu wojska. Podczas gdy niezliczone armie handlarzy przemierzają nieustannie szlak z Leukekome do Petry i z powrotem.

– Lub też, miejmy nadzieję, z Leukekome do Adane i dalej – zauważył ktoś z dalszych kręgów słuchaczy. – Ale lepiej powstrzymajmy się od bardziej lub mniej trafnych uwag i przestańmy wreszcie przeszkadzać.

– Sam daj dobry przykład i zamilcz – rzucił ktoś inny.

Zgromadzeni przy ognisku rzeczywiście zaprzestali zbędnych komentarzy. Czasami tylko ktoś westchnął albo cichutko zachichotał, ktoś inny wstał i znużony udał się na spoczynek. Demetrios zauważył, że w miejsce tych, których zmogła senność, przybywali nowi. Nikt już nie przerywał Perpernie. Spokojnie ciągnął swoją opowieść i ilustrował ją szerokimi gestami. Blask płomieni odbijał się od skały, na której się usadowił, tak że trzeba było zmrużyć oczy, żeby śledzić jego ruchy i mimikę.

– Do całej tej afery z Sylleusem doszło tylko dlatego, że król Nabatejczyków, Obodas, nie interesował się sprawami publicznymi ani wojskowymi – to częsta przypadłość wśród arabskich monarchów. Zdał się całkowicie na samowolnego namiestnika: łajdaka, oszusta, szalbierza, krętacza, drania i łotra.

Tu jeden ze zgromadzonych nie wytrzymał i zwrócił mówcy uwagę, że wszystkie te obelgi oznaczają to samo i zamiast ubarwiać opowieść, zaciemniają jej sens. Perperna wysunął przypuszczenie, że Sylleus przy pomocy Rzymian zamierzał opanować miasta i ziemie Arabów, a następnie wyniszczyć legionistów, narażając ich na głód, pragnienie, choroby i śmierć z wycieńczenia. Zostawiwszy za sobą zwłoki sojuszników, mógłby bez przeszkód podporządkować sobie wszystkie zdobyte terytoria. Gdy Gallus wylądował w Leukekome, jego ludzie nie mogli się utrzymać na nogach i chorowali na jakieś zakażenie jamy ustnej.

– Cóż to za choroba? – zakpił Leonidas. – Czy przypadkiem nie prowadzi do słownej biegunki?

– Poważna sprawa. Żołnierze, prawdopodobnie w wyniku picia zakażonej wody czy spożywania szkodliwych roślin, cierpieli na niedowłady mięśni nóg i twarzy. Aeliusz Gallus był zmuszony przeczekać zimę i lato i nie mógł ruszyć się z miejsca, póki nie wrócili do zdrowia.

– Tak stanowi nasze prawo – podsumował Perperna – że tylko zdrowemu wolno zginąć w walce. Słabsi muszą przeżyć, bo nie osiągnęli jeszcze zasług, którymi mogliby się wykazać przed bogami podziemi.

Demetrios spodziewał się, że Rufus zaprotestuje, lecz centurion milczał.

– Z Leukekome przewozi się towary do Petry, stamtąd do Gazy lub miast fenickich – ciągnął Perperna. – Czasami, jeżeli na drodze nie pojawi się akurat Aeliusz Gallus lub jego zarządcy, transportuje się je przez morze do Egiptu. Podobnie jak rzeczy przywożone z Indii i Arabii. Tu droga wiedzie do Myos Hormos, później na wielbłądach do Koptos, wreszcie kanałem Nilu do Teb i stamtąd rzeką do Aleksandrii.

– Bezcenne wskazówki, zwłaszcza dla kogoś, kto siedem czy osiem razy przemierzył tę trasę – zakpił Mikines.

– Nie każdy potrafi wyciągnąć wnioski z doświadczeń. Nawet się nie domyślasz, ilu ludzi rozmienia bezcenny kruszec wiedzy na miedziaki głupoty.

– Dalej, na wszystkich bogów!

– Podstępny przewodnik wywiódł wojsko Gallusa na takie manowce, że żeby nie zginąć z pragnienia, trzeba było dodatkowo objuczyć wielbłądy zapasem wody. Dopiero po wielu dniach dotarliśmy do kraju Aretasa, krewnego króla Obodasa. Władca przyjął Gallusa życzliwie, a nawet go obdarował. Ale i tam podstępny Sylleus zdołał uprzykrzyć nam życie. Trzydzieści dni wędrowaliśmy okrężną, od dawna nieużywaną drogą. Za jedyne pożywienie służyło nam parę suchych daktyli i trochę ziaren orkiszu. A nowy, powszechnie uczęszczany szlak prowadzi przez żyzne doliny, pełne wody, owoców i zboża.

– Nie mogliście poruszać się szybciej? – zadrwił jakiś żartowniś. – Wtedy prędzej wydobylibyście się z pułapki.

– Kto biegnie podczas upału, spieszy ku śmierci. Następny cel podróży stanowił kraj o nazwie Ararena, prawie bezludny. Mieszka tam tylko garstka wędrownych pasterzy. Ich król nazywa się Sabos. Nie wiem, po co nomadom monarcha, ale nad tym niech się już zastanawiają filozofowie, jeżeli im się będzie chciało. Na tym pustkowiu straciliśmy kolejnych pięćdziesiąt dni, błakając się po bezdrożach. Po wyczerpującej tułaczce znaleźliśmy się w spokojnym i żyznym kraju, w mieście Negram. Król zbiegł, a my zwyciężyliśmy już w pierwszej potyczce.

– Tacy są Rzymianie – oburzył się ktoś ze słuchaczy – bogaty kraj, spokojni obywatele, jeden cel: podbić, zniewolić!

– Stamtąd szliśmy jeszcze sześć dni nad pewną nędzną rzeczka, która do tej pory pewnie już wsiąkła w piach lub wyparowała, jak jej nazwa z mojej pamięci. Gdy barbarzyńcy...

– Kto taki? Ach, prawda, my, tylko my.

– Tak więc ci ludzie, nieobyci z bronią i niewyćwiczeni, wdali się z nami w walkę. Mieli tylko spróchniałe luki, wykrzywione dzidy, wyszczerbione miecze i nędzne proce. Najchętniej jednak posługiwali się toporami o dwóch ostrzach. Takim narzędziem nie da się nawet uciąć gałązki. A człowieka można najwyżej połaskotać. Śmiechu warte! Toteż poległo ich aż dziesięć tysięcy, a naszych tylko dwóch. Zaraz też zajęliśmy kolejną stolicę, Aska, którą monarcha opuścił w popłochu. Następne miasto, Atrulę, zdobył Gallus bez walki. Gdy tylko umieścił tam

swoją załogę i uzupełnił zapasy zboża i daktyli, pociągnęliśmy dalej do Marib, prawdopodobnie niegdysiejszej stolicy królestwa Saby. Mieszka tam lud Ramanitów. W tamtych czasach rządził nimi król Ilazarus. Sześć dni oblegaliśmy tę twierdzę, ale gdy zabrakło nam wody, musieliśmy odstąpić.

– Niedostatek wody w okolicy Marib? Przecież to właśnie tam zbudowano wspaniałe kanały i olbrzymi zbiornik na wodę, uznany za jeden z największych cudów świata.

Perperna poruszył gwałtownie ręką, jakby chciał odrzucić daleko od siebie kawał cuchnącego mięsa lub coś jeszcze bardziej obrzydliwego.

– Teraz to i ja wiem – mruknął – ale wtedy nie miałem o tym pojęcia. Zresztą taka wiedza i tak na nic by mi się nie zdała. Ten głupiec Aeliusz nikogo nie słuchał. Wierzył tylko tym nabatejskim świniom. A jego ulubieńcy świadomie wprowadzali nas w błąd, narażali na zgubę. A może...

Demetrios czekał na wyjaśnienia, nie otrzymał ich jednak. Jego sąsiad nie wytrzymał napięcia i ośmielił się grzecznie zapytać:

– Dojrzały wiek i lata doświadczeń upoważniają cię do wyciągania wniosków. Wyjaw nam, proszę, swoje podejrzenia.

– ...Może Nabatejczycy po prostu doszli do wniosku, że lepiej stanąć po stronie Arabów niż Rzymian. Nasze legiony pojawiają się tam zaledwie od czasu do czasu, tamci zaś stale zamieszkują te ziemie. Postanowili więc trzymać stronę sąsiadów.

– Może w przyszłości przekonają się jeszcze, że popełnili błąd – powiedział jeden z Rzymian.

– W każdym razie, do tej pory wojska rzymskie rzadko się tam pojawiały. Ale wróćmy do Aeliusza. Być może znajdował się dwa dni drogi od Korzennej Krainy, przynajmniej tak się później dowiedział od jeńców. Ale wtedy jeszcze o niczym nie wiedział. My też. Przez sześć miesięcy włóczyliśmy się w morderczym upale po bezdrożach, oszukiwani przez nieuczciwych przewodników. Ciągłe w podróży, między skalistymi dolinami a pustyniami pełnymi piasku i głazów. Gallus dopiero w drodze powrotnej odkrył spisek i obrał zupełnie inną trasę. Już beze mnie – westchnął Perperna. – Zostałem zraniony w niewielkiej potyczce i dostałem się do niewoli. Dalszą część historii znam już tylko z opowiadań. Skleciłem ją w ciągu długich lat z zasłyszanych fragmentów. W dziewiątym dniu żołnierze przybyli z powrotem do Nagram, gdzie też stoczyli bitwę, a w jedenastym – do Siedmiu Źródeł. Potem poszli dalej, poprzez

spokojny kraj, obfity w wodę, pastwiska i sady, aż do miasta Egra. Leży ono już w kraju Obodasa. Dotarcie do celu zajęło im uprzednio sześć miesięcy, a powrót – zaledwie sześćdziesiąt dni. Stamtąd przeprawili się do Myos Hormos w jedenaście dni, a potem jeszcze dalej przez pustynię do Koptos. Ci, którzy przeżyli, wrócili z Gallusem do Aleksandrii. W walce padło tylko siedmiu żołnierzy, pozostałych zabił głód, choroby, przemęczenie i udręka. Aż trudno uwierzyć. Tak wygląda oficjalna wersja wydarzeń. Ja jestem pewien, że zginęło zaledwie sześciu. Ten siódmy przeżył. To ja.

– Jak skończył ten zdrajca Sylleus czy jak mu tam?

– zapytał jeden z poganiaczy.

– Wyprowadził dziesięć tysięcy legionistów na pustynię i miał nadzieję, że ich wygubi, ale nie tak łatwo zniszczyć rzymskich wojowników – w głosie Perperny brzmiała wyraźna duma. Każcie nam maszerować czterdzieści mil dziennie, w pełnym rynsztunku i z obciążeniem, a wykonamy rozkaz. Nie wszyscy przeżyją, taka już kolej rzeczy. Lecz większość ludzi umiera we własnych łózkach. Czy z tego powodu mamy nie kłaść się spać?

– Sylleus! – przywołał go ktoś do porządku.

– No dobrze. Zamierzał nas wygubić. Został w końcu odesłany do Rzymu i stracony. Zbyt szybko, moim zdaniem. Powinien umierać powoli, w męczarniach.

Gdzieś wysoko, ponad krawędzią doliny, rozległy się głosy. Perperna nie zwracał na nie uwagi.

– Jeśli chodzi o moje przeżycia...

– Coś się dzieje – przerwał mu jeden z poganiaczy. Zaczął nasłuchiwać, inni również. Gdzieś z daleka dochodził gwar głosów, ale z powodu odległości nie dało się rozróżnić słów. Nagle przybiegł jakiś człowiek. Sapał i dyszał z wysiłku. Dopiero gdy podszedł do ogniska i płomienie oświetliły mu twarz, rozpoznali Ravięgo. Miał krótki, płytki oddech i wykrzywioną twarz.

– Chodź z nami, przywódco.

Demetrios podniósł się powoli, jakby olbrzymi ciężar przygniatał go do ziemi, jakby na barkach dźwigał ciężar całego nieboskłonu, wszystkich planet i gwiazd.

– Co się stało? – zapytał.

– Natknąłem się na coś w ciemności, w górnym krańcu doliny. Weź pochodnię i chodź.

Leonidas wyciągnął polano z ognia i poszedł przodem. Koło uskoku znaleźli ciała Preksaspesa i głuchoniemej perskiej służącej, ukryte za skalnym występem. Jemu poderżnięto

gardło. Dziewczyna została uduszona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czyny i marzenia Afera

Każdy, kto uważa, że wymaga to wiele wysiłku, pracy i kosztów, ma rację. Lecz kto zważy niebezpieczeństwa, jakie zagrażają miastu w wyniku zaniedbania, zrozumie, że dobrowolne wypełnianie obowiązków przynieść może tylko korzyści.

DEMOSTENES

Afer obrał inną drogę powrotną, biegnącą nieco dalej na południe. I ta, podobnie jak poprzednia, wiodła przez kamienistą pustynię, lecz kończyła się w Dekapolis, na obszarze dziesięciu miast. Pompejusz utworzył tę ligę ponad osiemdziesiąt lat temu, żeby uwolnić większość nieżydowskiej ludności tych terenów spod władzy żydowskich kapłanów i królów. No i po to, żeby zacieśnić jej związki z Rzymem.

Afer jechał początkowo przez piaszczyste pustkowia i doliny, lub raczej żleby, i wyschnięte od niepamiętnych czasów koryta rzek pełne otoczaków. Odwołując się do intuicji oraz wspomnień map, trzymał się przy tym granicy wytyczonej przez dalekich polityków oraz szalonych, ale nieruszających się z miejsca geografów. Nic nie odpowiadało tej linii w naturze, ale oddzielała ona zhellenizowane obszary od państwa Filipa na północy. Podobnie jak ta na południu, która z kolei wyznaczała obszar państwa Nabatejczyków. Ci jednak za nic mieli wszelkie granice.

Podczas jazdy Afer rozmyślał zarówno o tych, jak i o innych sprawach. Żydowscy władcy zazdrośnie pilnowali się nawzajem, żeby żaden z nich nie urósł zbyt w potęgę, tak że wojsko rzymskie nie musiało tu interweniować. Z kolei związani z Rzymem Nabatejczycy wciąż walczyli z Arabami. Dlatego zgodzili się na umieszczenie w swoim najważniejszym porcie rzymskiej załogi. Tolerowali nawet obecność celników. Za to niepostrzeżenie objęli w posiadanie wioski w południowej części Dekapolis. I tak lepiej, niż gdyby zawładnęli nimi Arabowie – doświadczeni podróżnicy, doskonali kupcy i przebiegli bandyci.

Ze wszystkich narodowości zamieszkujących tereny wzdłuż granicy cesarstwa Afer

najbardziej lubił obywateli Dekapolis i niezliczonych okolicznych wiosek. Byli zbyt słabi, żeby przeciwstawić się Nabatejczykom. Nie mieli króla, który wysyłałby poddanych na wojnę. Ani arcykapłanów, którzy zmuszaliby wiernych do zabijania wyznawców jakiegoś innego, równie niewidzialnego boga. Rady miast uchwalały ustawy, adaptując do miejscowych warunków prawo ateńskie lub rzymskie. W każdym z dziesięciu miast żyło ponad trzydzieści tysięcy ludzi. W każdym zatrudniano sędziów i katów, a nawet strażaków do gaszenia pożarów. Lecz jak wszędzie, tak i tam zdarzały się zamieszki, spory i podpalenia. Wiadomo – gdzie dwóch ludzi, tam trzy różne zdania.

Dekapolis nie utrzymywało armii i nie napadało na sąsiadów. Było bezbronne, a zatem skazane na zagładę. Tymczasem jednak istniało i właśnie tam gromadził się wszelki podejrzany element. Nie brakowało szpiegów, zbiegłych więźniów i zbrodniarzy, uciekających przed wymiarem sprawiedliwości. W Dekapolis mogło zdarzyć się wszystko.

Afer kołysał się na grzbiecie konia i oddawał przyjemnym rozmyśleniom: o wolności i braku nadzoru. W Dekapolis rzymscy i partyjscy szpiegowie mogli wymieniać doświadczenia, oszuści porównywać podstępny. Jeżeli Hektor i Achilles odłożyli kiedyś broń i w przerwie pomiędzy bitwami usiedli zgodnie przy kielichu, to nie mogli tego zrobić gdzie indziej, jak tylko w jakiejś karczmie w Gadarze, w szynku w Hippos albo w którymś z przybytków rozkoszy w Gerazie. Na tym brzegu Jordanu. Kiedyś, w dalekiej przeszłości, właśnie z tej strony rzeki po raz pierwszy Żydzi zobaczyli Ziemię Obiecaną. Po ucieczce z Egiptu i długiej tułaczce pokazał ją im ich przywódca. Od tej pory ten skrawek łądu stał się synonimem rajy i każdy, kto przekraczał Jordan, wracał do domu Pana.

„Przeszedł przez Jordan” – mówili ludzie w Judei o kimś, kto chwalił wolność w krainie anarchii. Najchętniej przepędziliby nieprawomyślnych „do Dekapolis, za Jordan”, choć niektóre spośród ligi dziesięciu miast leżały na zachód od rzeki, a rada miasta i sędziowie surowo egzekwowali tam przestrzeganie prawa. Członkowie wspólnoty, którzy nie wyobrażali sobie życia poza własną społecznością, traktowali kogoś, kto się tam wybrał, jak odszczepieńca. Albo raczej jak umarłego.

Pod wieczór pierwszego dnia Afer opuścił pustynię i wy dostał się na półpustynne tereny porośnięte kolczastymi zaroślami. Niedaleko stąd leżały osiedla, pola, pastwiska i wioski należące do Dekapolis. On jednak wybrał samotność. Nie miał ochoty nocować ani w gospodzie, ani w szopie u wieśniaków. Napoił i nakarmił konie, związał im przednie nogi i wymościł sobie

posłanie w zaroślach. Zjadł nieco chleba z wędzonym mięsem, popił wodą i utkwiał wzrok w nieboskłonie. Liczba dalekich, nieosiągalnych gwiazd wielokrotnie przekraczała ilość wszystkich miast i osiedli na ziemi. Świeciły lodowatym blaskiem, roznieconym przez równie odległych bogów, o ile w ogóle jacyś istnieli. „Jakie nietrwale wydają się twory człowieka wobec ogromu kosmosu! – myślał. – Upadła republika rzymska i dawna ateńska demokracja, pryncypat czy władza wschodnich despotów. Jak straszliwa jest tyrania żydowskich teokratów i uczonych w Piśmie, jak nieznośne życie wśród wzajemnej nienawiści i pogardy”. Nie widział dla siebie innej drogi niż nadzieja na awans po wypełnieniu powierzonych sobie misji. Mógł liczyć na objęcie wyższego stanowiska w hierarchii skłóconej, zapalczywej, wojowniczej społeczności. Kolejne zmagania, następne tarapaty. Praca na rzecz Heroda Antypasa, później może w samym Rzymie. Lecz czy w stolicy czeka go coś lepszego niż na pustyni, w Dekapolis, w królestwie Żydów lub w rzymskiej prowincji Judei?

Nie mógł zasnąć, a potem bez żadnej wyraźnej przyczyny co jakiś czas się budził. Nie uwierały go kamienie pod posłaniem, nie niepokoiły żadne odgłosy, nie zakłócały spokoju krzyki zwierząt. Mimo to co chwila otwierał oczy, wpatrywał się w przygraniczne zarośla i zagłębiał we własne, niewesołe myśli. Nakrywał głowę połatanym kawałkiem derki. Zupełnie jakby chciał odgrodzić się od rzeczywistości, a przez dziury w tkaninie oglądał rozmyte mgławice i niewyraźne nocne mary. Jedno z tych widziadeł przybrało twarz kobiety. Rozpoznał to oblicze, zanim zniknęło w ciemnościach. Należało do kobiety z Magdali.

Półtora roku wcześniej jechał przez te zarośla i wzgórza, na wschód od jeziora. Herod Antypas i inni sojusznicy Rzymu nazywali je Tyberiadzkim na cześć cesarza. Pozostali używali nazwy Genezaret. Nocował wtedy w pewnej mało uczęszczanej gospodzie na obrzeżach Hippos. Poza nim zatrzymało się tam zaledwie paru kupców i ich pomocników. Znał właściciela z wcześniejszych podróży, ale tym razem go nie spotkał. Gośćmi zajmował się tylko jeden niewolnik, dwie służące i jakaś obca kobieta. Jak się okazało, ta ostatnia przygotowała w kuchni prosty, ale smaczny posiłek, złożony z soczewicy, czosnku, prosa, i kawałka pieczeni. Afer zjadł, popił kwaśnym piwem i zamienił z niewolnikiem parę słów o pogodzie, porach roku i ostatniej karawanie. Uprzejmie podziękował jednej z dziewczek za oferowane usługi. Czuł się zmęczony, nie na tyle jednak, by zasnąć. Postanowił zanotować spostrzeżenia z podróży, żeby nie umknęły mu z pamięci, zanim sporządzi raport. Liczył na to, że przy tej nudnej czynności szybciej zmorzy go sen. Pochodnie na ścianach dawały zbyt słabe światło, toteż poprosił niewolnika o lampkę

oliwną. Gdy ją otrzymał, wyciągnął woskową tabliczkę i za pomocą rylca pokrył ją znakami, które tylko on sam potrafił odczytać. W kuchennych drzwiach pojawiła się dziewczyna. Jeden z handlarzy rzucił dwuznaczną uwagę o upalnej nocy i gorących kobietach. Zagadnięta przystanęła, skrzyżowała ramiona na piersi i odrzekła z uprzejmym, ale nieco lekceważącym uśmiechem:

– Tam, w kuchni, bucha z pieca jeszcze większy żar. Ktokolwiek przy nim stanie, nie tylko się rozgrzeje, ale może się żywcem upiec. Jesteście jeszcze głodni? – Mówiła płynnie po grecku, z ledwie słyszalnym aramejskim akcentem.

– O tak, miałbym apetyt, ale nie na mięso, tylko na ciebie.

– Lepiej nie próbuj, bo się otrujesz! – skinęła handlarzowi głową, podeszła do Afera i stanęła przy stole. Przyjrzał się z podziwem jej gęstym, czarnym włosom i delikatnym rysom twarzy. Ciekaw był, jakie kaprysy losu zagnały ją do tej spelunki.

– Najadłeś się? – zapytała kucharka.

– Znasz kogoś, kto przyzna że jest syty? Ale głodu nie czuję. Czy napijesz się ze mną czegoś zimnego? – uśmiechnął się i uniósł kubek do góry.

Patrzyła na niego nieufnie, krytycznie. Nagle dostrzegł w jej oczach cierpienie, lub raczej przeczuł szóstym zmysłem, że jakaś udręka zatruwa jej duszę. „Coś jej doskwiera – pomyślał – jak kolec w oku, jak ostrze noża w ranie. Cóż mnie ona obchodzi?” – próbował przywołać się do porządku. Ale zanim się zastanowił, już wyciągnął rękę w jej kierunku i przemówił po aramejsku:

– Tęsknisz za domem, prawda? Skąd jesteś?

Popatrzyła na niego zdumiona, potem spuściła wzrok, otworzyła i ponownie zamknęła usta, wreszcie przeciągnęła wierzchem dłoni po twarzy. Gdy odjęła rękę, Afer nie dostrzegł już łez w jej oczach. Lub może ten dziwny przeblysł jasnowidzenia minął tak szybko, jak się pojawił.

– A ty kim jesteś? – spytała.

– Kimś, kto musiał się nauczyć bacznie obserwować. Spuściła powieki, wydawało się, że coś rozważa.

– Twój aramejski brzmi... po rzymsku? Nieważne – nagle zamachała rękami jak ptak, który strząsa krople deszczu ze skrzydeł i próbuje wzbić się w powietrze. – Nie obchodzi mnie, skąd jesteś. Człowiek i syn człowieka, tylko to się liczy. – Opadła na stołek i wsparła dłonie o stół, wewnętrzną stroną do góry, lekko uginając palce.

Leżał teraz wśród zarośli w pobliżu granicy i oczekując świtu, przypominał sobie detale ze snu. Ta twarz, te dłonie, złożone na stole, jak pazurki zmęczonego ptaka. Nie przypominały szponów drapieżnika. Raczej małe łapki, zbyt słabe, by odbić się od ziemi i dać ciału impuls do dalekiego lotu. Do powrotu do ojczyzny.

– Jak się domyśliłeś, że tęsknię? – spytała tamtego wieczoru.

– Wyczytałem to z twoich oczu.

– To znaczy, że albo jesteś bardzo spostrzegawczy, albo i ciebie dręczy smutek.

Nie pamiętał już, czy się wtedy roześmiał. Przypominał sobie tylko, że zamilkł na chwilę, gdy niewolnik przyniósł dwa kubki chłodnego piwa.

– Czy wszystkich nas nie ciągnie w rodzinne strony? – spytał, gdy sługa opuścił izbę.

– Jeżeli tylko możemy nazwać jakiś skrawek łądu ojczyzną. – Zamyśliła się i upiła łyk trunku.

Znowu ogarnęła go senność. Starał się nie zapaść w drzemkę, lecz w tym stanie półsnu, półczuwania, wróciły do niego słowa i obrazy z przeszłości. Także te, które pragnął wyrzucić z pamięci, zostawić daleko za sobą.

– O ile pamiętam – powiedziała – macie takie przysłowie: „Gdzie szczęście, tam i ojczyzna”.

– „Ubi bene, ibi patria”. Ale gdzie się dobrze dzieje?

– Tam, gdzie czujemy się jak u siebie.

– A gdzie można się tak poczuć? I od czego to zależy? Sącząc piwo, rozmawiali o ludzkich potrzebach, podejściu do życia i różnych zapatrywaniach na szczęście.

– Pochodzę z Magdali.

Afer przymknął oczy. Wydawało się, że ponownie usłyszał nutkę nostalgii w głosie dziewczyny.

– To twoje miasto?

– Już nie. Uciekłam stamtąd.

Rodzice wychowywali ją twardą ręką. Wcześniej zmarli, a wtedy znalazła się pod opieką jeszcze surowszych krewnych. Pewnego dnia spotkała Greka służącego w rzymskim wojsku. Wycieńczony z pragnienia i upału żołnierz w drodze na posterunek dopadł resztką sil słonego jeziora i próbował się z niego napić. Podała mu kubek słodkiej, świeżej wody. W oczach rodaków stała się przez to nieczysta. Skalał ją oddech cudzoziemca, dotknięcie palców poganina zbrukało jej dłonie. Wiedziała, co ją czeka: długotrwała i upokarzająca ceremonia oczyszczenia,

pogardliwe spojrzenia i szorstkie słowa. Wolą uciec.

– Siedem diabłów zagnieździło się w moim ciele. Z sześcioma już sobie poradziłam. – Nie wiedzieć czemu, uśmiechnęła się jakoś smutno. Obawiała się, że powrócą, czy żałowała, że sobie poszły?

– A siódmy?

– Niech jeszcze pomieszka. Wierzę, że i on mnie opuści, gdy coś się wydarzy.

– Co takiego? Zostanie wypędzony?

– Tak. Za pomocą potężnej siły. Czegoś niezwykle doniosłego, co zajmie nie tylko jego miejsce, ale także wypełni pustkę, która pozostała po tamtych sześciu demonach.

– Czekasz chyba na boga, który cię nawiedzi – roześmiał się Afer – albo liczysz na to, że z wiekiem staniesz się silniejsza.

– Pomówmy o tobie. Skąd pochodzisz?

– Znikąd. Dom, w którym się wychowałem, już nie istnieje, a nowego nie znalazłem.

– Nie masz żony, dzieci?

– Czyż wojsko, którym dowodzę, mogę nazwać dziećmi, kwaterę – domem, a tę czy inną dziewczkę – małżonką?

– Małżonką nie, ale kobietą na pewno.

Afer nie miał pewności, czy chciałby się z kimś na stałe związać. Na dzieciach też mu specjalnie nie zależało. Ale jeśli uda mu się w przyszłości zrealizować przyjęty plan, małżeństwo z rodowitą Rzymianką okaże się najprostszym i najkorzystniejszym rozwiązaniem.

Na linii horyzontu pojawił się pierwszy blask porannej zorzy. Afer nakarmił i napił konie, zjadł reszkę suchego chleba i napił się wody. Czuł się niewyspany lub może wyczerpany częstą gonitwą myśli. Od dawna nie wspominał przygodnej znajomej z Magdali lub raczej odpędzał wspomnienia. Tamtego ranka dołączyła do niego. Chciała pokonać ostatniego demona w nowym miejscu. Wybrała Kafarnaum. Zabrał ją ze sobą, bo potrzebował kobiety, która by mu gotowała. Tak przynajmniej tłumaczył swoją decyzję. W rzeczywistości pragnął pięknej, odważnej, zbuntowanej Żydówki. I na tym się skończyło. Nie zdobył jej serca. Dwa dni po przyjeździe opuściła go i poszła za tym nowym prorokiem, synem cieśli, Jezusem.

Koń niósł go poprzez wzgórza na wschód i dalej, w kierunku jeziora, a on nadal wspominał swój niesamowity sen. Czemu właśnie tej nocy pod powiekami pojawił się obraz kobiety z Magdali? I co się z nią stało? Ten Jezus przebywał przeważnie w okolicy Kafarnaum, ale

żydowscy kaznodzieje nie należeli do ulubieńców Afera. Służbowo też nie miał z nimi do czynienia, chyba że siali niepokój i podburzali do buntu przeciwko królowi lub cesarzowi. Jezus, choć nauczał i głosił słowo boże, nie należał do wichrzycieli. Ani jego nauki, ani też zwolennicy nie odgrywali żadnej roli w misji, którą powierzono Aferowi.

W trakcie dalszej podróży usiłował się skoncentrować na swoich zadaniach. Próbował myśleć o wydarzeniach w Ao Hidis – twierdzy leżącej w oazie. A także o młodym Hiqarze i starym księciu, o troskach Heroda Antypasa w związku z poczynaniami króla Filipa. Jednak przed jego oczami raz po raz pojawiała się postać dziewczyny, której pragnął, lecz nie zdobył. Nagle zachichotał. Uświadomił sobie, że to ona go posiadała, zawładnęła jego sercem. Albo też któryś z jej demonów opętał jego duszę i dręczył przypominaniem minionych zdarzeń.

Zatrzymał się na krótki odpoczynek w Betsaidzie. Gospodarz, stały informator, tym razem nie dostarczył mu żadnych nowin. Na północnym brzegu jeziora Afer zamienił jeszcze parę zdań z innymi zaufanymi wywiadowcami – strażnikami granicy Filipa. Znał ich dobrze i wiedział, że nie zdradzą towarzyszom jego tożsamości i funkcji. Przekraczał tę granicę dość często i wymieniał z oficerami informacje na temat uciążliwych dla obu stron buntowników. Postarał się, żeby wartownicy doszli do wniosku, że woli przedostać się na drugą stronę dopiero wtedy, gdy służbę obejmą ich koledzy.

Kafarnaum leżało nieopodal. Afer rozkulbaczył konie i odwiedził twierdzę, żeby się dowiedzieć, czy pod jego nieobecność wydarzyło się coś ważnego.

– Nic szczególnego – odpowiedział Ksantipos, wysoki, chudy, pochodzący ze Sparty zastępca Afera. Targował się właśnie zawzięcie z jakimś handlarzem. Człowiek ten przyjechał wozem wypełnionym bryłami żelaza i usiłował sprzedać je do kuźni, która wykonywała broń dla twierdzy.

– Ten parszywy pies usiłuje zamienić marne żelazo na dobre srebro – złościł się urzędnik.

Afer przyjrzał się bryłkom metalu.

– Zostaw ocenę kowalowi.

Ksantipos oparł ręce na biodrach i odwrócił głowę w kierunku kuźni. Z jej komina unosił się gęsty, cuchnący słup dymu.

– Co ty sobie myślisz? Nie widzisz, co się tu dzieje?

– To po co się kłócisz?

– Nie kłóć się, próbuję tylko skłonić sprzedawcę, żeby cierpliwie czekał na swoją kolej.

– Panie – poskarżył się kupiec – zrobiło się późno, a ja nie załatwiłem sobie jeszcze noclegu.

Nie mogę w nieskończoność czekać, aż ktoś zechce do mnie podejść i obejrzeć mój towar.

– Mamy jakieś miejsce? Ksantipos wzruszył ramionami.

– Mógłby przespać się w stajni za niewielką opłatą.

– Zatrósz się o to – Afer szykował się do odejścia – skoro nie dysponujemy niczym lepszym.

– Byłbym zapomniiał – zatrzymał go urzędnik. – Poseł od króla czeka na ciebie.

– Kto to taki?

– A któżby?

Afer westchnął. Skoro Ksantipos nie chciał wyjawiać imienia, musiało chodzić o Nikiasa. Stary Kreteńczyk zajmował się zbieraniem i przekazywaniem ściśle poufnych informacji.

– Mam się z nim spotkać jeszcze dzisiaj?

– Teraz znajdziesz go pewnie w którymś z szynków. Ale myślę, że sprawa może poczekać do jutra.

– Wiesz, czego dotyczy?

Ksantipos zmarszczył nos i zwrócił się do kupca:

– Hej, ty! Zaprowadź tam swojego konia i wóz – pokazał ruchem głowy na stajnię przylegającą do murów miejskich. Obok znajdowały się inne szopy i miejsca noclegowe. Gdy mężczyzna odjechał swym skrzypiącym wozem, spartanin ściszył głos.

– Moim zdaniem chodzi o drewno i wszystko, co z niego powstaje. Nie wiadomo tylko, czy uda się spalić wyroby.

Afer wciągnął powietrze przez wółprzymknięte usta.

– Czy to konieczne już teraz? Ale pogadam z nim jutro. Wraciał okrężną drogą. Starał się omijać te karczmy, które Nikias najchętniej odwiedzał. Przed jego oczami znów pojawiły się nocne widziadła: twarz kobiety z Magdali i postać jej mistrza. Może to prorocze widzenie? „Drewno i wszystko, co z niego powstaje” oznaczało syna cieśli. A spalenie produktów? Zagwizdał przez zęby. Z tego, co wiedział, Herod Antypas zatrzymał się na pewien czas w twierdzy Macheront na wschód od Morza Martwego. W tej samej, gdzie przed rokiem kazał ściąć Jana Chrzciciela. Mówiono, że wydał ten wyrok, żeby sprawić przyjemność córce swej żony. Lecz Afer miał pewność, że król chciał w ten sposób zaskarbić sobie przychylność kapłanów i uczonych w Piśmie. Jeżeli Nikias przybył ze sprawą tego rodzaju, to oznaczało, że

faryzeusze znowu naprzykrzają się Herodowi. Pewnie domagają się skazania kolejnego odszczepieńca. Jakiegoś wędrownego kaznodziei, który trochę inaczej rozumie słowa ich wspólnego Boga. Ten Jehousza powiedział podobno, że szabat jest dla ludzi, a nie ludzie dla szabatu. Straszliwe bluźnierstwo dla tych, którzy uważają, że potrafią wykładać Pismo. Może Jehousza uważa także, że Bóg jest dla ludzi, a nie ludzie dla Boga? Jeszcze okropniejsze bluźnierstwo.

„O, bogowie! – westchnął już prawie na progu domu – czy nie potraficie ochronić nas przed sobą?”

Pomyślał, że to jeszcze większa nieprawość. Zarówno tutaj, jak i w innych obszarach cesarstwa wielu już poniosło śmierć za mniejsze przewinienia. Zostali ukrzyżowani, wbici na pal, ukamienowani albo przebici włóczniami.

Przywitała go cisza. Zwykle wychodził mu na spotkanie niewolnik i stary przyjaciel, Tiszahar. Miał doskonały słuch, z daleka rozpoznawał kroki swego pana i czekał na niego przed progiem. Na przywitanie podawał mu zwilżony ręcznik do twarzy i puchar, napełniony w równych częściach wodą i winem. A później miednicę, żeby mógł zmyć kurz ze zmęczonych stóp. Afer wszedł do domu. Poczł też dziwny, obcy zapach, woń choroby. Odpowiedział mu jęk. Niewolnik, stary przyjaciel, leżał na macie na podłodze. Zanim go dotknął, wiedział już, że ma wysoką gorączkę.

– Panie, nie mogę się ruszyć – wymamrotał z wysiłkiem chory.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ślady na piasku

Tak więc nikt nie troszczy się nawet w najmniejszym stopniu o prawdę, a jedynie o to, co wiarygodne, a więc o pozory.

PLATON

Oczywiście tej nocy prawie nikt nie spał. Ciemności nie pozwoliły rozpocząć śledztwa, mimo to wszyscy tkwili przy ogniskach i snuli najdziwniejsze przypuszczenia.

Pierwszą reakcją Demetriosą było przerażenie. Później przyszedł smutek. Żałoba po współpracowniku, towarzyszu niezliczonych podróży i zaufanym przyjacielu, z którym dzielił najskrytsze tajemnice. Dziewczyny także żałował, ale prawie jej nie znał, toteż jej śmierć nie poruszyła go aż tak mocno. Wiedział, że nawet za dnia niewiele uda się zobaczyć. Na miejsce zbrodni przyszli prawie wszyscy podróżni z karawany, z pochodniami lub bez. Jakie ślady mogły się jeszcze ostać? Demetrios usiadł na ziemi i oparł się plecami o skałę. Włożył do ust jakąś gałązkę, gryzł ją i patrzył w ogień. W jego nędznym świetle usiłował rozpoznać i policzyć postacie. Jeżeli nikt z zewnątrz nie zakradł się nocą do wąwozu, jeden z tych cieni zamordował dwoje ludzi. A może w obozie działała cała szajka zbrodniarzy? Z pewnością wielu myślało podobnie. Któż chciałby się udać na spoczynek, podczas gdy w okolicy grasuje zbrodniarz? Tylko morderca nie ma powodu, by się czegokolwiek obawiać. Czy zabił z jakiegoś konkretnego powodu, czy tylko dla czystej przyjemności, zaspokojenia okrutnych instynktów? Jeżeli tak, to kto wie, czy nie zechce powtórzyć krwawego wyczynu? Trudno sobie wyobrazić przyczynę, dla której zginęli Preksaspes i dziewczyna. Może coś widzieli i trzeba było pozbyć się świadków przestępstwa? Jakiego? Jakaż to sprawa była warta życia dwojga niewinnych ludzi? A może ktoś próbował skrzywdzić dziewczynę, Preksaspes nadszedł niespodziewanie i stanął w jej obronie? Lecz wtedy próbowałby zawołać pomocy i ktoś w dolinie usłyszałby jego krzyk. A może nie? Chyba nie miał aż tak mocnego głosu. A jeśli najpierw zabito jego, to czemu zginęła dziewczyna? Czy była świadkiem zbrodni? Czy próbowała uciekać? Takie i inne pytania kłębiły

się w głowie Demetriosia bez nadziei na rozwiązanie zagadki. Nawet jeżeli istniały jakieś ślady, zostały zdeptane, gdy powstał tumult, lub rozmyślnie zatarte. Wśród bólu i rozpaczcy pojawiła się jedna logiczna myśl. Jedynym, który mógł spać spokojnie i nie obawiać się śmierci z rąk żadnego krwi szaleńca, był sam morderca. Zaskoczony tym wnioskiem, Demetrios prawie się roześmiał. Może by tak sprawdzić, kto udał się na spoczynek? Lecz zapewne wielu niewinnych ludzi też śpi, wyczerpanych podróżą. Z kolei nie wiadomo, czy zbrodniarz się położył czy też dla niepoznaki przyłączył się do towarzyszy. Może leży gdzieś i udaje, że twardo śpi. Demetrios wyobraził sobie, że podchodzi kolejno do każdego i potrząsa za ramię. Tego, który natychmiast nie zerwie się przerażony na równe nogi, należałoby dla pewności uśmiercić.

Bezkresna noc. Czemuż to poeci wymyślają takie nieprawdziwe określenia? – zastanawiał się Demetrios. Jemu ta czerń nie kojarzyła się z przestrzenią ani wolnością, raczej przytłaczała go i dławiła. Bezbrzeżna pustynia. Dla niego pustynia była po prostu pusta, nie dostarczała żadnych wrażeń, poza poczuciem osamotnienia i zagrożenia. Albo takie Morze Czerwone – kolejny złe użyty przymiotnik. Podstępne, spokojne, falujące lub wzburzone, życiodajne i zarazem niebezpieczne – zgoda. Ale rzadko i na krótko, tuż przed sztormem, przybierało odcień czerwonego wina. Wtedy nie budziło już zachwyty, tylko grozę, a trudno znaleźć kogoś, kogo przerazi porównanie do szlachetnego trunku.

Siedział tak długo, wpatrywał się w noc, żuł swoją gałązkę, a roztropne i bezsensowne myśli gnały całymi tabunami przez jego głowę bez żadnej kontroli. W przełęczu między skałami widział gwiazdy. Jak co noc wędrowały po nieboskłonie odwiecznym, identycznym szlakiem. Cztery spośród pięciu ognisk już wygasły, ostatnie ledwie się żarzyło. Jego wzrok przywykł do ciemności. Wyraźnie rozróżniał kontury, lecz nie zawsze potrafił rozpoznać, czy należą do ludzi, zwierząt, czy skał. Czasami słyszał szelest, gdy jakiś kamyk oderwał się od wychłodzonej skały i toczył w dolinę. Od czasu do czasu ze zbocza osunęła się z cichym poszumem garść piasku. Czasami w ciszy rozległ się ryk lwa, krzyk nocnego ptaka, szuranie jakiegoś drobnego gryzonia, brzęczenie owada. Gdzieś w pobliżu wąż sunął po piasku w poszukiwaniu zdobyczy. Demetrios czuł zapach chleba, popiołu, kurzu, metalu, woń ludzi i zwierząt. I tkwił w zaklętym kręgu bezsensownych domysłów, bezowocnych rozważań, bez początku i końca.

Kto, dlaczego i kiedy? Różanych ust dziewczyny nigdy już nie rozjaśni uśmiech. Już nikt nie ujrzy jej lekkich kroków, nie odczyta wiadomości z ruchu zręcznych palców. Preksaspes. Tyle lat, statków, tajemnic. Niezliczone żarty i kłótnie, wspólnie spożywany chleb i wino i noce

z dziewczętami w gospodach. Razem ładowali towary na statki, na grzbiety wielbłądów i niewolników. Ramię w ramię walczyli z rozbójnikami. Ostatni raz na początku tej właśnie podróży, u źródeł Nilu. Kto inny potrafi udzielić tak mądrej rady, kto rozbawi towarzystwo równie rubasznym żartem? Kto zastąpi zaufanego przyjaciela i wypróbowanego współnika? I jak go pomścić? Odpowiedź na to ostatnie pytanie przyszła bez trudu: odnaleźć mordercę i zadać mu powolną, okrutną śmierć.

Demetrios obejrzał ziemię w świetle poranka. Meleagros pomógł mu ułożyć ciała na płaskim bloku skalnym. Zanim skończyli, podeszli do nich inni. Demetrios krzyknął:

– Stać! Nie ruszać się! Nie zdeptajcie śladów! Zza wielkiego kamienia wyłoniła się głowa Rufusa.

– Tak jest! Słyszeliśmy i usłuchaliśmy! – W jego głosie pojawiła się wyraźna nuta szyderstwa.

– Co oni tam robią? – spytała jakaś kobieta za jego plecami, zapewne Kleopatra.

Demetrios puścił nogi Preksaspesa i odpowiedział:

– To, co jeszcze można. Czyli niewiele.

Rzeczywiście obok Rufusa pojawiła się Kleopatra. Promienie wschodzącego słońca wzbudzały w jej włosach ogniste refleksy.

– Myślisz, że coś znajdziecie? – zapytała znowu. Demetrios wzruszył ramionami.

– Trzeba próbować. Jak przegrać, to chociaż z honorem. Rufus spochmurniał, a Egipcjanka uśmiechnęła się.

– Honorowe porażki to specjalność Demetriosia Spóźnialskiego – wtrącił Ravi.

Nadszedł też Perperna.

– Zaraz będziemy w komplecie – skomentował zbiegowisko Demetrios. – Nie macie ochoty sprowadzić tu jeszcze paru hien albo lwów?

Tuż za nim Meleagros cicho zagwizdał.

– Spójrz no tutaj.

– Co znalazłeś? – Demetrios podszedł bliżej. Meleagros pokazał podłużne wgłębienie w ziemi.

– Wygląda, jakby ktoś coś ciągnął.

Posuwając się ostrożnie wzdłuż płytkiego rowka, wyszli poza dolinę. Tam ślad się kończył, a na zdeptanej ziemi wały się zlepione, ciemne grudy.

– Pomyślny zbieg okoliczności – Demetrios oparł ręce na biodrach i rozejrzał się dookoła.

Przyszli w samą porę. W tym miejscu karawana weszła poprzedniego dnia do doliny i tą samą drogą musiała ją opuścić. Tłum ludzi i wielbłądów zdeptałby płytki rowek. Ten żywy strumień wlał się do doliny, a wkrótce wypłynie znowu w morze piasku, kamieni i żwiru.

– Znalazłem też ślady zwierząt – Meleagros pokazał ledwo widoczne czarne smugi.

Demetrios opadł na kolana i zaczął badać ziemię.

– Nie wiesz przypadkiem, czy któryś z poganiaczy umie odczytywać ślady?

– Zapytam, ale... – Meleagros wzruszył ramionami i odszedł w kierunku skały, za którą czekali Rzymianin, Kleopatra i inni. Demetrios gotów był przysiąc, że Rufus kogoś powstrzymał. Pewnie cały tłum ciekawskich próbował wydostać się z doliny i dotrzeć na miejsce zdarzenia.

– Jeśli pozwolisz – poprosił Perperna – chciałbym się rozejrzeć.

Demetrios skinął głową.

– Tylko ostrożnie. Reszta niech pozostanie na miejscu. Rufus uniósł brwi, ale się nie odezwał. Odwrócił się w kierunku wąwozu, rozpostarł ramiona na znak, że wstęp wzbroniony, i znów się odwrócił. Perperna poruszał się drobnymi kroczkami, nisko pochylony. Zaczął od skały i zmierzał w kierunku zdeptanej powierzchni, pełnej ciemnych brył. W połowie drogi dołączyli do niego Meleagros i jeden z poganiaczy. Arab poruszał się na czworakach i z nosem przy ziemi szybciej niż Perperna na dwóch nogach. Demetrios cierpliwie obserwował gapiów. Rufus pocierał nos palcem i szeptał coś do Kleopatry. Egipcjanka miała na sobie prosty chiton do kolan. Na niego narzuciła zwyczajny płaszcz podróżny. Właśnie rozwiązała wstążkę na szyi. Tam, gdzie stała, sięgało już słońce i pewnie zrobiło się jej gorąco. W dolinie, w cieniu skal, panował jeszcze chłód. Demetrios nie słyszał treści rozmowy, ale poczuł ukłucie zazdrości, że piękność obdarzyła uśmiechem Rzymianina, a nie jego.

– Co o tym myślisz, opiekunie wielbłądów? – spytał Perperna.

Zapytany, wciąż jeszcze na czworakach, mruknął coś niewyraźnie. Po chwili wstał, wytarł sobie ręce o fartuch i oznajmił:

– Tych dwoje wyszło z doliny. Zatrzymali się w tym miejscu. Dwaj inni wyruszyli stamtąd – wskazał punkt odległy o dziesięć kroków. – Dopadli ich szybko, potem walczyli. Zawlekli ich za skałę – wskazał kciukiem za siebie przez prawe ramię.

– Zgadzasz się z jego zdaniem? – zwrócił się Demetrios do Perperny.

Były niewolnik podszedł bliżej do szlaku karawany. Gdy się tam znalazł, opadł, podobnie jak

jego poprzednik, na kolana, przeciągnął palcem po piasku, jakby rysował jakieś znaki, i wstał.

– Masz rację – kiwnął głową poganiaczowi. – Wydaje mi się tylko, że napastników było trzech. Dwóch w sandałach, jeden boso – wskazał ręką ciąg małych zagłębień odchodzących od trasy karawany. – Wszystko zdeptane, trudno wyciągnąć jakieś wnioski. Wygląda na to, że jeden dusił dziewczynę, drugi złapał Preksaspesa z przodu za ręce, a trzeci zaatakował nożem od tyłu – pokazał zlepioną grudę pod stopami.

Nubo obejrzał jeszcze raz miejsce zbrodni i potwierdził przypuszczenia Perperny. Pogrzebali ciała pomiędzy skałami i ruszyli w dalszą drogę. Nie pozostało już nic więcej do wykrycia ani do zrobienia. Demetrios trzymał się na uboczu. Próbował uporządkować w myślach wydarzenia tej upiornej nocy. Kto siedział przy ogniu i słuchał, a kto się oddalił? Próżny wysiłek. Nawet gdyby odtworzył każdy dźwięk, obraz, zapach czy poruszenie, nic by mu to nie dało. Nie widział przecież wszystkich ognisk, rozproszonych w długim wąwozie, a tym bardziej zebranego przy nich towarzystwa. Ponadto słuchacze przysiadali się i odchodzili, żeby przypilnować wielbłądów, posilić się, napić albo przespać. Gdyby mógł chociaż kogoś wykluczyć, zawęzić krąg podejrzanych. Lecz poza nim i Perperną tylko dwie osoby nie mogły z całą pewnością popełnić przestępstwa: obydwie ofiary. Wszyscy inni przemieszczali się, pojawiali i znikali. Choć brzmiało to niewiarygodnie, nawet Meleagrosowi, Leonidasowi i Mikinesowi nie brakło okazji, żeby niepostrzeżenie się oddalić. A Murzyn o czerwonych włosach? Mieszkańcy Adane uważali go za miłego, zabawnego głupca. Ale Demetrios nie dopatrzył się u niego żadnych oznak szaleństwa czy głupoty. Postanowił z nim porozmawiać. Rufus? Co chwila wtrącał się do rozmowy, przeszkadzał, dyskutował, a potem nagle zamilkł. Co się z nim stało? Słuchał czy odszedł? A kobiety? Dwie z nich siedziały przy ognisku, nie wiadomo tylko, które i czy cały czas te same.

Demetrios założył na głowę skórzane okrycie, chroniąc oczy. Oślepił go blask słońca, odbity od niezmierzonej przestrzeni złocistego piasku. Żałował, że jego myślom brakuje tego poranka jasności.

Ale może lepsze wątpliwości niż zachwyty nad własną mądrością – próbował się pocieszyć. – Niektórzy ludzie są tak zadufani w sobie, że nie przyjmują żadnej krytyki i popełniają jedną głupotę za drugą. Jak Narcyz, na śmierć zakochany we własnym wizerunku. Ludzki umysł w naturalny sposób podlega ograniczeniom, a ten, kto chciałby dorównać bogom, może osiągnąć najwyżej stan doskonałej próżności i ignorancji”.

Cały ten wywód, choć logiczny, nie przyniósł Demetriosowi najmniejszej nawet pociechy. W jego głowie nadal panował zamęt, spotęgowany upałem, znużeniem, nadmiarem światła i kołysaniem na grzbiecie wielbłąda. Innych też dopadło zmęczenie. Karawana rozciągnęła się jak długi wąż. Czterech czy pięciu ludzi kiwało się bezwładnie w siodłach, jakby spali podczas jazdy. Za trzy godziny wędrowcy powinni opuścić pustynię pełną kamieni, wertepów i nierówności i znaleźć się na bardziej przyjaznym terenie. Wkrótce dotrą do dolin i wąwozów, których ściany użyczą im cienia. U ich wylotu z kolei czekają na kupców urzędnicy miejscowego księcia. Na pewno zaraz wyciągną rękę po podatki i cła. Żar pustyni obezwładnia i oślepia, ale przynajmniej utrzymuje na dystans zachłannych poborców.

Nieopodal, nad górami, szybowało kilka sępów. Przypominały czarne sylwetki, wycięte z arkusza papirusu. Czyżby już się zwiedziały, że ktoś z tej karawany zapewnił im pożywienie? Czy spodziewają się kolejnego poczęstunku na następnym postoju?

Demetrios oblizwał wargi. Nie mógł sobie przypomnieć nazwy następnego miasta, gdzie zaplanował odpoczynek. Ale wiedział, że morderca nie odważy się zaatakować w miejscu, gdzie urzęduje wielu strażników, zarządców i celników, gdzie gromadzą się kupcy, karczmarze i dziewczki. Wybierze raczej odludne okolice bez świadków, czyli następną oazę na pustyni. O ile zamierza popełnić następne zbrodnie.

Próżne rozważania! Póki nie wiadomo, co skłoniło przestępcę do popełnienia pierwszego zabójstwa, nie sposób przewidzieć, czy planuje następne. Wyglądało na to, że ktoś opuścił dolinę, żeby porozmawiać na osobności. Ze swoim czy z obcym? Jeżeli ktoś z zewnątrz trafił do wąwozu, skąd wiedział, że zatrzyma się tam karawana? Albo śledził ich ktoś z Adane, albo zbrodniarz zaczął się w pobliżu studni i czekał na jakąkolwiek okazję. Pierwsza wersja wydawała się bardziej prawdopodobna. Być może ktoś oddalił się od obozu, żeby omówić w spokoju ważne sprawy. Tak ważne, że kosztowały życie dwojga ludzi. Jaka tajemnica warta była tej ceny? Każda – odpowiedział sam sobie. Dla mieszkańca pustyni jeden wielbłąd znaczy o wiele więcej niż dwie nieznane osoby. Lecz te nocne rokowania musiały dotyczyć czegoś nieporównanie ważniejszego niż juczne zwierzęta. Pieniądzy, królobójstwa, zdrady czy sprzedaży całej karawany? Im dłużej myślał, tym mniej wiedział. Nawet logiczne założenia prowadziły do absurdalnych wniosków. Tylko jednego faktu nie dało się podważyć: śmierci Preksaspesa i dziewczyny z ręki co najmniej trzech sprawców. Nie wiadomo, czego ta para szukała u wylotu doliny: samotności, intymności, romantycznej schadzki pod gwiazdami?

A może należeli do jakiegoś spisku, sprzeciwili się przywódcom i w ten sposób wydali na siebie wyrok?

Demetrios popatrzył na długi szereg objuczonych zwierząt i dołączył do reszty. Zatrzymał się na chwilę i spojrzął na jadące z tyłu kobiety.

– Jak się czuje księżniczka? – zapytał, kiedy Glauke się z nim zrównała.

– Doskonale, o ile to możliwe na pustyni i na grzbiecie wielbłąda.

– Przypuszczam, że w lektyce lepiej się podróżuje?

– W środku jest jeszcze goręcej. Miałaby co najwyżej kolejny powód do zdenerwowania.

Demetrios chciał rzucić dziewczynie przelotne spojrzenie, ale zatrzymał wzrok i przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie chiton do połowy łydek, jasny płaszcz, a na głowie podobny do dzbana kapelusz, owinięty tkaniną. Spływał z niego welon, okrywający szyję i ramiona, który związany inaczej, mógł zasłonić przed słońcem również twarz.

– Czemu mi się przyglądasz? – zapytała.

– Raczej podziwiam. Nie chciałbym, żeby słońce zniszczyło twoją urodę.

– Cóż za troska!

– Moim zdaniem konieczna. I poważna. Obawiam się, żeby któraś z was nie doznała krzywdy w czasie nocnego spaceru.

– Jak ci dwoje ubiegłej nocy?

– Właśnie.

– Jeżeli ktoś sam się naraża... – zmarszczyła nos. – Ja nie włóczyłam się po nocach ani też nie zamierzam tego robić.

– Nawet dla wysłuchania opowieści starego wojownika?

– Nic by mnie do tego nie zmusiło. Demetrios uśmiechnął się.

– Przecież dwie z was siedziały przy ognisku.

– Być może – wzruszyła ramionami. – Ja w każdym razie spałam.

– Twoje przyjaciółki coś ci opowiadały? O dziejach Perperny albo o odnalezieniu zwłok?

Glauke zastanawiała się przez chwilę.

– Nie bezpośrednio. Oczywiście rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło. A księżniczka poszła nawet zobaczyć, jak badasz ślady na miejscu przestępstwa.

– Ani słowa o przygodach Perperny? Staruszkowi byłoby przykro.

– Trudno – roześmiała się cicho. – Morderstwo okazało się ważniejsze. Nawet nie wiem, czy

któraś z nas go słuchała.

Thais popędziła wielbłąda i dogoniła Glauke.

– Rozmawiacie o czymś mądrym albo przynajmniej istotnym?

– Tylko o zabójstwie i nocnej opowieści. Thais skinęła głową.

– Trudno zaliczyć Perpernę do najlepszych mówców. Późniejsze wydarzenia okazały się o wiele ciekawsze. Chociaż chętnie wyrzekłabym się tego rodzaju rozrywek.

Do wieczora Demetrios przeprowadził jeszcze parę mniej lub bardziej ostrożnych rozmów. Bezpośrednią, a trochę i okreźną drogą, wywiedziało się, że Glauke i Kleopatra spały, a Thais i Arsinoe od czasu do czasu przyłączały się do towarzystwa. Podobnie jak Ravi, Mikines, Leonidas, Nubo i Rufus. Ale ta wiedza nic nie wносиła. Każdy ze słuchaczy, a także z odpoczywających, mógł w dowolnym momencie wstać i oddalić się niezauważony. Nikt przecież nie obserwował i nie liczył śpiących. Zarówno poganiacze, jak i legionieści cieszyli się pełną swobodą, nie mówiąc o ludziach Mukhatara.

Miasto zbudowano na skałach, pałac namiestnika górował nad całym otoczeniem. U stóp góry, na końcu drogi prowadzącej przez doliny, leżały ogrodzone pastwiska i sztuczny zbiornik wodny. Pasły się tam zwierzęta należące do mieszkańców oraz osły, konie i wielbłądy – wierzchowce wojowników. Obok gospody stała szopa. Ale żeby się tam dostać, trzeba było przemierzyć ostatnią wąską dolinę. Na jej końcu znajdowała się brama, której strzegli wartownicy namiestnika.

– Przywódco karawany – zwrócił się do Demetriosia jeden ze strażników – zapewne zaopatrywałeś się w Adane. To miasto podlega wprawdzie naszemu królowi, ale on mieszka daleko stąd, przyjmuje rzymskich posłów i dostaje od nich prezenty. A jego namiestnik tu, na miejscu, ustanawia cła i pobiera opłaty.

– Za towary z własnego kraju? – oburzył się Demetrios. Znał dobrze tutejsze stosunki i wiedział, że nie warto płaszczyć się przed arabskimi celnikami i żołnierzami. Wykorzystaliby tylko okazję, żeby wdeptać nieszczęśnika w błoto. Obrął skuteczniejszą taktykę: zaczął od kłótni, sprzeciwu wobec barbarzyńskich obyczajów, żeby drogą dyskusji, żartów i wzajemnych ustępstw osiągnąć kompromis.

– Skąd możemy wiedzieć, czy przybywa do nas uczciwy kupiec?

– Pokażcie mi takiego – roześmiał się Demetrios – który dobrowolnie i z radością otwiera sakiewkę, a nazwę go głupcem. Czy ja wyglądam na durnia?

– Nazwałbym w ten sposób tylko kogoś – odrzekł strażnik z uśmiechem – kto woli nocować w wąwozie niż zapłacić niewielką sumkę i spędzić noc w mieście pełnym zieleni, wody i chętnych do miłości dziewcząt.

– Mówisz o tych bezzębnych staruszkach, gotowych oddać się komukolwiek, bo nawet śmierć nie chce ich wziąć? Czy o swojej zawszonej córce, która paskudnym odorem może doprowadzić mężczyznę do omdlenia, a potem gotowa wbić nóż w serce nieprzytomnej ofiary?

– Masz chyba na myśli swoją siostrę, synu wyleniałego lisa. Po kim odziedziczyłeś tę chytrą, którą obnosisz z dumą jak tarczę herbową?

– Moi rodzice gościli kiedyś przybysza z tej nędznej krainy. W podziękowaniu okradł ich i nie zostawił nic oprócz wspomnienia swej nikczemności. Stąd moja ostrożność.

Wartownik zachichotał.

– Powoływanie się na znajomości na nic ci się nie zda.

– Lepiej będzie, jeżeli zawrócimy i zanocujemy gdzie indziej. Na zachód stąd jest studnia i wygodna droga pomiędzy górami. Szkoda mi tylko twojej skóry, ale trudno.

– Co zagraża mojej skórze?

– Zedrze ci ją namiestnik, gdy usłyszy, że wspaniały rumak uciekł mu sprzed nosa. Przeznaczyłem go na podarunek dla twojego pana.

Wartownik zmarszczył brwi i popatrzył na karawanę.

– Masz na myśli tego kulawego wielbłąda, który paskudzi pod murami zamku?

Demetrios odwrócił się i podniósł rękę. Umówił się wcześniej z Mikinesem, że ten na znak przyprowadzi ogiera. Koń należał kiedyś do Mukhatar, a potem Kharkhair uzyskał go w wyniku dziwnego zakładu. Ale Mikines nie nadchodził. Zamiast niego spoza oczekującej karawany wyłonił się Mukhatar na wspaniałym siwku. Demetrios sięgnął po sztylet, ale zanim zdążył go wyciągnąć albo choćby powiedzieć słowo, spostrzegł, że jeździec mrugnął do niego. Zaraz też wykrzyknął groźnym tonem:

– Z drogi, sieroty po zdechłym chomiku, skorpiony, pozbawione jadu! Oto szlachetny Mukhatar przyprowadził do zamku rumaka na polecenie przywódcy karawany! I nie waście się nawet pożałować żdźbła trawy najnędzniejszemu z naszych wielbłądów!

Zaskoczeni strażnicy ustąpili z drogi. Do Demetrios, zaś podszedł Rufus i szepnął mu do ucha:

– Nie martw się, wszystko zaplanowaliśmy. Wykorzystaj moment, póki brama stoi otworem.

Leonidas siedział na pierwszym wielbłądzie. Spojrzał na Demetriososa i pociągnął za uzdę. Strażnicy nawet nie próbowali im przeszkodzić. Jeszcze nie ochłonęli ze zdumienia. Wymienili tylko między sobą półgłosem jakieś uwagi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czyste intencje

Pewna kura znalazła jajo węża i chciała je wysiadywać. Zobaczyła to jaskółka i rzekła: „Czy wiesz, kogo chcesz wychowywać? Gdy się wylęgnie, zrobi ci krzywdę”.

EZOP

Izba była zatęchła i nędzna. Parę worków ze słomą i skórzane derki zastępowały łóżka. Umieszczona nad posłaniem zasłona ze skóry całkowicie hamowała dopływ powietrza. Na kiwającym się stole, pomiędzy dwiema oliwnymi lampkami, stała miednica i dzban. Glauke napelniła go wodą ze studni. Kleopatra naląła wody do misy, rozebrała się i umyła. Uznała warunki higieniczne za równie prymitywne jak wyposażenie izby i całej gospody. W myślach dodała: „I cały kraj”. Piach, kamienie, upał i wielbłądy. Nawet jedzenie miało tu smak piasku. No i fatalne towarzystwo. W porównaniu z nim wielbłądy mogły uchodzić za arystokratów, a pustynia za ogród.

Zgasiła jedną z lampek, podeszła nago do okna i odchyliła zasłonę. Sprawiało jej przyjemność, że powiew świeżego powietrza osusza skórę. W oddali ujrzała nieliczne światelka i kontury twierdzy, dobrze widocznej w blasku gwiazd. Zagroda dla zwierząt, z miejscem na juki, mieściła się w drugim końcu budynku. Próbowwała sobie wmówić, że te kilka godzin odpoczynku na osobności odbuduje jej siły, ale co z tego? Rzeczywistości nie da się nagiąć do życzeń.

Wolała pomarzyć o Aleksandrii, o obszernych, przewiewnych komnatach, o ścianach z marmuru i wspaniałych łaźniach. Lecz w zmęczonej głowie wciąż kołatały się wspomnienia z przeszłości: kłopoty, kłamstwa, intrygi i porażki. Próbowwała spojrzeć w przyszłość, ale przygniatała ją teraźniejszość: nędzny nocleg, piasek, wielbłądy i zmęczenie. No i pukanie, a raczej skrobanie paznokciami w drzwi. Czy to Arsinoe przyniosła jakieś nowiny? – zastanawiała się. A może Glauke lub Thais? Podeszła do drzwi i odsunęła zasuwę z brązu. Do środka wszedł Rufus; uśmiechnął się i zaryglował drzwi.

– Jakie piękne powitanie!

Kleopatra podeszła do stołu, podniosła pelerynę i owinęła się nią.

– Czego chcesz?

– Szkoda, że tak szybko pozbawiłaś mnie swego widoku. Chociaż światło tej nędznej lampki nie ukazuje w pełni twojej urody. Ale też ukrywa moje braki. Możemy się wymienić: twoja piękność za moją niedoskonałość – podszedł bliżej i zaczął się rozbierać.

Kleopatra usiadła na posłaniu. Odwróciła się do ściany i sięgnęła do jednej z toreb.

– Czego chcesz? – powtórzyła. – Co to ma znaczyć?

– Wolałbym wykąpać się u ciebie niż tam, przy kadzi.

– Mógłbyś chociaż zapytać mnie o zdanie. Rufus roześmiał się.

– Wolę najpierw przywołać odpowiedni nastrój. Mam ci do powiedzenia coś, co może wpłynąć na twoją opinię.

Błyskawicznie rozebrał się do naga, zwilżył wodą twarz i tors i umył podbrzusze.

– Twoje zamięłowanie do czystości wzbudziłoby moje uznanie, gdybyś mył się gdzie indziej.

– Kąpiel w towarzystwie jednej pięknej kobiety sprawia o wiele więcej przyjemności, niż w obecności wielu brzydkich mężczyzn. – Sięgnął po ręcznik. – Zwłaszcza gdy sobie przypomnę, jak mnie uwodziłaś w Adane.

Kleopatra westchnęła.

– Co takiego?

– Mam nadzieję, że nie zapomniałaś, jak dotknęłaś mojej dłoni czubkiem języka. Pod wpływem tej pieczyoty całe moje ciało ogarnął żar.

– To miała być nagroda za przysługę, której jeszcze nie wyświadczyłeś.

Rufus podszedł do łóżka. Obserwowała jego naprężoną męskość z mieszaniną pożądania i zakłopotania. Był bezsprzecznie atrakcyjnym mężczyzną, a od ostatniego kochanka dzieliły ja całe miesiące i morza. Lecz czuła się zmęczona. Poza tym gdyby miała wybierać faworyta spośród towarzyszy wędrówki, Rzymianin nie zająłby pierwszego miejsca.

– To ty kusiałaś obietnicą przygód w podróży, nie ja. Skoro trafia się okazja, powinniśmy z niej skorzystać, zanim porozmawiamy o dalszych planach.

– O jakich?

Centurion chciał ją przyciągnąć do siebie. Uchyliła się i odsunęła w kąt.

– Posuwamy się zbyt wolno. My dwoje też, ale przede wszystkim karawana – roześmiał się.

– Chcesz przyspieszyć marsz? W jaki sposób?

– Można by się pozbyć części towaru, wziąć parę wielbłądów i jechać szybciej bez obciążenia.

– Ty i twoi ludzie, ja z dziewczętami i kto jeszcze? Rufus wsparł ręce na biodrach i popatrzył na nią z ukosa.

– No właśnie, kto poza nami? I po co?

– Po wydarzeniach wczorajszego wieczora – powiedziała powoli Kleopatra – kazałam Arsinoe zająć się Demetriosem. Ma go ośmielić, rozweselić, dowiedzieć się, czy jest zadowolony z podróży i co go niepokoi. Oraz wypytać, czy dowiedział się czegoś więcej o zabójstwie.

– Na pewno wywiąże się z powierzonego zadania. – Uśmiechnął się przelotnie. – Ale jeszcze nie odpowiedzieliśmy sobie na żadne z dwóch zasadniczych pytań.

– Wracając do tematu, kogo jeszcze chcesz zabrać?

– A po co nam ktoś jeszcze?

– Karawanę zorganizował Demetrios, wszystkie towary i większość wielbłądów należą do niego.

– Mukhatar też ma kilka. I trochę ładunków.

– Rozmawiałeś z nim? Rufus wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiemy, jaką sympatią darzy cudzoziemców. Nieważne, czy chodzi o mnie, czy o Demetriosia. Zrobi, co zechce.

Kleopatra ociągała się. Wiedziała, że wiele zależy od tego, jaką decyzję podejmie. I że nie ma czasu na długie rozmyślenia.

– Odniosłam wrażenie, że bardziej dbasz o czystość ciała niż własnych uczynków. Zwłaszcza jeżeli chodzi o karawanę.

– Na razie możemy odłożyć tę sprawę i zająć się następną.

– Jaką?

– Chcę szeptać ci do ucha czule słowa i posmakować twoich ust. I dać ci rozkosz. – Przybliżył się na tyle, że jego biodra znalazły się tuż przed twarzą Kleopatry. Wyciągnął rękę, chwycił ją za tył głowy i usiłował przyciągnąć do siebie.

– Zostaw mnie w spokoju. – Jej głos nie zdradzał żadnych emocji.

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

– Nie powinienes tak natrętnie żądać ode mnie zaspokojenia swych żądz. I nie próbuj do niczego przymuszać macedońskiej księżniczki.

– Nie wszystkim kobietom przeszkadza natarczywość mężczyzny. Niektóre lubią być zdobywane w zdecydowany sposób.

Przyciągnął jej głowę bliżej do swoich genitaliów. Kleopatra wyjęła rękę z tobołka.

– Do niczego mnie nie zmusisz. Macedońskie księżniczki umieją się bronić.

Rufus poczuł ostrze noża pomiędzy udami. Puścił ją natychmiast.

– Ty... – mruknął. Nie ulegało wątpliwości, że to, co przemilczał, nie było komplementem.

– Idź stąd i nie próbuj więcej takich sztuczek.

– Nigdy? – podszedł do stołu i podniósł ubranie. – Ani w czasie podróży, ani po jej zakończeniu?

– Jeżeli będę gotowa, sama dam ci znać. – Kleopatra postarała się przybrać łagodniejszy ton.

Rufus otworzył drzwi. Jeszcze w progu rzucił przez ramię:

– Wtedy może już być za późno.

– A ja rozplączę się z żalu.

– Przemyślałaś chociaż sprawę przyspieszenia podróży?

– Nie ma o czym mówić. Aż tak bardzo mi się nie spieszy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zagroda i kazamaty

To, co niezawinione, a więc kaprysy losu, człowiek wielkiego ducha musi znosić z godnością.

MENANDER

Mikines robił wrażenie zażenowanego. Zamiast na Demetriosą, patrzył na poganiaczy i wielbłądy. Opiekunowie zaganiali zwierzęta do zagrody i zdejmowali z ich grzbietów ładunki.

– Pomyślałem, że to nie najgorszy pomysł – odezwał się nagle – skoro Mukhatar zechciał nam wyświadczyć przysługę.

– Kto dowodzi karawaną?

Mikines wreszcie oderwał wzrok od krzątającej na placu.

– Cóż za pytanie! Oczywiście, że ty.

– W przyszłości będziesz wykonywał wyłącznie polecenia przywódcy. I zanim spróbujesz coś przedsięwziąć na własną rękę, zawsze zapytasz o pozwolenie.

– Ale... – Mikines zamachał rękami, jakby odpędzał stado much. Albo natrętne słowa. – Doszedłem do wniosku, że Arabowi łatwiej będzie dojść do porozumienia z rodakiem. Znasz ich nastawienie do obcych.

Demetrios złapał go za ramię i potrząsnął z całej siły.

– Dowódca karawany wydaje rozkazy – powiedział powoli, prawie bezbarwnym głosem. Jeżeli choć raz zrobi wyjątek, następnego dnia ktoś znów uzna, że nie warto go słuchać, i dopuści się kolejnej samowoli. – Kto oprócz Mukhatara brał w tym udział?

– Rufus – mruknął Mikines. – Omówili to wcześniej z Kleopatrami.

– Ona też? – Demetrios milczał przez chwilę. – Nigdy więcej, tego nie rób, słyszysz!

Mikines skinął głową.

– Wy tłumacz mi, proszę, co ci się nie podoba? Oprócz nieposłuszeństwa i braku poszanowania?

– Już to samo wystarczy. Poza tym, skąd możesz wiedzieć, jakie stosunki panują pomiędzy

Mukhatarem i namiestnikiem? Jeżeli są wrogami, jego wystąpienie wpędzi nas w trudne do przewidzenia kłopoty. A jeśli łączy ich przyjaźń – jeszcze gorzej. Mogą razem uknuć spisek przeciwko nam.

– Masz rację, panie, nie pomyślałem o tym. – Mikines robił wrażenie kompletnie zdruzgotanego.

Demetrios spostrzegł, że Rufus wchodzi do szynku. Towarzyszyli mu dwaj żołnierze, Glauke i Kleopatra. Centurion podniósł wzrok, uśmiechnął się i powiedział coś do księżniczki. Zanim przekroczyła próg karczmy, obejrzała się przez ramię i spojrzała na Demetriosa. Mikines także popatrzył w tamtą stronę.

– Na pewno nie wziąłem wielu rzeczy pod uwagę – przyznał skruszony. – Będę bacznie obserwował sytuację i słuchał. Czy mam szansę kiedyś powrócić do łask?

– Ani moja łaskawość, ani twoje oddanie nic by nie znaczyły, gdyby Arab, Rzymianin i jedna kobieta potrafili je zniweczyć.

Słońce zaszło, zanim Mukhatar znów się pojawił. Demetrios odłożył na później zasadniczą rozmowę. Nie z powodu niepewności czy ociągania. Wolał poczekać i poobserwować. Zamierzał właśnie udać się z Meleagrossem i Leonidasem do zagrody. Chciał sprawdzić, czy niczego nie brakuje i czy wszystko zostało należycie rozmieszczone, gdy spostrzegł Mukhatara przy ognisku przed gospodą.

– Zwierzętami już się sam zająłem – oznajmił Meleagros. – Z przyzwyczajenia i poczucia obowiązku, a nie na polecenie Rufusa.

– A wydał takie dyspozycje?

– Nie.

Demetrios oparł się o filar.

– Zaraz zrobi się chłodno – powiedział. – Powinniśmy się nieco ogrzać.

Leonidas wciągnął powietrze przez zęby.

– Mikines i Rufus głupio postąpili. Dobrze się składa, że Rzymianie dbają o nasze bezpieczeństwo, ale...

Demetrios skinął głową.

– No właśnie, ale. – Skierował się w stronę ogniska. Mukhatar wyszedł mu naprzeciw.

– Czy mogę prosić na słówko, panie? – przemawiał spokojnie i uprzejmie, w zupełnie inny sposób niż uprzednio w Adane. Demetrios nie słyszał tym razem w jego głosie ani nienawiści,

ani szyderstwa.

– Słucham.

– Namiestnik był starym przyjacielem mojego ojca. Dlatego pomyślałem sobie, że łatwo dojdę z nim do porozumienia, dla twojego i mojego dobra.

– I z tego powodu zabrałeś bez pytania konia, za którego ja zapłaciłem Kharkhairowi?

– Twój sługa powiedział mi, że sam przeznaczyłeś go na prezent. – Mukhatar wzruszył ramionami.

– Co uzyskałeś?

– Zapewnienia o przyjaźni, życzenia szczęścia dla naszej karawany i zwolnienie od cła.

– Wydaje mi się, że to nie wszystko. Mów dalej.

– Musimy zapłacić podatek od sprzedaży.

– To było do przewidzenia. Ile?

– Dziesięć setnych. – Mukhatar dotknął palcem nosa. – Jutro kupcy przyjdą obejrzeć towar i potargować się. A wraz z nimi przybędą poborcy i pisarze namiestnika.

– Rozumiem.

W czasie poprzedniej wyprawy Demetrios też musiał zapłacić jedną dziesiątą wartości sprzedanych przedmiotów. Mukhatar nie wynegocjował więc jakichś specjalnych udogodnień.

– Na drugi raz, zanim ty lub Rufus wpadniecie na jakiś pomysł, najpierw zapytajcie mnie o zdanie.

– Tak jest. – Arab szykował się do odejścia. Demetrios przytrzymał go za rękaw.

– Wyjaśnij mi jeszcze, proszę, przyczyny nagłej zmiany w twoim postępowaniu. W Adane najchętniej rozszarpałbyś mnie gołymi rękami i pożarł na surowo.

– Co to, to nie! – Mukhatar popatrzył znacząco na dłoń, przytrzymującą go za ubranie. Demetrios zwolnił uścisk. – Najpierw upiekłbym cię na ruszcie, a potem przyprawił dużą ilością ostrego sosu, żeby zabić zły smak.

– A teraz?

Mukhatar przewrócił oczami.

– Teraz podróżujemy razem. Łączy nas jeden cel i muszę działać we wspólnym interesie, dla twojej i mojej korzyści. Aż do końca wspólnej wędrówki.

– Powiedz mi, dlaczego w takim razie zdecydowałeś się wyruszyć w tak niemiłym dla siebie towarzystwie?

– Dlaczego cię to interesuje?

– Przyda mi się każda wiedza. Jako przywódca wolałbym wiedzieć, czego mogę się spodziewać.

– Mojej współpracy – rzucił Mukhatar przez ramię, odwracając się. – Jeżeli ci to coś mówi, chcę dotrzeć do Ao Hidis. Do tego miejsca, lub też do momentu rozstania, możesz liczyć na moją lojalność.

Gospoda składała się z sali jadalnej, miejsca do spania dla dwudziestu osób oraz siedmiu mniejszych pomieszczeń. W tych ostatnich kwaterowano lepszych lub bardziej wymagających, a w każdym razie zamożniejszych gości. W czasie omawiania cen z właścicielem Demetrios dowiedział się, że cztery pokoje już zostały przydzielone – dwa dla kobiet, a dwa dla Rufusa i Mukhatara.

– Rzymianin kazał mi zarezerwować jeszcze jeden dla ciebie, panie – gospodarz popatrzył na niego wyzywająco.

– Miło z waszej strony, ale zamierzam przenocować na zewnątrz.

– Ze szlachetnej ostrożności, czy też mniej szlachetnego skąpstwa?

Demetrios roześmiał się.

– Z obydwu powodów. Skąd mogę mieć pewność, że w nocy jakiś celnik czy poborca podatkowy nie zechce skontrolować moich bagaży? Albo czy kosze i torby nie wywędrują przypadkiem z tych gościnnych komnat, żeby już nigdy nie powrócić?

Poganiacze i Rzymianie sami przygotowali sobie posiłek na ognisku. Demetrios usiadł na płaskim kamieniu przed budynkiem i poprosił o chleb i pieczeń. Służąca przyniosła mu jeszcze dzban świeżego piwa o przyjemnym, kwaskowym smaku. Demetrios jadł i patrzył w ogień. W jego głowie kłębiły się różne przygnębiające myśli. Kończył właśnie posiłek, gdy za plecami usłyszał głos:

– Masz jakieś życzenia co do rozmieszczenia straży?

– Mam je wyrazić czy zdać się całkowicie na ciebie, skoro zająłeś się już podatkami i końmi?

– Popełniłem błąd, że najpierw nie poprosiłem cię o pozwolenie. – W głosie Rufusa nie dało się rozpoznać ani pokory, ani wstydu, raczej rozbawienie. – Ale przyznasz chyba, że słusznie postąpiłem, wsadzając Mukhatara na konia?

Demetrios wskazał ruchem głowy na towarzystwo przy ognisku.

– Wygląda na to, że dzisiaj raczej nie mogę liczyć na czujność twoich żołnierzy.

– Z powodu pięknych dziewcząt? – Rufus roześmiał się. – Nic straconego. Wszystko da się uregulować. Trzeba tylko wydać odpowiednie rozkazy: jedna trzecia pilnuje, jedna trzecia śpi, a reszta się zabawia.

– O to mi chodziło. Nie mógłbym tego lepiej wyrazić.

– Mógłbyś – Rufus zagwizdał przez zęby – ale nic by to nie zmieniło.

Demetrios odczekał, aż centurion przekaze polecenia jednemu z podwładnych. Potem wstał i odniósł dzban i drewnianą tacę do gospody. Meleagros i Mikines rozmawiali z towarzyszami księżniczki przy niskim stoliku. W izbie oprócz nich siedział jeszcze Mukhatar z dwoma swoimi ludźmi. Kleopatry nigdzie nie było widać.

– Gdzie jest Leonidas? Meleagros spojrzał na Demetriosą.

– Na zewnątrz. Robi obchód wokół zagrody.

– Niech Mikines go zmieni.

– Tak, panie. Spróbuję odzyskać twoje zaufanie. – Wyglądało na to, że tylko czekał na ten rozkaz.

Glauke uśmiechnęła się nieco ironicznie, Thais nie zareagowała, a Arsinoe odrzuciła włosy na plecy i spytała:

– Kara za niesubordynację?

– Troska o bezpieczeństwo zwierząt i bagaży. Mieszkańcy tych okolic słyną ze zręcznych palców.

– Skoro go odesłałeś, to może ty się do mnie przysiądziesz, panie?

– Kusząca propozycja, ale wzywają mnie obowiązki, sama rozumiesz. – Demetrios popatrzył w ślad za Mikinesem.

Po jakimś czasie zabrał derkę i torbę z najważniejszymi rzeczami i podszedł do rzymskich wartowników.

– Zniesiecie jakoś moją obecność? Chciałbym się tutaj położyć.

Kilku żołnierzy roześmiało się, a jeden odpowiedział:

– To dla nas zaszczyt, że wybrałeś na odpoczynek miejsce, gdzie czuwamy.

Jeden z legionistów wrócił z patrolu i dołączył do towarzyszy. Następny wstał i udał się na obchód terenu.

– Gdzie chcecie spać, kiedy zakończycie służbę?

– Tam. – Zapytany pokazał niewielką grupę skał, pomiędzy którymi leżało już trochę

bagaży.

– Cieszę się, że dbacie o nasze bezpieczeństwo – powiedział Demetrios. – Drogi na pustyni usłane są kośćmi nieroztropnych wędrowców.

– Może uda nam się do tej kolekcji dołączyć szczątki nieostrożnych rozbójników.

– Ty niosłeś lektykę, prawda? Jak ci na imię?

– Postumus. Lucjusz Postumus.

– Pewnie tam, gdzie obejmiecie służbę, czekają was zupełnie inne wyzwania?

– Dobre pytanie! – Postumus uśmiechnął się i pokręcił głową. – Nie znam celu naszej wędrówki i niczego się ode mnie nie dowiesz. Jeżeli cię to interesuje, porozmawiaj z centurionem.

Demetrios również się uśmiechnął.

– Zabronił wam mówić?

– Ująłbym to nieco inaczej: zalecił dyskrecję. Ale i tak nic nie wiemy.

Rzymianie rozdzielili się. Dwóch spośród nich obchodziło wolnym krokiem zagrodę ze zwierzętami i jukami. Po przeciwnej stronie, daleko od gospody, siedział na kamieniu Mikines i w zamyśleniu gapił się na ogień za ogrodzeniem.

– Powinieneś patrzeć w przeciwnym kierunku – upomniał go Demetrios. – Nieprzyjaciel najczęściej atakuje z ciemności.

– Jakiego wroga masz na myśli? Spodziewasz się odwiedzin kogoś znajomego?

– Nigdy nie wiadomo. Nie wolno tracić czujności. Zachowaj ostrożność.

– Leonidas przejmie po mnie służbę.

– Dobrze, a potem Meleagros. Niech mnie obudzi. Ja będę czuwał ostatni. Nie widziałeś go?

– Gdzieś się tu kręci. – Mikines próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

Demetrios pomyślał, że jeszcze nie uporał się z wyrzutami sumienia. – Może w karczmie, z kobietami. Odniosłem wrażenie, że Arsinoe poszukuje towarzystwa.

– Nie pozwól się omotać. To osłabia czujność. – Demetrios poklepał go po ramieniu i odszedł w kierunku ogniska, widocznego po drugiej stronie zagrody.

Arsinoe rozmawiała z jednym z odpoczywających żołnierzy, ale nieustannie rozglądała się dookoła, jakby kogoś szukała. Demetrios postanowił oprzeć się pokusie. „Może wcale nie chodzi jej o mnie – tłumaczył sobie. – A tamto zaproszenie w gospodzie zabrzmiało tak, jakby wykonywała czyjeś polecenie”. Tylko czyje? Zapewne Kleopatry. Ona zatrudniała dziewczyny

i tylko ona miała prawo im rozkazywać. Może zresztą Arsinoe sama się nim zainteresowała. Z nudów albo z uprzejmości wobec organizatora karawany. Prawdopodobnie lubi towarzystwo albo zauważyła jego przygnębienie i postanowiła go rozweselić. „Cóż za pomysły!” – skarcił się w duchu i postanowił skupić się na istotniejszych sprawach. Zaczął liczyć toboły rozłożone wokół ogniska. Rozróżniał tylko kontury, ale po dokładniejszych oględzinach doszedł do wniosku, że niczego nie brakuje.

Zagroda miała kształt pięciokąta. Przy pierwszym narożniku płonął ogień, przy trzecim siedział Mikines. Nieopodal czwartego rosły gęste, kolczaste krzewy. Z zarośli dobiegł jego uszu ludzki głos. Demetrios sięgnął po miecz.

– Nie możesz zasnąć czy dokucza ci samotność, panie? – zagadnął go Nubo. Demetrios schował broń i odetchnął głęboko.

– Ukryłeś się, żeby straszyć ludzi po nocy?

– Czarnego w ciemności nie widać – odrzekł Murzyn. Rzeczywiście w mroku błyskały tylko białka jego oczu. – Bałem się, że ta noc mnie wessie, pochłonie, że rozpuszczę się w niej jak w atramencie.

Demetrios oparł się plecami o słupek i skrzyżował ręce na piersiach.

– Czy takimi właśnie żartami zabawiałeś mieszkańców Adane? Ja nie słyszę w twoim głosie wesołości. Przeciwnie, odnoszę wrażenie, że mówisz poważnie.

Nubo westchnął ciężko.

– Podobnie jak ja, jesteś tu obcy. Ciebie Arabowie tylko nienawidzą, mną jeszcze w dodatku pogardzają. Jak mam żyć?

– Dlatego wystawiłeś się na pośmiewisko? Żeby naśmiewali się z błazna, a nie widzieli prawdziwego Nubo?

– Masz rację. Podziwiam twoją mądrość. Taką właśnie obrałem taktykę. Powszechnie znany żartowniś, zabawny głupiec, niewidzialny człowiek. Ukryłem się za maską trefnisia jak tu, za krzakami.

– Chodź – zaproponował Demetrios i odsunął się od płotu – pogadamy przy ognisku albo w gospodzie. Jadłeś już coś?

– Miałem ochotę na coś czarnego, niewidocznego jak ja sam. Ale tam podają tylko jasne potrawy. – Czarnoskóry wyszedł wreszcie z cienia. Płomienie oświetliły jego czerwoną czuprynę.

– Na pewno znajdziemy coś ciemnego.

– Przypalone mięso? Razowy chleb? Świnę wychowaną w mrocznym chlewiku?

– A na deser utniemy sobie pogawędkę na mroczne tematy.

– Czy podziękowałem ci już, że mnie ze sobą zabrałeś? Czy jasno wyraziłem moją bezgraniczną wdzięczność za okazane serce?

– Na ogół wyrażasz się w dość zawiły sposób. Dotarli do piątego narożnika i zbliżyli się do skały, na której poprzednio siedział Demetrios. Zastali tam Arsinoe. Złożyła ręce na łonie i bawiła się rąbkiem chitonu. Na widok Demetriososa uśmiechnęła się szeroko, ale gdy spostrzegła, że nie jest sam, natychmiast spoważniała.

– Próbujesz rozświetlić tę noc blaskiem swojej urody?

– Przeciwnie. To nadzieja na spotkanie z tobą zapala światło w moich oczach. – Uśmiech powrócił na jej twarz.

– Zamierzaliśmy porozmawiać z Nubo o różnych ciemnych sprawach. Jak chcesz, możesz się do nas przyłączyć.

– O czym to chcecie dyskutować?

– Możemy zacząć od twoich czarnych włosów. Dopiero potem naprawdę pogrążymy się w ciemnościach. – Demetrios zwrócił głowę w kierunku karczmy.

Arsinoe podniosła się niechętnie, z ociąganiem.

– Czekałam na ciebie. Miałam nadzieję, że będę mogła porozmawiać z tobą na osobności – szepnęła.

– Zaszczycasz mnie – roześmiał się Demetrios – ale przywódca karawany nigdy nie bywa sam.

Arsinoe udała się za nim do gospody. Ostatni wszedł Nubo. Przy wszystkich stołach siedzieli już ludzie. Pewnie mieszkańcy w tym właśnie szynku spotykali się najczęściej. Przynajmniej wtedy, gdy w mieście zatrzymywała się karawana. Meleagros i Leonidas przestali interesować się kobietami i w nadziei na korzystne transakcje nawiązywali kontakt z miejscowymi kupcami. Powietrze gęstniało od dymu. Na ścianach kopciły pochodnie, na stołach paliły się lampki oliwne. Przy drzwiach kręciło się paru tubylców. Nubo usiadł na jednym stołku, na drugim położył nogę, a na trzecim oparł łokieć. Demetrios trącił go w stopę, żeby ustąpił mu miejsca.

– Brakuje muzyki – stwierdził Murzyn. – Przypuszczam, że nikt tu nie umie grać. – Pochylił się i zaczął w zmiennym rytmie uderzać palcami o stół: raz ciszej, raz głośniejsze, raz wolniej, raz

prędzej.

Arsinoe zajęła miejsce na taborecie, o który się wcześniej opierał.

– Można przy tym tańczyć. Wystarczyłoby kilka strun albo flet i czysty, mocny głos – marzyła.

– Nie widzę księżniczki. Gdzie się podziewa? – spytał Demetrios.

– Już dawno udała się na spoczynek. Była bardzo zmęczona.

– W takim razie nie powinniśmy śpiewać zbyt głośno. A najlepiej wcale.

Arsinoe zrobiła zawiedzioną minę, ale nie odezwała się. Nubo przestał bębnić palcami o stół.

– Ach, tętent kopyt bawołów na rozległej przestrzeni. Pieśń lwa, plusk krwi o zmierzchu, zawodzenie księżyca, trzepotanie hipopotamów.

– Ten twój grecki! Co za bzdury! Jak hipopotamy mogą trzepotać?

– A co w takim razie robią?

– Parskają, kłapią zębami, dyszą, ryczą i tupią.

– Nigdy ich naprawdę nie słyszałaś, pani. Zamknij oczy, moja piękna. – Nubo wpatrywał się w nią intensywnie, jakby chciał, żeby w jego oczach ujrzała to wszystko, o czym opowiadał. – Nocą rzeki opuszczają swe łóżyska i ciągną przez świat jak welony mgły. Gazele wspinają się na drzewa, kołyszą na gałęziach i śpiewają dawne pieśni. O tym, jak zrodziły się ze strzał, które Wielki Łowca wypuścił w powietrze. Jak szybowwały ponad równiną, zanim opadły na trawę. Wtedy hipopotamy stają na przednich łapach, tylne wyciągają daleko, a ogonem zataczają kręgi, tak szybko, że aż w oczach się mieni. A ich uszy... Czy wiesz, jak prędko nimi poruszają? Wachlują, wirują.

Pojawił się niewolnik z dwoma kubkami.

– Mogę podać sok, piwo albo wodę – zaproponował.

– Jakie macie wino? – spytał Demetrios.

– Siki węża albo jeszcze gorzej – ocenił Nubo.

– Prawie ich tu nie ma – odparł sługa i zachichotał – ale gdyby były i korzystały z latryny...

Pewnie tak właśnie by to smakowało.

– No to przynieś mi piwo.

– Rozsądny wybór. – Arsinoe położyła mu rękę na ramieniu. – Próbowałam tego ich wina. Naprawdę obrzydliwe. Poza tym odbiera mężczyznom to, co najbardziej pociąga kobiety.

– A piwo? – zachichotał Nubo.

– Też, ale nie tak szybko.

Demetrios wsadził dwa palce do ust i wydał przeciągły gwizd. Gdy Leonidas się obejrzał, skinął, żeby do niego podszedł.

– Czego sobie życzysz, panie?

– Zastąp Mikinesa. I powiedz Meleagrosowi, że ja obejmę ostatnią wartę.

– Jak każesz, panie. – Leonidas przyłożył rękę do piersi i skłonił głowę.

– Musisz czuwać? – spytała Arsinoe. – Myślałam, że przywódca może sobie pozwolić na odpoczynek albo rozrywkę. – Mówiła bez przekonania, jakby zdawała sobie sprawę, że niczego nie osiągnie. Jak poprzednio.

– Perperna, Ravi, nie chcecie się do nas przyłączyć? – zawołał Demetrios.

– A nie będziemy przeszkadzać? – spytał Hindus. – Nie chcielibyśmy popełnić nietaktu.

– Absolutnie. Czekamy tylko na piwo. Mamy zamiar poplotkować trochę o różnych mrocznych sprawach. Na przykład o czarnych włosach Arsinoe i ciemnościach tej nocy.

Perperna zachichotał i uniósł kikut do góry.

– Doskonały temat!

Demetrios obudził szcęk broni i głośnie krzyki. Wydawało mu się, że usnął zaledwie przed chwilą. Chciał się zerwać, ale czyjeś mocne ręce przygniotły go z powrotem do ziemi. Zobaczył ludzi, biegnących z pochodniami i mieczami, słyszał wrzaski i głuchoe odgłosy walki na pięści. Ktoś tuż obok stęknął cicho i wydał ostatnie tchnienie. Arabowie, którzy go przytrzymywali, prawdopodobnie ludzie namiestnika, unieśli go do góry. Inni, żołnierze czy siepacze, wlekli Opitera Perpernę i zaciekle walczącego Nubo w kierunku gospody. Rufus stał z założonymi rękami, oparty o słup, i w spokoju obserwował zmagania. Demetrios nabrał powietrza w płuca i zawołał na całe gardło:

– Lucjusz Postumusie!

Rufus uniósł ramię do góry. Demetrios poczuł jeszcze uderzenie ciężkim narzędziem w głowę i nie zobaczył już nic więcej.

Obudził się na zimnej, wilgotnej posadzce lochu czy piwnicy. Skąpe światło, padające gdzieś z góry, ukazywało tylko ściany z kamiennych ciosów, masywne drzwi, trochę słomy na podłodze, dwie duże kadzie i jakieś niewyraźne sylwetki. Spróbował się podnieść. Głowa ciążyła mu jak ołów i bolała, jakby naostrzone noże wbijały mu się w czaszkę. Jęknął. Podtrzymało go czyjeś ramię.

– Dobrze, że do nas wróciłeś, panie – rozpoznał głos Leonidasa.

Demetrios przetarł oczy. Słabym, nieswoim głosem zapytał:

– Co się stało?

– Rufus i Mukhatar postanowili w dalszą drogę wyruszyć bez nas.

– Za to z moimi pieniędzmi. I pewnie z twoimi również – dodał Ravi. Uklęknął przed Demetriosem i spojrzał mu w twarz.

Demetrios kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza. Widział już nieco wyraźniej, mgła zniknęła mu sprzed oczu. A kiedy odwrócił głowę, ustąpił także ból. Ujrzał Perpernę, Nubo, Leonidasa, Ravięgo, Glauke, Arsinoe i Thais.

– Gdybym nie przebywał dłuższy czas na obczyźnie, musiałbym teraz pewnie przeproszać za moich rodaków. – Perperna próbował się uśmiechnąć.

Pojawiła się także Kleopatra. Wyłoniła się z któregoś kąta, podeszła bliżej, opadła na pięty i powiedziała:

– Nie wiem, czy odpowiada ci towarzystwo, w którym się znalazłeś.

– Gdzie jest Mikines? I co zrobili z poganiaczami?

– Dręczyło go poczucie winy, chciał się wykazać. Walczył dzielnie. Zabili go. Opiekunowie zwierząt albo dołączyli do Rufusa i Mukhatara, albo też zostali przepędzeni, ale nic nie wiemy na pewno.

Demetrios był zbyt wstrząśnięty i obolały, żeby przeżywać utratę kolejnego towarzysza podróży. Wpatrywał się w Kleopatrze, jakby czerpał siłę z jej spojrzenia. Dopiero teraz odpowiedział na jej pytanie:

– Nie zawsze można sobie wybrać towarzystwo. Ale mogłem gorzej trafić. Wolę pozostać z wami niż z Rufusem i Mukhatarem. Chociaż perspektywa noclegu w tym miejscu nie budzi mojego zachwyty.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jehoszua

prawy zaszyły już tak daleko, że muszę się obawiać właśnie tego, kto ma na względzie jedynie moje dobro.

PUBLIUSZ TERCENCJUSZ AFER

Tiszahar mówił tak słabym i zbolałym głosem, że Afer musiał przystawić ucho do jego ust, żeby coś zrozumieć. Twarz i ciało niewolnika były mokre od potu, siennik i koce zanieczyszczone. Afer rozpałił ogień i zaświecił lampki, przyniósł z kuchni kubek i miednicę. Wlał Tiszaharowi do ust parę łyków wody, rozebrał go, umył, zmienił mu siennik i pościel.

– Panie, nie powinienes – protestował chory słabym głosem.

Gdy wszystko było gotowe, Afer wyruszył do miasta, żeby poszukać miejscowego znachora. Znając jego obyczaje, miał nadzieję zastać go o tej porze w którymś z licznych szynków. Był to garbus, niskiego wzrostu i o mizernej posturze. Ojciec, syryjski Grek z Damaszku, jak na ironię obdarował nieszczęśnika imieniem Adonis. Afer ominął szerokim łukiem dzielnicę ortodoksyjnych Żydów. Gdyby tylko postawił tam stopę po zmroku, mieszkańcy z pewnością ukamienowaliby go za to, że swą obecnością zbrukał ich ziemię. Zaczął od portowych knajp przy nabrzeżu. Spotkał paru wyznawców Jehoszuy, ale znachora tam nie było. Znalazł go dużo później, w gospodzie na przedmieściu, na zachód od twierdzy, w dzielnicy należącej do handlarzy, żołnierzy, Arabów i zhellenizowanych mieszkańców pogranicza. Z wielkim trudem wywlókł kompletnie zamroczonego Adonisa z obskurnej, cuchnącej karczmy. Wyglądało na to, że uzdrowiciel przesiadywał tam już od paru godzin i wysączył kilka dzbanów wina. Dotarli do twierdzy długo po zachodzie słońca. Afer wysłał jednego z żołnierzy po młodego sługę Adonisa. Potem wraz z czternastoletnim Arabem i jednym z wartowników raz po raz zanurzali pijanego w kadzi z zimną wodą.

– Starczy! – wrzasnął wreszcie znachor i otrząsnął się. – Chcesz mnie otrzeźwić czy utopić?

– Przede wszystkim doprowadzić do porządku, żebyś się zajął moim sługą. Utopię cię

dopiero wtedy, jeżeli mu nie pomożesz.

Adonis przetarł oczy.

– Co mu jest?

– Gorączka i paraliż.

Znachor kiwnął głową i kazał pomocnikowi zapakować do torby różne buteleczki i paczuszki. Kiedy wyszli z twierdzy, pojawił się przed nimi Nikias.

– Musimy porozmawiać.

– Jak skończymy, wróć tutaj – odrzekł Afer. – Gdzie mogę cię znaleźć?

– W sypialni za twoim biurem. Jak długo zajmie ci załatwienie sprawy?

– Zależy, co potrafi ten uzdrowiciel. Ale przed północą powinienem się zjawić.

Adonis dotknął ramienia Tiszahara. Chory uśmiechnął się słabo.

– Lekarstwa chyba nie skutkują.

Afer podejrzewał, że paraliż objął nawet narządy wewnętrzne. Jego samego już sam zapach odrażającego specyfiku przyprawiał o mdłości. Zanim wrócił do twierdzy, kazał pomocnikowi czuwać przy łóżku chorego, poić go, obmywać i robić chłodne okłady. Gdy wyszli na ulicę, zwrócił się do znachora:

– Dziękuję ci, przyjacielu.

– To ja jestem ci winien wdzięczność.

– Za co?

– Otrzeźwiłeś mnie – roześmiał się. – Teraz będę mógł pić dalej.

Rozstali się przy murach twierdzy. Adonis udał się z powrotem do karczmy. Afer i sługa znachora minęli sennego wartownika i przeszli przez bramę. Nikias jeszcze nie spał. Siedział w biurze i zapisywał coś na zwoju papirusu przy słabym świetle dwóch oliwnych lampek. Obok stał dzban wina. Afer sięgnął po kubek i nalał sobie do pełna.

– Nie za ciemno? – zagadnął.

– Niektóre sprawy przedstawiają się tak ponuro, że wolałbym zgasić lampy i w ogóle nic nie widzieć – uśmiechnął się urzędnik.

– Czy chodzi o coś bardzo pilnego, że musieliśmy się spotkać jeszcze dzisiejszej nocy?

– Tak. – Nikias odłożył rysik i skrzyżował ręce. – Pojawiły się problemy w związku z osobą tego wędrownego kaznodziei.

– Jehoszuy?

– Król się martwi. Jeszcze się nie uspokoił po wydaniu pierwszego wyroku, a już żądają od niego skazania następnego odnowiciela wiary.

– Ten pierwszy to Jan, zwany Chrzcicielem? Nikias kiwnął głową.

– A Jehoszua ma zostać kolejną ofiarą?

– Tak. Ci sami ludzie znów naciskają na króla. – Kreteńczyk westchnął ciężko.

– Córeczka, czy kapłani?

– Ludzie z Jerozolimy. Nazywają Jehoszuę wicherzycielem. Wmawiają Herodowi, że podburza lud przeciwko niemu i zamierza przepędzić Rzymian.

Afer przysunął sobie taboret i usiadł przy stole.

– Uważam, że to dobry człowiek. Szanuje króla i nikogo nie zachęca do buntu. Chyba tylko skończony głupiec odważyłby się podnieść rękę przeciwko cesarstwu.

– Albo ktoś opętany ideą ich jedyne Boga.

– On nie należy do fanatyków. Z tego, co wiem, nie podobają mu się ciasne poglądy uczonych i kapłanów. Próbuje... powiedzmy, usunąć pewne naleciałości.

Nikias zmarszczył czoło.

– Innymi słowy, zamierza oczyścić świątynię. Afer upił łyk wina.

– Tego nie wiem. Cóż znaczy nieznany prorok z Galilei wobec potężnej i sławnej świątyni w Jerozolimie? Może chciałby coś zmienić, ale czy się odważy? Potrzebowałby znacznie więcej zwolenników, niż ma do tej pory.

– I niż zdobędzie w ciągu roku? Mówią, że czyni cuda i uzdrawia chorych.

– Cudotwórcy pojawiali się w każdej epoce. A ja nie jestem jasnowidzem, nie wiem, co wydarzy się za rok.

Nikias skinął głową.

– W tej twierdzy też nie ma astrologów, ale i tak wiemy, dla kogo pracujesz.

– Dla króla.

– Nie rozśmieszaj mnie. I nie opowiadaj bajek. Dla niego też, ale przede wszystkim dla Rzymu.

– Jakie to ma znaczenie? – odpowiedział Afer po dość długim milczeniu.

– Zasadnicze. – Nikias przesunął ręką po stole, potem przyjrzał się uważnie rozmówcy. – Każdy, kto opłaca najemników, musi się liczyć z tym, że ktoś inny zaproponuje im wyższą stawkę. A na kimś, kto służy Rzymianom, możemy polegać. Raczej nie odważy się na zdradę,

a jeżeli to zrobi, poniesie karę. Poza tym król trzyma stronę cesarstwa. To, co przynosi korzyść Rzymowi, jest korzystne także dla niego.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Od początku. Masz pewność, że Jehoszua nie spiskuje przeciwko Rzymowi?

Afer wzruszył ramionami.

– Skąd można wiedzieć, co ktoś kryje w głębi serca? Opieram się tylko na tym, co zaobserwowałem i usłyszałem.

– Herod wybiera się do Jerozolimy. Zamieszka w pałacu. Ma zamiar obchodzić święto Paschy razem z poddanyimi.

– Z którymi? – Afer roześmiał się. – Najpierw musi uzyskać pozwolenie Piłata. Namaszczony przez Rzymian król za zgodą rzymskiego namiestnika pojawi się w Judei, rzymskiej prowincji. Myślisz, że ludzie się ucieszą? W każdym razie arcykapłani na pewno nie.

– Sprawa jest skomplikowana. Żeby było jeszcze trudniej, przybędzie też Piłat. Teraz rozumiesz, dlaczego staramy się zgromadzić jak najwięcej informacji i uzyskać całkowitą pewność?

– Wierzę, że Jehoszua ma dobre intencje – powiedział Afer powoli. – Chodzi mu o dobro ludzi. I o prawdziwą wiarę.

– To trochę niezwykle.

– Nie rozumiem.

– Każdy, kto twierdzi, że robi coś dla społeczności, marzy o tym, żeby jej przewodzić. Każdy, kto działa w imię wiary, próbuje wykorzystać ją jako środek do manipulowania ludźmi. A ja mam ci wierzyć, że ten człowiek nie dąży do zdobycia władzy?

Afer w milczeniu kiwnął głową. Nikias wpatrywał się w niego natarczywie. W końcu oświadczył:

– Twoje milczenie oznacza potwierdzenie moich przypuszczeń. Przekonało mnie bardziej niż najdłuższe przemówienie.

– Jak długo zostajesz?

– Wyjeżdżam jutro po południu. Wyświadczyłbyś mi przysługę, gdybyś dowiedział się jak najwięcej o tym Jehoszui i jego wyznawcach.

– Spróbuję – Afer wstał.

– Siadaj – Nikias wskazał mu stołek – wcale nie skończyliśmy.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – Afer westchnął ciężko.

– Kto jest twoim rzymskim zwierzchnikiem?

– Czy to ważne? Jeden Rzymianin nie różni się tak bardzo od drugiego, żebyś musiał się nad tym głowić. Ty albo Herod.

– Nie udawaj głupiego, bo mnie obrażasz. – Nikias z całej siły rąbnął pięścią w stół.

– Nie wiem, dla kogo pracuję. Ci, którzy mnie zwerbowali, nie przedstawili się.

– Znów próbujesz zrobić ze mnie durnia. Komuś przecież przekazujesz informacje.

– Tak, ale nie znam jego mocodawców.

– Nie wierzę ci. – Nikias rzucił mu groźne spojrzenie. Ujął prawą dłoń wskazujący palec lewej, a potem kolejne palce.

– Po pierwsze – wywiad wszechwładnego Sejana. Mówią, że nie wystarczy mu już kierowanie pretorianami i cesarstwem z ukrycia. Po drugie, Tyberiusz August od lat oddaje się na wyspie Kaprei niezbyt szlachetnym rozrywkom. Właściwie pozostawił całą władzę Sejanowi, ale ma swoich zaufanych ludzi wśród legionistów. Po trzecie, dawni szpiegzy matki Tyberiusza, Liwii. Nie wiemy, dla kogo teraz pracują, ale na pewno nie dla Sejana. Po czwarte, różne wpływowe osoby, na przykład bogaci kupcy, zatrudniają własnych informatorów, żeby uniezależnić się od innych.

Afer opróżnił kubek.

– Długie przemówienie; aż zdążyłem znowu poczuć pragnienie. A i tak nadal nie wiem, kto wydaje rozkazy.

– Komu przekazujesz raporty?

– Tego nie wolno mi zdradzić – Afer pokręcił głową.

– O święta naiwności! – westchnął ciężko Kreteńczyk. – Przekazujesz wiadomości do Cezarei, konkretnie szlachetnemu Parmenidesowi. A on służy armii, czyli cesarzowi. Niewykluczone, że także i zamożnym kupcom.

– Wiesz więcej niż ja – powiedział Afer słabym głosem.

– Dlatego też otrzymuję wyższe wynagrodzenie. – Nikias przymknął oczy i zaraz znowu je otworzył. – Chodzą słuchy, że Sejan chce przejąć władzę i sam tytułować się princepsem. Ale to tylko niesprawdzone pogłoski. Idź i słuchaj uważnie. A po południu przyjdź znowu i powiedz, czego się dowiedziałeś.

Rano Tiszahar gorączkę miał mniejszą, ale mógł tylko trochę poruszyć palcami. Chłopak

Afera przyniósł mu płaską miskę, żeby się wypróżnić, umył go i napił. Afer rozpuścił w wodzie cuchnący proszek znachora, zostawił chorego pod opieką chłopaka i udał się do twierdzy na rozmowę ze zwierzchnikiem. Jego przełożony, Gamaliel, Żyd, który powrócił z Bizancjum, życzył sobie czasami wysłuchać raportów i pytań, chociaż na te ostatnie prawie nigdy nie odpowiadał. Na ogół wszystkie zadania powierzał Aferowi i Ksantiposowi. Tym razem oprócz nich w obradach uczestniczył również Nikias. Zjedli razem śniadanie, złożone z chleba, pieczeni i ziołowego naparu osłodzonego miodem. Gdy już się posilili i wyjaśnili wszystkie kwestie dotyczące twierdzy, Gamaliel zwrócił się do Afera:

– Rozmawiałeś już z Nikiasem?

– Masz na myśli jakiś konkretny temat, panie?

– Doradca króla – powiedział jego przełożony łagodnym, jakby nieco sennym głosem – chciałby usłyszeć od ciebie dzisiaj po południu coś więcej o tym kaznodziei. Co zrobisz, żeby uzyskać jak najwięcej informacji?

Afer przyjrzał się Nikiasowi. Ten tylko mrugnął okiem. Gamaliel wydawał się dość dobrze zorientowany w sprawie. Dziwne, jak do tej pory zazwyczaj unikał trudnych pytań i kłopotliwych odpowiedzi.

– Spróbuję porozmawiać z paroma osobami, które znają Jehoszuę lub jego przyjaciół.

Gamaliel uśmiechnął się. W wyrazie jego twarzy można było wyczytać ulgę, współczucie, może nawet znużenie.

– Odwiedź tego rybaka, Szymona. Znasz go? Taki potężny starzec, z twarzą jakby wyciosaną z kamienia.

– Wiem, o kim myślisz, panie. Gamaliel skinął głową.

– Coś jeszcze?

Afer nie zastał Szymona, jego łodzi także nie było na brzegu. Nie próbował nawet wypatrywać jej na wodzie. Rybacy zwykle wyruszali w morze przed świtem. Afer stanął przed drzwiami chaty, podrapał się w kark i zastanowił, co dalej robić. Szymon miał otwarty umysł, nie brzydziłby się zaprosić poganina do domu, ale nie wypadało wchodzić pod jego nieobecność. A ubodzy ludzie z Kafarnaum nie zatrudniali służących ani niewolników, którzy zajęliby się gościem i poprosili go do środka. Wydawało mu się jednak, że z izby dobiegają jakieś dźwięki. Westchnął i zaklaskał w dłonie. Głosy umilkły, po chwili usłyszał kroki i ujrzał przed sobą kobietę z Magdali. Zupełnie się nie zmieniła, tylko teraz jej źrenice płonęły jakimś tajemniczym,

jasnym blaskiem.

– Afer! Szukałeś mnie?

– Cieszę się, że cię spotkałem, Miriam – głos uwiązał mu w gardle – ale nie spodziewałem się ciebie w tym miejscu.

– Chcesz się zobaczyć z Szymonem? Wypłynął na połów.

Afer poczuł się nieswojo. Ale zaraz wziął się w garść i wytłumaczył sobie, że zatrudniono go po to, żeby umiał sobie poradzić w niezręcznych sytuacjach.

– Nie bardzo wiem, z kim powinienem się spotkać. Miriam zmrużyła oczy i uśmiechnęła się przelotnie.

– Wysłano cię, żebyś zebrał informacje o Jehoszui, prawda? – Wymieniła to imię innym, szczególnym tonem, który tylko utwierdził Aferę w jego przypuszczeniach.

– Kochasz go, prawda?

– Wszyscy go kochamy. – I już ciszej dodała: – Pobierzemy się.

Ogarnęły go mieszane uczucia: żal, odrobina zazdrości, poczucie osamotnienia, ale także jakieś ciepło i zrozumienie.

– Czy przepędził twego siódmego demona? Kiwnęła głową i uśmiechnęła się ostrożnie, jakby trochę nieufnie.

– No to życzę wam wiele szczęścia i długich lat życia – powiedział. – Wiesz, że zawsze byłem ci życzliwy. A z tego, co wiem, Jehoszua to dobry człowiek.

– Czego od niego chcesz?

– Niczego. Inni żądają, żebym wybadał, czy należy się go obawiać.

– Nikt nie powinien się go bać – zawahała się przez moment – ani król, ani prefekt, ani nawet arcykapłani.

Afer nie wiedział, jak się zachować. Nie wypadało odwrócić się na pięcie i odejść, więc ratował się pytaniem:

– Gdzie będzie ślub? – I dodał pospiesznie, zakłopotany: – Żebym wiedział, pod jaki adres mam wysłać prezent ślubny, o ile nie zostanie to źle przyjęte.

– Ty też jesteś dobry – uśmiechnęła się. – Byłoby nam miło, ale to kwestia dalekiej przyszłości. Za parę dni jedziemy do Kany, do przyjaciół, żeby tam... – Przerwała, jakby gorączkowo szukała jakiegoś bezpieczniejszego tematu. Nagle spytała:

– Twój sługa zachorował, prawda?

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Okazałeś mi serce. Dlatego chętnie słucham wieści o tobie.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, wykrztusił tylko:

– Tak, sparaliżowało go i gorączkuje.

Zanim wypowiedział ostatnie słowa, w progu pojawił się jakiś mężczyzna i stanął z tyłu, za Miriam. Afer od razu rozpoznał Jehoszuę. Po raz pierwszy patrzył z bliska w te przenikliwe, ale ciepłe, ciemne oczy. Usta, których tylu ludzi się obawiało, od których tak wiele zależało, rozciągnęły się w serdecznym uśmiechu. Subtelne, szlachetne oblicze promieniowało naturalnym ciepłem, życzliwością dla całego świata. Afer od razu zorientował się, że kaznodziei łatwiej przychodziły błogosławieństwa i słowa pociechy niż napomnienia czy groźby.

– Wyszędłem zobaczyć, kto tak długo cię zatrzymał. – Jehoszua położył rękę na ramieniu Miriam. – To Afer, prawda? Sprawiedliwy, jak mówią.

Afer przyglądał się smukłym, ale mocnym palcom cieśli, podziwiał siłę i łagodność jego głosu. Bez zastanowienia odrzekł:

– Kogóż w dzisiejszych czasach można nazwać sprawiedliwym?

– Wszyscy jesteśmy niedoskonalimi i chorzy. Jak twój sługa. Miriam opowiadała mi, że traktujesz go jak serdecznego przyjaciela.

– Tak – wykrztusił Afer z trudem.

Czterech czy pięciu mężczyzn wyszło z izby. Przyglądali się Aferowi nieufnie i ponuro, jakby chcieli przepędzić go wzrokiem.

– Mamy wiele do zrobienia – powiedział Jehoszua – ale znam twoje dobre serce i wiem, jak wiele uczyniłeś dla Miriam. Chciałbym cię odwiedzić i zobaczyć chorego.

Jeden z mężczyzn podniósł rękę i otworzył usta, jakby chciał zaprotestować. Afer uprzedził go:

– Panie, jesteś Żydem, a ja poganinem. Jeśli przestąpisz mój próg, staniesz się nieczysty. Nie jestem wart aż takiego poświęcenia. Mój sługa też nie.

Inny spośród słuchaczy popatrzył na niego z uznaniem. Ale Jehoszua pokręcił głową.

– Czy po to ustanowiono prawo, żeby służyło ludziom, czy też my mamy służyć prawu?

Afer bezradnie rozłożył ręce.

– Wszyscy podlegamy jakimś ustawom i przepisom, każdy z nas ma nad sobą zwierzchnika. Gdy król każe mi iść i sprawdzić, czy pewien wędrowny kaznodzieja jest buntownikiem, czy

sprawiedliwym, muszę wykonać jego polecenie. Gdy ja zawołam żołnierza, ten też musi się stawić na wezwanie. Nie moja rzecz osądzać wasze obyczaje. Ale nie mogę przyjąć od ciebie tak wielkiej ofiary. Będę ci wdzięczny, jeżeli wypowiesz dobre słowo lub skierujesz w myślach ku mojemu słudze życzenia powrotu do zdrowia.

Miriam przymknęła oczy i wsparła się o ramię Jezusa. Jeden z mężczyzn szepnął coś po aramejsku, zbyt cicho, by można go było zrozumieć. Jehoszua rzucił mu karcące spojrzenie i odpowiedział coś w tym samym języku. Afer rozróżnił tym razem dwa słowa: „wiara” i „Izrael”. Potem kaznodzieja zwrócił się do niego.

– Idź do domu. I niech twój sługa powróci do zdrowia.

Jeszcze bardziej zakłopotany niż poprzednio, Afer przyłożył rękę do piersi, skłonił głowę i odszedł. Tego samego popołudnia rozmawiał z paroma stałymi informatorami. Zanim udał się do twierdzy, żeby spotkać się z Nikiasem, zajrzał jeszcze do domu. Jego chłopak do posług spał skulony w nogach łóżka chorego. Tiszahar wstał, wyprostował się i uniósł ramiona do góry.

– Lekarstwo poskutkowało, panie – oznajmił z uśmiechem.

W drodze do twierdzy Afer zastanawiał się, czy ma spytać niewolnika, kiedy nastąpiła poprawa, ale zrezygnował. Zastał Nikiasa na dziedzińcu, rozmawiającego z Gamaliel. Jego słudzy szykowali już konie i powóz. Nikias zauważył go, podszedł i zapytał, czego się dowiedział. Afer wziął głęboki oddech i odrzekł:

– Przekaż królowi, że to człowiek sprawiedliwy. Nie sieje niepokoju, nie podburza przeciwko Rzymowi. Jeżeli Herod chce kogoś skazać, lepiej niech osądzi kapłanów.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że zarówno Nikias, jak i Gamaliel uśmiechnęli się szeroko.

– To by rozwiązało nawet więcej problemów, niż mamy do tej pory – odezwał się Żyd.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W lochu

*Lepiej żartować w dobrym towarzystwie w więzieniu, niż rządzić krajem w gronie książąt
i szacownych morderców*

(PRAWDOPODOBNE Z KRETY)

Spędzili w podziemiach dziesięć długich, męczących dni. Rozmawiali, drzemali, wstawali, znowu gawędzili i kładli się spać. Demetrios usiłował znaleźć dobre strony uwięzienia i nawiązać bliższy kontakt z Kleopatrami. Ale powstrzymała go nie bezpośrednio, lecz słowami skierowanymi do towarzyszek. Specjalnie mówiła głośno, żeby wszyscy usłyszeli:

– Fatalny układ. Cztery kobiety i sześciu mężczyzn. Jeżeli zapomnicie o zasadach przyzwoitości i zaczniecie się zachowywać jak suki, wkrótce będziemy tu mieć psiarnię: brud, warczenie i ujadanie.

Glauke zrobiła obrażoną minę, Arsinoe roześmiała się sztucznie, Thais patrzyła w sufit. Nie bardzo miała co oglądać. Piwnica miała około stu kroków długości, wysokość dwa razy większą niż wzrost dorosłego mężczyzny i ciężkie, masywne drzwi. Pod sklepieniem znajdowały się dwa otwory, dla dopływu światła i powietrza, a pod jedną ze ścian stały dwa wiadra. Brud, smród i zmęczenie sprawiały, że więźniowie wyglądali coraz nędzniej. Najmniej zmieniał się Perperna. Demetrios stwierdził ze zdumieniem, że lepiej czuje się w towarzystwie niezmiennie brzydkiego starca niż z każdym dniem bardziej zaniedbanych kobiet.

Obudził go jakiś zgrzyt. Wartownik otwierał właśnie okienko w drzwiach. Meleagros odebrał od niego dwa bochenki chleba i dwa dzbanki wody.

– Na jak długo ma nam to wystarczyć? – zapytał.

– Jeżeli będę miał dobry humor, jutro przyniosę wam więcej. – Strażnik roześmiał się zgryźliwie i zatrzasnął kłapę.

– Dziel i rządź, jak mówi nasze przysłowie. – Perperna zmarszczył brwi.

– Spróbuj dzielić bez rządzenia – odezwał się Nubo.

– Tego właśnie powinni nauczyć się panowie świata – zaśmiał się szyderczo Leonidas.

– To, że tutaj trafiliśmy, zawdzięczamy właśnie jednemu z nich – stwierdził Demetrios. – Kto mnie przyniósł?

– Leonidas i Meleagros. Oprawcy chcieli cię wlec, a ja z jedną ręką nie na wiele mogłem się przydać.

– Dziękuję, przyjaciele. Mikines nie żyje. Wygląda na to, że nie braknie nam czasu, żeby opłakiwać jego śmierć. Co jeszcze udało się wam zauważyć?

Nikt nie wiedział nic konkretnego. Siepacze rzucili się na nich z nienacka. Nubo rozpoznał wśród nich jednego z ludzi Mukhatara. Rzymianie tylko przyglądali się walce.

– Wywlekli nas z łóżek – dodała Thais. – Nie jestem pewna, ale chyba widziałam, jak Rzymianie i kilku Arabów wyjeżdżają z miasta z jukami i workami.

Ravi siedział w kącie, spuścił głowę i żuł w zamyśleniu źdźbło słomy.

– O czym tak milczysz, przyjacielu? – zapytał Demetrios.

– O szczątkach mojej żony – odrzekł zapytany, nie wyjmując trawki z ust.

Ponieważ i tak nie mieli nic innego do roboty, spróbowali jeszcze raz odtworzyć wydarzenia minionego dnia: wizytę Mukhatara u namiestnika, nocny atak i postępowanie Rzymian. Dopiero potem pomyśleli o dobytku.

– Sprzedadzą wszystko – powiedział Meleagros.

– Niewątpliwie już to zrobili. Pewnie zwierząt również się pozbyli – Demetrios przyłożył rękę do obolałego miejsca z tyłu głowy.

– Nie sądzę – sprzeciwiła się Glauke – potrzebują przecież środka transportu.

– Zostawią sobie najszybsze wielbłądy pod wierzch – w głosie Kleopatry brzmiało wyraźne zniecierpliwienie. Demetrios miał nadzieję że jakoś opanuje emocje, w przeciwnym razie jej zdenerwowanie udzieli się pozostałym.

– A co z rzeczami, które mieliśmy przy sobie?

– Te zrabowano nam już tutaj, łącznie z tym, co skrzętnie ukrywaliśmy – mruknął Perperna.

– Przeszukali nas bardzo dokładnie – Arsinoe zmarszczyła czoło.

– Dobrze chociaż, że nie spostrzegli przy tym naszych ukrytych mankamentów – roześmiała się Thais.

– Czego znowu? – dopytywał się Nubo. – Skoro już o tym mowa... – wstał i popatrzył na jeden z wywietrzników.

Demetrios zorientował się, że u jego pasa brakuje sakiewki i noża. Innych także pozbawiono pieniędzy i broni.

– To, co mieliśmy przy sobie, zabrali oprawcy. To, co znajdowało się w jukach – Mukhatar i Rufus. W każdym razie pieniądze. Potrzebowali szybkich wielbłądów. Wyścigowych. Na pewno sprzedali w pośpiechu, co się dało, albo zamienili towary na dobre wierzchowce – podsumował Meleagros. – Tylko po co?

– Żeby szybciej dotrzeć do celu bez nas, za to z tym, co nam ukradli – odpowiedział Perperna.

– Wiadomo, ale nadal nie mamy pojęcia, dokąd zmierzają. I dlaczego nas nie zabili. Albo nie kazali zabić – zastanawiał się Leonidas.

Nikt nie znał odpowiedzi. Ktoś przypomniał sobie, jakoby Rufus twierdził, że ma się oddać wraz z załogą do dyspozycji prefekta. Nikt z uwięzionych nie wiedział, jakie zamiary miał Mukhatar.

– Może uratowała nas twoja znajomość z Piłatem – zwrócił się Demetrios do Kleopatry. – Gdyby Rufus kazał cię zamordować i zbrodnia wyszłaby na jaw, byłby stracony.

– Jak może się wydać morderstwo popełnione gdzieś na bezdrożach pustyni? – zaprotestowała Arsinoe.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. I szlaki handlowe, i te, którymi wędrują żołnierze i poganiacze wielbłądów. Wieści także się roznoszą. Jeden opowie coś drugiemu, inny znajdzie ślady na piasku. Może pewnego dnia któryś z panów świata znów wyśle legiony, żeby przemierzyły trasę z Adane do Damaszku. – Perperna podniósł okaleczoną rękę i przyjrzał się jej z uwagą.

– Może nawet natkną się gdzieś na moją dłoń. Demetrios nie pamiętał, kiedy zasnął. Wśród monotonii jednakowych dni wszyscy kolejno zapadali w drzemkę, budzili się, dyskutowali, skubali chleb, popijali wodą, znowu się kładli – i tak w kółko. Każdego dnia dostawali cztery kawałki chleba i dwa dzbanki wody. Co dwa dni niewolnik w asyście uzbrojonych strażników opróżniał kubły, a później przynosił je z powrotem. Więźniowie pytali siebie nawzajem, jak długo pozostaną w zamknięciu, co nastąpi później, gdzie przebywają Rufus i Mukhatar, oraz czy kiedykolwiek staną z nim twarzą w twarz. I nie potrafili odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Dlatego w końcu z nich zrezygnowali. Zaczęli wspominać bliższą i dalszą przeszłość, minione, zamknięte rozdziały życia. Demetrios próbował rozwikłać parę zagadek. W czasie podróży nie

miał kiedy zastanawiać się nad przyczyną zmiennego zachowania Kharkhaira, ale ostatnie wypadki stawiały wydarzenia z Adane w zupełnie innym świetle. Mimo początkowej niechęci do rokowań stary kupiec sprzedał mu w końcu cały towar po śmiesznie niskich cenach. Mukhatar, który nie znał się na prowadzeniu gospody i w dodatku nienawidził obcych, zdecydował się kupić od Raviego zajazd. Niewykluczone, że zamierzał go komuś wydzierżawić albo korzystnie odsprzedać, tylko po co wyjechał na północ? I kim byli zbójcy, którzy napadli Demetriosa w drodze powrotnej od Kleopatry? W drugim lub trzecim dniu pobytu w lochu podzielił się z Ravim swoimi wątpliwościami. Hindus, który dotąd siedział w kącie nieruchomo i z posępną miną, przerwał wreszcie milczenie.

– Straciłem cały majątek, wszystkie oszczędności – zawodził. – Mogę głodować, żebrać, nająć się do pracy. To wszystko nie ma znaczenia. Najgorsze, że wywieźli w nieznane prochy mojej żony. Jeśli chodzi o inne sprawy, wydaje mi się że nie potrafisz dostrzec tego, co mnie wydaje się oczywiste.

– Co masz na myśli?

– Rzymian.

– Myślisz, że to Rufus tak nas urządził?

Ravi skinął głową i przeniósł wzrok w kierunku przeciwległej ściany, pod którą siedziała Kleopatra.

– Spróbuj wypytać księżniczkę. Spotykała się z nim dość często.

– Pewnie masz rację, ale myślę, że ona też nie ma pojęcia, dlaczego to zrobił.

– Wy, ludzie zachodu, czasami niepotrzebnie komplikujecie proste zagadnienia – westchnął Ravi. – Zastanawiacie się, filozofujecie, szukacie zawyłych wyjaśnień, a nie widzicie tego, co można dojrzeć gołym okiem. Dlatego trudno wam odpowiedzieć nawet na najłatwiejsze pytania.

– No to mnie oświeć, mędrco – roześmiał się Demetrios bez urazy.

– Panowie świata chcą wszystkimi rządzić, a jeżeli to niemożliwe, przynajmniej kontrolować sprawy. Rufus i jego żołnierze muszą udać się na północ. Kleopatra też chce się tam dostać. Duża karawana zapewniła obydwójgu większe możliwości realizacji tych planów. Żeby ułatwić ci zrozumienie dalszego przebiegu wydarzeń, wcielę się teraz w rolę rzymskiego centuriona. Otóż ja, Rufus, proszę przywódcę karawany o pozwolenie na uczestnictwo w wyprawie. Dla pewności załatwiam mu wielce korzystną transakcję. Zmuszam starego kupca, żeby szybko i po dogodnych cenach sprzedał mu większą ilość towaru. Na wszelki wypadek, żeby nie cofnął obietnicy, staram

się zaskarbić sobie jego wdzięczność jeszcze w inny sposób. Wynajmuję paru rzeźmieszków. Bandyty napadają łatwowiernego Greka, a ja ratuję mu życie. W ten sposób zdobywam jego zaufanie. Demetrios Spóźnialski powierza zadanie ochrony karawany przed bandytami żołnierzom, którzy go ocalili.

– Może masz słuszość, ale co ma oznaczać ta nagła zmiana, ten ostatni napad? – Demetrios patrzył na Raviego z rosnącym zdumieniem.

– Ja, czyli ciągle Rufus, potrzebuję paru dni, żeby nauczyć się obchodzić z wielbłędami. Stwierdzam też, że bez obciążenia mogę poruszać się szybciej. Przy najbliższej okazji pozbywam się zbędnych ludzi i ładunków i wyruszam w dalszą drogę już bez nich, za to z ich pieniędzmi.

– Teraz przychodzi mi do głowy, że jeżeli zaplanował to wszystko jeszcze w Adane, to również on poradził Mukhatarowi, żeby kupił od naiwnego Hindusa gospodę. Pewnie obiecał, że pieniądze zwróci mu za kilka dni, jak zrealizują wspólny plan.

– Niestety, naiwny Hindus musi ci przyznać rację.

Dni, podobne jeden do drugiego, wlokły się w nieskończoność. Więźniowie próbowali przerwać tę monotonię i zabawiali się nawzajem recytacją wierszy, śpiewaniem piosenek i opowiadaniem zmyślonych historii. Grali też w pytania i odpowiedzi. Demetrios zauważył, że nie tylko on unikał ujawniania prawdy o sobie. Inni też niejedno przemilczali, ubarwiali lub zmieniali szczegóły swego życiorysu. Najciekawsza okazała się opowieść Perperny o służbie w legionach przed półwieczem, licznych wadach i nielicznych zaletach Aeliusza Gallusa i o marszach przez pustynie Arabii. Mówił także o długich latach niewoli, kaprysach swych właścicieli i labiryntach haremów. W końcu wyraził pogląd, że bogowie, którzy rządzą światem, nie kierują się poczuciem sprawiedliwości i nie dbają o pomyślność śmiertelników.

– Na początku myślałem inaczej – powiedział i podniósł ramię do góry. – Gdzieś daleko na północy moja centuria odłączyła się od reszty oddziałów, żeby poszukać wody. Znaleźliśmy źródło, lecz lokalny władca nie pozwolił nam się napić. Doszło do niewielkiego konfliktu. Po jego zakończeniu chytry książę już nigdy nie poczuł pragnienia. Dzięki mnie. Dlatego przysługiwał mi przywilej uwolnienia go także od innych, równie niepotrzebnych już rzeczy. Miał na palcu cenny pierścień, ale nie udało mi się go zdjąć. Dlatego obciąłem palec i wtedy już bez trudu ściągnąłem klejnot. – Poklepał się po przepasce na biodrach. Słuchacze dopiero teraz dostrzegli na niej nieznaczną wypukłość. – Udało mi się go zachować przez te wszystkie lata. Ten pierścień i parę monet, to wszystko, co posiadam. Oprócz głowy i zapamiętanych historii.

– Ale co to ma wspólnego z twoimi zapatrywaniami? – zapytała Glauke. – Nie widzę żadnego związku.

– Zaraz zobaczysz. Kiedy utraciłem rękę, pomyślałem, że to kara boska za obcięcie palca księciu. Ale potem pojawiły się wątpliwości. Cóż to za sprawiedliwość – cała dłoń za jeden palec? Teraz już wiem, że bogowie nie ważą naszych uczynków i nie troszczą się o wyrównanie krzywd. Gdyby tak postępowali, już dawno zostałbym nadzorcą arabskich niewolników.

Demetrios niezbyt uważnie słuchał zawitych objaśnień Perperny. Wrócił myślami do swej karawany i ostatnich wydarzeń. No i wolał patrzeć na Kleopatrze. Obserwowanie jej twarzy sprawiało mu przyjemność, póki brud, znużenie i zaniedbanie nie zatarły jej urody. Gdy Perperna skończył, wziął go na stronę i powiedział:

– Nie jesteśmy wprawdzie bogami, ale spróbujmy wyrównać rachunki.

– Chcesz mi podarować pięćdziesiąt lat – zachichotał stary – albo arabskich niewolników? Nie przesadzaj. Wystarczy, że obdarzyłeś mnie wolnością.

– Wszyscy mamy tu tyle samo wolności – Demetrios zmrużył oczy i obserwował byłego niewolnika. – Nie chodzi o ciebie, tylko o Preksaspesa i dziewczynę.

W oczach Perperny ujrział niepewność, może poczucie winy, w każdym razie jakiś dziwny wyraz, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Cóż z nimi, oprócz tego, że nie żyją?

– Preksaspesa zabito mieczem albo sztyletem. Jego przyjaciółka, o ile pamiętam, została uduszona.

– Tak właśnie było – przyznał Perperna.

– Widziałeś ślady. Dwóch morderców nosiło sandały.

– Twoja przenikliwość... Powiedziałbym, że nieco się spóźniłeś z tymi wnioskami – starzec przygryzł wargi.

– Masz rację. Żałuję, że nie zbadałem zwłok. Perperna zmrużył oczy.

– Co by to zmieniło? I tak nie przywrócisz im życia.

– Ale to kazałoby mi wzmóc czujność.

– Czego chcesz się dowiedzieć?

– Centurion i legionieści okazali się skończonymi łotrami. Ponieważ oni nie mieli skrupułów, ty również powinieneś zapomnieć o lojalności wobec rodaków. Powiedz mi, co naprawdę zobaczyłeś.

– Niektórzy Arabowie też noszą sandały – mruknął Perperna... – Poganiacze wprawdzie chodzili boso, ale... – westchnął ciężko i pokręcił głową. – Obuwie rzymskich żołnierzy nie wyróżnia się żadnymi szczególnymi cechami. Trudno rozpoznać osobę po śladach butów. Mimo wszystko podejrzewam, że jednym z morderców był Rufus.

– Nie widziałem, jak chowano zabitych. Zwróciłeś może uwagę, czy głowa dziewczyny opadała, gdy poganiacze ją przynosili?

– Tak – Perperna popatrzył Demetriosowi w oczy.

– Jakby ktoś skręcił jej kark.

– Specjalna szkoła walki – zabójca potrafił uśmiercić człowieka gołymi rękami. Już po złamaniu kręgosłupa zacisnął palce na szyi, żeby pozostawić ślady uduszenia. Liczył na to, że głupi Demetrios nie rozpozna prawdziwej przyczyny śmierci.

– Za moich czasów – powiedział Perperna – szkolono w ten sposób tylko przyboczną straż Oktawiana Augusta.

– Dzisiaj znają ten chwyt także pretorianie.

– Kamień spadł mi z serca – Perperna odetchnął z ulgą.

– Wychodzi na to, że nie zdradziłem ci żadnej tajemnicy. Sam do wszystkiego doszedłeś.

– Powinienem cię wychłostać.

– Co by to zmieniło?

– Może gdybym więcej wiedział, byłbym ostrożniejszy.

– A wtedy ci dranie nie umieściliby nas w lochu u namiestnika, tylko zamordowali gdzieś na pustkowiu.

Czas w niewoli dłużył się w nieskończoność. Z braku innego zajęcia Demetrios próbował jeszcze raz odtworzyć z zapamiętanych obrazów i domysłów przebieg wypadków. Niewiele mu to dało. Zyskał tylko pewność, że tamtej fatalnej nocy Rufus i Mukhatar opuścili dolinę, żeby na osobności omówić szczegóły swego planu. W tym czasie para młodych szukała miejsca na schadzki z dala od obozu. Spiskowcy natknęli się na nich przypadkiem i zlikwidowali niepożądanych świadków. Niejasny pozostał tylko cel ich działania. Rufus dowodził doborowym oddziałem, złożonym z najsilniejszych i najlepiej wyszkolonych żołnierzy. Demetrios nie potrafił odnaleźć związku pomiędzy wcześniejszymi wydarzeniami a pospieszną ucieczką na północ, do Pilata. Nubo też usiłował wypełnić monotonię jednakowych dni składaniem elementów tej łamigłówki. I doszedł do bardzo podobnych wniosków. Ravi także stopniowo przełamywał

milczenie. Od czasu do czasu włączał się nawet do dyskusji i dorzucał własne przypuszczenia i obserwacje. Kleopatra trzymała się na uboczu i przeważnie tylko słuchała. Z rzadka tylko podważała lub potwierdzała czyjeś domysły.

– Hej, ty – zawołał nagle Nubo do Arsinoe. – Wyjaśnij nam, czemu tamtego wieczoru tak usilnie starałaś się znaleźć sam na sam z Demetriosem?

– Czy kobieta potrzebuje jakiegoś szczególnego powodu, żeby spotkać się na osobności z mężczyzną?

– Oczywiście, że nie, a jednak trochę mi było przykro.

– Murzyn zrobił komicznie smutną minę, a zaskoczona Arsinoe uniosła brwi.

– Z dwóch powodów – wyjaśnił. – Wstydzilem się, że wam przeszkadzam, a z drugiej strony ja sam miałem ochotę spotkać się z tobą z daleka od ludzkich oczu.

Arsinoe popatrzyła na Nubo, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Czy to coś strasznego?

– Nie – roześmiała się – ale mnie zaskoczyłeś. Meleagros odchrząknął.

– Jeżeli nas kiedykolwiek stąd wypuszczą, możecie się umówić na pogawędkę i dyskutować na ten temat bez świadków. Mnie przypomniało się coś, co może okazać się istotne dla wyjaśnienia zagadki.

– Co takiego?

– Księżniczka udała się na spoczynek dość wcześnie – Meleagros nie spuszczał oka z Kleopatry. – Ja też nie siedziałem bez przerwy w gospodzie. Dlatego nie mam całkowitej pewności, ale wydawało mi się, że widziałem Rufusa na schodach.

– Nic dziwnego – przerwała mu Thais – zajął jedną z sypialni.

– Ale zaraz wrócił – dokończył Meleagros, a Leonidas przytaknął. – Z dość chmurną miną, jakby spotkał go afront.

– Co przypuszczasz?

– Wyglądało na to, że ktoś wybił mu z głowy jakiś pomysł... albo marzenie.

Kleopatra wzruszyła ramionami.

– Jeżeli już koniecznie chcecie wiedzieć, odwiedził mnie w pokoju. Chciał zaznać ze mną rozkoszy. Poza tym próbował mnie przekonać, że bym was opuściła i towarzyszyła mu w ucieczce.

– Podejrzewam, że odmówiłaś – domyślił się Ravi. – Żałujesz teraz?

Kleopatra odchyliła głowę do tyłu. Nie patrząc na nikogo, odpowiedziała lodowatym, bezbarwnym głosem:

– Wolałabym znaleźć się gdzie indziej.

Później, kiedy inni już spali, Demetrios podszedł do niej. W ciemności z początku nie mógł jej odnaleźć. W końcu ją zauważył. Nie położyła się. Siedziała, oparta o ścianę.

– Nie śpię – szepnęła. – Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– A musisz? – westchnęła cicho.

– Tak. Muszę dowiedzieć się pewnych rzeczy. I ustalić jakiś plan, na wypadek gdyby nas kiedyś stąd wypuszczono. Twoje informacje mogą okazać się bezcenne.

– O co chciałbyś zapytać?

– Czy Rufus zdradził ci cel swojej podróży?

– Dlaczego miałby mi się zwierzać?

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, księżniczko. Próbował namówić cię do zdrady. Musiał użyć jakichś argumentów, podać jakiś powód.

– Powiedział tylko, że chce się dostać do Judei. Do Jerozolimy albo Cezarei, w każdym razie do Pilata.

Demetrios milczał kilka sekund. Potem odezwał się znowu:

– Kilka dni temu, albo może wczoraj, sam już nie pamiętam kiedy, doszliśmy z Perperną do wniosku, że Rufus i jego ludzie to pretorianie. Czy wiesz, co to oznacza?

– Najlepiej wyszkoleni, najsilniejsi wojownicy. Podwładni potężnego Sejana. Co z tego?

– Sejan zatrudnia szpiegów. Pretorianie nie otrzymują zadań poza Rzymem. Ich rola polega wyłącznie na ochronie osoby cesarza.

– Tyberiusz August – wypowiedziała to imię z jawną pogardą w głosie – siedzi sobie na Kaprei, hańbi dzieci i torturuje niewolników. To nie on potrzebuje ochrony, tylko reszta świata przed nim.

– Nie interesują mnie poczynania Tyberiusza, tylko Rufusa. Jakie zadania powierzył mu Sejan w Arabii albo w Judei?

– Jak myślisz?

– Miałem nadzieję, że ty coś wiesz. Kleopatra nie odpowiedziała.

– Nic ci nie mówił czy wolisz to przemilczeć? Księżniczka wyciągnęła rękę, westchnęła

głęboko i czubkami palców pogłaskała go po policzku.

– Tęsknię za kąpielą. I za jakimś przyjemniejszym miejscem.

Demetrios roześmiał się – Zmieniasz temat. Chcesz mnie skusić obietnicami rozkoszy, której daremnie szukał u ciebie Rufus? Obietnicami, których nie zamierzasz spełnić?

– To zależy od miejsca. I od tego, jak zniesiemy siebie nawzajem.

– O jaką miejscowość ci chodzi i czego oczekujesz?

– Słyszałam o pewnej oazie daleko na północy, gdzieś na wschód od drogi z Petry do Damaszku. Stoi tam posąg pewnego boga. Moi przodkowie mawiali, że w jego cieniu przychodzi miłość. A co do zachowania, najbardziej cenię sobie powściągliwość.

Demetrios przyjrzał się Kleopatrze z uwagą i mimo ciemności próbował odczytać z wyrazu jej oczu prawdziwe uczucia. Potem roześmiał się i bez żenady rzucił jej w twarz szyderstwo:

– A kiedy już doprowadzę cię do celu, skromnie i z poszanowaniem dobrych obyczajów pozwolisz mi łaskawie popatrzeć, jak u stóp owego posągu padasz w ramiona Piłatowi i jak wasz romans rozkwita ponownie, z błogosławieństwem opiekuńczego boga zakochanych.

– Przemyślę to jeszcze – odrzekła spokojnie. Demetrios poczuł się nieco pewniej. Pomyślał, że chyba wspomniany bożek nad nim czuwa. Miał w zanadru jeszcze jedną niespodziankę.

– Ciekawe tylko – szepnął jej do ucha – jak ci się uda ściągnąć prefekta Poncjusza Piłata do Ao Hidis?

Przyglądał się księżniczce jak myśliwy, który wycelował w ofiarę ostatnią strzałę z kołczanu. Kleopatra poruszyła się gwałtownie. Demetrios nie widział wyrazu jej twarzy, lecz mógłby przysiąc, że księżniczka zeszywniała jak rażona piorunem. Opanowała się jednak bardzo szybko. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał równie spokojnie jak przedtem.

– Skąd przyszło ci do głowy Ao Hidis?

– Szlachetna i dostojna pani! Ty, która koisz moje serce i rozbudzasz żądze w moim ciele! Najpierw ty powiedz mi, skąd znasz tę nazwę i jaką tajemnicę kryje posąg, a wtedy ja zdradzę ci, skąd wiem o Ao Hidis – chciał wstać, ale położyła mu rękę na ramieniu i zatrzymała go.

– Nie tylko Sejan zatrudnia szpiegów – szepnęła. – Wierni Tyberiuszowi legioniści także prowadzą swój wywiad. No i istnieją jeszcze specjalne oddziały w wojsku.

– Aż dziwne, że macedońskie księżniczki tyle wiedzą.

– Dziwne – powtórzyła jak echo – że niektórzy kupcy są tak bardzo zaskoczeni, gdy ktoś im opowiada o tych sprawach.

– Czy zatrzymałaś mnie po to, żeby pogadać o służbach wywiadowczych Rzymu?

Kleopatra zacisnęła mocniej palce na jego ramieniu.

– Mówi się, że Liwia stworzyła własną siatkę szpiegowską, która działała jeszcze długo po śmierci Augusta. Jak jadowity pająk polowała na każdego, kto mógł stanąć jej synowi, Tyberiuszowi, na drodze do tronu, i uśmiercała wszystkich podejrzanych. Co się stało z tą siecią?

– Ktoś inny ją snuje.

– Kto?

– Znam tylko pogłoski – Demetrios zawahał się przez chwilę. – Do czego zmierzasz?

– Może istnieje jeszcze czwarta organizacja – szepnęła – założona przez najbogatszych kupców, którzy pragną uniezależnić się zarówno od wstrętnego cesarza, jak i od bezwzględного prefekta pretorianów. Ci ludzie musieli badać rynki, jeszcze zanim Liwia dołączyła do grona bogów. Poszukiwali miejsc, gdzie można najkorzystniej kupić i najlepiej sprzedać różne towary. Ta czwarta organizacja, która wysłała zwiadowców w najodleglejsze zakątki ziemi, to wywiad handlowy. Po co pojechałeś do Afryki?

Demetrios uniósł ramię i zanim księżniczka zdążyła cofnąć rękę, ucałował końce jej palców.

– Myślę, że czeka nas jeszcze wiele zajmujących rozmów. O ile nas stąd kiedykolwiek wypuszczą.

Następnego ranka zamiast okienka otworzyły się całe drzwi. Do środka wkroczyło czterech uzbrojonych strażników, a za nimi mężczyzna w średnim wieku.

– Pozdrawiam szlachetnych gości namiestnika. Podejrzewam, że pod nieobecność księcia zaszła jakaś pożałowania godna pomyłka. Poinformowano mnie o tym dopiero dzisiaj. Chodźcie za mną, proszę.

Zaprowadził ich do dwóch pomieszczeń, jednego dla kobiet i jednego dla mężczyzn, gdzie mogli się umyć. Czekwały tam na nich duże miednice, czyste ręczniki i stosy świeżej bielizny. Później przeszli do sali jadalnej. Niemi niewolnicy podawali im talerze z pieczenia, chlebem, warzywami i owocami. Do picia dostali słabe piwo, wodę, sok i napary ziołowe. W czasie śniadania inni ludzie przynosili kolejno ich broń, torby i płaszcze i układali wszystko na stole przy wejściu. Urzędnik namiestnika nie pojawił się więcej, a od służących nie mogli się niczego dowiedzieć. Gdy się już posilili i odzyskali dobytek, dwunastu uzbrojonych strażników wyprowadziło ich grzecznie, ale stanowczo za mury.

Przeliczyli pieniądze w sakiewkach, a potem odbyli równie krótką co bezowocną naradę.

W końcu znaleźli jakiegoś handlarza na przedmieściu i kupili od niego dziesięć wielbłądów pod wierzch i trzy juczne. Wystarczyło jeszcze na zakup żywności na czterdzieści albo pięćdziesiąt dni. Gdy odjeżdżali, Perperna odwrócił się, popatrzył na miasto i splunął.

– Czego mam im życzyć? – zapytał. – Trzęsienia ziemi czy wielkiego pożaru?

– Najlepiej hordy pretorianów, pijanych zwycięstwem i żądzą mordy. A jeszcze wcześniej paru niezbędnych informacji.

Kleopatra jechała w pewnym oddaleniu od nich. Gdy usłyszała słowa Demetriososa, odwróciła się. Na jej twarzy pojawił się uśmiech i coś jeszcze – jakby wyraz powątpiewania.

– Informacje są przydatne tylko temu, kto wie wystarczająco dużo, żeby z nich skorzystać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Początek gry

Jedna fala nadciąga z tej strony, druga uderza z przeciwnej, a my płyniemy na mrocznym okręcie.

ALKAJOS

Zima w Kafarnaum była łagodna. Afer musiał trzykrotnie wyprawiać się z częścią swoich ludzi, żeby przywrócić spokój w Tyberiadzie i okolicy. Stary król Herod, zwany Wielkim, nadał miastu tę nazwę na cześć cesarza. Mieszkała tam mieszana ludność napływowa i wciąż dochodziło do konfliktów, wzajemnych waśni, sporów z Żydami z Galilei i naruszania prawa przez celników i poborców podatkowych. W dodatku niektóre niezbyt mądre osoby uważały Tyberiadę za równie bezpieczną jak Dekapolis po drugiej stronie Jordanu i usiłowały tam umknąć przed rzymskim lub żydowskim wymiarem sprawiedliwości. Kiedyś Afer i Ksantipos omawiali z przelożonym przypadek pewnego zbiega.

– Tylko uczciwy nie musi obawiać się prawa – zakończył rozmowę Gamaliel. – Który z was przyprowadzi tego głupca?

– Lepiej niech on to zrobi. Nie obarczaj mnie, proszę, kolejnym tego rodzaju zadaniem – wykręcał się Ksantipos.

Stało na tym, że Afer musiał wyruszyć w pościg na czele dwudziestu żołnierzy. Do ujęcia poszukiwanego potrzebował zaledwie dwóch ludzi. Pozostałych osiemnastu miało za zadanie stłumić zamieszki w Tyberiadzie. Zarówno w tamtą stronę, jak i z powrotem przejeżdżali przez Magdalę. Afer z odrobiną żalu w sercu wspomniiał kobietę, która go porzuciła, i Jehoszuę, który był już zapewne jej mężem.

Ze zdumieniem stwierdził, że zdążył się przyzwyczaić do mieszkańców tych ziem, a nawet ich polubił i zaczął szanować. Za uczonymi w Piśmie nadal nie przepadał. Uważał, że chcieli za wszelką cenę podporządkować cały świat regułom zapisanym przez kogoś setki lat temu jako słowo Boże. Równie złe zdanie miał o fanatykach, którzy bezkrytycznie słuchali swoich

mistrzów i byli gotowi umrzeć lub zabić za zasady swej wiary. Lubił natomiast i rozumiał zwykłych, prostych ludzi. Stanowili oni większość wśród Żydów. Byli pobożni, lecz nie fanatyczni, posłuszni prawu, lecz nie zaślepieni, posiadali świadomość i dumę narodową, lecz nie żywili nienawiści do obcych. Podobało mu się poczucie humoru i serdeczność rybaków, rolników i kramarzy z Kafarnaum. Uważał obowiązek dbania o ich bezpieczeństwo za całkiem przyjemne i wdzięczne zadanie.

Przez kilka tygodni dzielił dom, życie i posłanie z syryjską Greczynką. Pracowała jako pisarka dla pewnej organizacji handlowej z Laodycei i przybyła z jakąś karawaną, żeby uporządkować sprawy swoich zwierzchników, zakończyć niekorzystne układy i nawiązać nowe, lepsze kontakty. Pod różnymi pretekstami przedłużała swój pobyt tak długo, aż przełożeni przysłali po nią posłańca. Poza tym Afer miał zawsze pełne ręce roboty. Wymyślał coraz to nowe zadania dla żołnierzy, żeby utrzymać ich w ciągłej gotowości bojowej, doglądał wierzchowców, sprawdzał stan uzbrojenia, nadzorował prace przy umacnianiu i dozbrajaniu twierdzy. Wieczorami gawędził i pił wino z Adonidem, Ksantiposem i Gamaliem, czasami również z kupcami z Północnego Miasta. Niekiedy spotykał się z rybakami i rolnikami w którejś gospodzie nad brzegiem jeziora. Od czasu do czasu przybywali posłańcy z wieściami, rozkazami i pytaniami. Starali się nie rzucać w oczy i nie ujawniać swojej tożsamości. Z marnym skutkiem. Całe Kafarnaum natychmiast zaczynało plotkować o „ludziach z mroku”. Wszyscy wiedzieli, że przybyli z jakąś tajną misją, i w mieście aż huczało od pogłosek i domysłów: jakiego to króla obalono, jakie prawo złamano, jakie głupstwa popełniono. Afer także stawał się wtedy obiektem plotek i celem docinków. On sam również puszczał w obieg różne pogłoski, żeby podtrzymać przyjazne stosunki z niektórymi mieszkańcami Kafarnaum i zaskarbić sobie ich zaufanie.

Pomimo że całe miasto pilnie obserwowało niecodziennych przybyszów, zawsze jakoś udawało im się dochować tajemnicy służbowej. W każdym razie Afer ani u znajomych, ani w karczmie nigdy nie usłyszał czegoś, co nie powinno było dotrzeć do niepowołanych uszu.

Posłowie Heroda Antypasa przybywali z Laodycei, Antiochii, Cezarei, Jerozolimy, Bet-Haram, Macherontu i Petry. A także z pustyni: z rzymskich prowincji, Syrii i Judei, z Ziemi Niczyjej i państwa Nabatejczyków. Sam król rzadko zatrzymywał się w Tyberiadzie – niespokojnej, nowej stolicy. Wolał przebywać w Bet-Haram. Afer nie znał tego miasta. A od Macherontu – przygnębiającego labiryntu wałów, murów i podziemi, wolał trzymać się z daleka. Był tam tylko dwa razy. I zawsze ogarniał go lęk, przecucie, że kiedyś, na początku dziejów,

bogowie przeznaczili mu męczarnie i śmierć w tutejszych kazamatach. Wiedział, że to tylko urojenia, znał nawet przyczynę dręczących go koszmarów. Bał się tego miejsca, ponieważ tu właśnie wykonano wyrok na Janie, zwanym Chrzycielem. Mówiono, że po śmierci kaznodziei w lochach twierdzy pojawiają się nocą przerażające widziadła.

W ostatnim czasie Afer sporo się dowiedział. Tylko część uzyskanych informacji mógł przekazać Gamalielowi i Ksantiposowi. W Ao Hidis młody Hiqar nadal awansował, szeptano nawet, że wkrótce zostanie dowódcą przybocznej gwardii Belhadada. Lubili go zarówno żołnierze, jak i lud. Wieść, że Belhadad jest ciężko chory i powierzył dogłądanie swych ciemnych interesów zaufanym ludziom, skłoniła Afera do wyjazdu na pustynię. Na jej północnym krańcu spotkał się ponownie ze swym stałym informatorem, Numanem. Ten stanowczo zaprzeczył plotkom.

– Stary lew postanowił po prostu trochę odpocząć. I to tylko od spraw publicznych. Mówią, że ostatnio trzy spośród jego żon zaszły w ciążę.

– To mnie wcale nie cieszy – Afer skrzywił się – ale znasz chyba opowieść o starym księciu i lwie?

– Nie, ale z przyjemnością posłucham.

– Zaczyna się tak: Pewien stary książę modlił się do bogów, żeby młoda żona urodziła mu dziecko. Usłyszał to jego przyjaciel, również w podeszłym wieku, i opowiedział o swojej przygodzie. Pewnego wieczora wyszedł na spacer bez broni. Na końcu ogrodu natknął się na lwa. Powiedział sobie, że jeżeli ktoś głęboko wierzy i żarliwie się modli, bogowie czasami czynią cuda. Podniósł laskę, naprężył mięśnie, drugą rękę wyciągnął przed siebie, naśladując ruchy, jakie wykonują łucznicy, żeby wyjąć strzałę z kołczanu, napiąć cięciwę i strzelić. Kiedy już odegrał całe to przedstawienie, wydał cichy gwizd, podobny do dźwięku strzały lecącej do celu. I o mało nie zemdlął ze zdumienia: król pustyni zaryczał i padł martwy na ziemię. W sercu zwierza tkwiła najprawdziwsza strzała, a z rany ciekła krew.

Stary książę zapytał: „Dlaczego mi o tym opowiadasz?” „Dlatego – odrzekł przyjaciel – że kiedy ochłonąłem ze zdumienia, obejrzałem się. Za mną stał jeden z moich żołnierzy. Jeszcze nie zdążył opuścić łuku. Czasami ktoś inny robi to, o czym my marzymy i co nam samym nie wychodzi. Z potomstwem bywa podobnie”.

– W takim razie życzę zastępcy Belhadada najszybszego rumaka na świecie. Bo zemsta księcia jest szybsza od wiatru, straszliwsza niż jego siepacze. Karzące ramię Belhadada sięga

daleko poza Arabię, dalej jeszcze, niż dociera jego sława.

Inne wieści z rzymskiej Syrii także dotyczyły Belhadada i Hiqara. Numan powiedział, że prefekt Witeliusz zamierza na wiosnę wysłać niewielką grupę żołnierzy przez pustynię do południowego Dekapolis. To samo uczyni Poncjusz Piłat, prefekt Judei i Samarii. Afer musi się postarać, żeby obydwie oddziały połączyły się z trzecim w celu wykonania określonego zadania. Posłowie króla Partów, Artabana, spędzili zimę w nieodpowiednim miejscu. Jeżeli zostaną tam jeszcze na wiosnę, należy delikatnie, ale stanowczo skłonić ich do odwrotu.

– Co to za oddział, który ma dołączyć do poprzednich?

– zapytał Afer, gdy posłaniec skończył relację.

– Nie mam pojęcia, tylko tyle mi przekazano. Mam ci jeszcze zalecić, żebyś omówił tę sprawę ze swoim królem i jego doradcami.

Afer zaprosił Numana do twierdzy, ugościł i kazał nakarmić. Zabronił mu dzielić się z kimkolwiek wiadomościami.

– Panie, nie trzeba mi o tym przypominać! – zawołał Numan z wyrzutem.

– Wiem, wiem, przyjacielu. Ale ja też czasami czuję się samotny, mam ochotę rozerwać się, poplotkować z ludźmi. Pewnie innym także się zdarza coś takiego.

Zaraz po zachodzie słońca Afer wybrał się do twierdzy, do Gamaliela – nie tyle na pogawędkę, ile po radę. Przywitała go pani domu. Właściwie niewolnica, z którą Gamaliel żył po śmierci żony. Pochodziła z Krety, była trochę młodsza od swego pana i wszyscy bardzo ją szanowali.

– Masz ochotę na trochę chleba i wina, panie? – spytała.

– Skoro już przeszkadzam w kolacji... – zgodził się Afer. Przysunął sobie taboret i przysiadł się do stołu. Irena naląła mu rozcieńczonego wina i zapaliła trzecią lampkę – Żebyś nie pomylił noży z owocami – roześmiała się.

– Wszyscy mężczyźni to durnie, wiadomo, a żołnierze w szczególności.

– Właśnie głupota mnie tu sprowadziła. I nadzieja, że Gamaliel pomoże mi zmądrzeć.

Stary Żyd przyglądał mu się badawczo. Afer czuł się jak w czasie rewizji osobistej.

– Z tego wniosek, że posłaniec prócz wieści przyniósł ci parę zagadek.

– To prawda, ale nie powinniśmy sobie psuć posiłku ani dokuczaniem, ani rozwiązywaniem łamigłówek.

– W taki oto sposób przemawia głupiec, który uważa, że zjadł wszystkie rozumy, a nie ma

odwagi powiedzieć starej niewolnicy, żeby się wyniosła.

– Jeżeli sprawa okaże się wyjątkowo trudna – powiedział pojednawczo Gamaliel – stara niewolnica może się okazać bardzo przydatna. Nie mam przed Ireną tajemnic. Musiała w życiu przejrzeć więcej podstępów, niż potrafią uknuć wszyscy arabscy książęta.

Afer poczuł się trochę niepewnie. Wolałby odbyć naradę bez świadków, ale nie mógł rządzić w domu przełożonego. Postanowił tylko unikać wymieniania imion, nazw miejscowości i dokładnego określania czasu wydarzeń. Po wysłuchaniu relacji Afera Gamaliel wymienił z Ireną spojrzenia i kiwnął głową w jej kierunku. Uśmiechnęła się nieco ironicznie i powiedziała:

– Twoja przeczność zasługuje na szacunek. Dzięki niej nie wszystko zrozumiałam, ale jestem pewna, że zamierzacie podjąć jakieś działania przeciwko królowi rabusiów, Belhadadowi. Dlatego prefekci Syrii i Judei po kryjomu wyślą wojska, które ty masz doprowadzić na miejsce spotkania z trzecim oddziałem.

Afer przybrał zboląły wyraz twarzy, rozłożył ręce i jęknął z teatralną przesadą:

– Przed mądrą kobietą trudno coś zachować w tajemnicy.

– Widzisz, już się czegoś nauczyłeś – ucieszył się Gamaliel.

– O ile właściwie zrozumiałam twoje zawile wywody, w tej akcji ma wziąć czynny udział Herod Antypas. Albo on, albo Nikias powie ci o tej trzeciej grupie. Ale powinieneś przemyśleć jeszcze jedną sprawę.

– Co takiego?

– Tereny z tamtej strony Jordanu od Morza Czerwonego do Damaszku należą do Aretasa, króla Nabatejczyków. Od wschodu graniczą z nim państwa Heroda i Filipa, podobnie jak Dekapolis, które Aretas ciągle próbuje podgryzać. Poza obszarem jego wpływów znajdują się tylko bezkresne obszary Arabii należące do plemion, nieuznających żadnych granic. Nic ci nie przychodzi do głowy?

Afer podrapał się po karku.

– Obszar wpływów Belhadada. Aretas ma namiestnika w Damaszku, sam siedzi w Petrze, a pomiędzy tymi miastami grasują zbójce Belhadada. To miałaś na myśli?

– Ponieważ utrzymuje liczną armię i trudno go ująć na pustyni, wszyscy jakoś znoszą jego zuchwalstwo. – Gamaliel odchrząknął. – Przynajmniej do tej pory go tolerowali. Tak wygląda sytuacja.

– Rzymianie uważają Nabatejczyków za sprzymierzeńców – powiedziała Irena. Ci

przyjaciele przed laty próbowali wyniszczyć na pustyni wojsko Aeliusza Gallusa. Dziś wierni sojusznicy muszą się godzić z obecnością rzymskich żołnierzy i celników w Leukekome. Ale co się stanie, gdy Aretas i Partowie dojdą do wspólnego wniosku, że potęga Rzymu zaczyna im przeszkadzać?

– Wtedy legiony ruszą do boju, ukrzyżują Aretasa i uczynią z kraju Nabatejczyków kolejną prowincję.

Gamaliel skinął głową.

– Wyobraź sobie, że jakaś karawana wyrusza z Petry do Damaszku – tłumaczyła Irena. – Na samym początku wyprawy wkracza na terytorium Aretasa i płaci cło. Cóż go obchodzi, czy później Belhadad zażąda następnej opłaty? Nabatejczycy przecież nic na tym nie tracą. Swoje już zgarnęli.

– Jeszcze zyskują – dodał Gamaliel. – Belhadad broni ich przed innymi plemionami arabskimi, a może nawet odstępuje Aretasowi połowę zysków ze swego proceduru.

Afer ociągał się przez chwilę. Wreszcie znowu się odezwał:

– Z tego wynika, że Belhadad nie robi nic bez wiedzy i zgody Aretasa. Prowadzi dla niego rokowania z Partami. A my...

– Nie przemyślałeś sprawy do końca – skarciła go Irena. – Rzym leży wprawdzie daleko stąd, ale jego wpływy sięgają wszędzie. Na pewno ktoś w stolicy doszedł do tych samych wniosków co my. Co się stanie, gdy zwyciężymy wojowników Belhadada i zdobędziemy Ao Hidis? To znaczy, gdy wy zdobędziecie; ja jestem tylko niewolnicą.

– Wtedy osadzimy w twierdzy księcia, który będzie lojalny wobec Rzymu. – Afer pomyślał o młodym Hiqarze, ale nie miał odwagi ujawnić tej części wielkiego planu.

– Oraz rzymską załogę dla ochrony władcy. W środku państwa Nabatejczyków, pomiędzy Petrą i Damaszkiem, powstanie rzymska twierdza. W każdym razie Partowie nie znajdą tam już sojuszników.

– Ciekawe, kto opracował taką rozważną strategię – Afer uśmiechnął się z podziwem. – Wygląda to na dobrze przemyślaną zmianę warty. Dyskretne oczyszczenie okolicy z niepożądanych elementów, tak żeby nie wyglądało to na okupację, nie za wiele kosztowało, no i żeby nie rozdrażnić ani Partów, ani Nabatejczyków. Podoba mi się ten pomysł.

– Wróćmy do sedna sprawy – rzekł Gamaliel. – Jeszcze dwa lata temu dałbym sobie głowę uciąć, że taką sprytną intrygę potrafi uknuć tylko Liwia Augusta. Ale stara żmija zmarła przed

dwoma laty. Za życia zresztą też nie troszczyła się o stosunki międzynarodowe. Jej siatka szpiegowska pewnie nadal działała, tylko nie wiadomo, kto ją przejął. Nie podejrzewam, żeby odgrywała jakąkolwiek rolę w naszej sprawie.

„Stara żmija” dożyła osiemdziesięciu siedmiu lat i przeżyła Augusta prawie o piętnaście. Wszyscy spadkobiercy cesarza zginęli na wojnach lub zmarli w wyniku przeróżnych przypadłości. Przy czym niektóre rany wojenne zadano poległym w plecy, a kto w czasie walki odwraca się tyłem do wroga? Pewne trucizny dają natomiast objawy bardzo podobne do niektórych chorób. Tylko ktoś bardzo naiwny lub wierzący w zrządzenia bogów czy losu, mógłby uznać tę dziwną epidemię nagłych zgonów za fatalny zbieg okoliczności. Lecz chyba nikt nie był tak głupi, żeby nie domyślać się, że to dzieło Liwii. Jej szpiegdy, zwani elegancko „świadkami”, donosili na wpływowych Rzymian, przede wszystkim krewnych Augusta, a ona zmuszała męża do skazania ich na wygnanie lub śmierć. Wiedziała o każdym słowie, myśli czy uczynku na obszarze stolicy, cesarstwa, czy nawet prowincji. Gdy zmarł cesarz, nikt nie wierzył w oficjalną przyczynę śmierci, czyli chorobę. Po kryjomu, z ust do ust, wszyscy przekazywali sobie jedno słowo: trucizna. Przy życiu pozostał już tylko jeden kandydat do tronu: Tyberiusz, syn Liwii z pierwszego małżeństwa z Tyberiuszem Klaudiuszem Neronem. Afer pomyślał sobie, że tym tropem nie zajdzie daleko. „Stara zbrodniarka już nie żyje – pomyślał – i nie wiadomo, dla kogo teraz pracują jej szpicle”. Postarał się opanować i odpędzić przynębiające myśli. Irena przyjrzała mu się krytycznie.

– Liwia nie troszczyła się o politykę, granice czy wojny; dbała tylko o własne interesy. Urosła w potęgę, szpiegując i niszcząc najszlachetniejszych i najwartościowszych ludzi. Jej donosiciele nie są przygotowani do prowadzenia wywiadu wojskowego. Ten, kto teraz nimi kieruje, nie mógłby wykorzystać ich do takich celów.

– Masz na myśli cesarza lub Sejana? Gamaliel odchrząknął.

– Pracuję dla króla Heroda Antypasa. To przyjaciel cesarza. Obydwaj prefekci, którzy szykują się do wiosennej kampanii, także są poddanymi Tyberiusza. Jemu winniśmy szacunek i posłuszeństwo.

– Co nie znaczy – zaprotestowała Irena – że cesarz troszczy się o kraj. Mówią, że oddaje się zdrożnym rozrywkom z kozami, niewolnikami i dziećmi.

– Sądzicie więc – podsumował Afer – że cały ten plan opracował Sejan, wszechwładny dowódca pretorianów?

– Przypuszczam, że jego człowiek będzie dowodził trzecim oddziałem, który masz zaprowadzić na spotkanie z pozostałymi. – Gamaliel zamknął oczy. – Jeżeli pozwolisz, udzielię ci dobrej rady: w czasie walki chroń pierś przed ciosami wojowników Belhadada, a plecy – przed innymi.

– Chętnie posłucham rady przyjaciela – zgodził się Afer. – Ale co mówi nasz zwierzchnik?

– Nic. – Irena zagryzła wargi. – Służy Herodowi. Nie uchodzi mu mieszać się w sprawy Sejana i cesarstwa.

Pewnego wiosennego wieczora przybył wreszcie poseł z Syrii. Powiedział Aferowi, że paru silnych ludzi wyruszyło już w drogę. Niektóre grupy pielgrzymów wędrujące wraz z innymi do Jerozolimy na święto Paschy nie odznaczały się szczególną pobożnością. Parę karawan jechało bez towarów. Afer domyślił się, że najważniejszy ich bagaż stanowiła broń. Wyobraził sobie, jak długo rdzenni Rzymianie z syryjskiego legionu musieli zapuszczać brody, i roześmiał się.

Następnego ranka pożegnał się z Ireną i Gamaliem i przekazał Ksantiposowi swoje obowiązki. Zostawił sługę i wraz z Tiszaharem wyprowadzili przez wąskie uliczki Kafarnaum dwa konie pod wierzch i jedno zwierzę juczne.

– Muszę na nim jechać? – Niewolnik nieufnie spoglądał na wierzchowca, którego trzymał za uzdę.

– Jeżeli ci to nie odpowiada, możesz poruszać się na czworakach i nieść go na plecach.

Strażnicy na granicy Filipa powitali ich z mieszaniną szacunku i zdziwienia. Jeden z nich zapytał:

– Czcigodny dowódco, czyżbyś zamierzał dokonać na pustyni bohaterskich czynów?

– Skąd, uczę tylko mojego sługę jeździć konno. Wasze wyboiste drogi doskonale nadają się do tego celu – zażartował Afer, choć wcale nie było mu do śmiechu. Zaczął się zastanawiać, ile ściśle tajnych informacji zdążyło już dotrzeć do niepowołanych uszu.

Następnego dnia pomiędzy wzgórzami na wschód od jeziora Genezaret spotkał się z Numanem.

Arabski wywiadowca zapewnił, że przygotowania zakończono bez przeszkód i wszystko układa się pomyślnie. Afer udzielił mu ostatnich wskazówek i wyznaczył miejsce i czas kolejnych spotkań.

Dwa dni później na przedmieściach Sukkot podszedł do Afera oficer Heroda i oznajmił, że jeden z doradców króla czeka na niego w Betanii. Dotarli tam następnego popołudnia. Tiszahar

został przy studni, żeby napoić konie, a Afer udał się do miasta, gdzie miał się spotkać z Nikiasem. Po zakończeniu rozmowy poprosił:

- Czułbym się pewniej, gdybym poznał imię człowieka, któremu mam składać doniesienia.
- Wierzę ci – Nikias wyglądał na szczerze zmartwionego – ale ja sam nie wiem, kto to taki.
- Nie można kogoś zapytać? Na przykład jakiegoś innego podwładnego Sejana? – zapytał Afer zniechęcony.

– Ja o niczym nie wiem – Nikias zmrużył jedno oko.

Afer i Tiszahar spędzili noc na wschód od Jordanu. Następnego ranka znaleźli bród i przeszli przez rzekę. Na drugim brzegu czekał centurion z paroma żołnierzami. Prawdopodobnie pochodzili z Samarii. Zachowywali się tak, jakby w ogóle nie interesowali się przybyszami. W pewnym momencie dowódca niby przypadkiem znalazł się w pobliżu Afera i przechodząc obok niego, mimochodem przekazał rozkaz stawienia się w pałacu w Jerozolimie.

Dziesięć dni przed świętem Paschy z odległych okolic przywędrowało do stolicy wielu Żydów. Chcieli spędzić te dni w pobliżu świątyni. Dzień Paschy stanowił także okazję do spotkania z dawno niewidzianymi przyjaciółmi i rodziną. Przy wjeździe do miasta pobożni Żydzi witali przyjezdnych gałązkami palmowymi i pozdrowieniem: „Błogosławieni, którzy przybywają w imię Pana”. Brodaty mężczyzna wręczył Aferowi i Tiszaharowi po liściu palmy. Ktoś z tyłu, zapewne pobożniejszy i lepiej zorientowany, krzyknął ostro:

– Nie dla pogan!

W miarę zbliżania się do miasta tłum gęstniał tak, że nie mogli się przedrzeć. W końcu Afer zdecydował, że trzeba zsiąść z koni, i kazał Tiszaharowi prowadzić zwierzęta za uzdę. Wolał nie ryzykować, że kogoś potrąci albo że spłoszone zwierzę rozpędzi tłum i wywoła zamieszanie. Odetchnął z ulgą dopiero, gdy dotarli do twierdzy.

Stajenny zajął się zwierzętami, a przyboczny oficera zaprowadził podróżnych do pokoju na drugim piętrze. Znajdował się on przy krużganku biegnącym dookoła drugiego dziedzińca. Na stole stała miska i dzban, na podłodze leżały sienniki, przykryte narzutami ze skóry.

– Wybaczcie skromne warunki – przeprosił żołnierz – ale nie dysponujemy niczym lepszym. Mamy bardzo wielu gości.

Afer stanął na palcach i wyjrzał przez małe okienko. Ich pokój mieścił się w północnym skrzydle. Poniżej murów rozciągało się miasto. „Mogliśmy gorzej trafić – pocieszał się. W pomieszczeniach od południa jest na pewno bardzo gorąco. Poza tym widać stamtąd świątynię

i cały ten zamęt”.

Z sąsiedniego pomieszczenia usłyszał donośny, ale przyjemny kobiecy głos.

– Kto tam mieszka? – zapytał przybocznego.

– Piękne kobiety. Macedońska księżniczka z Egiptu z towarzyszkami. Dopiero przyjechały.

– Ma jakieś imię?

– Kleopatra. Jak inaczej może nazywać się macedońska księżniczka z Egiptu?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Droga do Jerozolimy

Zgubny początek! Bez ofiar, bez świętej krwi byków, dobrze nastroił panów niebios!

GAJUSZ WALERIUSZ KATULLUS

Demetrios zachował w pamięci długą, szybką i męczącą jazdę. Nie wspominał jej miło. Niewiele rozmawiali. Rano mieli mnóstwo pracy i byli zbyt zmęczeni. Na postojach musieli zadbać o zwierzęta, rozpalić ognisko, nagotować stawy, a po drodze zbierać informacje od wędrownych pasterzy albo celników tego czy innego księcia pustyni. Za każdym razem dowiadawali się, że Rufus i Mukhatar mają dziesięć dni przewagi. Wielbłądy lepiej niż ludzie znosiły upał, pragnienie, wiatr i kurz. Podróżnych bolały mięśnie i wysychało im w gardle. Kleopatra zażyczyła sobie, żeby kobiety podróżowały osobno. Demetrios zaakceptował tę propozycję, więc inni też musieli się zgodzić. Rozdzielili się na dwie grupy.

Najlepsze wielbłądy pod wierzch kosztowały w Arabii sto razy więcej niż juczne. Demetrios zastanawiał się, ile wydali Rufus i Mukhatar na swoje wierzchowce. Przeklinał siebie w duchu, że nie zapytał o to handlarzy. Gdyby znał cenę, mógłby się zorientować, jakie wierzchowce mają przeciwnicy. Sam mógł sobie pozwolić tylko na najtańsze. Po piętnastu dniach przewaga Rufusa wzrosła do jedenastu dni. Tak przynajmniej twierdzili napotkani pasterze i strażnicy graniczni. W Leukekome dowiedzieli się, że jakaś grupa, złożona z Arabów i Rzymian, zatrzymała się tam trzynaście dni wcześniej. Jedna z kobiet zapytała dowódcę portu o listy, ale żadne nie przyszły. Demetrios nie widział powodu, żeby wypytywać, jakich wieści oczekiwała i od kogo. Niestety nie udało mu się także dowiedzieć tego, co go naprawdę interesowało. Kleopatra nie odzywała się. Z nudów zabawiał się wynajdowaniem mniej lub bardziej racjonalnych ku temu powodów: pycha, upokorzenie, oczekiwanie, szyderstwo, zażenowanie i jeszcze sto innych. Najczęściej jednak jej milczenie wydawało mu się porozumiewawcze, a nawet przyjazne, jakby się umówili nie poruszać żadnych istotnych tematów. Należały do nich między innymi układy, jakie panowały pomiędzy kobietami i mężczyznami. Glauke i Leonidas starali się tak kierować

wielbłdami, żeby od czasu do czasu jechać chwilę razem i zamienić parę słów. Meleagros najlepiej wypoczywał w towarzystwie Arsinoe. Chętnie ją wyręczał, przynosił wodę, pomagał karmić i siodłać wielbłąda. Thais i Nubo rozumieli się bez słów. Ravi nie mówił prawie nic. Demetrios pytał go parę razy, czemu tak ważne są dla niego prochy zmarłej małżonki, ale nie doczekał się odpowiedzi. Hindus trzymał się na uboczu i milczał. Zachowywał się jak człowiek kompletnie załamany, jak ktoś, kto wszystko utracił i już niczego nie oczekuje od życia. Nieobecny duchem, przerażony przyszłością, wstrząśnięty tym, co go spotkało, zagubiony i bezradny w terażniejszości, pozwalał się prowadzić w nieznanym kierunku. Jak żeglarz, który porzucił ster i dryfuje na falach, bo nie wierzy już, że potrafi w czasie nawalnicy wyprowadzić okręt na spokojniejsze wody. Demetrios podejrzewał, że jego rozpacz ma głębszą przyczynę, związaną z hinduskimi wierzeniami i obrzędami pogrzebowymi.

Perperna od czasu do czasu śmiał się z czegoś pod nosem. Jak powinien jednak zachowywać się starzec, który po kilkudziesięciu latach niewoli poznał także okowy wolności? Demetrios zastanawiał się, kiedy przemęczenie, niebezpieczeństwa i trudy podróży wyczerpią wąty zapas jego sił. Mimo wszystko jakoś sobie radził, nawet na równi z innymi uczestniczył we wszystkich pracach. Pewnego dnia Demetrios odważył się w końcu zapytać, co go tak bawi.

– Martwisz się, co? – zachichotał Perperna. – Myślisz, że zwariowałem? Zaśmiewam się, gadam do siebie i stroję miny. Zastanawiasz się pewnie, czy mnie dobić, czy tylko związać.

– Przyznam, że twoje zachowanie wydaje mi się ostatnio trochę dziwne i niezbyt odpowiednie do okoliczności.

– Nie obawiaj się, młodzieńcze. Powinienem raczej powiedzieć: „szlachetny przywódco karawany”. Czasami przypominam sobie najzabawniejsze momenty z własnego życia, czasami bawię się kosztem młodszych od siebie. Cóż innego mogę robić w czasie tej długiej, męczącej podróży, niż samemu wynajdywać sobie powody do żartów?

– A cóż cię tak rozśmiesza u młodych?

– Ich sposób postępowania. Kiedy są na oczach wszystkich, wymieniają spojrzenia, a przy najbliższym postoju poszukają okazji, by zniknąć parami za najbliższym pagórkiem i paść sobie w ramiona.

– Czy to nie smutne?

– Tak bardzo, że pękam ze śmiechu. Może też cieszę się, że jestem już stary i nie mam tego typu problemów.

– A czy nie jest tak, że śmiejesz się, by nie płakać z żalu, że młodość i porywy serca minęły bezpowrotnie?

– Muszę się zastanowić. Może i tak? Zaraz z moich oczu poleją się łzy. Zapłaczę z żalu za moimi straconymi latami, ale także nad tobą i księżniczką.

Kleopatra – ciepły dystans i chłodna bliskość. Tak Demetrios określał w myślach ich wzajemne stosunki. Pomimo zmęczenia jej widok go krzepił, ale też wzbudzał pożądanie. Grek cieszył się, że mógł wieczorami oglądać nie tylko piasek, skały i wielbłądy, lecz również wdzięczne postacie kobiet. Na postoju, gdy kryli się w cieniu przed największym upałem, szukał okazji, by zamienić z księżniczką chociaż parę słów. Rozmowy z inteligentną, wykształconą kobietą sprawiały mu wiele przyjemności, podobnie jak sama jej obecność. Wystarczyła krótka pogawędka, chwila wzajemnej bliskości, żeby w jego oczach rozbłysły płomienie namiętności. Opanowanie daremnej żądz kosztowało go za każdym razem wiele godzin wewnętrznej walki. Tłumaczył sobie, że nie powinien żywić żadnych złudnych nadziei. Wymieniali przecież tylko zdawkowe uwagi o podróży, skałach, piasku i jedzeniu. Te tematy, jak i sposób prowadzenia konwersacji, nie zawierały w sobie żadnej obietnicy. Demetrios zdawał sobie sprawę, że zbyt wygórowane marzenia mogą okazać się niebezpieczne. Niepokój i przecucie niebezpieczeństwa nie pozwalały mu jednak zasnąć. Mieli wyruszyć po południu i Demetrios próbował się przespać, żeby nabrać sił przed dalszą drogą. Ale gdy tylko zamknął oczy, powracały pytania, na które nie znał odpowiedzi. Kim jest Kleopatra i co wie o celu podróży Rufusa do Ao Hidis? Podejrzał, że coś ukrywa. Jej opowieści kryły w sobie wiele nieścisłości i tajemnic. Część dotycząca jej pochodzenia i romansu z prefektem Judei brzmiała nawet dość wiarygodnie. Księżniczka twierdziła, że odwiedził ją w Aleksandrii, w drodze z Rzymu do Cezarei. Chyba tego nie zmyśliła, bo zawsze przecież mogła natknąć się na słuchacza, który spotka się w Palestynie z Piłatem i zdemaskuje kłamstwo. Lecz inne opowieści robiły wrażenie nieprawdziwych, jakby pragnęła ukryć jakieś szczegóły z życiorysu lub tajemnicze zamiary. Na pewno wiedziała o Rufusie więcej, niż chciała powiedzieć. Kiedy jeszcze podróżowali wszyscy razem, często przebywała w jego towarzystwie. Także sam fakt, że znała nazwę Ao Hidis, nie budził zaufania. Mukhatara na pewno nie poznała aż tak dobrze; być może nawet nie domyślała się jego roli w całym przedsięwzięciu.

Rufus przybył z Egiptu do Adane na czele trzech tuzinów świetnie wyszkolonych żołnierzy, a teraz wybierał się z nimi do Ao Hidis. Kim był człowiek, który potrafił zabić gołymi rękami,

w dodatku bezszelestnie, i nie wahał się tego zrobić? Oficerem pretorian, tajnych służb, czy członkiem jakiejś zamaskowanej siatki szpiegowskiej? Jaką niecierpiącą zwłoki sprawę chciał załatwić w Ao Hidis? Po co zabrał ze sobą Mukhatara i jak przekonał do współpracy nienawidzącego Rzymian Araba? Musiał istnieć jakiś bardzo ważny powód tak wielkiego pośpiechu.

No i dlaczego nie kazał ich zamordować, tylko uwięzić? I to dokładnie na dziesięć dni. Odpowiedź na to ostatnie pytanie znalazł, gdy odpoczywał w cieniu skały w pewne męczące upalne popołudnie. Rufus nie mógł zabrać ze sobą kochanki prefekta, ponieważ, jak twierdziła, nie wyraziła na to zgody. Z oczywistych względów nie mógł jej też zabić. Ale to nie wszystko. Kiedy Demetrios zrozumiał, dlaczego centurion pozostawił ich przy życiu, zezłościł się na siebie, że wcześniej na to nie wpadł. Wyrzucał sobie tępotę i bezmyślność. Zbyt dużo czasu potrzebował, żeby odgadnąć, że Rzymianin jest pretorianinem, człowiekiem wszechwładnego Sejana. Tamten zaś rozszyfrował go natychmiast bez żadnego trudu. Kleopatra też się czegoś domyślała, usiłowała go nawet podpytywać, ale Demetrios ani nie potwierdził, jej przypuszczeń, ani im nie zaprzeczył. Rufus błyskawicznie i bez niczyjej pomocy pojął, że on i Demetrios pełnią podobne funkcje, tylko w różnych organizacjach. Byli poniekąd towarzyszami broni. Wpływowi kupcy, poddani cesarza, potrzebowali wielu informacji, których nie mogli uzyskać ani od wywiadowców związanych z cesarzem, ani od pretorianów.

Zatrudniali własnych ludzi, którzy badali rynki, orientowali się w cenach, a także znali potrzeby zagranicznych klientów i partnerów handlowych. Od ich sprawności i inteligencji zależało powodzenie wielu przedsięwzięć. Dowiadywali się o wszystko: czym interesują się poszczególni książęta, w której oazie Rzymianie nie powinni pojawiać się osobiście, tylko korzystać z usług pośredników, który władca jakiegoś małego państewka w lesie, w górach czy na pustyni szykuje wyprawę handlową przeciwko sąsiadom i potrzebuje broni, kto może obrabować i wymordować następną karawanę. Znali upodobania różnych narodów: wiedzieli, jakie materiały najbardziej podobają się indyjskim księżniczkom, jakimi rzeźbami armatorzy ozdabiają dzioby statków na rzece Tygrys, jakimi sztyletami najchętniej walczą Arabowie. Orientowali się, który z partyjskich handlarzy oferuje najkorzystniejsze ceny i zniżki. Demetrios nazywał siebie w myślach głupcem, ślepcem i prostakiem. Jak mógł uwierzyć, że inteligentny centurion ze szlacheckiego rodu Waleriuszów uzna go za zwykłego kupca? Nagle wpadło mu do głowy, że Rufus spodziewał się, a nawet oczekiwał pościgu. Obrabował Demetriosia i zostawił go

przy życiu, bo wiedział, że ten zechce się zemścić i odzyskać utracone dobra lub ich równowartość. Jeżeli chciał sprowokować pogoń, to z jakiego powodu? Kierunek ucieczki łatwo było odgadnąć: prawdopodobnie chcieli się dostać do krainy Belhadada, do Ao Hidis. Tylko po co? Z pewnością chodziło o jakieś poważne przedsięwzięcie. Może ludzie Sejana dowiedzieli się, że Belhadad planuje jakąś akcję przeciwko Rzymowi. Lecz do tego, żeby przeszkodzić Belhadadowi albo go wystraszyć, nie wystarczy trzydziestu sześciu żołnierzy. Może umówili się wcześniej w określonym miejscu i czasie z oficerami innych oddziałów. To tłumaczyłoby pośpiech, ale nie uwięzienie. Rufus zaproponował Kleopatrze, że ją zabierze, ale zdecydował się przyspieszyć marsz pomimo jej odmowy. Musiał mieć bardzo ważne powody, żeby zlekceważyć sympatie i kaprysy tak znacznej osobistości jak Poncjusz Piłat. Usunąć Demetriosą i jego ludzi... Ale jeżeli Rufus faktycznie uznał go za „towarzysza broni”, nie mógł tego zrobić.

Skomplikowane rozważania wyczerpały Demetriosą. Kiedy wreszcie zapadł w niespokojny, przerywany sen, budziły go okropne wizje. Śniło mu się, że dźwiga na plecach jakieś ciężary, które nagle rozplywały się w powietrzu, że oswojone zwierzęta zamieniają się w dzikie bestie i rzucają na niego. Widział siebie jako szalonego powroźnika, który usiłuje ukrećcić bicz z piasku. Błyszczące włosy Kleopatry to zamieniały się w powrozy, to w splątany gąszcz wodorostów.

W ciągu następnych dni, zarówno w czasie jazdy, jak i na postojach, Demetrios starał się scalić pogmatwany i porozrywany łańcuch swych domysłów. Ale brakowało jednego ogniwa: dopóki nie wiedział, dlaczego Mukhatar wziął udział w wyprawie, nie miał szansy rozwiązać zagadki. Mógł sobie składać pozostałe elementy, jak kawałki dziecięcej łamigłówki, a i tak nie uzyskałby obrazu całości.

Najbardziej przekonywała go następująca wersja wydarzeń: Rufus i jego ludzie uczestniczyli w jakiejś akcji przeciwko Belhadadowi. Ich plan zakładał spotkanie z innymi oddziałami w konkretnym miejscu i czasie. Żeby zdążyć, musieli poruszać się o wiele szybciej niż karawana. Demetrios i jego towarzysze nie byli im do niczego potrzebni, za to ich pieniądze – jak najbardziej. Potrzebowali najdroższych i najszybszych wielbłądów i, kto wie, może jeszcze jakiegoś innego, specjalnego wyposażenia. Poprosić o pomoc nie mogli. Demetrios, czy był druhem Rufusa w innej tajnej służbie, czy nie, niewiele mógł pomóc ze swoją garstką ludzi. Ale jego pieniądze – owszem. Ponieważ nie oddałby ich dobrowolnie, należało go uwięzić. Po wyjściu z więzienia Demetrios odwiózłby Kleopatę do Piłata, od niego dowiedziałby się prawdy i odebrałby swoje pieniądze z kasy państwowej.

Może po dotarciu na miejsce okazałoby się, że czeka już na niego rozkaz, by pospieszyć Rufusowi z pomocą. Żaden inny pomysł nie przychodził Demetriosowi do głowy i przyjść nie mógł, dopóki nie wiedział nic więcej o Mukhatarze, Ao Hidis i Belhadadzie.

Parę razy, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość od reszty podróżnych, próbował porozmawiać z Kleopatram.

Ale ona nie była skłonna do zwierzeń. Twierdziła, że zna tylko samą nazwę Ao Hidis i nic nie wie o planach Rzymianina.

Kleopatra myślała o Rufusie i jego misji w Ao Hidis z mieszaniną uznania i odrazy. Nie powiedział jej zbyt wiele, ale to wystarczyło, żeby zdała sobie sprawę z niebezpieczeństw i kłopotów, jakie czekały tam legionistów. Podziwiała odwagę centuriona, ale jego bezczelność budziła w niej wstręt. „Za duże słowo – pomyślała – raczej tylko niechęć”. W końcu nie wstrząsnęło nią specjalnie ani to, że bez żenady wtargnął do jej pokoju, obnażył się i natrętnie domagał zaspokojenia swoich żądz, ani też że popełnił dwa morderstwa. Nie znała ani Preksaspesa, ani niemowy na tyle dobrze, żeby opłakiwać ich śmierć. Tego rodzaju akcje zawsze pociągają za sobą ofiary w ludziach. Wzburzyło ją i upokorzyło coś innego. „Nie musiał nas wtrącać do lochu – myślała ze złością. – Mniejsza o Demetriosia i jego ludzi, ale kobiety powinien zostawić w spokoju. Mogłyśmy podróżować same. Nie przypuszczał chyba, że natychmiast pospieszymy na ratunek uwięzionym?”.

Nagle przyszło jej do głowy, że może postąpił tak ze względów bezpieczeństwa. I że nie chodziło mu wyłącznie o własne interesy. Prawdopodobnie oficerowi z dobrego domu nie mieściło się w głowie, że mógłby zostawić cztery kobiety na arabskiej pustyni zupełnie bez opieki. Te refleksje przyszły jednak znacznie później. A wraz z nimi pytanie, jak by postąpiła, gdyby Rufus podjął inną decyzję. Gdyby darował jej wolność i poprosił, żeby została w gospodzie, a po dziesięciu dniach postarała się wydobyć Demetriosia i jego towarzyszy z więzienia.

Próbowała się uspokoić, ale przed jej oczami ciągle na nowo pojawiały się koszmarne wizje: brud, ciasnota, cuchnące kubły, cuchnące ciała – wspomnienia z dzieciństwa, spędzonego w nędzy. Z odrazą przypominała sobie ubogi dom, niskie, ciasne pomieszczenia i jedną jedyną latrynę dla trzystu czy czterystu ludzi. Z konieczności używali kadzi, które potem trzeba było opróżniać i czyścić. A że nie stać ich było na niewolników, zrzucali to wstrętne zadanie na małą dziewczynkę. Później rodzina, która dowiedziała się o jej pochodzeniu, zabrała ją do pałacu.

Zaczęły się jasne dni wśród zwojów papirusu, wyściełanych mebli i dobrze wychowanych, powściągliwych ludzi. Ale zbyt szybko przeminęły. Wpadła w tarapaty, znów musiała znosić ciasnotę i smród. Tym razem na małym, przepełnionym statku. Później wylądowała w Kanopos, na przedmieściu Aleksandrii, gdzie mieszkańcy i przyjezdni poszukiwali rozrywek w licznych przybytkach rozkoszy. Droga, którą pięła się w górę do lepszych domów i lepszego towarzystwa, okazała się równie odrażająca i wyboista jak wąskie uliczki podejrzanej dzielnicy.

Waleriusz Rufus zamknął ją na dziesięć dni wraz z innymi w brudnej, dusznej i ciemnej piwnicy. Upokorzył ją, przypomniał koszmar dzieciństwa. Znienawidziła go za to. Postanowiła sobie, że kiedy już odpocznie i nacieszy się wolnością na bezdrożach pustyni, wymyśli jakiś szczególnie okrutny i wyrafinowany rodzaj zemsty. Nawet jeżeli miałyby nigdy nie zrealizować swojego planu, już sama myśl o odwecie przynosiła pewną pociechę. Nie za bardzo mogła skupić myśli. Kołyszający chód wielbłąda denerwował ją i przypominał dryfowanie tamtego okropnego statku na wzburzonym morzu.

Na razie obserwowała innych i milczała. Demetrios nie wydawał się jej szczególnie bystry, w każdym razie nie dorównywał inteligencją Rufusowi i Mukhatarowi. Ale zachowywał się godnie. Troszczył się o swoich ludzi, a nawet o nią i jej towarzyszkę. Godnie...

Od tak dawna nie używała tego słowa. Przez wiele lat nikt nie dał jej okazji do zastanawiania się nad jego znaczeniem. Po raz ostatni myślała w tych kategoriach całe wieki temu.

W miejskim domu opiekunów, który zwała pałacem, grecki niewolnik uczył dzieci. Kiedyś poprosił uczniów o przykłady godnego zachowania. To, co wtedy usłyszała, nie wzbudziło jej zachwytu, raczej irytację. Ktoś opowiedział o młodym Spartaninie, który ukrył lisa w fałdach tuniki i nawet się nie skrzywił, kiedy wystraszone zwierzę zaczęło go kąsać. Ktoś inny podziwiał Mucjusza Scewolę, który włożył dłoń do ognia, żeby udowodnić, że nie boi się tortur. Bohaterowie i bohaterki wszystkich opowieści przedkładali praworządność i sprawiedliwość nad własne dobro, czasami nawet nad własne życie. Kleopatrze ich postępowanie wydawało się nierozsądne, wręcz głupie. Nagle przypomniała sobie inną rozmowę na podobny temat i roześmiała się. Wiele lat później pewna kurtyzana z Kanopos tymi słowami poprosiła ją, by zaświadczyła o jej cnocie.

– Jeżeli pojedziesz do Sparty, siostrzyczko, odszukaj mojego klienta i przekaz mu, że leżę i wiernie na niego czekam, jak mi przykazał.

Zastanawiała się, do czego zmierza przyzwoity Demetrios. Chce ukarać Rufusa, odzyskać

pieniądze, a może pomścić śmierć przyjaciela? Nie, na to właśnie jest zbyt przyzwoity, za miękki – myślała. Rzymianin wbił mu nóż w brzuch i jeszcze dla zabawy przekręcił go w ranie. I nagle posmutniała, bo zdążyła polubić greckiego kupca. Wyglądał na trochę starszego od niej, wiele podróżował, dużo czytał i nie brakowało mu poczucia humoru. Podobała się jej także powierzchowność Demetriosa i jego elegancki sposób poruszania się. „Dobrze, że na samym początku, jeszcze w celi, nakazałam dziewczętom obyczajne zachowanie – pomyślała. – Sama muszę stosować się do tych zasad i wystrzegać się zbyt bliskich kontaktów z mężczyznami. Inaczej już dawno poszukałabym pomiędzy wydmami ustronnego miejsca na schadzkę. I kto wtedy zachowałby trzeźwy umysł?”

Czasami zastanawiała się, jak kiedyś będzie wspominać tę podróż. Z całą pewnością czeka ich jeszcze wiele przygód i na pewno przybędzie wspomnień. Wróciła myślami do tego, co już przeżyli. Myślała o pustyni, skałach i wielbłądach, o ich dziwnym zapachu, odgłosach przeżuwania i kołysaniu jak na łodzi. O milczącym porozumieniu pomiędzy uczestnikami wyprawy. I o bajkach, które sobie opowiadali. Zaczęli się dzielić wspomnieniami, jeszcze kiedy byli uwięzieni. I każdy fałszował, upiększał lub zmieniał swój życiorys, bo wszyscy mieli coś do ukrycia lub przemilczenia. Doszło do tego, że ci, którzy nie mieli żadnych tajemnic, dawali się ponieść fantazji i również tworzyli własne legendy. Później, w czasie podróży, nie rozmawiali już tak chętnie, nawet w czasie postojów. Upał, zmęczenie i kurz w gardle zmuszały ich do milczenia.

Opuścili już Leukekome, kierując się na północ. Dzień później prawdziwe wydarzenia przyćmiły wszystkie zasłyszane i zmyślane historie. Szlak handlarzy kadzidłem wiódł przez pustynię, następnie przez wypalone słońcem góry kraju Madian i kończył się przy wydłużonej zatoce morskiej koło Ankale. Dzięki niewielkiemu ochłodzeniu mogli teraz poświęcić więcej czasu na jazdę. Zatrzymali się na postój dopiero w jakiejś dolinie pomiędzy wzgórzami. Demetrios rozłożył niezbyt dokładną mapę, kupioną w Leukekome, i próbował rozeznaczyć się w terenie.

– Do niczego – skrzywił się i zwinął papirus. – Wiem tylko, że gdzieś jesteśmy i że gdzieś i kiedyś powinniśmy rozbić obóz.

– Świetnie, że mamy tak doskonale zorientowanego dowódcę – zachichotał Perperna i położył na ziemi skórzaną derkę. – Człowiek przynajmniej wie, gdzie się znajduje. Słuchajcie, czy ta duża góra nie przypomina wam garbu wygłodzonego wielbłąda?

Kobiety już ułożyły się na ziemi i poprzykrywały. Kleopatra uśmiechnęła się zdawkowo i dołączyła do nich. Meleagros skończył właśnie wiązać przednie nogi wielbłąda. Nagle wyprostował się i zawołał:

– Ktoś jedzie!

Kleopatra zdążyła pomyśleć, że nawet gdyby wystawili tuzin strażników, nic by im to nie dało. Zza załomu skalnego wynurzyło się nagle trzydziestu ludzi na koniach. Można ich było dostrzec dopiero wtedy, gdy znaleźli się tuż obok, czyli zbyt późno, żeby coś przedsięwziąć. Natychmiast okrążyli podróżnych i skierowali w ich stronę ostrza włóczni. Tylko kilku opiekunów zwierząt zostało z tyłu. Jeden z jeźdźców wysunął się do przodu i wycelował ostrze w pierś Demetriososa. Nosił luźną szatę, która pewnie dawno temu była biała, a u jego boku zwiślał zakrzywiony miecz.

– Kim jesteście? – zapytał po grecku z wyraźnym arabskim akcentem.

– Niedobitkami obrabowanej karawany. – Głos Demetriososa brzmiał ochryple, jakby wyczerpanie, tłumiony gniew albo lęk ścisnęły mu gardło.

– Szkoda – roześmiał się Arab. Wśród gęstego, splątanego zarostu błysnęły białe zęby.

– Ze przeżyliśmy?

– Nie, że ktoś już wszystko zabrał. Na wszelki wypadek sprawdzimy, czy to prawda. – Odwrócił głowę i wydał jakieś rozkazy.

Paru ludzi zeszło z koni, inni pilnowali, żeby nikt nie próbował ucieczki czy oporu. Napastnicy działali szybko, odebrali podróżnym broń i rzucili wszystko razem na jedno miejsce. Po chwili przynieśli hersztowi bandy wszystkie pieniądze i cenniejsze przedmioty, jakie znaleźli w bagażach.

– Obrabowani, rzeczywiście – dowódca zsiadł z konia i obejrzał zawartość sakiewek, pierścionki, bransolety i zapinki. Cały czas trzymał w ręku włócznię. Kleopatra rozcierała obolały palec, z którego jeden z bandytów przemocą zdarł pierścień.

– Darujemy im życie, prawda? – powiedział Arab i roześmiał się. – Weźmiemy biżuterię i trzy czwarte monet. Za resztę zdołają przeżyć. Hej, ty – wskazał na Raviego – skąd jesteś? Z Indii?

Hindus skinął głową.

– Spodobasz się księciu. Pójdiesz z nami.

Dwóch zbirów złapało Raviego za ręce i powlokło w kierunku koni.

– Ty jesteś przywódcą karawany, prawda? Demetrios mruknął coś niezbyt wyraźnie. Kleopatra wydawało się, że usłyszała coś w rodzaju: „syn suki i skorpiona”.

– Jak tak dalej pójdzie, czekają nas bardzo zabawne rozmowy. Herszt bandy roześmiał się, chyba też zrozumiał przekleństwo. – Może ktoś zechce zapłacić okup za przywódcę karawany. Brać go! I ją – wskazał na Glauke – świeże, młodziutkie mięsko dla starego.

Kleopatra żałowała, że to nie koszmarny sen i że nie może się obudzić. Bezbronni, osłupiali z przerażenia towarzysze patrzyli bezradnie, jak rozbójnicy wloką całą trójkę i wsadzają porwanych na zapasowe konie. Po chwili porywacze i ich ofiary zniknęli w tumanie kurzu. Thais i Arsinoe zakryły twarze dłońmi. Perperna uniósł kikut ku niebu, jakby złorzeczył bogom. Potem opuścił rękę, zrezygnowany pokręcił głową i usiadł na swojej derce. Leonidas podszedł do sterty broni, a Nubo mu się przyglądał. Meleagros oparł ręce na biodrach, przygryzł wargi i milczał. W końcu zwrócił się do Kleopatry:

– I co teraz, księżniczko?

Zapytana podniosła ręce i poczuła, że nagle zaczęły jej ciążyć jak dwie bryły ołowiu. Z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła.

– Dlaczego mnie pytasz?

– Ktoś musi decydować. – Meleagros wydawał się zupełnie spokojny.

– Najpierw powinniśmy ochłonąć. Później spróbujemy coś wymyślić.

Po jakimś czasie ocknęli się z oszołomienia. Kleopatra czuła się fatalnie w roli przywódcy, ale na szczęście nie musiała podejmować zbyt wielu decyzji. Poszukiwanie odpowiednich miejsc na odpoczynek zleciła bardziej doświadczonym. To, co im zostawili rozbójnicy, mogło wystarczyć na dwie noce w gospodzie, jedzenie i paszę.

– Demetrios miał przy sobie więcej pieniędzy – oświadczył Meleagros po drodze. – Na razie tego nie znaleźli, ale wcześniej czy później ukradną wszystko. Niech bogowie utopia ich w świńskim łajnie!

– Co mamy zrobić – spytała Kleopatra – zebrać? Nubo wskazał na wielbłądy.

– Jak ich już nie będziemy potrzebowali, możemy je sprzedać.

– Nie możemy pozbyć się wierzchowców – zaprotestowała Thais. – Nie będziemy przecież szli na piechotę.

– Nie musimy wędrować przez cały kraj – odrzekła Kleopatra – mam nadzieję, że uzyskamy pomoc w Jerozolimie.

– Chyba tylko dla siebie. – Meleagros zmrużył oczy i przyglądał się jej badawczo. – O ile prefekt zechce sobie przypomnieć spędzone z tobą chwile. A co z nami?

– Co planujecie?

Meleagros i Leonidas wymienili szybkie spojrzenia.

– Odszukać Demetriosą.

– Gdzie? Jak? Perperna odchrząknął.

– Kupcy mają swoje sposoby, pani. Ten, kto zechce zgarnąć okup za przywódcę karawany, musi się prędzej czy później odezwać. A ty? Nie zamierzasz nic zrobić, żeby ratować Glaukę?

– Uważasz, że to ma jakiś sens? – Kleopatra wzruszyła ramionami. – I jak sobie to wyobrażasz?

Oczywiście ją także dręczyły pytania i wątpliwości. Czy powinni byli chwycić za broń i stawić opór trzydziestu bandytom? A może ona sama powinna przyznać się, kim jest, i powiedzieć: „Zostawcie dziewczynę w spokoju. Za mnie dostaniecie większy okup”? Tylko kto zechciałby za nią zapłacić? Piłat może sobie o niej przypomni, gdy zobaczy jej twarz. Samo imię, bardzo popularne w Egipcie, ani nawet wzmianka o Aleksandrii nic mu nie powiedzą. Poza tym rzymscy prefekci z zasady nie poddają się presji i nie pertraktują z porywaczami. Jeżeli chcą uratować kogoś szczególnie ważnego, na przykład uwięzionego przez Partów dowódcę, wysyłają wojsko. Kto wyśle żołnierzy na poszukiwanie jakiejś kobiety, uprowadzonej przez arabskich rzeźmieszków? O takich jak ona najlepiej zapomnieć. Natychmiast i na zawsze.

Nie dzieliła się z nikim swoimi przemyśleniami. I nie musiała. „Wszyscy dochodzili po cichu do podobnych wniosków, w każdym razie Meleagros i Leonidas na pewno. W tej upiornej podróży stracili już dwóch towarzyszy: Preksaspa i Mikinesa. Demetriosą uważali nie tylko za przywódcę, ale i za serdecznego przyjaciela. Nubo zastygł w jednej pozycji i patrzył tępo przed siebie. Widać było, że się martwi, ale nic nie mówił.

– Hej, młodzieńcze, stołek to nie jajko, nie musisz go bez przerwy wysiadywać – próbował go rozśmieszyć Perperna.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Leonidas na ostatnim postoju przed Jerozolimą.

– Kto, ja? Niby jaki? I po co? – Murzyn otworzył szeroko oczy, jak marny komediant, który udaje zdumienie czymś, co nikogo nie dziwi.

– W końcu pozwolił ci jechać z nami. Gdyby nie Demetrios, tkwiłbyś nadal wśród sympatycznych mieszkańców Adane. Pomyśleliśmy sobie – Leonidas wskazał ruchem głowy na

Meleagrosa – że zechcesz nam pomóc. O ile coś wymyślimy. Nie wyglądasz na zadowolonego z sytuacji.

– Martwię się, bo moje piękne czerwone włosy wyglądają teraz wyjątkowo paskudnie. – Nubo zrobił dziwny grymas.

Meleagros przyjrzał się jego głowie.

– Masz czarne odrosty. Wyglądasz jak meduza, tylko z robakami zamiast węży na głowie. Możemy cię ostrzyc. Nawet do gołej skóry.

– Moi bogowie się na to nie zgodzą. – Nubo przygryzł usta. – Bujają wysoko w chmurach i wolą oglądać ziemię niż własne odbicie w mojej łysinie.

Thais i Arsinoe wyglądały na przygnębione, lecz spokojne. Nie odzywały się zbyt często, pomimo to Kleopatra zorientowała się, że prawie nie żałują Glauke, a Demetriosą i Ravięgo – wcale.

– Nie mamy pieniędzy, pani – zagadnęła pewnego dnia Thais – ty też nie. Mam nadzieję, że w Jerozolimie mieszkają jacyś mężczyźni. A zatem... – uniosła brwi.

– Lepiej poczekaj, aż znajdziemy się w Cezarei – odrzekła księżniczka – słyszałam, że ortodoksyjnym Żydom nie wolno dotykać kobiet obcego pochodzenia.

– Idiotyczna religia. Z naszego punktu widzenia zupełnie absurdalna.

Jedynie Perperna zachowywał się tak samo jak zwykle. Żartował, nucił, opowiadał przeróżne historie.

– Cieszę się, że po tylu latach niewolnictwa mogę wreszcie umrzeć z głodu jako wolny człowiek – wyjaśnił zdumionym słuchaczom powód swojej beztroski – i raduję się, gdy inni dostają się do niewoli.

– Jak możesz tak myśleć, okrutny starcze! – zawołała Kleopatra z oburzeniem.

– Nie osądzaj mnie zbyt surowo – roześmiał się. – Jak wiesz, wszyscy starzy ludzie lubią się dzielić swoimi wspomnieniami. Ale młodzi nie chcą słuchać. Gdyby Demetrios i inni nie zostali porwani, nie dowiedzieliby się niczego o arabskim więzieniu. A w ten sposób zdobędą nowe doświadczenia.

Masy pielgrzymów ciągnęły do Jerozolimy na święto Paschy. Tuż przed miastem Meleagros skierował swego wielbłąda ku budom i namiotom. Kleopatra skinęła na pozostałych, żeby jechali za nim. Wspominał wielokrotnie, że spróbuje odszukać kupca imieniem Boszmun, przyjaciela Demetriosą z dawnych lat.

Gruby, łysy Fenicjanin wyciągnął spomiędzy fałd brudnego fartucha stożkowatą czapczkę, nałożył ją na głowę i wstał. Na stole przed nim wały się całe stosy papirusu i mnóstwo dziwnych przedmiotów, zapewne przeznaczonych dla klientów o nietypowych upodobaniach. Były tam strusie jaja z wyrytymi postaciami kobiet i mężczyzn, oddających się wyuzdanym przyjemnościom. Dżban do wina w kształcie stojącego na tylnych nogach nosorożca z potężnym przyrodzeniem, służącym jako dzióbek do nalewania trunku. Całe stado osiołków z ciemnego kamienia. Każde ze zwierząt miało jakiś widoczny mankament, na przykład trzy nogi lub tylko jedno ucho.

– Teraz, kiedy już nakryłem głowę, mogę przywitać gości – odezwał się Boszmun. – Meleagros i... Leonidas, prawda? I szlachetne damy. Ale gdzie się podział Deraetrios?

– Porwali go władcy pustyni. Nami wzgardzili. Boszmun zaklaskał w dłonie. Młoda, szczupła niewolnica podeszła i ukłoniła się bez słowa.

– Potrzebne nam stołki i wino – powiedział gospodarz. Potem zwrócił się do gości:

– Chcecie coś zjeść?

– Po długiej podróży każdy jest zmęczony i głodny.

– Jakoś temu zaradzimy.

Nubo i Perperna pozostali przy wielbłądach. Niewolnik Boszmuna pomógł im zapędzić zwierzęta do zagrody. Kiedy skończyli, usiedli w największej szopie przy chlebie i winie. Fenicjanin poprosił, żeby opowiedzieli, co się wydarzyło.

– Nie pomińcie niczego, żebym mógł zrozumieć i współczuć. Ale też nie opisujcie zbyt szczegółowo wszystkich okropności, żeby mnie za bardzo nie przygnębić.

Meleagros i Leonidas na przemian jedli i mówili. Przedstawili przebieg wydarzeń, bez wdawania się w szczegóły dotyczące pochodzenia Egipcjanek czy roli Rufusa. Kleopatra nabrała szacunku dla ludzi Demetriosa, ale podejrzewała, że Fenicjanin domyśla się także tego, co starali się przemilczeć. Po zakończeniu opowieści dość natarczywie przyglądał się każdemu z osobna. Poczowała ulgę, kiedy przeniósł wzrok z jej twarzy na siedzącą obok Thais.

– Naprawdę smutne – stwierdził po chwili namysłu.

– Was zlekceważyli, tak? Czasami lepiej nie należeć do grona wybranych. Co chcecie zrobić?

Meleagros popatrzył na Kleopatrze.

– Księżniczka zna z dawnych czasów prefekta. Ma nadzieję, że odnajdzie go w Jerozolimie

i uzyska pomoc dla siebie, a może także i dla nas.

Fenicjanin uniósł ręce nad głowę i zaraz je opuścił.

– Poncjusz Piłat przebywa wprawdzie w Jerozolimie, ale czy zechce przypomnieć sobie dawną znajomą?

– Czemu nie? – spytała Kleopatra.

– Nie wiem, czy wasze spotkania w przeszłości – Boszmun mrugnął jednym okiem – wyglądały tak, że wypada wspominać tego rodzaju zażyłość w obecności cnotliwej małżonki.

Po plecach Kleopatry przebiegł lodowaty dreszcz. Ostatnia nadzieja rozwiała się jak dym. Starła się nie okazać rozczarowania i przybrać spokojny, obojętny ton.

– Wszystko można powiedzieć w taki sposób, żeby nikogo nie urazić.

– I każda taka opowieść wzbudzi natychmiast nieufność przyzwoitej Rzymianki. – Gospodarz wzruszył ramionami.

– Ale skąd taki prosty kupiec jak ja ma wiedzieć, jaki efekt potrafi osiągnąć dobry mówca?

– Nie mamy pieniędzy – odezwał się Meleagros. – Wcześniej czy później musimy ci o tym powiedzieć, więc czemu nie teraz, od razu?

– Pieniądze – Boszmun przymknął oczy – Przez to małe paskudztwo człowiek zawsze wpada w kłopoty, obojętne, czy ma ich za dużo, za mało, czy wcale. Potrzebujecie ich, żeby przeżyć, prawda? Chcecie coś zrobić? – Otworzył oczy i przyjrzał się kolejno Meleagrosowi, Leonidasowi i Kleopatrze.

– Żeby ratować Demetriosą? Oczywiście, jeżeli tylko znajdziemy jakiś sposób.

– Nie przyszliśmy do ciebie żebrac – wtrącił się Nubo.

– Mamy coś do zaoferowania.

– To już lepiej. Zawsze lepiej proponować, niż prosić. Niech zgadnę. – Boszmun podrapał się po karku. – Chcecie sprzedać mi wielbłądy i iść pieszo do Piłata.

– Tak – odrzekł Meleagros – i chcemy cię jeszcze poprosić, żebyś nasłuchiwał, czy ludzie nie wiedzą czegoś o arabskich rozbójnikach i porwanych kupcach.

Fenicjanin zdjął czapeczkę, przyjrzał jej się w takim skupieniu, jakby wyhaftowano na niej wizerunek najwyższego boga, i włożył ją z powrotem. Potem złapał się za ucho.

– Nadśłuchiwać? Całe życie nic innego nie robię. Tylko dzięki moim czujnym uszom mogłem jakoś przeżyć do tej pory. Nadstawiam ich, przykładam je, gdzie trzeba. Nauczyłem się nawet wylawiać dźwięki, których inni nie słyszą, rozumieć najcichszy szept. Panowie ze świątyni

nie brzydzą się towarami z innych krajów, ale nie lubią obcych kupców w swoim mieście i niechętnie z nimi rozmawiają. Ponieważ mieszkam poza miastem, muszę rozpoznawać potrzeby klientów na podstawie szeptów i pogłosek. Słyszę z daleka kroki handlarzy. Przybywa ich tu wielu z pełnymi jukami, ale nie wiedzą, gdzie się z tym ruszyć i co komu zaoferować – zmarszczył czoło i zamilkł. Po chwili odezwał się znowu:

– Wracając do waszej propozycji: nie będziemy się targować. Nie potrzebuję wielbłądów pod wierzch. Dam wam tyle co za dobre zwierzęta juczne. Nawet trochę więcej, żeby wspomóc przyjaciół starego druha. Wiele lat temu chciałem urządzić się na tym placu, ale brakowało mi środków. Wtedy Demetrios mnie poratował. Gdybym teraz nic nie zrobił dla niego i jego towarzyszy, okazałbym się niewdzięcznikiem.

Kleopatra nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto wierzy w sprawiedliwość na świecie i kieruje się wyłącznie zasadami lojalności.

– Mądra kobieta. – Boszmun mrugnął do niej. – Ujmijmy to inaczej: dostaniecie za swoje zagłodzone wierzchowce tyle co za wypasione zwierzęta juczne. Różnicy między waszą stratą a moim zyskiem nie da się zmierzyć, bo ja bez waszych wielbłądów bym sobie poradził doskonale, a wy bez moich pieniędzy pomarlibyście z głodu.

– Nie mamy innego wyjścia – westchnął Meleagros.

– Pomyśl jednak, że los może się odmienić – dodał.

– Już to wliczyłem w cenę – kupiec potarł palcem nos.

– Jeżeli chodzi o drugą sprawę, słyszałem pewne plotki.

– Już? – zdziwił się Meleagros. – O Demetriosie?

– Och, nie. O Rzymianach i o pewnym księciu rozbójników z pustyni.

– Na pustyni jest takich wielu – odrzekła Kleopatra. Serce zaczęło jej bić szybciej, co ją zdenerwowało i mocno zaniepokoiło. Upomniała siebie w duchu, że nie powinna się tak przejmować. Myślisz, że któryś z nich przetrzymuje Demetriosą?

– Niewątpliwie, ale miałem na myśli co innego. Rzymianie coś planują. W związku z tym muszą prowadzić wywiad i zatrudniać informatorów. Trzeba znaleźć kogoś, kto lepiej orientuje się w sytuacji.

– Tylko gdzie? – zapytał Meleagros.

– Zastanowię się. Niech jeden z was przyjdzie do mnie za trzy dni. Do tego czasu spróbuję

się czegoś dowiedzieć. A teraz pokażcie mi te wasze wielbłądy. Lubię oglądać zwierzęta, zwłaszcza te, które wkrótce będą do mnie należeć.

Podniósł się ze stołka, inni też wstali i wyszli za nim. Kleopatra została sama. Uznała, że Meleagros i Leonidas poradzą sobie bez niej – nie brakowało im doświadczenia w handlu. Wołała raczej zastanowić się w samotności nad tym, czego się dowiedziała o Piłacie, Boszmunie i Demetriosie.

Prefekta, przedstawiciela cesarza, stróża prawa na prowincji, obowiązywało przykładne przestrzeganie wszystkich ustaw, w tym również dotyczących związku małżeńskiego. Fenicki kupiec na przedmieściach żydowskiej stolicy handlował z kim się da i jak się da. A ten trzeci... Rzetelny, przywoity i przez to bezbronny w rękach arabskich bandytów. Naprawdę nie interesowała się tak bardzo ani prawem rzymskim, ani podejrzanymi interesami Boszmuna, ani losem Demetriosia. Troszczyła się przede wszystkim o własną skórę. Chciała prosić Piłata o pomoc, żeby odzyskać utracone dobra w Egipcie. Ale jak to zrobić? W obecności cnotliwej małżonki nie mogła przecież wspominać nocy w Aleksandrii ani też kusić prefekta obietnicami przyszłych rozkoszy. Pozostawała tylko jedna droga ratunku. Musiała zgłosić się do przedstawiciela cesarza jako pokorna poddana i spróbować uzyskać urzędową drogą pismo, poradę lub odpowiednie rozporządzenie, które przywróci jej bezprawnie zagarniętą własność.

Demetrios. No tak. Pewnie w innych okolicznościach spędziłaby z nim miłe chwile sam na sam. W jakimś przytulnym pokoiku, blisko łaźni i kuchni, za to z dala od piasku, wielbłądów i towarzyszy. Ale sprawy potoczyły się inaczej. Postanowiła, że gdy tylko zyska taką możliwość, zawiadomi o losie Demetriosia pewne osoby w Rzymie. Po chwili zastanowienia uznała te działania za zbędne. Wytłumaczyła sobie, że jego przyjaciele, kupcy, na pewno i tak podejmą odpowiednie kroki.

Wróciła myślami do Glauke i zaraz ponownie uspokoiła własne sumienie. Prawie jej nie znała i nie ponosi żadnej odpowiedzialności za służącą, która już u niej nie pracuje. Postanowiła na zawsze o niej zapomnieć. Pozostał Boszmun. Grecy i Fenicjanie od wieków wzajemnie się nienawidzili. Kleopatra również czuła odrazę do kupca. Tłumaczyła sobie tę niechęć dziedzictwem pokoleń, spadkiem po macedońskich książętach i wojownikach. Tłusty, ugrzeczniony handlarz budził w niej wstręt, podobnie jak jego gładkie słówka, płynące prosto z kamiennego, zimnego serca. Nie podobał jej się ani jako mężczyzna, ani jako człowiek i nie mogła nic na to poradzić. Ani też nie chciała. Była przekonana, że wykorzystał ich rozpaczliwe

położenie i zapłacił najwyżej jedną piątą wartości wielbłądów. Wolałaby zostać służącą u arabskich bandytów niż u tej ropuchy.

Ktoś wszedł. Młoda, zgrabna służąca przysła sprzątnąć kubki i resztki chleba. Jej kolor skóry i rysy twarzy wskazywały na mieszane, greckoarabskie pochodzenie. Kleopatrze zrobiło się żal dziewczyny. Nie z powodu jej położenia – niewolników spotykało się na każdym kroku – tylko dlatego, że musiała pracować dla takiego wstrętnego potwora. Chyba nie zdążyła przybrać obojętnego wyrazu twarzy, bo służąca coś dostrzegła. Schyliła się po pusty dzbanek i szepnęła:

– Nie jest tak źle. To dobry pan, zarówno za dnia, jak i w nocy. Nigdy mnie nie zbił.

Kleopatra zaczerwieniła się i przeraziła. Zawsze udawało się jej ukrywać przed innymi swoje uczucia. Czyżby utraciła tę cenną umiejętność? Odchrząknęła z zakłopotaniem.

– Można mu zaufać?

– Bardzo rzadko coś obiecuje, ale jeżeli się na to zobędzie, to już dotrzymuje słowa.

– To brzmi tak szlachetnie, że aż niewiarygodnie. Niewolnica pokręciła głową.

– Słabo się orientujesz w tutejszych stosunkach, pani – odpowiedziała z odrobiną wyższości w głosie. – Nie kierują nim względy moralności, tylko konieczność. W kupieckim światku wszyscy się znają. Gdyby raz zawiódł, nikt więcej nie zechciałby z nim handlować.

Kleopatra uniosła brwi, wstała i wyszła bez słowa. Czuła, że dziewczyna odprowadza ją wzrokiem. Negocjacje w stajniach także dobiegły już końca. Boszmun wręczył Meleagrosowi sakiewkę.

– Dziękuję ci, przyjacielu mojego pana – pożegnał go Meleagros. – Następny dzban wina wypijemy za twoje zdrowie. Niech cię nie opuszcza szczęście w interesach. No i życzę ci, żeby twoje wielbłądy nigdy nie opadły z sił...

– Oby tylko nie biegły zbyt szybko – Boszmun uśmiechnął się – bo pogubią ładunki.

Zabrali resztę bagażu – torby, derki, broń i ubrania – i wyszli. Kleopatra nie spieszyła się. Spakowała się ostatnia. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy, że specjalnie się ociąga. Fenicjanin stał pomiędzy szopą a zagrodą z założonymi rękami i obserwował na przemian to wychodzących gości, to wielbłądy. Kiedy pozostali znaleźli się już na ulicy, Kleopatra podeszła do niego.

– Czy możesz mi poświecić jeszcze chwilkę?

– Szlachetna Macedonka? – Przyjrzał się jej bez emocji. Udała, że nie słyszy szyderstwa w jego głosie.

– Mówiłeś o książętach rozbójników.

– Niezbyt chętnie.

– Napadnięto nas na ziemi Nabatejczyków. He zbójceckich imperiów toleruje tamtejszy król?

I ilu władców pustyni może wysłać trzydziestu wojowników?

– Mądre pytania – Boszmun uniósł brwi. – Co chcesz zrobić?

– Przetrzeć. A do tego potrzebna jest wiedza.

– Powinnaś zająć się handlem. – Gospodarz roześmiał się. – Daleko byś zaszła.

– Niewykluczone, ale wróćmy do tematu. Co myślisz o Ao Hidis?

– Warto się nad tym zastanowić. – Fenicjanin mrugnął. – Mówią, że Belhadad ma długie ręce. Wydaje się, że Nabatejczykom to nie przeszkadza.

Kleopatra dogoniła pozostałych dopiero przy bramie. Meleagros zamienił parę słów ze strażnikiem i zawrócił.

– W mieście jest pełno ludzi. Wątpię, czy znajdziemy miejsce na nocleg.

– Czy prefekt przebywa w Jerozolimie?

– Tak, pani – Meleagros kiwnął głową. – Ale... Na ogół pałac Heroda służy za siedzibę pretorii. Tym razem zajmuje go sam król. Przybył, żeby uczestniczyć w uroczystościach w świątyni. Dlatego Piłat i jego ludzie przenieśli się do twierdzy. Do Antonii.

– No to chodźmy tam.

– Myślisz, że nas przyjmą? – Przygryzł wargi. – Uważam, że powinniśmy tylko odprowadzić kobiety, a sami rozejrzeć się za czymś innym.

– Spróbujmy.

Herod Wielki kazał zbudować twierdzę i nazwał ją Antonia na cześć swojego przyjaciela, Marka Antoniusza. Strzegli jej uzbrojeni żołnierze. Meleagros wskazał ruchem głowy wartownika przy bramie. Kleopatra wysunęła się do przodu. Za plecami strażnika widać było drogę, a na jej końcu obszerny dziedziniec, pełen wojskowych namiotów. Tuż za bramą, w przejściu, starszy człowiek klócił się o coś z dwiema kobietami.

– Jestem Kleopatra, księżniczka z Egiptu. Kiedyś gościłam prefekta w moim domu w Aleksandrii i przybywam na jego zaproszenie.

Jeden z żołnierzy uśmiechnął się.

– Nie wyglądasz na księżniczkę przybywającą z wizytą.

– To już zasługa arabskich rozbójników – wyjaśniła. Zawahała się przez chwilę, wreszcie podjęła decyzję.

– Prefekt na pewno chętnie nas przyjmie – oznajmiła – ze względu nie tylko na długoletnią przyjaźń, ale i na wieści, które przynoszę.

– Czego dotyczą?

– Ao Hidis i Belhadada.

W przeciwieństwie do jej towarzyszy żołnierz nie okazał zdziwienia. Pokręcił głową i otworzył usta, ale zaraz zamknął je z powrotem, bo mężczyzna i jedna z kobiet, z którymi dyskutował za bramą, zbliżyli się do nich. Prawdopodobnie usłyszeli rozmowę, bo starszy człowiek zapytał:

– Co wiesz o Belhadadzie?

– Ta kobieta – odpowiedział strażnik – twierdzi, że gościła kiedyś prefekta w Aleksandrii i że ma coś do powiedzenia o arabskich rozbójnikach.

– Jak ci na imię? – spytał mężczyzna.

– Kleopatra.

– No pewnie, jak inaczej mogłaby się nazywać egipska księżniczka? – roześmiał się. – Ale co wiesz o Belhadadzie?

– powtórzył.

– Czy musimy rozmawiać o tym na ulicy?

Kobieta położyła rękę na ramieniu mężczyzny i popatrzyła na Kleopatrze jasnymi, szaroniebieskimi oczami.

– Kleopatra z Aleksandrii? Przynosisz jakieś nowiny o Ao Hidis? Rzeczywiście to niezbyt dobre miejsce na takie rozmowy – odparła. Mówiła biegle po grecku, ale jej akcent zdradzał rzymskie pochodzenie. Obrzuciła pozostałe osoby szybkim, nieco lekceważącym spojrzeniem. Wyglądała na silną, zdecydowaną i inteligentną. Jej postawa i zachowanie wskazywały na pochodzenie z rodu rzymskich patrycjuszy. Kleopatra zastanawiała się, co ją sprowadziło do obozu wojskowego.

– Hej, ty! – zwróciła się kobieta do strażnika. – Zaprowadź ich do Tarkwiniusza. Niech ich gdzieś umieści – potem zwróciła się do Kleopatry i chłodnym, obojętnym głosem powiedziała:

– Słyszałam o tobie. Dlatego... zobaczymy – odwróciła się i wraz ze swoim towarzyszem odeszła w głąb dziedzińca.

– Kto to taki? – spytała Kleopatra.

– Klaudia Prokula.

- Kto to jest Klaudia Prokula?
- Zona prefekta.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Więżniowie Belhadada

*Chwalmy niezbadane wyroki nieśmiertelnych, którym podobano się oprócz głodu, pragnienia,
utruty świadomości i świerzbu dać nam jeszcze książąt.*

ANONIMOWA INSKRYPCJA NAGROBNA

Jechali osiem dni, prawie cały czas na północ. Przywódca, Didhama, nie zdradził celu podróży i w ogóle prawie nic nie mówił. Wyruszyli w drogę za dnia, nocą odpoczywali – jak podejrzewał Demetrios, z dwóch powodów. Ze względu na jakość dróg po zachodzie słońca nie dało się podróżować. Poza tym bandyci odczuwali wiosnę jako chłodną porę roku. Może za dwa miesiące upał zacząłby im trochę przeszkadzać, ale na razie marzli w nocy. Porwanych nie traktowano najgorzej. Właściwie strażnicy prawie się nimi nie interesowali. Rozdzielali ich tylko, żeby nie jechali obok siebie i nie mieli okazji do rozmowy. Na postojach ich związywali. Pęta były oczywiście niewygodne, ale nie powodowały żadnych obrażeń. Nie służyły jako narzędzia tortur, miały tylko uniemożliwić ucieczkę. W czasie odpoczynku zawsze ktoś pilnował, żeby się nie porozumiewali. Demetrios nie musiał naradzać się z Ravim czy Glauke ani też prosić Arabów o wyjaśnienia, żeby się zorientować, dokąd jadą. Wiedział, że cały czas podążają na północ. Dalej na wschód, w kraju Nabatejczyków, też rządziło paru książąt, którzy napadali na karawany, ale ci nie mogli sobie pozwolić na wysłanie trzydziestu uzbrojonych ludzi. Gdyby tylko spróbowali, nabatejski król Aretas natychmiast by się z nimi rozprawił. Co innego na północy. To tam właśnie znajdowało się Ao Hidis, stolica Belhadada. Jechali prawdopodobnie drogą leżącą na wschód od starego szlaku handlowego i użytkowaną chyba tylko przez rozbójników. Wiodła przez pustynie, wśród piasku i skalistych dolin. Przy zakrytych studniach widzieli czasami kilka śladów końskich kopyt, ale nigdzie nie znaleźli wielbłądziego nawozu ani śladów tych zwierząt. Demetrios zastanawiał się, dlaczego trzydziestu doświadczonych i uzbrojonych wojowników wyprawilo się tak daleko na południe tylko po trzy osoby. Czy rzeczywiście Belhadad wysłał ich tak daleko, żeby zgarnęli ich troje i niewielką sumę pieniędzy? Czemu nie porwali wszystkich

albo po prostu nie obrabowali ich ze wszystkiego i nie pozabijali? Tylko jedno wyjaśnienie wydawało się logiczne: ich zadanie polegało właśnie na sprowadzeniu tych konkretnych ludzi. Tylko po co? Dlaczego wybrali Glauke? To, że zainteresowali się ładną i najmłodszą z dziewcząt, wydawało się zrozumiałe. Ale bardziej opłacałoby im się porwanie księżniczki, bo dawało nadzieję na wyłudzenie okupu. Porywacze nie pytali jednak ani o imiona, ani o zamożność i rangę. Z tego wynika, że nie zamierzali żądać pieniędzy za uwolnienie więźniów. A Ravi? Właściciel gospody znał wielu ludzi w Adane, spędził tam długie lata i mógł dostarczyć więcej użytecznych informacji niż ktokolwiek inny. Lecz herszt zapytał tylko, czy Ravi jest Hindusem, i to mu wystarczyło. Nie interesowało go, czym karczmarz się zajmował. Wyglądało na to, że porywaczom chodziło wyłącznie o Demetrios: kupca, przywódcę karawany i wysłannika rzymskich kupców, zbierającego dla nich informacje. Pozostałych dwoje zgarnęli przy okazji. Skąd Belhadad wiedział, że znajdzie go właśnie w tym momencie na pewnej drodze na północ od Leukekome? Mówiono, że księżę pustyni wie wszystko. Ale żeby wiele wiedzieć, trzeba mieć informatorów. Wieść o wędrowcach, zmieniających przecież miejsce pobytu, musiała dotrzeć do niego szybciej, niż mogli ją przywieźć najlepsi jeźdźcy. Tylko dwóch znakomitych jeźdźców znało plany Demetrios: Rufus i Mukhatar. Ale, według jego obliczeń, w momencie porwania znajdowali się osiem dni drogi od Ao Hidis i dalszych osiem od Leukekome. W sumie szesnaście, a mieli tylko trzynaście dni przewagi. Mogli zyskać najwyżej jeszcze jeden dzień, ale na pewno nie trzy. Chyba że wcześniej spotkali Didhamę i zlecili mu porwanie. Tylko dlaczego pominęli Kleopatę? Przecież właśnie ona mogła stanowić kartę przetargową przy próbie wyłudzenia okupu albo – gdyby napotkali nieprzewidziane trudności – szantażowania prefekta. Kiedy dotarli do Ao Hidis, Demetrios zyskał pewność, że Didhama otrzymał polecenie uprowadzenia właśnie jego. To oznaczało, że Rufus i Mukhatar, o ile przez ten czas nie rozstali się jako wrogowie, współpracowali z Belhadadem. Ta ostatnia teoria w żaden sposób nie pasowała do tego, co Demetrios wiedział o Belhadadzie i Rzymianach. Myśl o ich sojuszu wydała mu się w pewnym momencie do tego stopnia absurdalna, że w ogóle przestał się nad czymkolwiek zastanawiać. Przez ostatnie godziny jazdy patrzył przed siebie bezmyślnie jak odurzony.

Ao Hidis było dawniej ciągiem małych oaz, które przodkowie Belhadada połączyli w jedną. Leżało w długiej i wąskiej dolinie. Wokoło rozciągała się bezkresna pustynia. Jak okiem sięgnąć, tylko piasek, góry i kamienie. Gdyby nawet komuś udało się przedrzeć przez spadziste granie

i ruchome piaski, pionowe ściany skalne na południu i północy uniemożliwiłyby mu dostęp do oazy. Na wschodzie kończyła się przesmykiem tak wąskim, że wystarczyło kilku łuczników, żeby odeprzeć całą armię. Tak przynajmniej mówił Didhama, kiedy już przyjechali do miasta. Porywacze wprowadzili ich do Ao Hidis od strony zachodniej. Wylot doliny przegradzał wysoki mur o długości około trzystu kroków. Przy dwuskrzydłowej bramie z blankami, wykonanej z drewna i żelaza, stali strażnicy. Dopiero kiedy minęli strażę i znaleźli się w królestwie Belhadada, Didhama stał się bardziej rozmowny.

– Mogłem ci to wszystko wcześniej opowiedzieć, ale chciałem, żebyś jak najmniej wiedział i nie mógł nas zdradzić, gdybyśmy gdzieś w drodze natknęli się na wrogów. – Didhama odrzucił na plecy chustę, która osłaniała jego twarz przed słońcem i kurzem.

– Ze chodzi o Ao Hidis, wiedziałem od dawna – odrzekł Demetrios. – Nie musiałeś z tego robić wielkiej tajemnicy.

– W takim razie po co miałem się wysilać? Didhama roześmiał się.

– Kto nie umie trzymać języka za zębami wtedy, gdy nie jest to konieczne, w razie kłopotów będzie paplał jak najęty – odparł.

– Paplał jak najęty?

Didhama nie odpowiedział; Demetrios nie oczekiwał zresztą od niego żadnej odpowiedzi. Rozglądał się tylko dookoła i próbował zapamiętać jak najwięcej obrazów, kolorów, zapachów i dźwięków. Ujrzał całą masę namiotów: małych, dużych, skromnych i ozdobnych, olbrzymi obóz, rozległy jak miasto, jak długie łańcuchy górskie na północy i południu. W skalnej ścianie dostrzegł czarne otwory – wejścia do jaskiń. Przy niektórych z nich stały drabiny. Te naturalne kryjówki wykorzystywano jako posterunki straży. W środku doliny znajdowały się pastwiska, sady i ogrody warzywne. Prawdopodobnie nawadniano je poprzez system kanałów i zbiorników, wykorzystując naturalne jeziora i stawy oazy. Dalej na wschód pomiędzy namiotami pojawiały się domy z kamienia. Mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci paśli konie i bydło. Inni pracowali na polach i w ogrodach. Musieli też gdzieś hodować owce i kozy, ale Demetrios nie zauważył żadnego stada. Widział za to liczne warsztaty, szewców, rymarzy, powroźników i cieśli, oraz kuźnie. Zastanawiał się, skąd mieszkańcy Ao Hidis pozyskiwali drewno. Mijali też kramy z jedzeniem, owocami i warzywami. Przy niektórych stały amfory z winem, piwem, pewnie także z olejem. Nikt nie pobierał opłat za korzystanie ze źródeł wody.

– Trzydzieści tysięcy? – zapytał Demetrios bez żadnych wstępów.

– Czego, koni? – Didhama odwrócił się i pozdrowił ruchem ręki jakiegoś przechodnia.

– Nie, ludzi.

– Dziesięć tysięcy mężczyzn zdolnych do noszenia broni – w głosie Araba brzmiała duma i jakby zaskoczenie z powodu liczby, którą sam wymienił. – No i oczywiście starcy, kobiety i dzieci.

Demetrios postanowił zapamiętać jak najwięcej i nie okazywać zdumienia.

– I uważacie, że ta garstka ludzi da radę przeciwstawić się siłom cesarstwa? Nie docenicie potęgi Rzymu.

– Rzym jest potężny, to prawda. Ale leży daleko stąd. Jechali teraz wzdłuż ogrodzonych zbiorników wodnych.

Płoty postawiono pewnie po to, żeby zwierzęta i ludzie nie wchodzili i nie zanieczyszczali wody. No dobrze, ale jak poją bydło? – zastanawiał się Demetrios. Po chwili zrozumiał działanie systemu. Zobaczył odchodzące od zbiorników i zakończone zaporami rynny. Składały się one z drewnianych ram i ruchomych desek, które w zależności od potrzeb podnoszono lub opuszczano. Jakiś człowiek prowadził właśnie konia do wodopoju. Spojrzał w ich stronę i szybko odwrócił głowę. Twarz nieznanego do złudzenia przypominała Lucjusza Postumusa, ostatniego Rzymianina, z którym Demetrios rozmawiał, zanim arabscy oprawcy wtrącili ich do lochu. Tylko ten tutaj miał brodę. Gdyby legioniści przestali się golić i zamienili pancerze na arabskie burnusy, wyglądałoby właśnie tak jak on. Demetrios zastanawiał się, czy jego podejrzenia mają jakikolwiek sens. Lucjusz Postumus na pewno by go rozpoznał. Natomiast nieznanomy nie odezwał się, nie pozdrowił go nawet skinieniem, czy choćby mrugnięciem.

Jeżeli był to rzeczywiście Lucjusz, co wydawało się bardzo prawdopodobne, widocznie nie chciał zostać rozpoznany. A to oznaczało, że brał udział w grze, którą prowadził Rufus w Ao Hidis. Demetrios nie wiedział, na czym ona polega. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy dotarli do twierdzy i ujrzał centuriona we własnej osobie. Nie miał brody. Stał przy drzwiach i rozmawiał z jakimś Arabem. Odwrócił się dopiero na dźwięk końskich kopyt na kamiennym gościńcu prowadzącym do bramy. Uśmiechnął się jakoś krzywo, nieszczercze.

– Lepiej późno niż wcale – powitał przybyłych. Zanim Demetrios zdążył odpowiedzieć, Didhama podniósł rękę w geście pozdrowienia.

– Myślę, że przyprowadziłem właściwych ludzi. Rufus przyjrzał się przyjezdnym. Ravi jechał w środku, Glauke z tyłu.

– Właściwie tak – odpowiedział. – Wprowadź ich do środka. Przypuszczam, że księżę zechce z nimi porozmawiać. I to już wkrótce.

– Co wiesz o życzeniach księcia, Rzymianinie? – zapytał Demetrios. Czuł się jak aktor drugiego planu w dziwacznej komedii. Jak ktoś, kto nie zna treści przedstawienia i nawet nie ma pewności, czy farsa zaraz nie zamieni się w tragedię.

– Wiem tylko tyle, ile mi powiedziano.

Starszy mężczyzna, z którym poprzednio rozmawiał, odchrząknął.

– Może przyprowadzimy Hiqara?

– Nie zawadzi. Idź i poszukaj go. Arab przyłożył rękę do piersi i odszedł.

– Osiągnąłeś to, co nie udało się jak do tej pory ani prefektom, ani cesarzowi. Wydajesz Arabom rozkazy, a oni cię słuchają.

Centurion roześmiał się.

– Zsiadaj. Niedługo otrzymasz odpowiedzi na wszystkie pytania. Nawet na te, które tobie, Raviemu i Glauke nie powstały w głowach.

– Co zamierzacie... co zamierzasz z nami zrobić?

Rufus nie odpowiedział. Didhama odwrócił się na koniu i coś zawołał. Pokazał przy tym na Ravięgo i Glauke. Kiedy zsiadli, ludzie Didhamy chwycili ich za ramiona i zaprowadzili przed bramę twierdzy. Demetrios przyglądał się budowli z ciosów kamiennych. Drugą kondygnację stanowiła konstrukcja z grubych bali, trzecią zbudowano z cegieł mułowych. Demetrios ciągle się dziwił, skąd mieszkańcy Ao Hidis brali drewno, i to w niemałych ilościach. Musieli go mieć pod dostatkiem, bo od strony dziedzińca dolatywał zapach dymu z ogniska. O ile go węż nie mylił, palono nie tylko wielbłądzim nawozem, lecz także polanami.

Usłyszał za sobą stłumione westchnienie. Glauke ledwo mogła ustać na nogach, podtrzymywali ją dwaj Arabowie. W czasie jazdy Demetrios widywał ją tylko daleka, podobnie jak Ravięgo. Teraz, gdy znaleźli się blisko siebie, przeraził go jej wygląd. Skóra dziewczyny przybrała popielatoszary odcień, na pewno nie tylko od kurzu, na twarzy pojawiły się bruzdy, oczy błyszczały jak w gorączce. Patrzyła przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie wiedziała, co się wokół dzieje.

– Co ci jest? Didhama szturchnął go.

– Wejdźcie, później porozmawiacie.

Ravi także wyglądał, jakby nagle postarzał się o wiele lat. Zanim Demetrios zdążył zamienić

z nim słowo, wprowadzono ich na teren twierdzy. Dziedziniec z kamiennych płyt mierzył około pięćdziesięciu kroków długości i czterdziestu szerokości. Ze wszystkich stron otaczały go ściany z ciosów, powyżej wznosiły się dwa piętra z cegieł i bali. Ściany były zaopatrzone w otwory okienne, a powyżej – blanki. W czterech rogach twierdzy wznosiły się wieżyczki, w których można było dostrzec głowy strażników. Więcej nie zdążyli zobaczyć, bo zaraz wepchnięto ich do sieni w północnym skrzydle. Weszli schodami na górę do małego, pustego pokoju. Rufus szedł za nimi. Zatrzymał się w drzwiach, podczas gdy słudzy czy też niewolnicy rozkładali na podłodze maty, przynosili miednice, dzbany i kubki.

– Rozgośćcie się – powiedział, kiedy posługacze opuścili pomieszczenie. – Księżę przyśle po was, jak będzie miał czas i ochotę. A teraz odpocznijcie – i wyszedł.

Dwóch ludzi zarygłowało drzwi od zewnątrz. Demetrios usłyszał jeszcze oddalające się kroki kilku osób. Glauke bez sił opadła na materac. Ravi podszedł do wysoko umieszczonego otworu okiennego, wspiał się na palce i wyjrzał.

– Wychodzi na dziedziniec. Można najwyżej wyskoczyć i zakończyć tą męczarnię – powiedział grobowym głosem.

– Nie opowiadaj głupstw. – Demetrios podszedł i położył mu rękę na ramieniu. – Co się z tobą dzieje, przyjacielu? I z tobą, Glauke? Obydwoje wyglądacie jak własne odbicia w brudnym, krzywym zwierciadle.

– Dziwisz się? Ta koszmarna podróż pochłonęła wszystkie nasze siły. – Glauke z trudem wymawiała słowa. – Tyle dni jazdy, w pośpiechu, bez możliwości porozumiewania się, bez żadnych wyjaśnień, Ravi skinął głową. Demetrios zrozumiał, że obydwójce dręczy strach przed nieznanym. On sam odczuwał przede wszystkim złość, oprócz tego jeszcze zdumienie i zaciekawienie, ale żadnego lęku. Najwyżej pewien niepokój, ale nie aż tak wielki. Miał wyrzuty sumienia, że nie wczuł się w położenie przyjaciół, ale i tak wcześniej nie mógłby ich pocieszyć, ponieważ nie pozwalano im rozmawiać. Zresztą nawet gdyby im wyjaśnił, że przejrzał grę Rufusa i to właśnie jemu, a nie im grozi przesłuchanie, i tak by ich nie uspokoił. Ponieważ wiedział więcej niż oni, czekało go śledztwo, tortury, a na końcu może śmierć lub wymiana na innego jeńca. Glauke i Ravi nie mogli przewidzieć, co się z nimi stanie. Przytłaczało ich poczucie bezsilności i niepewność jutra. Dziewczyna pewnie podzieli los wszystkich porwanych kobiet. Zostanie pohańbiona i będzie służyć staremu księciu, może także innym mężczyznom, jako niewolnica i zabawka. Kiedy im się znudzi, zabiją ją lub wywiozą na pustynię, żeby umarła

z głodu i pragnienia. Ravięgo czekają tortury lub śmierć bez żadnego powodu.

– Ja... – zaczął Demetrios i urwał.

– Też nic nie wiesz – dokończył za niego Ravi.

– Nie. Poza tym, że pewnie nas przesłuchają. Ale w jakiej sprawie?

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien udzielić im wyjaśnień. W końcu uznał, że lepiej tego nie robić. Kiedy oprawcy Belhadada zorientują się, że Glauke i Ravi nie mogą zdradzić żadnych tajemnic, bo ich nie znają, może potraktują ich mniej okrutnie. Nie wyobrażał sobie jak, ale miał nadzieję, że zachowując milczenie, chroni ich przed najgorszym.

– Znęcali się nad wami? – zapytał nieswoim, ochrypłym głosem.

Glauke w milczeniu potrząsnęła głową. Odpowiedział mu Ravi:

– Nie, tylko jechaliśmy, tak samo jak ty.

– I nic wam nie powiedzieli?

Zamiast odpowiedzi usłyszał kroki na korytarzu. Otworzyły się drzwi. Człowiek, którego nigdy przedtem nie widzieli, wszedł do środka, wyciągnął rękę w kierunku Demetriosia i zawołał:

– Hej, ty, chodź ze mną.

– A my? – spytał Ravi. Strażnik wzruszył ramionami.

– Zabawcie się. Pozostało wam niewiele czasu. Zaprowadził Demetriosia po schodach w dół. Przeszli przez dziedziniec, minęli znużonych żołnierzy i wspięli się po następnych schodach na górę. Wkrótce znaleźli się w obszernej sali wyłożonej dywanami. Na drewnianych skrzyniach przy ścianach stały lampy oliwne. Przy stole, na stosie poduszek, siedział władca pustyni, Belhadad, i bawił się sznurem drewnianych koralii i sztyletem. „Staro wygląda – pomyślał Demetrios. – Gruby, potężny i przebiegły człowiek”. Trudno było powiedzieć, czy miał włosy, bo jego głowę spowijała kunsztownie zawinięta chusta, której koniec opadał na lewe ramię. Poniżej pomarszczonego czoła zwracały uwagę ciemne, okrutne oczy, białe brwi i broda. Ubrany był w białą, luźną szatę. Jej fałdy przedziwnie układały się wokół olbrzymiej postaci i nadawały jej lekkości, jakby starzec miał zaraz unieść się w powietrze, ponad tłum poddanych.

– Możesz siedzieć lub stać – powiedział Belhadad po grecku. Miał nienaganny akcent. Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z końca długiego korytarza albo z głębokich podziemi.

– Jak mógłbym siedzieć w obecności księcia, skoro nawet się nie umyłem po podróży?

– Rzeczywiście. Jak? Ano, całkiem prosto: umieść swoje siedzenie na dywanie, nawet Rzymianie to potrafią. A czymże jest pył pustyni wobec brudu, który kryje się w zakamarkach

ludzkiej duszy?

Demetrios usiadł.

– Moją duszę rozświetla radość z oglądania blasku twego majestatu, czuję się zaszczycony, że mogę korzystać z twojej gościnności. Aczkolwiek zaproszenie nie należało do najwytworniej szych.

Belhadad popatrzył w bok, na drzwi pilnowane przez dwóch strażników. Dwaj inni mężczyźni weszli do środka. Skłonili się nisko, usiedli na prawo od Demetriosia i oparli się o skrzynię. Jednym z nowo przybyłych był Waleriusz Rufus. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Drugi, obcy, miał około dwudziestu lat, czarną, kręconą brodę i regularne rysy twarzy.

– Rufusa już znasz. Ten obok niego to Hiqar, dowódca gwardii, który mnie strzeże. Poznasz go lepiej, jeżeli spróbujesz się uchylić od skorzystania z naszej gościnności – poinformował Belhadad.

Demetrios usiłował uprzejmie się uśmiechnąć.

– Zaszczyciłeś mnie niespodziewanym zaproszeniem, ale nie mogę nadużywać twej wspaniałości. Jestem kupcem. Zbyt długa nieobecność zaszkodziłaby moim interesom.

– Twoja wizyta u mnie zakończy się wspólnym posiłkiem. Jednak podzielę się z tobą chlebem i solą dopiero wtedy, kiedy będę pewien twojej przyjaźni. I twoich ludzi.

– Mogę odpowiadać za siebie, ale nie za innych. Belhadad skinął na Rufusa.

– Skończmy z tym pustosłowiem, Demetriosie – powiedział Rzymianin. – Pomimo wszelkich niebezpieczeństw odłączyłem się od karawany, żeby szybciej tu dotrzeć. Wysłałem żołnierzy do Cezarei i przybyłem tu z Mukhatarem, żeby ostrzec księcia.

– Przed czym?

Belhadad zamknął oczy. Niby przypadkiem wycelował ostrze sztyletu w pierś Demetriosia. Hiqarowi zadrżały wargi, a Rufus westchnął.

– Fatalny początek – skrzywił się centurion. – Wiesz dobrze, że jestem człowiekiem Sejana. Ja z kolei wiem, że zajmujesz się wywiadem handlowym. Pozostały jeszcze dwa rodzaje służb specjalnych: ludzie związani z wojskiem i dawni szpicle Liwii Augusty. Sejan szykuje kampanię przeciwko Belhadadowi. Być może pozostałe organizacje szpiegowskie wezmą w niej udział. Możesz coś dodać?

– Niewiele.

– Nie wierzymy ci – odezwał się Hiqar.

– Spędziłem wiele miesięcy w podróży – tłumaczył Demetrios. – Przemierzałem szlaki z Rzymu do Aleksandrii i dalej w górę Nilu, później jeszcze na południe od Meroe i w końcu stamtąd do Adane. Kto mógłby mi po drodze przekazywać wieści z Rzymu?

– Na początek wystarczy nam to, co usłyszałeś przed wyjazdem. – Belhadad otworzył oczy i wysunął rękę ze sztyletem nieco do przodu, w kierunku Demetriosa.

– Niewiele wiem, ale mogę to powiedzieć tylko swoim przełożonym. Obowiązuje mnie tajemnica. Jeżeli przekażę informacje komuś innemu, stanę się zdrajcą. A kto uwierzy w prawdomówność zdrajcy?

– Nie chodzi o zdradę, tylko o to, żeby ustrzec Rzym przed popełnieniem niewybaczalnego błędu – oświadczył Rufus.

– Wymyśliłeś sobie taką wymówkę, żeby usprawiedliwić własne postępowanie – roześmiał się szyderczo Demetrios. – To, że opuściłeś swoich ludzi i działasz na szkodę kraju. Jaki błąd masz na myśli?

Miał zamęt w głowie i potrzebował czasu na zastanowienie. Dlaczego Rufus wysłał swoich podwładnych do Cezarei? Po co opowiadał mu o Mukhatarze i tajnych służbach? I czy człowiek, którego spotkał przy wodopoju w Ao Hidis to naprawdę Lucjusz Postumus? Bardzo prawdopodobne, ale co tu robi?

– Widziałeś Ao Hidis. Myślisz, że łatwo je zdobyć? – spytał Rufus. – Zamierzam zapobiec bezsensownej wojnie i niepotrzebnym ofiarom. Książę zapewnia równowagę sił na wschodzie. Jeżeli opanujemy Ao Hidis i zniszczymy Belhadada, kto przeszkodzi Partom porozumieć się z Nabatejczykami i zagarnąć całą Arabię i Babilonię? A kiedy do tego dojdzie, cała wschodnia część cesarstwa zamieni się w wielką, krwawiącą ranę.

– Twój pan, potężny Sejan, bardzo się ucieszy.

– Obawiam się, że mój pan otrzymał od innych służb fałszywe informacje. Kiedy mu powiem, kto go wprowadził w błąd i jakie byłyby konsekwencje fałszywych posunięć, podziękuję mnie, tobie, a nawet Belhadadowi.

– On chyba nie może nam pomóc – stwierdził Hiqar.

– Istnieją środki, żeby przywrócić człowiekowi pamięć.

– Znam je. Zimne, gorące, ostre i tępe. Ale na to mamy jeszcze czas. Lepiej pozwólmy mu spokojnie się zastanowić. W samotności.

– Co o tym myślisz? – zapytał Belhadad Rufusa.

– Trudno powiedzieć. Prowadzimy niebezpieczną grę. Taniec na linie nad ostrzami włóczni. Niezależnie, na którą stronę spadniemy, czeka nas śmierć. Musimy dojść do końca. Chyba Hiqar ma rację. Kiedy Demetrios się zastanowi, może nam pomóc. Jeżeli nie, zawsze można wykorzystać inne możliwości.

– Niech pomyśli do jutra – Belhadad skinął głową. – I nie zapominaj, mój niewdzięczny gościu, o życiu swoich przyjaciół.

– Chodź – rozkazał Hiqar i wstał. – Czy mamy cię zmusić?

Demetrios potrząsnął głową i podniósł się z miejsca. Rufus również skierował się do wyjścia. Nie zaprowadzili go z powrotem do Glauke i Raviego, tylko do zimnej piwnicy pod dziedzińcem. Przez niewielki otwór wysoko pod sklepieniem wpadało niewiele światła. Wartownik przyniósł mu zwiniętą matę, gliniany cebrzyk, chleb i dzban wody. Kiedy już ustawił wszystko w kącie, Hiqar napomniął go:

– Radzę ci dobrze się zastanowić. Wielu już zginęło z powodu bezmyślności.

– Nie próbuj zostać przeciwieństwem Regulusa – dodał Rufus. – Nie jesteś przecież Rzymianinem, tylko Grekiem. Lepiej pomyśl o Efialtiesie z Trachit.

– Kto to taki? – zainteresował się Hiqar.

– Powiem ci, jak wyjdziemy.

Strażnik zaryglował drzwi od zewnątrz. Demetrios rozłożył matę, usiadł, wypił łyk wody, oderwał kawałek chleba i zaczął jeść. Przypomniał sobie historię konsula Regulusa, uwięzionego w Kartaginie. Regulus dał słowo honoru, że uda się do Rzymu, przemówi w obronie pokoju i wróci do więzienia. Ale kiedy go wypuszczono, opowiedział się za wojnę i powrócił do Kartaginy z mieczem i w asyście wojska. Jak ma wyglądać jego przeciwieństwo? A Efialties? Poprowadził Persów przez góry na tyły wojsk Leonidas i doprowadził do klęski Sparty w wąwozie Termopile. Co Rufus miał na myśli? I co oznaczała uwaga o życiu przyjaciół? Demetrios czuł się równie zagubiony jak młodzieniec z Attyki w labiryncie Minotaura. Nie potrafił odgadnąć, o jaką stawkę toczy się ta skomplikowana gra.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Poncjusz Pilat

...albo jeśli kto dotknie jakiejś nieczystości ludzkiej, jakiegokolwiek rzeczy, która może uczynić nieczystym... niech wyzna, że przez to zgrzeszył. Wtedy przyniesie jako ofiarę zadośćuczynienia dla Pana za swój grzech – samicę spośród małego bydła, owcę lub kozę, na ofiarę błagalną. A kapłan dokona przebłagania za jego grzech.

KSIĘGA KAPLAŃSKA 5, 3.5-6

Tuż przed zachodem słońca pewien pisarz powiedział Aferowi, że prefekt oczekuje go następnego ranka o czwartej. Afer poszedł z Tiszaharem do miasta coś zjeść.

– Nie cenisz chyba zbyt wysoko kunsztu naszych wojskowych kucharzy, panie? – zapytał sługa, gdy znaleźli się już za murami twierdzy.

– Kunsztu? Gdyby cokolwiek umieli, jakoś bym przełknął to, co gotują. Ale ich potrawy nie chcą mi przejść przez gardło.

– Chętnie sam bym coś przyrządził, panie – roześmiał się Tiszahar – ale tam na górze nie ma warunków.

– Nie martw się, znajdziemy coś lepszego.

Wkrótce okazało się, że przecenił ilość miejsc w karczmach Jerozolimy. W mieście roiło się od pielgrzymów i żołnierzy Heroda Antypasa. W dodatku z Cezarei przybyły jeszcze dwie kohorty prawie w pełnym składzie. Głodni ludzie wypełniali wszystkie szynki, gospody i garkuchnie, tłoczyli się przy ogniskach, gdzie przyrządzano strawę.

Wreszcie znaleźli dwa wolne stołki w jakiejś karczmie, ale okazało się, że ktoś już je sobie zarezerwował.

– Poza tym – dodał uprzejmie, lecz z pewnym zakłopotaniem gospodarz – wybaczcie, ale tutaj jadają tylko prawowierni Żydzi.

– Jeżeli nie wejdziemy do środka, nie skazimy powietrza, którym oddychają.

– Ich zdaniem już sama wasza obecność zatruwa całe otoczenie.

– Ty też tak uważasz?

– Nie, panie. – Karczmarz rozłożył ręce – nie jestem ich zwolennikiem, ale podlegam przepisom. Gdybyś mnie dotknął albo nawet stanął zbyt blisko, twoje dotknięcie lub oddech uczyniłyby mnie nieczystym. Musiałbym poddać się ceremonii oczyszczającej i nie mógłbym dotknąć naczyń ani jedzenia, ani też obsługiwać gości.

– Zauważyliby?

– Prawowierni zapamiętają nawet, który osioł jadł z ręki poganina. – Właściciel gospody roześmiał się niewesoło – Spróbujcie może za miastem, w zajazdach i kuchniach dla cudzoziemców.

Bramę na ogół zamykano o zachodzie słońca, ale w ostatnich dniach cały czas stała otworem. Gdyby jednak zamknięto ją na noc, Afer jako oficer wojsk Heroda Antypasa mógł zawsze rozkazać wartownikom, żeby go wpuścili. Poza murami rozciągał się długi szereg namiotów dla pielgrzymów, którzy nie znaleźli noclegu w mieście. W drewnianych budach cudzoziemcy sprzedawali strawę przyjezdnym. Pewien Grek z Tarentu obsługiwał rodaków z kohorty prefekta. W innym baraku, u jakiegoś Persa, jadali kupcy i opiekunowie wielbłądów ze wschodu. Obok znajdowały się garkuchnie arabskie, syryjskie i iliryskie. Afer wybrał najdalej położoną karczmę Rodyjczyka. Zamówił pieczone jagnię, chleb, kapustę, owoce i wino.

Pod koniec posiłku Tiszahar zapytał:

– Jak długo chcesz pozostać w Jerozolimie, panie?

– Jeszcze nie wiem. To zależy od tego, co mi rozkażą prefekt i król. Czemu pytasz?

– Niedaleko stąd, kolo Emaus...

– Wiem. Mieszka twój brat.

– Kupił sobie wolność i teraz pracuje u pewnego handlarza końmi z Krety. Chciałbym go odwiedzić.

– Właściwie nie jesteś mi teraz potrzebny – Afer zmarszczył czoło – zwłaszcza jeżeli mnie gdzieś wyślą.

– Jestem twoim niewolnikiem.

– Ale, jak powinienes wiedzieć, również przyjacielem. Jak długo zamierzasz zostać u brata?

– Dziesięć dni, plus dwa dni drogi w tę i z powrotem. Czy to zbyt wiele?

– Wcale nie. Ale gdy wrócisz, możesz mnie już nie zastać. Weź konia i od razu z Emaus pojedź do Kafarnaum. Kiedy chcesz wyruszyć?

– Jutro rano, jeżeli pozwolisz.

– Zgadzą się.

Jeszcze długo po czwartej Afer wraz z dwoma tuzinami innych oczekujących siedział na kamiennej ławce w półotwartym przedsionku. Pisarz zapisywał kolejno nazwiska i prośby na arkuszu papirusu, umieszczonym na przenośnym pulpicie. Petenci, kupcy i ludzie, którzy przyszli z najprzeróżniejszymi skargami, przedstawiali swoje sprawy tak cicho, że trudno ich było zrozumieć. Zwłaszcza że inni rozmawiali między sobą, a z podwórza dochodziły odgłosy codziennej krzątaniny. Jeszcze piętnastu ludzi czekało w kolejce, kiedy inny urzędnik wezwał Aferę do prefekta. Pozostali obrzucili go zawistnym spojrzeniem.

Poncjusz Piłat siedział w fotelu na niewysokim podium. Przed nim na stole piętrzyły się sterty tabliczek i zwojów. Z prawej strony siedział pisarz z pulpitem na kolanach, z lewej jakiś starszy człowiek. Afer musiał chwilę pomyśleć, zanim go sobie przypomniał. Nazywał się Publiusz Kwintyliusz Kolumella i pełnił funkcję głównego doradcy prefekta. To z nim Nikias omawiał wszystkie sprawy, których rozstrzygnięcie leżało w gestii prefekta albo króla.

– Ave Sagabiane Afer – pozdrowił go Piłat z uśmiechem i wskazał stołek przed podestem. – Usiądź. Mam nadzieję, że jesteś zdrowy.

– I ja mam nadzieję, że zastałem cię w dobrym zdrowiu, panie. – Afer przyłożył rękę do piersi i dopiero wypowiedziawszy te słowa, usiadł.

– Nie bawmy się w wymianę grzeczności i nie zaczynajmy od pogawędek o bogach czy zdrowiu cesarza. Przejdźmy od razu do rzeczy, bez żadnych wstępów. Mamy kilka zagadnień do omówienia. – Piłat odsunął jeden ze zwojów. Spojrzał na tabliczkę, również odłożył ją na bok i rozwinął kolejny papirus.

– Drobiazgi – mruknął – załatwicie to z Kolumellą później, może nawet wieczorem – popatrzył na doradcę.

– Wolałbym jutro – urzędnik zmarszczył brwi. – Czy to bardzo pilne?

– Wszystko powinno być załatwione jeszcze przedwczoraj. Ale może równie dobrze poczekać do jutra. Z tobą, Aferze, chcę omówić dwie sprawy: tego wędrownego kaznodziei, Jehoszuy, i naszych miłych przyjaciół z pustyni.

– Od czego zaczniemy, panie?

– Od Jehoszuy. Szybko się z tym uporamy, przynajmniej mam taką nadzieję.

Afer skinął głową.

– To człowiek sprawiedliwy, panie. Obserwowałem go, rozmawiałem z nim samym, a także z jego zwolennikami. Rzym nie musi się go obawiać.

Piłat przygryzł dolną wargę.

– Poczekaj, przeczytam, co pisze Kajfasz.

W czasie, gdy prefekt przeglądał pismo, Afer wymienił spojrzenia z Kolumellą. Doradca szybko odwrócił wzrok i zaczął oglądać własne paznokcie. Afer uśmiechnął się ukradkiem, czekał w milczeniu i obserwował Piłata. Prefekt nie zmienił się od ubiegłego roku. Sprana toga z nieco wyblakłym purpurowym brzegiem ciasno opinała przysadzistą sylwetkę. Na prawym ramieniu Afer rozpoznał tę samą co dawniej srebrną zapinkę. Widocznie prefekt nadal nie przywiązywał wagi do strojów i ozdób, przeciwnie niż jego doradca. Kolumella miał na sobie nowiutką togę z intensywnie szkarłatną lamówką i złotą broszę wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Piłat przebiegał pismo oczami i poruszał ustami, jakby przeżuwał każde słowo. Masywny podbródek z bruzdą w środku podnosił się i opadał. Prefekt pochodził z żołnierskiego rodu i przebył całą drogę kariery, począwszy od kolejnych stanowisk przy świątyni, później w urzędach i wreszcie w legionach. Prawie sto pięćdziesiąt lat wcześniej jego przodek, naczelny wódz Samnitów, zwyciężył Rzymian i wymusił warunki rozejmu w Caudium. Inny Poncjusz przyjaźnił się z Cyncerem. Stary ród żołnierzy wprowadzał rzymskie prawo za pomocą miecza i w ten sam sposób zmuszał opornych, również Żydów, do jego przestrzegania. Afer nie wiedział, jak postąpiłby na miejscu prefekta w sporze o wizerunki. Przypuszczalnie zrezygnowałby z wieszania herbów z podobizną cesarza w pałacu Heroda. Prawowierni Żydzi protestowali wtedy przez wiele dni. Ich wiara zabraniała sporządzania portretów i w końcu prefekt musiał je zdjąć. Żydzi odebrali to ustępstwo jako zwycięstwo jedyne Boga, a Rzymianie jako porażkę. Rok później Piłat uczynił coś, co Afer pochwalał już z całego serca. W Jerozolimie brakowało słodkiej wody i należało zbudować wodociąg. Piłat kazał skonfiskować i przeznaczyć na ten cel pieniądze, które Żydzi z całej wspólnoty raz w roku wysyłali do świątyni. Przeznaczali na ofiarę wyłącznie monety bez żadnego wizerunku, a tylko z podpisem Seleucydy Antiocha. Jego decyzja wywołała ponowne rozruchy, ale tym razem prefekt krwawo stłumił bunt. Po dwóch latach akwedukt już zaopatrywał miasto w wodę, ale mieszkańcy Jerozolimy odmawiali korzystania z tego dobrodziejstwa.

Stosunki pomiędzy Piłatem i najwyższym kapłanem, Kajfaszem, od początku były napięte. Zawsze, kiedy prefekt przybywał do Jerozolimy, towarzyszyły mu dwie kohorty, prawie tysiąc

zbrojnych. Składały się w połowie z Greków, w połowie z Samarytan. Na ich czele stali centurioni rzymscy. Wrogie nastawienie mieszkańców utrudniało rządzenie prowincją, pociągało za sobą wysokie koszty i konieczność utrzymywania dużej załogi wojskowej. Bez tego prefekt nie mógłby ani zapewnić spokoju w tym regionie, ani też wyegzekwować podatków.

Piłat skończył czytać, skrzywił się i podparł ręką głowę.

– Nienawidzę ich – mruknął – a oni mnie. Kajfasz chyba uważa mnie za kompletnego idiotę. Albo naprawdę wierzy, że ten Jehoszua może zniszczyć potęgę cesarstwa.

Afer milczał. Monolog prefekta nie wymagał komentarza.

– Póki się boją, niech sobie nienawidzą. Ale oni nie lękają się już chyba ani cesarza, ani Rzymu, ani nawet mnie. Jak ci się wydaje?

– Oni boją się tylko swojego Boga – wtrącił Kolumella. – Przejdźmy do rzeczy.

– Kiedy właśnie w tym rzecz – w głosie Piłata brzmiała złość – nawet nie wolno wymienić imienia tego ich jedyne Boga. Okropne! W Rzymie, Atenach, Aleksandrii, wszędzie, również w najodleglejszych zakątkach świata, jak Persepolis, a także w dawnym Babilonie, Kartaginie i Egipcie, żyli mądrzy ludzie. Ustanawiali i wprowadzali prawa, studiowali ciało i umysł człowieka, badali naturę i obserwowali społeczeństwo. Inni pisali wiersze i tragedie, malowali obrazy, rzeźbili posągi i stawiali domy. A ci? Nie robią nic. Nie badają, nie budują, nie piszą. Za mędrca uchodzi u nich ten, który umie objaśniać stare pisma. Inny, podobny uczoney dodaje do tych objaśnień własny komentarz, jeszcze inny obala wykładnie tamtego. Czy budują drogi? Wytwarzają coś, czym opłaca się handlować? Jeżeli już nie wolno im malować czy rzeźbić postaci, czy tworzą chociaż muzykę? Jak ja mam nimi rządzić?

– Prawowierni Żydzi odpowiedzieliby ci, że wcale nie musisz, a nawet nie powinieneś. – Afer uśmiechnął się nieśmiało. – Rządzi nimi ich Bóg. Jego słowo, spisane przez kogoś setki lat temu, jest dla nich prawem i drogowskazem. A Rzymianie niech się wynoszą, skąd przyszli. Kolumella skrzywił się.

– I co? – ciągnął Piłat. – Znosili jarzmo niewoli egipskiej, asyryjskiej i perskiej. Później rządzili nimi Macedończycy i Seleucydzi. A kiedy odzyskali wolność, zaczęli mordować się nawzajem. My budujemy im drogi i wodociągi, sprowadzamy lekarzy i chronimy ich przed wrogami. Kiedy w latach szabatowych religia zabrania im obsiewać pola, zaopatrujemy ich w żywność, żeby nie głodowali. Łapiemy bandytów i ucinamy im głowy. Dbamy o to, żeby podróżni mogli poruszać się bez przeszkód stąd aż do Galii i nie musieli co dwie mile

przechodzić przez granicę, płacić cła i podporządkowywać się nowym przepisom. Szanujemy miejscowe obyczaje i nie przekraczamy progu świątyni. Kiedy Kajfasz chce ze mną rozmawiać, nie odwiedzam go w domu, bo bym go skalał – ja, przedstawiciel Tyberiusza Augusta! Nie zapraszam też kapłana do siebie, bo gdyby przekroczył mój próg, stałby się nieczysty. Spotykamy się pod gołym niebem i stoimy w odpowiedniej odległości, żeby nie oddychać tym samym powietrzem. Traktuje mnie nie jak ludzką istotę, lecz jak... robaka. Ja respektuję ich prawo, przepisy o czystości i nieczystości, przepisy objaśniające przepisy i wyjaśnienia objaśnień. Ale czy w moim własnym pałacu, w mojej własnej komnacie nie wolno mi postawić ołtarza Jowiszowi ani powiesić portretu cesarza? Czy już mówiłem, że ich nienawidzę?

– Mówiłeś – odrzekł Kolumella – ale nie zapominaj, że nie wszyscy myślą w ten sposób. Zaciekli, twardogłowi Żydzi stanowią tylko małą część społeczeństwa.

– Ale terroryzują wszystkich.

– Skoro jest tylko jeden Bóg, ogarniający wszystko, wtedy to, co mu nie podlega, na przykład Rzymianie, ma dla nich mniejsze znaczenie niż kurz i pył. Po prostu nie istnieje. Nie zmienimy tego. Pozostaje nam modlić się do wszystkich bogów, żeby już żadnemu innemu narodowi nie przyszło do głowy, że istnieje jedyny, wszechmocny Bóg. Ale tymczasem musimy się troszczyć o ludzi.

– Masz rację – Piłat roześmiał się nieoczekiwanie – czeka nas sporo pracy. Ale to wszystko się ze sobą wiąże. Kajfasz wypisuje głupoty. Z jednej strony twierdzi, że Jehoszua chce przepędzić Rzymian i ogłosić się królem żydowskim, z drugiej – że sieje niepokój, sprzeniewierza się zasadom żydowskiej religii i bluźni przeciwko ich Bogu. Zaraz, gdzie to było? – rozwinął papirus, nabrał powietrza w płuca i zaczął głośno czytać:

– „Żeby go sprawdzić, pokazano mu rzymski denar z wizerunkiem Tyberiusza Augusta. Wierzącemu Żydowi nie wolno czegoś takiego nawet oglądać, a już w żadnym wypadku dotknąć. A on wziął monetę do ręki. Powiedział, że ponieważ przedstawia rzymskiego władcę, należy jej używać do płacenia podatków Rzymowi. Oddać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie. Jeżeli tego typu poglądy się rozpowszechnią, uczeni w Piśmie utracą wpływ na ludzi. A wtedy ja, Kajfasz, nie będę dłużej mógł zapewnić spokoju i przestrzegania prawa”.

Piłat zwinął papirus.

– Wszystko należy do Boga. Człowiekowi nic się nie należy. Tyberiuszowi Augustowi też nie. Kapłan tak bardzo troszczy się o pokój i praworządność, że ma cesarza za nic. Czasami nie

potrafię odróżnić kogoś opętanego przez tego ich Boga od zwykłego szaleńca.

Kolumella odchrząknął.

– Cieszę się, że możemy wysłuchać twoich uzasadnionych i mądrych poglądów, ale Afer przybył tu w innym celu. A na zewnątrz jeszcze wielu ludzi czeka na posłuchanie.

– Racja, koniec dygresji. – Piłat uniósł rękę i zwrócił się do Afera:

– Co wiesz o Jehoszui?

– Jak już mówiłem, to człowiek sprawiedliwy. Trudno mi go opisać albo objaśnić jego nauki.

W każdym razie uczy miłości, tolerancji...

– Jeszcze jeden marzyciel – mruknął Piłat.

– ...i braterstwa, nie sieje nienawiści. Sam czytałeś, panie, jak rozstrzygnął spór o monetę. Ponadto uzdrawia chorych. Mówią, że czynił to także w czasie szabat.

– Wstrząsające! – prefekt uśmiechnął się ironicznie. – Odrażający występki. Lepiej pozwolić człowiekowi umrzeć, niż popełnić świętokradztwo i leczyć w dzień święty. Lepiej szczeniść, niż pozwolić się zbrukać dotknięciem pogańskiego lekarza.

– Zarzucano mu właśnie naruszenie świętości. A on odpowiedział coś w tym rodzaju: „Czy szabat jest dla ludzi, czy ludzie dla szabat?”

– Nic z tego, co powiedziałaś, nie wskazuje na bunt przeciwko Rzymowi. – Piłat splótł ręce na karku, odchylił głowę i patrzył w sufit. – Ale oczywiście rozumiem, czemu to, co on głosi, nie podoba się kapłanom. Roszczą sobie pretensje do wszechwiedzy i absolutnej władzy. Tylko oni mają prawo objaśniać Pismo. Biada temu, kto się przyzna, że nieco inaczej pojmuje święte słowa. Taki człowiek zagraża władzy duchowieństwa, prawda?

– Całkowicie się z tobą zgadzam, panie.

– Uważasz, że Jehoszua nie należy do buntowników? Ze nie ma nic wspólnego z tymi nożownikami, którzy wciąż przybywają z Galilei? I nie będzie nawoływał w swoich kazaniach do powstania przeciwko Rzymowi, jak tamten...? Jak się nazywał ten podżegacz, którego Antypas skazał w ubiegłym roku na śmierć? Jan?

– Zwany Chrzcicielem? – Afer zamilkł na chwilę. – Jehoszua także chrzcił, ale nie nawoływał do walki. Nie, panie, z całą pewnością nie można go zaliczyć do wichrzycieli. Myślę że kierują nim szlachetne pobudki. Pragnie odnowienia wiary, tak żeby służyła społeczeństwu, a nie uczonym w Piśmie.

Piłat przeniósł wzrok na swojego doradcę.

– A ty, co o tym myślisz?

– Myślę, że Afer ma rację – Kolumella wskazał stos zwojów na stole. – To samo piszą inni twoi informatorzy. Dodają jeszcze, że ma niewielu wyznawców.

Piłat odsunął pismo na koniec stołu z wyraźnym obrzydzeniem.

– Nie wierzę w miłość i braterstwo. A już na pewno nie pomiędzy mną a arcykapłanem. Ale odnoszę wrażenie, że niektórzy robią z igły widły, specjalnie wyolbrzymiają zagrożenie. Przejdźmy do ważniejszych spraw – zwrócił się do pisarza. – Nie będę cię przez jakiś czas potrzebował. Odejdź teraz i odpisz arcykapłanowi. Wiesz co: wyrazy szacunku, przyjaźni, ubolewania, prośba o cierpliwość i tak dalej.

Urzędnik wstał, zabrał swój pulpit, uklonił się i zniknął za małymi, bocznymi drzwiami. Kiedy opuścił komnatę, Piłat zwrócił się do Afera:

– Jak wyglądają przygotowania w Ao Hidis?

– Ludzie z Syrii już wyruszyli. – Afer zwięźle relacjonował kolejne działania, posunięcia i raporty swoich zwiadowców z pustyni. – Młodzieniec, którego wyszukaliśmy i przygotowaliśmy, został już dowódcą gwardii przybocznej Belhadada, a nawet jego doradcą w sprawach wojskowych. Brakuje tylko dwóch rzeczy, panie: twojej kohorty i nazwiska człowieka, któremu mam wszystko przekazać.

Prefekt skrzyżował ramiona na piersi i ściszył głos.

– Myślisz, że się uda? Może miasto jest lepiej przygotowane do obrony, niż nam się wydaje?

– Na pewno odeprze szturm. A długie oblężenie może okazać się bardzo trudne.

– Dlaczego? Ze względu na zaopatrzenie?

– To też – Afer zmarszczył czoło – ale przede wszystkim z powodu braku wody. Obrońcy Ao Hidis mają dostęp do licznych studni. Natomiast poza terenem doliny prawie nigdzie nie ma źródeł. Książę może wystawić dziesięć tysięcy wojowników.

– Więcej – wtrącił Kolumella.

– Jak to? I skąd wiesz? – Piłat wyglądał na zaskoczonego.

– Mają dziesięć tysięcy żołnierzy. Ale w razie potrzeby ich żony także chwycą za broń. Z tego, co wiem o Arabach, kobiety posługują się nią równie sprawnie jak mężczyźni. Dolicz do tego chłopców i zwawych staruszków.

– Razem dwadzieścia tysięcy albo i więcej.

– Najprawdopodobniej.

– Czy to coś zmienia?

– Jeżeli plan się powiedzie, nie ma to żadnego znaczenia. Jeżeli się nie uda, również nie, bo wtedy nikt z uczestników kampanii nie przeżyje – roześmiał się dość ponuro Afer. – Martwym jest obojętne, czy zostali zabici przez dziesięć, czy przez dwadzieścia tysięcy wrogów.

– Gdyby zanosilo się na klęskę, lepiej przebijcie się mieczami – doradził Kolumella. – Mówią, że Arabki uwielbiają powoli ćwiartować jeńców. Im dłużej ofiara się męczy, tym większa dla nich radość.

– Nawet nie wspominajcie o porażce – przerwał Piłat. – Na obrzeżach cesarstwa nie mamy prawa przegrać. A co do dalszych planów: ty dostaniesz pierwszą, grecką kohortę. Ludzi z Samarii potrzebuję tutaj. Jak wiesz, darzą Żydów szczególną sympatią i najlepiej czują się w Jerozolimie. Albo raczej ja jestem spokojniejszy, kiedy mam ich u swojego boku. Wszystko gotowe?

Kolumella zamknął oczy. Mówił powoli, jakby odczytywał słowa zapisane gdzieś w zakamarkach pamięci.

– Kiedy wydasz rozkaz, żołnierze wyruszą. Konno, małymi grupkami, żeby nie rzucać się w oczy. Na razie wiemy o dwóch lub trzech szpiegach Belhadada. Prawdopodobnie jest ich więcej.

– Długo to nie potrwa.

– Na razie nic się nie zmieniło. Chcemy ich sprowokować, żeby wyszli z miasta i zgromadzili się we wschodniej części Dekapolis. Na północny wschód od Adry znajduje się dolina obfitująca w źródła wody.

– Łatwo zablokować dojście do niej. Syryjczycy są w pobliżu.

– Co zrobi Herod? – zapytał Afer. – Jeżeli dla odmiany akurat coś zrobi.

– Obiecaliśmy mu ziemie dawnego południowego Dekapolis, obecnie należące do Nabatejczyków – wyjaśnił Kolumella z szyderczym uśmiechem. – W zamian za to on nie przeszkodzi Nikiasowi wysłać tysiąca żołnierzy. A raczej nimi dowodzić. Nikias ma pilnować, żeby Aretas i Nabatejczycy nie przyszli Belhadadowi z pomocą.

– To wszystko?

– Nie. Jego oddziały będą was wspierać i przyprowadzą kilka machin oblężniczych. Pozostała jedna sprawa do omówienia.

– Nie dość jeszcze? – westchnął ciężko prefekt. – Cóż tam znowu?

– Rozmawiałeś, panie, z Klaudią?

– Nie. Nie widziałem się z nią od wczorajszego ranka. Obydwoje mieliśmy swoje sprawy.

Doradca uśmiechnął się nieszczerze.

– Nie poruszałem tego tematu do tej pory, bo myślałem, że ci powiedziała.

– O czym, na wszystkich bogów podziemi?

– Wczoraj przyjechała tu pewna kobieta z towarzyszami. Twierdzi, że przywozi ważne nowiny. Coś, co dotyczy Ao Hidis.

– Może powinniśmy ją tu sprowadzić?

– Lepiej odłóżmy to na później. Zaprosimy ponownie Afera. O ile nie zechcesz z nią porozmawiać na osobności.

– A powinienem? – Piłat potarł policzek. – Kto to taki?

– Mnie i twojej żonie przedstawiła się jako Kleopatra z Aleksandrii.

– Ach... – prefekt wznosił oczy do góry. Później uśmiechnął się błogo, jakby przywołał jakieś miłe wspomnienia. – I to naprawdę ona?

– Odpowiada twojemu opisowi.

– A co na to Klaudia? Ucieszyła się?

– Zachowywała się... bardzo formalnie.

– Jak przystoi małżonce prefekta. A więc Kleopatra. Zawołamy ją później, gdy już załatwię wszystkich interesantów. Afer, ty pozostaniesz do dyspozycji.

– Tak, panie, ale... Chciałbym wiedzieć, jak się nazywa człowiek, który kieruje akcją, i gdzie go spotkam.

– Ach, tak – Piłat skinął głową. – Byłbym zapomniat. Przyprowdzi do Adry oddział świetnie wyszkolonych wojowników. Najlepszych i najdzielniejszych ludzi Sejana. Zwie się Waleriusz Rufus.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Obrady i bezradność

Bezradność w krytycznym momencie, rada w nieodpowiedniej chwili, nawożenie w czasie świąt, a muzyka do pracy w polu. Kiedy bogowie odwrócą porządek rzeczy, nic się nie może udać.

DYMAS Z HERAKLEI

Gdy tylko wprowadzili się do dwóch izb na piętrze, pojawił się służący. Szukał Kleopatry, ale trafił do pomieszczenia, które zajmowali mężczyźni. Słyszała, jak Meleagros skierował go do pokoju kobiet.

Sługa powiedział, że Klaudia Prokula poleciła zapewnić Kleopatrze i jej towarzyszom wszelkie wygody, w tym również dostęp do łaźni prefekta. On sam przebywał poza miastem, ponieważ zamierzał spędzić wieczór w towarzystwie przyjaciół, zamożnych kupców. Chciał także sprawdzić postępy prac przy budowie drogi. Miał wrócić dopiero następnego ranka, żeby wysłuchać skarg i próśb poddanych. A po południu zaprosić Kleopatę na rozmowę.

– A Klaudia Prokula? Czy łaźnia nie należy także i do niej?

– Oczywiście – posłaniec roześmiał się – ale ona także wybiera się za miasto. Odwiedzi zaprzyjaźnionych handlarzy, którzy przybyli z Rzymu, i zostanie na noc. Na pewno przyjemniej tam niż w wielkich pałacowych komnatach.

– Skoro już muszę czekać, warto przynajmniej wygodnie się urządzić. Pokaż mi, gdzie mogę się umyć.

Towarzyszyły jej Thais i Arsinoe. W porównaniu z rzymskimi i egipskimi, łaźnia prefekta wydawała się bardzo skromna, wręcz uboga; warunki nie odbiegały od panujących w twierdzy. Ale Kleopatrze i pozostałym kobietom, zmęczonym długą podróżą przez pustynię, wydawała się szczytem luksusu. Znajdowały się tam baseny z ciepłą, gorącą i zimną wodą oraz obfitość olejków, pachnideł i maści. Gości obsługiwała tęga niewolnica o silnych, białych dłoniach. Przyniesiono im także świeżą bieliznę i czyste ubrania, oczywiście z zapasów służących, a nie

ich pani. Meleagros, Leonidas, Nubo i Perperna wykąпали się w następnej kolejności, ale za to znacznie szybciej. Po kąpeli dostali jakieś obrzydliwe potrawy z kuchni polowej na dziedzińcu.

– Papka z mięsa zdechłego barana – stwierdził Meleagros – i rozgotowanej fasoli, którą jeszcze stary Katon zapomniał zebrać z ogrodu. I do tego ten ocet, który nazywają winem! Księżniczko! W każdym innym mieście zaproponowałbym, żeby raczej zjeść w jakiejś podłej garkuchni albo nawet ze śmietnika. Ale tu nie znajdziemy nic lepszego.

– Czy Żydzi zawsze jadają takie paskudztwa? Leonidas wzruszył ramionami.

– Nie, na ogół odżywiają się dosyć dobrze. W każdym razie stosują znacznie więcej przypraw niż ten truciciel, który wykańcza kohortę swoimi przysmakami. Ale miasto jest przepełnione, gospody również. A niektórzy karczmarze odmawiają obsługiwanie cudzoziemców.

Perperna oblizwał się.

– W porównaniu z tym, czym musieliśmy się żywić po drodze, to nawet nie takie złe.

Po południu następnego dnia przyszedł po nich służący prefekta. Kleopatra zwlekała dość długo, potem naradziła się z Meleagrosiem, w końcu postanowiła zabrać go ze sobą. Należało się spodziewać, że w trakcie rozmowy padnie pytanie o Demetriosa i jego działalność. Meleagros miał w tych sprawach znacznie lepszą orientację niż ona.

Piłat siedział na podium, gdzie, jak przypuszczała, przyjmował skargi i prośby. Wokół podestu stały fotele. Oprócz niego w sali było jeszcze dwóch mężczyzn, ale Kleopatra nie zwracała na nich uwagi. Zauważyła, że Piłat prawie się nie zmienił. Wyglądał tylko na bardziej zmęczonego niż w czasie poprzednich spotkań w Aleksandrii dwa i cztery lata temu. Tak jak dawniej, tunika opinała potężną sylwetkę. Kleopatra powstrzymała się od uśmiechu. Przypomniała sobie jego silne, twarde mięśnie. Przyszła jej do głowy przewrotna myśl, by zapytać Klaudię Prokulę, czy od tego czasu nie obrosły tłuszczem. Piłat wyszedł jej naprzeciw, wyciągnął obie ręce i przytulił policzek do jej twarzy. Poczowała znajomy zapach i powróciły wspomnienia. Ucisnął ją szybko, odsunął od siebie i przyjrzał się jej twarzy.

– Mężczyźni się starzeją, a kobiety z wiekiem stają się coraz piękniejsze – powiedział mocnym, trochę ochryplym głosem, który ją kiedyś tak podniecał. Tym razem jednak nie wzbudził żadnych emocji. – Cieszę się, że ciebie ta zasada także dotyczy, pani. Chodź, siadaj. Kim jest twój towarzysz?

– To Meleagros, kupiec, przyjaciel przywódcy karawany, z którą tu przyjechałam.

– Czy ma mi coś ważnego do powiedzenia?

– Uważam, że możemy go potrzebować. Prefekt skinął głową i wskazał jeden z foteli.

– Usiądź, Meleagrosie. Ten człowiek, to Kolumella, mój główny doradca. A to Afer. Doskonale orientuje się we wszystkim, co dotyczy Ao Hidis. Bo właśnie o tym chciałaś rozmawiać, pani, prawda?

Kleopatra ociągała się z odpowiedzią. Pomimo serdecznego przywitania spotkało ją rozczarowanie. Zaskoczyła ją obecność tych dwóch ludzi. Nie wiedziała, co o tym myśleć ani jak się zachować. Przygotowała się na wstępną pogawędkę, trochę niezobowiązujących plotek o znajomych ludziach i miejscach, dla stworzenia odpowiedniego nastroju. Chciała się przypomnieć, w dyskretny sposób odświeżyć miłe wspomnienia tylko w obecności milczącego, prawie niewidzialnego Meleagrosa. Zaplanowała sobie, że później przedstawi swoją sytuację i prośbę o pomoc, a dopiero na końcu opowie o Ao Hidis, Demetriosie i Rufusie. Ale w obecności dwóch nieznajomych urzędników, przygotowanych na debatę polityczną, nie mogła zrealizować swego planu. Zaczęła gorączkowo zastanawiać się, jak ma teraz poprowadzić rozmowę, od której być może zależy jej przyszłość. Rozważała nawet możliwość zastosowania małego szantażu, w rodzaju: „Ciebie, prefekcie, interesuje przede wszystkim Ao Hidis, ja mam inne kłopoty na głowie. Pozwól, że najpierw przedstawię swoją prośbę, a później przejdziemy do sprawy, na której ci zależy?”. Zaraz jednak odrzuciła tę myśl. Nie mogła zacząć w taki sposób w obecności człowieka, który był świadkiem jej wczorajszego niefortunnego spotkania z Klaudią Prokulą, i drugiego słuchacza, tego jakiegoś Afera. Piłat zmarszczył brwi. Na jego czole pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka.

– Nie chcę marnować waszego czasu – zaczęła ostrożnie. – Mam dwie sprawy. Pierwsza dotyczy wydarzeń w Ao Hidis, druga w Egipcie.

Czoło Piłata natychmiast się wypogodziło.

– Zostawmy Egipt na później. Przejdźmy od razu do Ao Hidis.

– Czy na pewno znajdziesz później czas, żeby odpowiedzieć na moje pytania?

Spojrzała mu prosto w oczy i z zaskoczeniem stwierdziła, że ma przed sobą obcego człowieka. To już nie był ten sam Piłat, który po nominacji na prefekta zrobił sobie przerwę w podróży, żeby się zabawić, biesiadować, plotkować o błahostkach i zaznać rozkoszy w jej ramionach. Tamten w rozbawionym, roztańczonym, fałszywym i podstępным towarzystwie z Aleksandrii szukał odpoczynku od obowiązków w Cezarei i Jerozolimie. A także reprezentował

Tyberiusza oraz prawa i obowiązki cesarstwa. Teraz patrzyła na kogoś bardzo podobnego, kto miał tę samą sylwetkę, pachniał tak samo i mówił głosem tamtego. Ale dawniej odnajdowała w oczach prefekta ciepło, zrozumienie i skłonność do żartów. Teraz na dnie jego źrenic czaił się chłód, czujność i nieufność. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Starła się nie okazać zaskoczenia i rozczarowania.

– Znajdę czas – powiedział Piłat – może niezbyt dużo, ale powinno wystarczyć. No, mów wreszcie.

Kleopatra opanowała się, szybko uporządkowała myśli i przeszła do zasadniczego tematu:

– Zacznę od Adane. O tym, skąd musiałam uciekać i w jaki sposób się tam dostałam wraz z trzema towarzyszkami, opowiem kiedy indziej. W Adane stacjonowała rzymska załoga, trzydziestu sześciu żołnierzy. Dowodził nimi centurion o imieniu Waleriusz Rufus.

Późniejsze wydarzenia zrelacjonowała zgodnie z prawdą, ale bez wdawania się w szczegóły i sprawy osobiste. Mówiła o spotkaniu z Demetriosem i jego ludźmi, o zorganizowaniu karawany, o tym, jak dołączyli do niej Rufus i Mukhatar, o pierwszych dniach podróży, wreszcie o morderstwie i uwięzieniu. Przedstawiła też dalsze dramatyczne wydarzenia – napad na pustyni i uprowadzenie Demetriososa, Glauke i Raviego.

– Może się mylę – zakończyła – ale uważam, że porywacze pochodzili z Ao Hidis i ktoś im zlecił porwanie Demetriososa. Nie widzę innego sensownego wyjaśnienia. Domyślam się, że to sprawka Rufusa, a zatem musiał już wtedy być w Ao Hidis.

Zapadło milczenie. Z podwórza dał się słyszeć donośny rozkaz jakiegoś centuriona, a w korytarzu – oddalające się w pośpiechu kroki. Kleopatra przyjrzała się twarzom mężczyzn i próbowała odgadnąć ich myśli. Krzesła tworzyły niedomknięty krąg. Obok niej po prawej stronie siedział Meleagros, po lewej, niemalże naprzeciwko – Piłat, dalej Kolumella, a za nim Afer, ten, który miał wszystko wiedzieć o Ao Hidis. Imię, kolor skóry i rysy twarzy wskazywały, że pochodził z Numidii albo Mauretanii. Pochwyciła jego spojrzenie – szczere, uważne. Wyglądał na spokojnego. Jego twarz nie wyrażała nic, poza odrobiną współczucia. Kolumella zmarszczył nos i patrzył obojętnym wzrokiem gdzieś ponad głową Meleagrosa. Piłat oparł się o poręcz fotela i obserwował Kleopatę spod przymkniętych powiek. Kolumella przestał wreszcie wpatrywać się w sufit i zwrócił się do prefekta:

– Mogę?

Piłat skinął głową.

– Słuchaj no, jak się nazywasz... ano tak, Meleagrosie. Masz coś do dodania?

– Nie, panie. W każdym razie nic istotnego. Wszystko odbyło się tak, jak przedstawiła księżniczka.

Piłat poprawił się na krześle. Popatrzył na Kleopatę ze zdumieniem, później z ironią, a w końcu się roześmiał.

– Księżniczka! A to dobre! No tak. Człowiek może dobrze ocenić sytuację, dopiero wtedy, gdy pozna szczegóły i wzajemne zależności. Czy słyszałeś coś więcej o Ao Hidis, o Belhadadzie, planach i zamierzeniach związanych ze stolicą księcia pustyni? Bezpośrednio, przy okazji albo między wierszami?

– Nie, panie. – Meleagros pochylił się do przodu. – Jestem wędrownym kupcem, znam się tylko na zwierzętach i towarach. Jeżeli mój pan, Demetrios miał jakieś tajemnice, dzielił się nimi z kimś innym. Z Preksaspesem, a on już nie żyje.

– Właściwie dobry Part to martwy Part, ale w tym wypadku... – Piłat westchnął. Ciekawe, jakiego rodzaju sekrety omawiali? – Zerknął z ukosa na Kleopatę. Zdawało jej się, że to spojrzenie kryło w sobie pytanie.

– Jeżeli coś wiesz, to powiedz – zwróciła się do Meleagrosa.

– Dobrze. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale zanim wyruszyliśmy, Demetrios długo pertraktował z pewnym handlarzem o imieniu Satornilos. Najpierw w Rzymie, później w Bajach.

– Z tym Satornilosem? – zdziwił się Kolumella.

– Nazywają go też Kreteńczykiem albo Minosem – dodał Piłat. Jego głos brzmiał obojętnie.

– Pochodzi rzeczywiście z Krety. Przezwiseka „Minos” nigdy nie słyszałem.

Piłat i Kolumella wymienili spojrzenia.

– To było do przewidzenia – stwierdził prefekt.

– Czy wolno zapytać, co z tego wynika? – zainteresowała się Kleopatra.

– Później – Piłat uniósł rękę. – Najpierw porozmawiajmy o waszych towarzyszach. Czy ktoś z nich może jeszcze coś dodać? Może coś słyszeli?

– Przychodzi mi do głowy tylko Glauke. Ale nie mam pewności, nic mi nie mówiła. Dołączyła do nas ostatnia. Thais i Arsinoe zwierzały mi się ze wszystkich tajemnic, opowiadały o wszystkim, co je dziwiło albo niepokoiło. Glauke była raczej dość skryta.

– A mężczyźni?

– Leonidas wie tyle co ja albo i mniej – odpowiedział Meleagros – czyli nic. Nubo nie jest

głupi, czasami wesoły, czasami posepny. Trudno go rozgryźć. Mieszkał w Adane od dawna i musiał udawać głupka, żeby przeżyć. Nie wydaje mi się, żeby wiedział coś więcej.

– A Perperna? Co za imię! – Kolumella skrzywił się.

– Niemożliwe – stwierdziła Kleopatra.

– Jestem tego samego zdania. – Meleagros skinął głową. – Spędził pięćdziesiąt lat w niewoli. Ma przebliski inteligencji, ale poza tym... Albo żyje wspomnieniami, albo przebywa myślami gdzieś daleko stąd.

– Gdzie są ci dwaj? Nubo i Perperna? – spytał Piłat.

– Wyszli. – Meleagros rozłożył ręce. – Mówili, że niedaleko i nie na długo. Powiedzieli, że chcą zaczerpnąć powietrza poza murami Antonii.

– Jakby na zewnątrz powietrze było lepsze – mruknął Kolumella.

– Odszukaj ich – rozkazał Piłat. – Jeżeli chcesz, weź ze sobą Leonidasa. Znajdźcie ich i przyprowadźcie jak najszybciej. Jeżeli nas tu nie zastaniecie, będziemy w moich komnatach.

Meleagros wstał i przyłożył rękę do piersi. Kleopatra miała wrażenie, że przyjął zakończenie audiencji z ulgą. „Zbyt wielu wysoko postawionych Rzymian jak na jednego skromnego kupca” – pomyślała. Kiedy wyszli z sali, Piłat zwrócił się do Afera:

– Co z tego wynika? Mauretanin wruszył ramionami.

– Właściwie nic. Mam zamęt w głowie, nie odnajduję w tej historii żadnego sensu. Wygląda na to...

– Poczekaj – Kolumella obrzucił Afera szybkim spojrzeniem. Potem przeniósł wzrok na Kleopatę, wreszcie zwrócił się do prefekta:

– Wstrzymajmy się z wyciąganiem wniosków. Najpierw porozmawiajmy z pozostałymi dwoma. Później przyjdzie czas na przypuszczenia, podejrzenia i nadzieje.

– Jakie nadzieje, panie? – zdumiał się Afer. – Chyba raczej obawy.

Kleopatra przymknęła oczy. Afer miał głęboki, lekko ochrypły głos. Wyobraziła sobie, że silna dłoń tego mężczyzny wślizguje się jej pod ubranie. „Co za głupstwa przychodzą mi do głowy – próbowała przywołać się do porządku. – Zbyt długo nie miałam kochanka. Co mnie obchodzi jego głos albo jego ręce. Muszę zachować trzeźwy umysł”.

Siłą woli zmusiła się do skupienia uwagi na tym, co mówili pozostali. I całe szczęście, bo właśnie do niej Piłat skierował następne słowa:

– Może chcesz omówić swoją sprawę, zanim wrócą tamci... – uśmiechnął się i dodał –

księżniczko. Oczywiście pomijając szczegóły, których tu nie wypada wspominać.

– Tak, panie. Kolumella wstał.

– Chyba nie jestem już potrzebny. Mam parę spraw do załatwienia.

– Idź – prefekt skinął głową. – Czy to coś ważnego?

– Ważniejsze i mniej ważne drobnostki. – Nagle się roześmiał. – Jedna rzecz cię ucieszy, panie. Astianas, twój matematyk, wyliczył, że wkrótce nastąpi zaćmienie słońca. Około południa, dzień przed świętem Paschy. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie dla Żydów, ale powinniśmy odpowiednio wcześniej uświadomić naszych żołnierzy, żeby nie pouciekali w panice z miasta. Inne sprawy nie mają aż takiego znaczenia. W każdym razie będę obok z pisarzami. Zawołaj mnie, kiedy ci dwaj przyjdą.

Piłat skinął głową.

– Mów, Kleopatro. Afer chrząknął.

– Wybacz, panie, ale i ja chyba powinienem wyjść. Kleopatra spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Zostań. Przemilczymy wszystko, co mogłoby urazić twoje uszy. Chodzi o interesy, kradzieże, oszustwa, intrygi, Piłacie.

– Czy to ma być sprawozdanie z jednego dnia życia politycznego Aleksandrii? – Piłat wznosił obie ręce do góry.

– Oszczędzę ci takich relacji. Nie w tym rzecz. Wszyscy się starzejemy.

– Ty też? – Piłat popatrzył na nią z uśmiechem. – Ciebie czas oszczędził. Mów dalej, najpiękniejszy kwiecie z ogrodów Kanopos.

– Dziękuję za dobre słowo, to balsam dla moich uszu. Ale starość i śmierć czekają każdego, tak już bogowie urządzili nasz świat. Dlatego chcę zabezpieczyć się na przyszłość. Mój stary przyjaciel postanowił wyjechać z Egiptu, żeby spędzić ostatnie lata życia w Rzymie. Ze względu na długoletnią znajomość sprzedał mi kawałek ziemi po wyjątkowo korzystnej cenie.

– Jeżeli trafia się taka okazja, trzeba z niej korzystać. Gdzie leży twoja posiadłość?

– Nie znasz tych okolic, ale może o nich słyszałeś. Na wschodnim brzegu Nilu, w żyznej dolinie, na południe od Koptos, na północ od Teb.

Piłat zagwizdał cichutko.

– Daleko od Aleksandrii, prawda?

– Pięćset mil rzeką. Na tyle daleko, że można na zawsze zapomnieć o Aleksandrii

i wszystkim, co wiąże się z tym miastem, ale na tyle blisko, że odległość nie przeszkadza odwiedzić ani zaprosić przyjaciół. Kilku drobnych rolników dzierżawi po kawałku pola. Nie daje to jakichś wielkich dochodów, ale głód, jeśli kiedyś zapuka do drzwi, nie zdoła ich otworzyć. – Ukradkiem spojrzała na Afera i zauważyła, że się uśmiechnął.

– Ładnie powiedziane. Jak wyglądają te drzwi?

– Zaraz do tego dojdę. Gdy tylko kupiłam grunt, poprosiłam paru zorientowanych w okolicy ludzi, żeby popytali o domy, najlepiej w mieście i raczej w Koptos niż w Tebach. Pisałam listy, otrzymywałam oferty, a później wyruszyłam w górę rzeki.

– Sama?

– Myślisz, że jestem szalona? Zabrałam Thais, Arsinoe, dwóch silnych, zaufanych niewolników i odpowiednią ilość złota.

Afer kiwnął głową, jakby znał już zakończenie tej historii, a Piłat powiedział:

– Domyślam się, jak to się skończyło. Ale mów dalej.

– Po drodze zatrzymałam się na kilka dni w Memfis. Tam usłyszałam o pewnej młodej, inteligentnej kobiecie, która szukała zajęcia. Miała na imię Glauke i popadła w biedę po śmierci kogoś bliskiego oraz wskutek różnych niesprzyjających okoliczności. Ponieważ Thais i Arsinoe mają zupełnie inne zainteresowania i nie zamierzały pozostać dłużej w Aleksandrii, już wcześniej szukałam kogoś do zarządzania majątkiem. Dlatego zabrałam Glauke ze sobą, żeby sprawdzić, czy się nadaje. Myślę, że byłaby doskonałą pracownicą i towarzyszką, ale... No właśnie. Przybyłyśmy do Koptos i obejrzałyśmy parę domów. Jeden spodobał mi się szczególnie. Znajdował się na końcu miasta. Otaczał go piękny, duży ogród z mnóstwem zieleni i własnym źródłem. Zaoferowano mi go wraz z całym wyposażeniem.

– Niech no zgadnę – wtrącił Piłat: – natychmiast podjęłaś decyzję i od razu się wprowadziłaś. A kupiec domyślił się, że masz dużo pieniędzy, jeszcze zanim zapłaciłaś.

– Mniej więcej. – Przesunęła ręką po twarzy i popatrzyła na Afera spod rzęs. Słuchał uważnie. W jego oczach wyczytała zainteresowanie nie tylko treścią opowieści.

– Zdecydowałam, że kupię ten dom, i zapytałam, jakie formalności muszę załatwić. Z kim mam podpisać umowę, kiedy muszę zapłacić podatek i tak dalej. Ten człowiek powiedział, że zna ludzi w radzie miasta, którzy zajmują się takimi sprawami, i sam wszystko załatwi. Zaproponował, że wieczorem przyprowadzi do mnie godnego zaufania urzędnika. Zapytał, czy ma wziąć ze sobą ludzi do dźwigania worków ze srebrem, czy ureguluję należność przez bank

w Tebach. Odpowiedziałam, że zapłacę złotem.

– Kleopatro! – Ton, jakim prefekt wymówił jej imię, zawierał najwyżej jedną trzecią współczucia i dwie trzecie nagany.

– Później wielokrotnie przeklinałam siebie za głupotę. Ale narzekanie nic nie zmieni. Kupiec wrócił wieczorem z przedstawicielem administracji okręgowej.

– Nie rady miejskiej?

– Nie. Dom leży już poza granicami miasta.

– I co dalej?

– Dwóch czy trzech ludzi czekało na zewnątrz. Jeden z moich niewolników zaczął coś podejrzewać i wyszedł z nimi porozmawiać. My w tym czasie szykowaliśmy się do podpisania umowy. Trzy egzemplarze, spisane na papirusie, leżały już na stole. Złoto także. Na dworze bandyci zaatakowali mojego sługę nożami. Upadł na ziemię, zalał się krwią i coś krzyknął, ale nie mogłam zrozumieć, co. Drugi przybiegł, kiedy napastnicy wpadli do domu, wyciągnęli sztylety i rzucili się na nas. Wiesz, że nie jestem całkiem bezbronna.

– Dzika kotka – szepnął Piłat z uznaniem. Wiedziała, że przypomina sobie różne wymyślne zabawy w Aleksandrii, i odwzajemniła uśmiech. Ale zaraz spoważniała i wróciła do tematu.

– Ci inni, z zewnątrz, wbiegli ze sztyletami do środka. Wywiązała się walka. Wśród krzyków, szamotaniny i przewracania mebli udało mi się zranić jednego ze złoczyńców. Drugiego, rzekomego pisarza, drasnął mój niewolnik. Po chwili sam zginął od miecza. Jakoś udało nam się z Arsinoe uciec do drugiego pokoju. Zastawiłyśmy drzwi skrzynią. Potem dostałyśmy się do następnego pomieszczenia, gdzie zastałyśmy Glauke i Thais. Chciałyśmy uciekać do miasta. Pobiegłyśmy do stajni. Po drodze chwyciłam jeszcze torbę z paroma monetami i aktem zakupu ziemi. Dotarłyśmy do zagrody. Nagle otoczyli nas jeźdźcy z pochodniami. Zagrodzili nam drogę do miasta. Dosłownie cudem udało nam się wyrwać i uciec na pustynię. W końcu wyjechałyśmy na trakt prowadzący z Koptos do Berenike. Bandyci przez cały czas deptali nam po piętach.

– Cztery kobiety na koniach? Przez pustynię do Berenike? Coś takiego! Gdybym usłyszał tę opowieść od kogoś innego, nie uwierzyłbym. Ale tobie – tak. A z Berenike do Adane? Statkiem?

– Jeszcze nie. Umknęłyśmy prześladowcom, ale bałyśmy się, że nas znajdą.

– Adane, arabska pustynia, a teraz Jerozolima. Niesamowita historia. Znasz nazwiska tych dwóch?

Kleopatra kiwnęła głową.

– Czego się po mnie spodziewasz?

– Chciałabym cię prosić o napisanie listu w mojej sprawie do kogoś w Aleksandrii i o pożyczanie trochę grosza na podróż.

– Z pieniędzmi nie ma problemu – Piłat przygryzł dolną wargę – ale pismo... Do kogo? Najlepiej do prefekta, prawda?

– Wybacz, panie – wtrącił Afer – i ty, księżniczko. Ale to chyba nie wszystko?

– Jesteś mądrym człowiekiem – pochwaliła Kleopatra.

– Co takiego? – Piłat przyjrzał się kolejno obydwójgu.

– Kupiec nazywa się Emiliusz Priskus. Kwintus Emiliusz Priskus. Urzędnik prefekta Egiptu. Brat czy kuzyn jego żony. Popęłnił jakieś defraudacje w Aleksandrii i prefekt go wypędził.

– Trzeba to sprawdzić – Piłat pogładził palcem czubek własnego nosa. – To czyni całą sprawę ciekawszą, ale i znacznie trudniejszą.

– Legion z Teb? – spytał Afer.

– Należałoby się dowiedzieć, kto wydaje rozkazy. Pogadam z Kolumellą. Ale... ktoś powiedział, że nawet najędźniejszy rzymski łotr może dorobić się na prowincji. I miał rację. – Klasnął w rękę. – Mam ochotę się czegoś napić. A wy? Mogę zaproponować wino, sok lub wodę.

Pili rozcieńczone wino i rozmawiali, kiedy wszedł Meleagros. Przyprowadził Perpernę i Nubo. Obaj pokłonili się przed prefektem, ale usiedli dopiero, gdy ów zaproponował im to po raz drugi. Piłat jeszcze raz wezwał niewolnika. Poleciał mu przyprowadzić Kolumellę i zwrócił się do Meleagrosa:

– Myślę, że dziś już dość dla mnie zrobiłeś. Możesz odejść. – Następnie wskazał na Nubo. – Zaczniemy od ciebie. Słyszałem, że jesteś synem księcia.

Murzyn rozczapierzył palce obu rąk i uniósł je do góry.

– Splodził mnie, ale się go wyrzekłem. Teraz jestem niczyj, ale to bez znaczenia.

– Ao Hidis. – Piłat wyglądał na znudzonego. – Czy słyszałeś, myślałeś lub czytałeś o czymś, co ma związek z tym miastem lub z księciem Belhadadem?

– Ostatnio wiele rozmawialiśmy o tym miejscu. – Nubo potarł policzek. – Od kiedy porwano Demetriosą, Glaukę i Ravię, nie myślimy o niczym innym. Zastanawiamy się, snujemy przypuszczenia, zgadujemy. Wcześniej słyszałem tę nazwę raz czy dwa w Adane.

Piłat cały czas przyglądał się włosom Murzyna – czarnym, kręconym z czerwonymi

końcami.

– Co się dzieje z twoją głową? Czy to jakaś choroba? I czego dowiedziałeś się w Adane?

– Jestem zupełnie zdrowy, panie. Farbowałem włosy, ale dawno tego nie robiłem ani też ich nie strzygłem. To odrosty. Jeżeli chodzi o tę drugą sprawę, to w Adane mówiono, że jest takie miejsce na pustyni, gdzie mieszka pewien książę, wprost ziejący wrogością wobec Rzymu. I że Mukhatar chce, powinien albo musi tam pojechać, ale nie dowiedziałem się, z jakiego powodu.

Piłat zadał jeszcze parę pytań i bardzo szybko zrozumiał, że Nubo nic więcej nie wie. Perperna siedział cały czas zatopiony we własnych myślach, nieobecny duchem. Czasami uśmiechał się do siebie, chichotał bez powodu, potem znów gapił się w sufit albo na swój kikut.

– A ty, starcze? – zwrócił się do niego prefekt. – Możesz coś dodać?

Perperna znowu się roześmiał.

– Panie, niektórzy widzą drobnostki, a nawet im się nie śni, że może z nich wyniknąć coś ważnego. Inni orientują się w jakiejś wielkiej sprawie i nie mają pojęcia, że składają się na nią nieistotne szczegóły.

– Trafne spostrzeżenie. – Piłat stłumił ziewnięcie. – A ty, co dostrzegłeś?

Kleopatra cicho westchnęła. Uważała, że staruszek nie może im w niczym pomóc. Wprawdzie długie lata niewoli nie odebrały mu rozumu, ale jednak poważnie osłabiły jego władze umysłowe. Jeżeli w ogóle miał jakieś wiadomości, to były one do niczego nieprzydatne.

– Znam wiele drobnych spraw i kilka ważnych, które składają się z małych. Mógłbym ci na przykład opowiedzieć o wyprawie Aeliusza Gallusa, o tym, jak Nabatejczycy kochają Rzym i co myślą arabscy książęta, kupcy i niewolnicy na temat cesarstwa. Piłat westchnął ciężko.

– Interesuje mnie tylko Ao Hidis. Czy masz jakieś istotne informacje o tym mieście?

Perperna wyciągnął swój kikut w kierunku niewielkich drzwiczek w przedniej części pomieszczenia.

– Co mucha na ścianie może wiedzieć o wielkiej polityce?

– Prawda – Piłat zerknął na Kolumellę. – Chyba możemy sobie oszczędzić dalszych pytań.

– Czy pozwolisz mi z nim chwilę porozmawiać, panie? – Afer słuchał dotychczas bez większego zainteresowania, nawet zamknął oczy. Teraz je otworzył i pochylił się do przodu.

Piłat wzruszył ramionami i skinął głową.

– Czcigodny starcze, czy przez całe długie życie przebywałeś tylko na wschodzie? W Adane i Kraju Kadzidla?

– Los rzucał mnie wszędzie, gdzie piasek, baty i pragnienie.

Afer uśmiechnął się, wstał, nalał wina, przyklęknął na prawe kolano i podał kubek Perpernie.

– Niech ten trunek przepłucze twe gardło i odświeży twoją pamięć, czcigodny.

Kleopatra z trudem powstrzymała się od śmiechu. Nie bardzo rozumiała, co miało znaczyć to przedstawienie. Piłata i Kolumellę także zadziwiła ta uroczysta mowa. Popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Uznali, że ta marna komedia nie ma żadnego sensu. Perperna wziął kielich, przyłożył do czoła, potem do ust, wypił i podziękował.

– Poniewierano tobą i lekceważono cię przez całe życie, prawda? – spytał Afer. – Najpierw w służbie Augusta, potem w niewoli. Nie wiem, czy w takich okolicznościach prawo przewiduje jakieś odszkodowanie.

– Istnieją pewne możliwości – odezwał się Piłat i odchrząknął – dokładnie nie wiem, jakie, ale na pewno da się coś załatwić.

– Czy mógłbyś się tym zająć, panie? – poprosił Afer. Kleopatra była pewna, że mówi poważnie. W każdym razie nawet nie mrugnął okiem.

– Dobrze. – Oczy Piłata zwięzły się w szparki. – O co ci chodzi?

– O trochę cierpliwości i wyrozumiałość, panie – odrzekł Afer i ponownie zwrócił się do Perperny, który patrzył na niego w napięciu i lekko się uśmiechał.

– Chyba cieszysz się, że znów jesteś wolnym człowiekiem?

– Czymże jest wolność? – Perperna skrzywił się. – Dla mnie oznacza tylko tyle, że na stare lata zostanę żebrakiem. Cóż to za pociecha?

– Lepszy chleb niż bicz. Kto cię uwolnił? Czy nie Demetrios? – zapytał Afer.

– Postawił na wyścigach lektyk pieniądze na Rzymian, a wygrał mnie – zachichotał starzec.
– Wielki mi zysk!

Kleopatra zaczęła pojmować, że Afer obrał właściwą drogę, chociaż nie domyślała się, dokąd ma ona zaprowadzić.

– Zaproponował ci pieniądze i pracę, prawda?

– Jedno i drugie przepadło.

– To, co zrabowano, można odzyskać – przerwała i popatrzyła na Afera. W jego oczach wyczytała przyzwolenie. – Mnie też wiele skradziono. Dom, ziemię w Egipcie i mnóstwo pieniędzy. Zamierzam dochodzić sprawiedliwości, a prefekt obiecał się za mną wstawić. Pomóż nam odnaleźć Demetriosą i rozwiązać zagadkę Ao Hidis. W zamian oferuję ci mieszkanie na

stare lata, jedzenie, ubranie i lekką pracę w Egipcie.

Afer nieznacznie skinął głową. Piłat popatrzył na nią rozszerzonymi oczami, a Kolumella zasłonił ręką usta, jakby chciał ukryć uśmiech.

– Może jeszcze parę groszy na wino, księżniczko? – targował się Perperna.

– Dostaniesz.

– Dobrze. Dziadek Mukhatara był bratem Belhadada. Był mu winien wdzięczność oraz pieniądze. Przed śmiercią zobowiązał syna do jak najszybszego spłacenia długu. Ojciec Mukhatara wyjechał kiedyś do Ao Hidis, żeby wypełnić zobowiązanie, i zabrał mnie ze sobą.

Zapadło długie milczenie. Afer pierwszy otrząsnął się z zamyślenia i zapytał:

– Orientujesz się w mieście?

– Pamiętam, jak wyglądało przed laty, zanim wzniesiono mur obronny.

– A może miałbyś ochotę tam pojechać i zobaczyć, jak wielka twierdza obraca się w gruzy?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W Ao Hidis

Niektóre miejscowości budzą zaciekawienie przez to, że leżą w odległych zakątkach świata. Podobnie niektórzy ludzie intrygują skrytym sposobem bycia, a pewne dzieła sztuki fascynują, ponieważ są trudno dostępne. Czyż nie powinno się cenić tego, co niepowtarzalne?

ANONIMOWA RELACJA Z PODRÓŻY

Demetrios usiadł na macie. Otworzyły się drzwi i do środka wszedł strażnik. Za nim stało dwóch uzbrojonych ludzi. Ich cienie tańczyły na ścianach w świetle pochodni. Demetrios wstał i przetarł oczy. Miał za sobą okropną noc, nie wiedział, jak długo spał. Co chwila budziły go koszmary, krzyki na dziedzińcu i własne myśli. Próbował znaleźć jakieś rozwiązanie, ze zmęczenia zapadał w drzemkę, budził się, myślał gorączkowo, zasypiał ponownie i przerażony własną bezsilnością, zrywał się z posłania. Przez całą noc nie udało mu się dojść do żadnych konkretnych wniosków ani opracować taktyki postępowania. Kiedy dwóch wartowników prowadziło go po schodach, spróbował jeszcze raz zebrać myśli. Nie miał pojęcia, co go czeka, ale wiedział, że niezależnie od sytuacji, musi zachować przytomność umysłu. Chyba że przeznaczono mu śmierć. „Wtedy inteligencja na nic się nie przyda – pomyślał z gorzką ironią. – Wystarczy sama obecność”.

Pytanie, jaką rolę w całej grze pełni Rufus, nie dawało mu spokoju. Czy zdradził Sejana i zbiegł do Belhadada?

Coś takiego nie mieściło się w głowie, ale nie potrafił *znaleźć* innego logicznego wytłumaczenia. Centurion spieszył się, żeby jak najszybciej dotrzeć do Ao Hidis i wkupić się w łaski Belhadada. A żołnierze, których opuścił? Zawsze zadbani, gładko wygoleni, nagle zapuścili brody i zatrudnili się jako poganiacze i stajenni. Po co? Czy współdziałali z kimś w Ao Hidis przeciwko Belhadadowi, czy też byli jego sojusznikami? Setki pytań przemykało przez głowę Demetriosa i na żadne z nich nie potrafił odpowiedzieć. Na przykład, dlaczego porwano jego, Raviego i Glauke? To, że stał za tym Rufus, wydawało się oczywiste. Nie zdążyłby dotrzeć

do Ao Hidis, porozumieć się z kimkolwiek i stamtąd wysłać porywaczy. Musiał spotkać Didhamę po drodze i zlecić mu uprowadzenie. Nie wiadomo tylko, czy wykorzystał przypadkowe spotkanie, czy już wcześniej umówił się z hersztem rozbójników na pustyni. Ale czego od nich chcieli?

Przypomniał sobie, że otrzymał klucz do rozwiązania tej łamigłówki, i zaczął dopasowywać go do całości obrazu. Usiłował umieścić w całej tej historii wzmiankę o Efialtiesie, tak jak dziecko próbuje włożyć brakujący kawałek w odpowiednie miejsce układanki. Imię zdrajcy z Trachis stało się symbolem podłości. Efialties ścieżkami, znanymi tylko pasterzom i zwierzętom, poprowadził wojska Kserksesa przez góry na tyły spartańskich wojsk. Okrążeni przez wrogów bohaterowie bronili się do ostatka, posłuszni nakazom prawa i honoru. Jak miało wyglądać przeciwieństwo Efialtiesa? Czyżby to tajemnicze hasło oznaczało, że Rufus udaje zdrajcę, żeby otworzyć od środka bramy Ao Hidis, kiedy nadciągną Rzymianie? Postumus i inni nie udali się do Cezarei, tylko zapuścili brody i czekali. Doskonały plan – pomyślał Demetrios z uznaniem. Trzy tuziny świetnie wyszkolonych żołnierzy w obozie przeciwnika. Ale cóż znaczy trzydziestu sześciu ludzi, nawet jeżeli potrafią bezszelestnie zabijać gołymi rękami, wobec dziesięciu tysięcy?

Demetrios był pewien, że wszystkie te działania stanowią etap przygotowawczy do wielkiej kampanii. Ale jak ona ma wyglądać? Czy kilka legionów zaatakuje Ao Hidis? Kiedy i skąd przybędą? Niewiele wiedział, zbyt dużo czasu spędził w Egipcie, a później w Arabii. Nie wykluczał, że w czasie jego nieobecności Tyberiusz podjął działania na większą skalę. Być może wysłał dwa czy trzy dodatkowe legiony do Syrii albo Palestyny. Ale takiego przedsięwzięcia nie dałoby się zachować w tajemnicy. Pewnie szeptano o tym w porcie w Adane, zanim jeszcze pierwszy żołnierz wysiadł ze statku w Cezarei czy Antiochii. On sam nie wiedział, co się szykuje. Pewien był tylko, że Rufus prowadzi jakąś grę, w której jemu przeznaczył rolę pionka na szachownicy. Wcześniej zamordował Preksaspesa, głuchoniemą dziewczynę i Mikinesa. Nieważne, czy własnoręcznie, czy tylko wydawał rozkazy. Miał także na sumieniu obrabowanie karawany, wtrącenie do lochu towarzyszy podróży, w końcu napad i porwanie. Niezależnie od tego, z jakich pobudek popełnił wszystkie te przestępstwa, Demetrios nie mógł traktować go inaczej niż jako wroga i zdrajcę.

Zdziwił się, że całą noc stracił na bezowocnych rozmyślaniach, a kiedy wchodził po schodach, wszystko nagle samo ułożyło się w logiczną całość.

Wbrew oczekiwaniom nie zaprowadzono go do komnaty Belhadada, tylko na dziedziniec. Od razu spostrzegł Rufusa, Hiqara i jeszcze trzeciego mężczyznę z siwą brodą i dwoma zakrzywionymi mieczami u pasa. Rufus obrzucił Demetriosa ponurym spojrzeniem, szybko zakończył rozmowę z tamtymi i zwrócił się do niego:

– Mam nadzieję, że spędziłeś owocną noc. Ciekaw jestem efektów twoich przemyśleń.

Demetrios wolał powstrzymać się od odpowiedzi i poczekać na dalszy rozwój wypadków. Wciągnął w płuca rześkie poranne powietrze i rozejrzał się dookoła. Obok niego stali nadal ci sami dwaj strażnicy, z którymi przyszedł. Ich dowódca gdzieś zniknął. Po podwórzu krzątała się służba. Jedni dźwigali tace z jedzeniem, inni wynosili odpadki. Z jakiegoś okna rozległ się kobiecy głos i dźwięki instrumentu. Kobieta zaczynała pieśń, przerywała i próbowała od nowa. Słońce stało dość nisko, upał jeszcze nie dokuczał. Demetrios rozkoszował się miłym chłodem poranka. Czerpał ustami świeże powietrze, jak spragniony wodę ze źródła na pustyni. Hiqar obrzucił go uważnym, ale nie wrogim spojrzeniem. Później zwrócił się do siwobrodego:

– Szlachetny Harunie, oto kupiec Demetrios. Miejmy nadzieję, że przynosi nam wieści o planach i działaniach rzymskiego wywiadu.

Harun schwycił oburącz rękojeści skrzyżowanych mieczy.

– Niektóre informacje trzeba wykroić jak wrzód z chorego ciała – powiedział ponurym, chrapliwym głosem – inne można uzyskać po dobroci. A z jakimi ty przybywasz?

– Umysł wędrowca najlepiej pracuje w ruchu i na wolności.

Rufus skrzywił się – Z twoich słów wynika, że jeszcze za krótko przebywałeś w zamknięciu.

Dwóch uzbrojonych ludzi przyprowadziło Glauke i Raviego. Wyglądali na mniej zmęczonych, ale równie przerażonych i zrozpaczonych jak poprzedniego dnia. Hiqar klasnął w dłoń.

– Koniec gadania! Dostojny Belhadad w swej wielkiej szlachetności i mądrości ogłosił swoje ostateczne decyzje. A ty, Rzymianinie, nie waż się sprzeciwiać.

Rufus wzruszył ramionami, a Hiqar mówił dalej:

– Harun, pan włóczni i mieczy, nie ufa zdrajcom. Nie wierzy też w ani jedno słowo wypowiedziane pod przymusem.

– Gdybyśmy chcieli wyrzec się przemocy, nie potrzebowalibyśmy książąt, dowódców ani kapłanów – mruknął Rufus.

Glauke popatrzyła na Raviego, oparła się o jego ramię i wybuchnęła płaczem.

– Do czego nas chcecie zmusić i w jaki sposób?

Ravi wyglądał na równie przerażonego. Nic nie mówił, tylko gładził dziewczynę po włosach.

– Środki przymusu stosuje się w nagłych sytuacjach – wyjaśnił Harun. Przez cały czas nie zdejmował rąk z rękojeści mieczy. – Ale my nie musimy się spieszyć, wróg nie stoi u bram. Dlatego księżę na razie zrezygnował z wymuszania zeznań. Możecie poruszać się swobodnie po Ao Hidis. Ale pod obserwacją. Hiqar i jego ludzie odpowiadają za was. Ściśle mówiąc, ręką za was głową. Nie wolno wam opuszczać miasta i doliny. Z waszego zachowania w nieprzewidzianych sytuacjach dowiemy się więcej niż z zeznań złożonych pod presją. Zawsze przecież możemy zacząć powoli ćwiartować jedno z was i czekać, aż ktoś poruszony tym widokiem zacznie mówić.

Niecałe sto kroków na zachód od granicy miasta, u stóp skalnej ściany, stało parę chat i namiotów, a obok zagroda dla koni. Stacjonowała tam przyboczna gwardia Belhadada, a właściwie ta jej część, która akurat nie pełniła służby w pałacu. Hiqar zaprowadził więźniów do obozu.

– Moi ludzie będą was strzec i dbać o zaspokojenie waszych potrzeb. Otrzymacie pożywienie, okrycie i wszystko, czego potrzebujecie. Ale najpierw... – odwrócił głowę w kierunku chaty, znad której unosił się dym.

– Co to ma znaczyć? – przeraził się Demetrios.

– Chcesz nam wypalić piętno?

– Szkoda skóry i ognia – oficer skrzywił się. – Jeden z naszych kowali nieco ograniczy waszą swobodę.

Kowal musiał wcześniej otrzymać odpowiednie rozkazy, albo też codziennie wykonywał podobne zlecenia, bo wszystko było już przygotowane. Założył całej trójce na nogi brązowe pierścienie. Łączył je łańcuch na tyle długi, że mogli stawiać niewielkie kroki, a nawet wchodzić po schodach, ale na tyle krótki, żeby uniemożliwić ucieczkę. Kiedy skończył, Hiqar przekazał Demetriosowi, Raviemu i Glauke swojemu zastępcy.

– Ręczysz za nich swoją i moją głową – oświadczył. – Traktuj ich tak, żeby nie zażądano twojej głowy, jeżeli okażą się przyjaciółmi księcia. I tak, żeby nie płakali za tobą, jeżeli zostaną skazani na śmierć jako wrogowie.

– Wedle rozkazu, panie.

Oficer poczekał, aż dowódca odejdzie, a potem zwrócił się do więźniów:

– Nazywam się Baradija. Mam nadzieję, że nie jesteście wrogami. To utrudniłoby mi zadanie. Jedliście już?

Demetrios potrząsnął głową.

– Niedługo nasze żołądki zaczną burczeć głośniejsze, niż dzwonią nasze kajdany.

– Zaradzimy temu – Baradija uśmiechnął się przelotnie i krzyknął coś do jednego ze swoich ludzi. Po chwili przyniesiono chleb, platy suszonego mięsa i kubki z ziołowym naparem. Więźniowie usiedli na ziemi i zaczęli jeść. Demetrios dyskretnie przyjrzał się oficerowi. Młodszy od Hiqara, poruszał się energicznie, lecz z wdziękiem. Miał miłą twarz, krótką, kręconą brodę i usta skłonne do śmiechu. Ciepłe, bystre oczy wskazywały na pogodne usposobienie. Ale przyjemna powierzchowność nie musiała oznaczać łagodności. Hiqar wyznaczył go swoim zastępcą i strażnikiem jeńców. Baradija odpowiadał za nich, a zbyt pobłażliwość mogła kosztować go życie. „Wysokie stanowisko i odpowiedzialne zadania w tak młodym wieku oznaczają, że zdążył się już wykazać odwagą i stanowczością” – pomyślał Demetrios. Poza tym zastępca dowódcy gwardii cieszył się wielkim autorytetem wśród podwładnych, co również świadczyło o sile charakteru.

Jedli w milczeniu. W pewnym momencie Raviemu odbiło się, a Glauke wybuchnęła śmiechem.

– Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedykolwiek skosztuję pożywienia. A o tym, żebym mogła się roześmiać, nawet nie marzyłam. Co ci zrobili, Demetriosie?

– Zamknęli mnie do lochu, żeby odświeżyć moją pamięć.

– I co, wymyśliłeś coś?

– Nic specjalnego. Wiem niewiele więcej niż wy, a na tematy, które ich interesują, w ogóle nic nie mogę powiedzieć.

– Musieli przecież mieć jakiś powód, żeby cię od nas oddzielić.

– Co z wami robili? Mówili wam coś?

– Nic – odpowiedział Ravi.

– Po prostu o nas zapomnieli – dodała Glauke. – Kiedy cię wyprowadzili, zaryglowali drzwi i dopiero dzisiaj wypuścili nas na dziedziniec.

– Obawiam się, że to przeze mnie, ale nie mogę nic na to poradzić.

Demetrios popatrzył na łańcuch skuwający nogi. Nie ważył zbyt wiele, obręcze nie uwierały, a jednak coraz bardziej mu ciążył. Ravi zmrużył oczy.

– Co masz na myśli?

– Ze chodziło im tylko o mnie, a was zgarnęli przy okazji.

– Do czego możesz im być potrzebny?

– W Rzymie istnieje wiele ośrodków władzy, a każda dysponuje własną siatką wywiadowczą: Sejan, cesarz i jego wojsko, kupcy zajmujący się handlem zagranicznym – wszyscy mają swoich szpicli.

– Jasne – Glauke otworzyła szeroko oczy. – Arabowie schwytali sobie wędrownego kupca, żeby opowiedział im o poczynaniach władz cesarstwa? Poczekaj – zawahała się przez chwilę i dokończyła: – wpadło mi w ucho parę urywków twoich rozmów z Kleopatrami i Meleagrosami. Rzym zamierza zorganizować wyprawę przeciwko Arochodis, prawda? Ponieważ Belhadad razem z Partami i Nabatejczykami, albo też z jednymi i drugimi... – urwała.

– Mniej więcej. Na pewno ci tutaj są świadomi zagrożenia. Może Rufus, człowiek Sejana, coś im przekazał. Teraz oczekują dalszych informacji ode mnie. A ja nic nie wiem.

– W takim razie my zostaliśmy porwani zupełnie bez sensu. Hinduski mędrzec określiłby nasze położenie w taki sposób: „wkręceni w koła pojazdu, zwanego życiem”.

– Albo prościej: „wbrew woli uwikłani w politykę”

– roześmiał się Demetrios. – Ale to nie zmienia naszej sytuacji. Obawiam się, że pozostaje nam tylko czekać i nie tracić nadziei.

Zarówno w czasie posiłku, jak i później, podczas rozmowy, słyszeli od czasu do czasu jakieś dziwne odgłosy, jakby jęki czy westchnienia. Demetrios wstał, żeby rozprostować nogi i zorientować się, co się dzieje. Natychmiast, jak spod ziemi, wyrósł obok niego Baradija.

– Co zamierzasz zrobić?

– Sprawdzić, skąd pochodzą te dźwięki.

– To może się okazać pouczające dla ciebie i pozostałych. – Twarz oficera przybrała jakiś dziwny wyraz.

– Chodźcie.

Glauke i Ravi wstali. Baradija poprowadził ich wąską uliczką pomiędzy barakami i jeszcze dalej w lewo. Znaleźli się na piaszczystym placu. Stało tam kilka pali. Prawdopodobnie służyły jako narzędzie tortur, ale w tej chwili były puste. Pomiędzy nimi wystawały z piasku głowy dwóch mężczyzn. To właśnie jeden z nich, o napuchniętych wargach i udręczonym spojrzeniu, jęczał i stękał.

– Wczoraj zachowywali się głośniejsz – powiedział Baradija z odrazą.

– Co zrobili?

– Ukradli wodę. Wzięli więcej, niż prawo przewiduje dla każdego mieszkańca. Dlatego zostali zakopani.

Glauke krzyknęła i zasłoniła usta ręką.

– Czy to znaczy, że gwardia księcia zajmuje się także wykonywaniem wyroków?

– Musimy. – Ton głosu oficera świadczył wyraźnie o tym, że tego typu zadania nie przynoszą mu satysfakcji. – Ktoś musi – dokończył półgłosem. – Ale istnieją jeszcze gorsze tortury niż umieranie z pragnienia i upału.

– Jeszcze gorsze? Cóż to takiego? – Glauke z trudem wydobywała głos z wyschniętego gardła.

Baradija obrzucił ją taksującym, nieco pogardliwym spojrzeniem.

– Zdrajców karze się inaczej. Robaki, które żywią się ściernem, nie wgryzają się w zdrową skórę, tylko w rany. Przestępcę biczuje się do krwi, a potem przywiązuje do zwłok albo padliny. Trochę to trwa, zanim zostanie zjedzony.

Gdy tylko próbowali zrobić parę kroków, natychmiast pojawiała się koło nich kilku żołnierzy. Już same kajdany dotkliwie ograniczały swobodę ruchów. Czasami zapominali o tym, że łańcuch jest krótki, i stawiali zbyt duże kroki. Padali wtedy na ziemię, a obręcze wrzynały się w ciało i raniły skórę. Często zaczepiali łańcuchem o różne przedmioty na ziemi: kamienie, części roślin, patyki czy inne śmieci. Demetrios zwrócił uwagę, że Baradija i jego ludzie bronili im dostępu do pewnego obszaru. Za namiotami wznosiła się skalna ściana. W niektórych miejscach wisiały na niej zasłony ze skór i futra. Demetrios przypuszczał, że za nimi znajdują się wejścia do jaskiń. Nie wiedział, czy służą one jako składy broni albo żywności, czy też stanowią system podziemnych przejść. Kiedy próbował wypytać Baradiję, ten tylko się uśmiechnął. Poprosił, żeby Demetrios zainteresował się czymś innym, a wtedy chętnie udzieli mu wyjaśnień.

– No dobrze – zgodził się Demetrios. – Ciekaw jestem, czy wszyscy pochodzicie z Ao Hidis.

Po południu przyszedł Hiqar i poinformował więźniów, że nadal, aż do odwołania, mają mieszkać w obozie żołnierzy. Wieczorem usiedli przy małym ognisku. Odrobina węgla drzewnego i trochę wielbłądziego nawozu dawały niewiele światła i ciepła. Baradija zajął miejsce pomiędzy Ravim i Demetriosem na małej, skórzanej poduszce. Oficerski luksus – pomyślał Demetrios. Pozostali kucali, leżeli lub siedzieli na piasku. Glauke wpatrywała się

w nędzny ogień. Nieobecna duchem, błędziła myślami gdzieś daleko.

– Pochodzimy wszyscy z ludu Harran – zaczął Baradija. – Z różnych gałęzi klanu. Nie wszyscy urodziliśmy się w Ao Hidis. Sława szlachetnego Belhadada przyciągnęła tu mnóstwo ludzi. Wielu opuściło domy i rodziny, żeby zamiast pasać owce i wielbłądy, cieszyć się opieką wielkiego księcia i doświadczać jego łaskowości.

Demetriosowi wydawało się, że zarówno słowa, jak i ton głosu oficera skrywają sporo ironii.

– Czy wasze nadzieje się spełniły? Czy rzeczywiście wasz naród rozkwita pod jego opieką?

– Czy znalazłbyś się tutaj, gdyby tak nie było? Młody niewolnik czy też przyboczny podał Baradiji miseczkę z jakimś napojem. Oficer napił się i otarł krople z wąsów.

– Dobrze – podał naczynie Demetriosowi. – Chcesz spróbować?

– Co to jest?

– Sfermentowane mleko klaczy. Wino pustyni.

– Wiem, że to smaczne, bo już próbowałem. Ale wiem też, że wywraca trzewia na drugą stronę.

– To prawda, oczyszcza jelita, ale czy to źle?

– Krótki łańcuch nie pozwoli mi szybko dobiec do najbliższej latryny.

Baradija napił się drugi raz i oddał niewolnikowi czarę, żeby obsłużył pozostałych.

– Wracając do twojego pytania. Mój ród wywodzi się z okolic Damaszku. Mieszkam tu od dziesięciu lat i mam swój udział w rozwoju miasta.

– A inni? Na przykład Hiqar albo Harun?

– Harun jest młodszym kuzynem księcia, pochodzi stąd. Hiqar jest moim krewnym, a tutaj również zwierzchnikiem. Od dziesięciu lat służymy razem naszemu szlachetnemu panu.

– Wciąż w Ao Hidis?

– Myślisz, że do służby w gwardii książęcej trafia się prosto z ulicy? Nie, zaczynaliśmy daleko stąd. Z początku pilnowaliśmy stad, potem zostaliśmy myśliwymi i dopiero po latach żołnierzami.

– Gdzie tak dobrze nauczyliście się greckiego?

– To popularny język, znają go także Rzymianie i Partowie.

– A czy wielu Partów tutaj przybywa?

– Nie wiem, nie liczyłem – Baradija spojrzał na niego z ukosa.

Zapadło milczenie. Demetriosowi nie przyszło do głowy więcej pytań. Zastanawiał się, jak

dyskretnie wybadać, na ile Baradija jest przywiązany do Belhadada.

Ravi rzucił garść piasku w stronę ogniska.

– Spalicie wszystkich – powiedział ponuro.

– Kogo i jak? – roześmiał się Baradija. – Tak jak piasek, który wsypałeś do ognia? Piasek się przecież nie pali.

– Ale ludzie tak. W pożarze, który wzniesi Belhadad, spłoniecie wszyscy wraz z nim. Chociaż wiele lat spędziłem w Arabii, nadal pozostałem obcy. Ale nawet ja, cudzoziemiec, wiem, że cesarstwo nie będzie was dłużej tolerować.

– Jeżeli chodzi o brak tolerancji, muszę ci przyznać rację. Rzym stara się nagiąć wszystko i wszystkich do swoich obyczajów i praw. Tych, którzy nie chcą się poddać, depreczuje i niszczy. My nie damy się ani złamać, ani zmienić w Rzymian.

– Nic innego wam nie pozostaje. Belhadad już to zrozumiał, ty najwyraźniej jeszcze nie – wtrącił Demetrios.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Moglibyście sprzeciwić się cesarstwu tylko wtedy, gdybyście dysponowali równymi siłami. Musielibyście upodobnić się do Rzymu, żeby mu nie podlegać. Czy uważasz, że Partowie zgodzą się na sojusz z Belhadadem za darmo?

– Podejrzewasz, że przyjdą nam z pomocą i już tu zostaną? – roześmiał się Baradija. – Jak Persowie przed setkami lat?

– Myślę, że już od dawna naśladujecie Rzymian.

– Nic podobnego. Jesteśmy wolnymi Arabami.

– Wolni Arabowie wędrują po pustyni. Wy, przeciwnie, zbudowaliście twierdzę, własny Rzym wśród skalistych pustkowi. Powinniście sprzymierzyć się raczej z cesarstwem niż z Paltami.

Baradija przysunął się bliżej do Demetriososa i szepnął mu na ucho:

– Mówisz tak jak pewien człowiek, którego kiedyś poznałem. Nazywa się Afer, znasz go?

– Kogo? – Ravi nadstawił ucha. – Nie dosłyszałem imienia. Zresztą kogo my tu możemy znać?

– Ja też go nie znam, ale coś słyszałem – serce Demetriososa nagle zaczęło bić w przyspieszonym rytmie. Przypomniawszy sobie pewną rozmowę w Bajach, zanim wyjechał. Kreteńczyk Satornilos, zwany także Minosem, odprowadził go na przystań. Skończyli już

omawiać zamówienia i życzenia kupców. Przez ostatnią godzinę dyskutowali na temat sytuacji w Arabii i problemów, z którymi Demetrios może się tam zetknąć.

– Staramy się omijać tamte okolice. My, Arabowie i Partowie to trzy kamienie młyńskie. Wystarczy chwila nieuwagi, żeby zmiażdżyły palce, jeśli w porę nie cofniesz ręki. To raczej sprawa dla legionów. I dla Sejana, jeśli interesuje go coś więcej niż wpływy w Rzymie.

– Co mam robić? Czy w ogóle mam coś robić?

Satornilos pokręcił głową. Przypominał smutnego, zbitego byka albo Minotaura skazanego na paszę złożoną wyłącznie ze zboża i warzyw.

– Niewykluczone, że otrzymasz jakieś zadanie. Prefekci Syrii i Judei trzymają w ręku wszystkie nici. Dla Heroda Antypasa pracuje pewien stary Grek, Nikias. A jeszcze jeden ma chwycić wolne końce wszystkich nitek i związać je razem. To centurion Heroda w jakiejś zapadłej dziurze o nazwie Kafar... coś tam.

Przed oczami Demetriosa przesunęły się obrazy tamtego spotkania w porcie. W uszach zabrzmiało wyszeptane wtedy imię.

– Teraz będę musiał, jak zwykle, sprawdzić posterunki i ustąpić miejsca ważniejszemu od siebie – powiedział Baradija.

Z ciemności wyłonił się Hiqar, skinął głową odchodzącemu zastępcy i przysiadł na piętach przy ognisku.

– Nie pytam, czy jesteście zadowoleni z pożywienia i noclegu. To byłby nadmiar uprzejmości. Ale może czegoś wam brakuje?

– Swobody ruchów – mruknął Ravi.

– O tak – ku zdziwieniu Demetriosa Glauke nagle ocknęła się ze swoich snów na jawie. – I higieny – dodała.

Hiqar popatrzył na nią i roześmiał się.

– Zapomniałem, że pochodzisz z kraju, gdzie kąpiel urasta niemalże do rangi obrzędu religijnego. Nie mogę cię zaprowadzić do łaźni, ale miednicę dostaniesz. Chodź – wyciągnął rękę.

Glauke wahała się przez chwilę. Później podała Hiqarowi rękę i wstała.

– A wy?

Ravi przeciągnął się.

– Zaczynam wierzyć, że przeżyję. Jakoś dowlokę się, dzwoniąc łańcuchami, na swoje

posłanie i spróbuję pomarzyć o przyszłości.

– Czy w czasie twojej nieobecności mogę zadawać pytania twojemu zastępcy? – zapytał Demetrios.

– Mamy podobne poglądy – dowódca gwardii zamrugał powiekami, a może tylko na chwilę przymknął oczy. – I podobne zdanie na temat cudzoziemców: Partów, Rzymian czy mieszkańców Mauretanii. Może mnie reprezentować.

Demetrios długo patrzył w ślad za odchodzącymi. Odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy brzęk kajdan Glauke ucichł w oddali. Później zadzwoniły także łańcuchy na nogach Ravięgo. Gdy Hindus wszedł do chaty, Demetrios jeszcze przez jakiś czas patrzył w ogień. Wiatr szumiał wysoko, pośród stromych skalnych ścian. W obozie żołnierze rozmawiali przed zaśnięciem, zwierzęta sapwały i parskały. Gdzieś w oddali pluskał strumyk, a może tylko w jego wspomnieniach powracały dalekie echa fal uderzających o brzeg w porcie w Bajach. Siedział tak dość długo, wpatrzony w dogasający ogień, wsłuchany w dźwięki nocnej ciszy. W końcu zaczął myśleć o tym, co jeszcze parę godzin temu wydawało się nie do pomyślenia. Nagłe usłyszał za sobą głos.

– Czy Efiates może się przysiąść?

– Jeżeli przyniósł moje pieniądze, to proszę.

– Nie, ale mam dla ciebie coś innego – roześmiał się Rufus. Ukląkł obok Demetriosia i przyjrzał mu się badawczo. – Czy teraz lepiej widzisz? Noc bardzo wyostreza wzrok. Popatrz w górę.

Demetrios uniósł głowę. Na niebie, ponad skalistymi turniami, migotały gwiazdy.

– Jak klejnoty Afrodyty. Albo Kleopatry – szepnął Rzymianin.

Demetrios usłyszał jakiś szelest na ziemi. Wyciągnął rękę i poczuł pod palcami chropowatą powierzchnię papirusu.

– Jeżeli go rozłożysz i odwrócisz się twarzą do mnie, uda ci się go przeczytać – głos Rufusa brzmiał niewyraźnie, jak daleki pomruk – Co to takiego?

– Ciszej! Ten list czekał na Glauke u zarządcy portu w Leukekome. Zabrałem go, bo nie wiedziałem, czy tam traficie.

– Czemu go jej nie oddałeś?

– Najpierw przeczytaj. Dowiesz się czegoś o księżniczce. I może przestaniesz odnosić się do mnie z taką nieufnością.

– Po tym, jak obrabowałeś moją karawanę, zabiłeś mi ludzi i zabrałeś pieniądze?!

– Nic nie mów, tylko czytaj.

Demetrios oparł się na łokciu. Płomień ogniska, gwiazdy i księżyc dawały wystarczająco dużo światła, żeby można było dostrzec litery. Kiedy skończył, popatrzył na Rufusa i zapytał:

– Co teraz?

– Nic. – Rufus wziął list i szybkim ruchem wrzucił go do ognia. Z maleńkiej kupki żaru wysunęły się języki płomieni, polizwały zwój i wystrzeliły w górę, nie zostawiając po arkuszu papirusu nawet śladu.

– Nic – powtórzył i wstał – przynajmniej na razie. Zbyt niebezpiecznie. Porozmawiamy o tym za parę dni. I o Aferze – dodał ciszej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jasna noc

Zanim bogowie pozwolą śmiertelnikowi zaznać szczęścia, najpierw napelniają mu serce żalem i cierpieniem.

PINDAR

Afer z coraz większym roztargnieniem słuchał kolejnej porcji utyskiwań Piłata na Żydów. Kolumella patrzył w sufit, a on na kobietę. Mógłby tak siedzieć godzinami i przyglądać się jej postaci. Monotonne, ciągle te same narzekania prefekta odbierał teraz, jakby dochodziły gdzieś z oddali, jak szum strumienia, jak tło dla własnych myśli. Promienie słońca, padające przez okno, wzbudzały we włosach Kleopatry ogniste refleksy. Ciemne oczy miały zielonkawy odcień, kształt ust wskazywał na zmysłową naturę i skłonność do śmiechu... a także na przebiegłość. Bez trudu udało jej się odwrócić uwagę Piłata od ulubionego tematu. Przerwała mu grzecznie, o coś zapytała, coś wtrąciła i już rozmawiali o Rzymie, możliwych rodach i wspólnych znajomych. W pewnym momencie Kolumella oderwał wzrok od sufitu i popatrzył na niego znacząco.

– Myślę, że nie powinniśmy dłużej zatrzymywać Afera. Piłat skrzyżował ramiona na piersi.

– Masz rację – potem zwrócił się do Afera:

– Wszystko już wyjaśniliśmy, prawda? Przypuszczenia dotyczące Rufusa i twoje następne zadania. Kohorta dostała rozkazy? – ostatnie pytanie było skierowane do Kolumelli.

– Pisarz przygotował już, co trzeba.

– Za waszym pozwoleniem, chciałbym jeszcze porozmawiać z centurionami. – Afer wstał. – Jeszcze jedna rzecz, panie. Dowództwo miał objąć Rufus.

– Ale ponieważ jest nieosiągalny... – Piłat wpatrywał się w niego intensywnie – ...a wśród moich ludzi nie ma Scypiona, Aleksandra czy Pyrrusa, musimy napisać następny rozkaz. Nominację na dowódcę dla ciebie.

– Ależ panie... – Afer z trudem chwycił powietrze.

– To niemożliwe – zaprotestował Kolumella – on służy królowi. Nie możemy żołnierzy

rzymskich...

– Możemy – Piłat uśmiechnął się. – Nie szykujemy się do wojny. W akcji weźmie udział tylko kilka oddziałów z okolicy. A ty, mój przyjacielu, będziesz towarzyszył Aferowi. Jeżeli dojdzie do rokowań, może potrzebować rady.

Oszołomiony, półprzytomny Afer zatrzymał się pod arkadami na dziedzińcu. Kolumella doradcą, a on strategiem? Centurion jako legat, w pewnym sensie. Jeżeli wszystko się uda, nie musi się już martwić o przyszłość. A jeżeli nie... wtedy nie będzie już miał żadnych zmartwień. W razie klęski nikt nie powróci żywy z wyprawy na pustynię.

Centurionowie otrzymali już rozkazy. Jeżeli nawet odczuwają lęk lub nie wierzą w zwycięstwo, nie okazały swych obaw. Ale odnosił wrażenie, że wszyscy palą się do czynu. On też wolał wyprawić się na pustynię, niż tkwić beczynnie w Jerozolimie. Pozostało niewiele do omówienia. Grecy najemnicy sami wiedzieli, co robić. Mieli niepostrzeżenie opuścić miasto i zgłosić się do umówionych kupców po konie. Nie wolno im było poruszać się pod prąd drogami, którymi do Jerozolimy ściągali pielgrzymi. Mieli jechać bocznymi ścieżkami na północny wschód i czekać w pewnej dolinie z bronią i zapasami żywności. Dalsze ich zadanie polegało na porozumieniu się z oddziałami syryjskimi, które rozbijają obóz w sąsiednim wąwozie. Dopóki Afer nie przyjedzie i nie wyda rozkazu wymarszu, mieli pozostać niewidoczni.

W czasie rozmów z centurionami cały czas nie spuszczał oka z drzwi wejściowych. Kleopatra siedziała jeszcze u Piłata. „Kiedy wreszcie wyjdzie?” – niecierpliwił się. Dręczył go niepokój, czy podoła nowym obowiązkom. Nachodziły go różnego rodzaju wątpliwości. Pytania, lęki i obawy napływały do jego skołatanej głowy falami jak ataki gorączki. Miał tak rozpalone policzki, że nawet powiew ciepłego wiatru zdawał się przynosić ochłodę. Najchętniej wspiąłby się na drzewo, zaszył w jaskini, uciekł dokądkolwiek, zasłonił twarz rękami i wypił całą amforę wina, żeby uspokoić wzburzony umysł. Udało mu się jednak jakoś opanować i kiedy stanął przed żołnierzami, rozmawiał już spokojnie. Udzielał oficerom rad i wskazówek, słuchał pytań i dawał odpowiedzi. Miał nadzieję, że nie dał po sobie poznać zdenerwowania. Stał jeszcze długo pod arkadami, naprzeciwko wartowników strzegących bramy, i zastanawiał się, czy ma czekać, czy odejść. Cały czas patrzył na drzwi z nadzieją, że w końcu pojawi się w nich Kleopatra. Miał ochotę porządnie się posilić. Z odrazą przypomniał sobie gruboziarnisty, żołnierski chleb z otrębami, trzeszczący w zębach, pełen zanieczyszczeń i odłamków kamieni. Chciał najeść się do syta pysznym, białym pieczywem i popić prawdziwym winem. Wojskowi zaopatrzeniowcy

poili żołnierzy podłą ciecżą przypominającą ocet. Afer marzył o tym, żeby przed wyruszeniem w drogę spędzić całą noc przy stole, przy smakowitym jadle i dzbanie przedniego trunku. Myśleć, jeść i pić, a rano wyjechać z miasta. Nie, najpierw zobaczyć się z Nikiasem i królem, a dopiero później udać się na piaszczyste bezdroża. W pustą przestrzeń nieodgadnionej przyszłości.

Thais i Arsinoe skromnie nakryły głowy i wyszły na spacer do miasta. Właśnie wracały, pojawiły się w przejściu pod arkadami, roześmiane, rozplotkowane.

– Można na słówko? – zagadnął.

– Czemu tylko na jedno? – roześmiała się Thais. – Czy księżniczka jeszcze jest u prefekta?

– Tak, i właśnie dlatego was zaczepiłem. Muszę z nią porozmawiać, ale nie mogę czekać, bo wzywają mnie pilne sprawy. Czy możecie jej przekazać, że proszę o spotkanie? Chciałbym się z nią zobaczyć o zachodzie słońca, w waszych pokojach lub gdzieś indziej.

– Powiemy jej. – Arsinoe rozwiązała szal, ciemne, długie włosy opadły na plecy. – Czy to jakaś wielka tajemnica?

– Straszliwa – roześmiał się. – Zobaczymy się później.

Opuszczał twierdzę z ulgą, jak na skrzydłach. Nieświadomy tego, co się wokół dzieje, przebiegał ulicę pogrążony we własnych myślach, nie zwracając uwagi na przechodniów. Pewnie nawet w roztargnieniu potrafił parę osób. Dopiero czyjś głos z tyłu przywrócił go do rzeczywistości.

– Witaj, stary przyjacielu! Co sprowadza ciebie, nieobrzezanego poganina, do świętego miasta?

Afer zatrzymał się w biegu. Zakręciło mu się w głowie, jakby ktoś nagle wyrwał go z transu i zrzucił z obłoków na ziemię. W poszukiwaniu oparcia chwycił mężczyznę za ramię.

– Eleazarze, ty tutaj? – wykrzyknął zdumiony. – Myślałem, że jesteś w Aleksandrii.

– Uważaj, złamiesz mi rękę.

– Wybacz, tak się ucieszyłem, że cię widzę.

– A boli, jakbyś chciał mi zmiażdżyć ramię. – Eleazar roześmiał się i poprawił pelerynę. – Powiedz, co cię tu sprowadza?

– Masz coś pilnego do zrobienia?

– A bo co?

– Potrzebny mi człowiek do pomocy. W picu wina i rozmyślaniach.

- Czy podołam tak trudnym zadaniom? I gdzie?
- Mam ochotę na dobre wino i chleb. Najpierw pójdziemy do twierdzy, a potem...
- Do twierdzy? Jesteś człowiekiem prefekta? – Eleazar pokręcił głową. – Nie wpuszczą tam Żyda.

– Razem ze mną pozwolą ci wejść.

Eleazar miał trzydzieści lat i był, jak sam mówił, „dobrym lekarzem, a jeszcze lepszym włóczęgą”. Pochodził z rodziny uczonych w Piśmie. Ojciec, powszechnie szanowany w Jerozolimie faryzeusz, żył jeszcze, lecz syn traktował go jak umarłego i tak też był przez niego traktowany. Eleazar chciał zobaczyć coś więcej niż Jerozolimę i dowiedzieć się o świecie czegoś ponad to, o czym opowiadają stare, nawet najświętsze pisma. Krewni matki z żydowskiej gminy w Aleksandrii umożliwili mu naukę u najlepszych greckich lekarzy w mieście. Po zakończeniu edukacji podróżował po cesarstwie we wszystkich możliwych kierunkach, ale przede wszystkim odwiedzał gminy żydowskie.

– Żydzi też chorują – mawiał – ale nie chcą się leczyć u pogan. Rzymscy i greccy medycy niechętnie przyjmują Żydów, a wśród nas niewielu jest dobrych lekarzy.

Eleazar odwiedził Cyrenę, Leptis Magna, Utykę, Sigo, Volubilis, Tingis. Stamtąd przez morze dostał się do Iberii – do Kadyksu, Kordoby, Kartago Nova i Tarragony, następnie do Galii, Italii i Wielkiej Grecji. Poznał Syrakuzy, Korynt i Ateny. Trzy lata temu los rzucił go do Kafarnaum. Tu zaprzyjaźnił się z Adonisem. Wymieniali doświadczenia i opowiadali sobie różne historie. Dzięki niemu poznał Aferę. Od tego czasu jeszcze raz pojawił się w Kafarnaum i raz w Magdali, gdzie Aferę go odwiedził. Rok temu spotkali się w Jerozolimie. Aferę dwukrotnie pojechał do Cezarei, gdzie Eleazar pocieszał młodą, bogatą wdowę, leczył marynarzy i patrzył na morze. Jako światowiec i podróżnik doskonale wiedział, gdzie podają dobre wino, i teraz uparł się, że to on zaprasza i płaci.

– Widzisz, moja wdówka ponownie chce wyjść za mąż – zwierzał się z nieco znużonym wyrazem twarzy – a ja nie bardzo nadaję się do małżeństwa.

– Czemu nie?

– Lubię podróżować, a małżeńskie więzy utrudniają rozstania. Wybrała więc armatora, właściciela dziesięciu statków handlowych i trzech domów. Na pożegnanie hojnie mnie obdarowała, żebym jak najprędzej zniknął im z oczu.

– Znam wielu ludzi, którym należałoby zapłacić, żeby sobie poszli na koniec świata, ale kto

ma dziś tyle pieniędzy?

Eleazar zapłacił nie tylko za wino. Wynagrodził także gońca, który zaniósł ciężką amforę do twierdzy. Tuż przed zachodem słońca odwiedzili Kleopatrę, Thais, Arsinoe, Leonidasa i Meleagrosa. Wszyscy razem siedzieli w jednym z dwóch przydzielonych im pomieszczeń, pili wodę i jedli owoce. Rozmawiali o Demetriosie, Jerozolimie, pustyni, wielbłądach i kaprysach bogatych mieszkańców Aleksandrii. Afer przedstawił im Eleazara i zapytał:

– Gdzie się podziali Nubo i Perperna?

– Są za miastem – warknął ze złością Leonidas.

– Czego tam szukają?

– Zatrzymali się w jakiejś gospodzie niedaleko składów Boszmuna. Chcą się zaopatrzyć u niego i innych kupców w różne niezbędne rzeczy.

Eleazar podrapał się po głowie zakłopotany.

– Po waszych minach poznaję, że chcecie pogadać bez świadków.

– Masz rację, ale... – Afer zawahał się przez chwilę, później poprosił, żeby lekarz poczekał chwilę na zewnątrz.

– Co oznacza ten ponury wyraz twarzy? – zapytał, gdy Eleazar wyszedł.

Meleagros złapał go gwałtownie za ramiona.

– Nikt nam nic nie mówi – mruknął – ale domyślam się, że planujecie coś razem z Nubo i staruszką. Chcecie jutro zrobić coś, co dotyczy nas i Demetriosą, ale trzymacie to w tajemnicy.

– Zostaw mnie w spokoju, człowieku! Mamy pewien plan, ale nie możemy go zdradzić zbyt wcześnie.

– My? Jacy my? Co to ma znaczyć? – Leonidas nawet nie próbował ukryć wściekłości. – Jeżeli chodzi o Demetriosą, nalegam na to, żeby również należeć do grona wtajemniczonych.

Meleagros skinął głową. Afer popatrzył błagalnym wzrokiem na Kleopatrę.

– Co mu powiedzieliście? Ty i Meleagros.

– Wszystko i nic, żadnych szczegółów – uśmiechnęła się – nie przeszkodzisz im. Demetrios jest nie tylko ich przełożonym, ale i przyjacielem. Chcą go ratować.

– Nawet nie wiecie, jakie to niebezpieczne.

– Byłem kiedyś dobrym łucznikiem – pochwalił się Meleagros. – Musiałbym trochę poćwiczyć. A Leonidas trafia oszczepem w małą plamkę na karku uciekającej antylopy.

– Ja też powinienem poćwiczyć, ale... – Leonidas uśmiechnął się szeroko.

– Możecie najwyżej pilnować koni albo obmywać rannych – mruknął Afer. – Nie cierpię was – dodał i nagle się uśmiechnął.

– Musimy zdobyć konie?

– Nie. Ani wy, ani tamci dwaj. Czemu z nimi nie poszliście?

– Chcieliśmy najpierw z tobą porozmawiać.

– Jutro rano muszę jeszcze coś załatwić. Zamierzamy wyruszyć około czwartej. Pieszko. Konie i wszystko, czego potrzebujemy, dostaniemy po drodze. Czy Nubo i Perperna mówili wam o dalszych planach?

– Tylko tyle, że rano zaczekają tu na ciebie – odpowiedział Leonidas. – Co jeszcze powinniśmy wiedzieć?

– Wszystkiego dowiecie się po drodze – Afer westchnął cicho. – I pomyśleć, że planowałem tylko spędzić wieczór ze starym przyjacielem. Chcemy pogadać i napić się wina. Jeżeli macie ochotę się przyłączyć, zapraszam. Tylko trzymajcie język za zębami. Ani słowa o walce, rozkazach i tym podobnych.

– Dobrze umiemy milczeć – zapewniła Thais.

– Zwłaszcza tak, żeby wszystko było jasne – uśmiechnęła się Arsinoe. – Albo zdradzać milczeniem.

– Wystarczy – ucięła ostro Kleopatra. Arsinoe zakryła usta przesadnym, teatralnym gestem.

Afer wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Zastał Eleazara przy oknie, wpatzonego w mrok.

– Spędzimy wieczór trochę inaczej, niż planowaliśmy – oznajmił Afer.

Eleazar odwrócił się. Pomimo ciemności widać było jego rozbawioną minę.

– Zawsze zdarza się coś nieprzewidzianego. Wszyscy chcą się napić? W takim razie obawiam się, że zakończysz tę biesiadę całkowicie trzeźwy. Niewiele trunku przypadnie na jedną osobę.

Zabrali amforę i pieczywo i przyłączyli się do pozostałych. Gospodarze zapalili już lampki. Brakowało tylko Meleagrosa. Arsinoe twierdziła, że poszedł do żołnierzy pożyczyć kubki. Kleopatra odciągnęła Aferę na bok.

– Posłuchaj – szepnęła – musimy jeszcze później porozmawiać.

Przysunęła się na tyle blisko, że prawie dotykał ustami jej ucha. Delikatnie musnął go

końcem języka.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział cicho. Spodziewał się obrażonej miny, wyniosłego milczenia lub nagany. Spotkała go miła niespodzianka. Poczł na udzie szybki dotyk miękkiej dłoni.

Rozmowy zaczęły się rwać, zanim opróżnili amforę do połowy. Kleopatra, Thais i Arsinoe porozumiewały się bez słów, tylko za pomocą spojrzeń. Afer nie potrafił odgadnąć ich znaczenia. Nalał Eleazarowi wina. Gość upił łyk i oznajmił:

– Wypiję ten kubek i idę. Wiesz, że mam różne sprawy do załatwienia.

– Obiecałeś powiedzieć coś więcej o swoim narodzie.

– O czym tu mówić? Wiem tylko, że prefekt nie lubi najwyższego kapłana i jemu podobnych.

– Bardzo delikatnie to określiłeś. On ich nienawidzi – sprostował Afer.

– Ja też, nawet mojego ojca. – Eleazar patrzył na swój kubek. – Czasami żałuję, że w ogóle mam ojca.

– A ty? – Kleopatra dotknęła czubkami palców kolana Afera. – Też się wstydzisz za swojego ojca?

– Musimy o tym rozmawiać?

– Tak to już bywa przy winie – zażartował Eleazar – wędruje się od winnicy do winnicy i nigdy nie trafia do piwnicy.

– Nie czujesz się urażony, kiedy Piłat wypowiada się z taką niechęcią o Żydach? – spytała Kleopatra.

– Gdybym coś takiego usłyszał, pewnie bym się oburzył, ale w Cezarei nie mówi takich rzeczy.

– A miałeś okazję go tam usłyszeć?

– Nie tylko. Widziałem się z nim i nawet rozmawialiśmy. Uważam, że nie odnosi się wrogo do całego narodu, tylko do niektórych jego przedstawicieli. Nie można nienawidzić wszystkich. To osobiste uczucie, tak jak miłość. Dotyczy konkretnej osoby i wymaga określonego obiektu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Kogo więc twoim zdaniem nienawidzi Piłat? – spytał Afer bez większego zainteresowania. Naprawdę zajmowało go zupełnie co innego. Na przykład kwestia, dlaczego kolano, którego dotknęła Kleopatra, nie stanęło jeszcze w płomieniach.

– Przyznaj uczciwie, przyjacielu, że nie bardzo różnicie się w poglądach. Nie denerwuje was rybak Jakub, przyzwoity, gościnny człowiek, dbający o żonę i dzieci. Nie przeszkadza wam uboga wdowa Estera, która szcieniem stara się zarobić na utrzymanie dzieci. Ani szewc Daniel, który nie bywa nigdzie dalej niż w synagodze – zwykli, pobożni ludzie, serdeczni i uczynni dla sąsiadów. – Pochylił się do przodu i zaczął mówić głośniej i bardziej dobitnie.

– Ktoś inny wzbudza nienawiść prefekta, twoją niechęć, a moją odrazę, tak wielką, że zdecydowałem się uciec i zamieszkać na terenie cesarstwa. To ci, którzy swoją pobożnością zatruwają życie sąsiadom i podwładnym. Ci, którzy nadużywają imienia Boga po to, żeby terroryzować i zastraszać innych. Zapomnieli o idei, o duchu, podporządkowali swoje i cudze życie treściom zawartym w starym piśmie. Przed setkami lat jakiś człowiek, może mądry, a może omylny, spisał to, co uważał za prawo boskie. Albo też własne wyobrażenia czy urojenia. Dziś słowa zawarte w księdze sprzed wieków mają być dla wszystkich prawem, nakazem i obowiązkiem. W efekcie służą tylko do utrzymania władzy nad społeczeństwem. Tak dzieje się zawsze, kiedy ktoś spośród różnych istniejących na świecie prawd wybiera jedną i ogłasza ją jako obowiązującą i niepodważalną. Następny krok, to pogarda dla tych, którzy myślą inaczej, uznanie ich za odstępców i wyrzutków społeczeństwa.

– Czy jeszcze ktoś oprócz Żydów myśli w ten sposób?

– spytała Kleopatra.

– O, tak – Eleazar uśmiechnął się smutno. – Aleksander nakazał swoim oficerom i strategom żenić się z perskimi kobietami. Czy wiesz, co się stało, kiedy umarł? Dowódcy jego armii, także twój szlachetny przodek, Ptolemeusz, porzucili swe barbarzyńskie żony. Uznali je za niegodne macedońskich wojowników. A co radził Aleksandrowi wielki Arystoteles? Zalecał mu dbać o podbitych barbarzyńców jak o bydło – żeby mogli przynosić korzyści – ale nie traktować ich jak ludzi, lecz jak istoty niższego rzędu, co najwyżej użyteczne, chociaż niewiele warte. A Rzymianie? Mianowali się narodem panów. Innym ludom przeznaczali rolę niewolników. Cudzoziemcy mogą osiągnąć wyższą pozycję tylko wtedy, gdy przyjmą rzymskie obyczaje i sposób myślenia. Póki nie staną się Rzymianami, muszą żyć w upodleniu.

– Czy słyszałeś kiedyś o kapłanie Jowisza, który musiałby się oczyszczać, gdy skazi go oddech innowiercy? – spytał Afer. – Masz wiele racji. Tylko ten, kto zostanie Rzymianinem, może żyć w cesarstwie jako wolny człowiek. A czy ja mogę z własnej woli stać się Żydem, jeżeli nie urodziła mnie żydowska matka? Wasz Bóg na samym początku przeklął wszystkie pozostałe

narody. Jesteśmy bezwartościowi z powodu samego pochodzenia, a nasz oddech zatrzuwa powietrze, którym oddychacie.

Eleazar pociągnął parę długich łyków wina.

– I tak, i nie. Kapłani i uczeni w Piśmie rezerwują najwyższe urzędy i zaszczytne stanowiska tylko dla siebie. Pozostałych traktują tak jak Arystoteles barbarzyńców, to znaczy jak bydło. Odwiedzałeś wiele domów. Czy zwykli, bogobojni Żydzi bali się, że stawiając stopę na progu, skazisz ich dom? Piłat nienawidzi tylko ich przywódców, tak zwanych uczonych, bo mniej z nich pożytku dla społeczeństwa i świata niż z najchudszej, zagłodzonej krowy. Podobnie jak tysiące ludzi nienawidziło senatorów za to, że wywyższają się ponad innych i traktują pozostałych, nawet Rzymian, jak śmieci. – Wstał i zaczął szykować się do wyjścia.

– Poczekaj, zanim pójdziesz, powiedz, gdzie się zobaczymy. Jutro albo za pół roku.

– Jutro wyjeżdżam – Eleazar pokręcił głową. – Za ciasno tu dla mnie. I zbyt świątobliwie, wśród tylu pielgrzymów.

– Po co w ogóle przyjechałeś?

– Musiałem coś omówić z królem i jego doradcami. Chodziło o pewne zadanie. I o pieniądze – roześmiał się.

– Dzięki nim miałem czym zapłacić za wino.

– Odprowadzę cię do bramy – Afer wstał – żeby żaden Grek czy Samarytanin nie potraktował cię jak śmiecia.

– Księżniczko – Eleazar skłonił głowę przed Kleopatram – i wy, moi mili. Życzę wam dobrej nocy. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Afer wziął go pod rękę i wyprowadził na zewnątrz. Kiedy oddalili się o parę kroków, rzekł półgłosem:

– Wybacz, przyjacielu. Okoliczności tak się ułożyły, że nie mogliśmy porozmawiać sam na sam.

– Rozumiem – Eleazar poklepał go po ramieniu. – Mimo wszystko trochę szkoda.

– Może byśmy napili się rano, przed twoim wyjazdem, wina, soku lub naparu z ziół?

– Łamiesz mi serce. Nic z tego, muszę wyruszyć bardzo wcześnie.

– Dokąd?

– Na północny wschód. Do Dekapolis, odwiedzić przyjaciół.

– Ja wyjeżdżam trochę później w tym samym kierunku. Czy nie masz nic przeciwko temu,

żebym przynajmniej przez jakąś część drogi dotrzymał ci towarzystwa?

– Z największą przyjemnością – Eleazar uśmiechnął się i skinął głową. – Muszę jeszcze złożyć pewną wizytę. Jutro wieczorem będę czekał przy brodzie na Jordanie.

– Zgoda, zobaczymy się tam wieczorem. Albo w nocy, gdybym się spóźnił.

– Poczekam.

Kiedy Afer wrócił, zarówno większy pokój, zajmowany przez kobiety, jak i mniejszy, męski, były zamknięte. Drzwi do pomieszczenia, w którym sam mieszkał, zastał lekko uchylone. Przez szparę sączyło się skąpe światło. Kleopatra stała przy oknie, oparta o ramę, i patrzyła na płomyk maleńkiej lampki oliwnej przy sienniku Afera. Zamknął za sobą drzwi, ale nie zasuwał zasuw.

– Gdzie są pozostali, księżniczko? – zapytał.

– Nie mów tak głośno. Lubię twój głęboki głos.

– I dlatego, że mój głos ci się podoba, mam mówić ciszej? – mimo przekornego tonu posłuchał jej prośby.

– Teraz dobrze – uśmiechnęła się. – Thais i Leonidas są w pierwszym pokoju, Arsinoe i Meleagros w drugim. Tak to się ułożyło.

– Widzę, że przyniosłaś amforę i dwa kubki.

– Ciszej, Aferze, proszę. Chciałam porozmawiać o tym i owym.

Pochylił się, napełnił naczynia i jeden kubek podał Kleopatrze. Ich palce zetknęły się na chwilę. Zapragnął zatrzymać czas.

– O tym i o owym? No to zacznijmy od „tego”. Uniosła kubek, upiła łyk. Przez chwilę przetrzymała trunek w ustach, zanim przełknęła.

– Czarka wina splukuje smak całego dnia. I dobrze. Myślisz zatem, że Rufus pojechał do Ao Hidis, żeby otworzyć bramy, kiedy się pojawicie, i uczynić spustoszenie wewnątrz miasta?

– To jedyne sensowne wyjaśnienie. Jeżeli planuje coś innego... to bardzo źle.

– Gdybyś miał dziesięć denarów, ile postawiłbyś na to, że wielu wróci z pustyni, a ile – że tylko nieliczni przeżyją?

– Cztery, że niewielu pozostanie przy życiu – odpowiedział bez wahania. – Sześć za inny rezultat.

– A za siebie?

– To będzie bezlitosna walka – uśmiechnął się smutno. – Nie potrafię przewidzieć, czy znajdę się wśród żywych czy umarłych.

Podeszła pół kroku bliżej i przesunęła czubkiem palca po jego ustach. Delikatnie, ostrożnie, ale śmiało.

– Tu i teraz – szepnęła – jesteś tylko ty jeden, żywy. Dobry człowiek, którego nigdy więcej nie zobaczę.

– Co ty wiesz o mnie? Dobry człowiek...

– Chcesz zaryglować drzwi?

Skinął głową i odwrócił się. Mile słowa powabnej kobiety brzmiały w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka, gładziły jego ciało niewidzialną, słodką pieśczętą.

– Gdybyś nie był dobry, Piłat nie powierzyłby ci swoich żołnierzy. Smutny mężczyzna o głębokim spojrzeniu. Samotny na obczyźnie i wśród obcych. Chciałbyś znaleźć się gdzieś indziej, prawda? Mieć żonę, dzieci.

Jesteś stworzony na ojca, nawet jeśli nie szanujesz własnego.

Afer zamknął drzwi i wrócił do Kleopatry.

– Skąd możesz... nieważne. Ale przecież nie wiesz, czy nie mam żony i dzieci.

Uniosła rękę i odpięła zapinkę na ramieniu. Materiał płaszcza zaszeleścił i opadł na ziemię.

– Wiem o tobie tyle, ile ty o mnie. Jutro wyjeżdżasz na wojnę. Jeżeli wrócisz, nie szukaj mnie. Będę daleko stąd, w Egipcie. Co o mnie wiesz? – powtórzyła. Skrzyżowała ramiona i zaczęła ściągać chiton przez głowę.

– Nie jesteś księżniczką, królowo nocy. Piłat nazwał cię kwiatem Kanopos. Niezależnie od tego, kim był twój ojciec...

– Wiem, kim był, a nawet kim jest – zwoje tkaniny wokół twarzy tłumiły jej głos. – Dalej!

Afer odetchnął głęboko. Musiał zaczerpnąć dużo powietrza, żeby móc dalej mówić.

– Najdroższa, najślynniejsza, najmądrzejsza hetera z Kanopos. Mieszkają tam najlepsi kuglarze, magicy, zaklinacze węży i kurtyzany z Aleksandrii. Pewnie masz w samej Aleksandrii piękne mieszkanie i znakomitych przyjaciół. Thais i Arsinoe uprawiają ten sam zawód, prawda?

Kleopatra pozbyła się chitonu i odwróciła się do niego plecami. Nosila zapinaną na haftki opaskę, podtrzymującą piersi.

– Przejdźmy do tego – szepnęła. – Pomożesz mi? Noc była upalna. Kiedy Afer dotknął jej skóry, przez całe jego ciało przebiegł dreszcz, a potem ogarnęła go gorączka. Opaska opadła, a Kleopatra ujęła jego dłonie i przycisnęła je do swoich piersi. Całował jej szyję, a ona wtuliła się w niego i powiedziała:

– Masz na sobie za dużo tkanin, centurionie. Zrzuć wszystko.

Roześmiał się, puścił ją i zaczął się rozbierać. Ona również pozbyła się ostatniej części garderoby – kawałka tkaniny, omotanego wokół bioder. W słabym świetle lampki oliwnej Afer zobaczył czarne, gęste włosy na łonie. Fala gorąca przebiegła po jego ciele i skoncentrowała się w jednym miejscu. Palił go ogień pożądania. Pragnął ugasić ten pożar jak najprędzej i równocześnie życzył sobie, żeby ten płomień nigdy nie zagaś.

– Przybyłam z miasta, gdzie kobiety depilują łona. Ja zachowałam włosy. Ty pozostałeś nieobrzezany w kraju obrzezanych. Czy obydwoje jesteście obcy w miejscach, gdzie mieszkamy? – Położyła mu ręce na brzuchu, przesunęła palcami w dół, w kierunku najwrażliwszego miejsca, i opadła na matę.

– Książniczko – powiedział stłumionym głosem – obawiam się, że strumień, który zbyt długo był tamowany, szybko zamieni się w wodospad.

– I dobrze – odpowiedziała – postaramy się, żeby wezbrał ponownie.

Rozmowa z człowiekiem Nikiasa kosztowała go wiele wysiłku. Nie mógł się skoncentrować na bieżących sprawach. Cały czas wracał myślami do minionego wieczora i do Kleopatry. Dopiero późnym popołudniem poczuł się panem samego siebie. Przypomniał sobie wszystkie wydane tego dnia decyzje i rozkazy i z ulgą stwierdził, że nie stracił zdolności logicznego myślenia. Kolumella miał wkrótce przybyć z oddziałem greckich wojowników. Nie powinien mieć zastrzeżeń. Z zamyślenia wyrwał go piskliwy śmiech Perperny gdzieś w pobliżu. Afer nie wiedział, co starzec usłyszał, czy też sobie wymyślił. Inni jechali kawałek za nim. Przed sobą dostrzegł znajomą postać Eleazara. Kiedy się przywitani i wymienili pozdrowienia, powiedział:

– Chyba dzisiaj porozmawiamy trochę inaczej?

– Jak? Coś w stylu: „rozpal ogień, parszywy psie”?

– Ja się już tym zajmę – zaproponował Meleagros. – Zesztywniałem na koniu, przyda mi się trochę ruchu. Wy możecie pogawędzić.

– Po co właściwie jedziesz do Dekapolis?

– Przecież już mówiłem. – Głos Eleazara nie wyrażał żadnych uczuć, podobnie jak spojrzenie. – Chodzi o wykonanie pewnego zadania dla króla. No i o pieniądze.

– Od kiedy to król wydaje pieniądze w Dekapolis? Gdyby nie Rzymianie i Nabatejczycy, najchętniej by je stamtąd ściągał.

– Czyżby? – Eleazar otarł twarz rękawem. – Niby skąd taki głupi medyk jak ja ma się znać

na polityce władców?

– Wobec tego wytłumacz mi, mój ty głupi medyku, jaką to misję król ci powierzył?

Eleazar pochylił się do przodu.

– Dobrze, ale obiecaj, że wszystko, co usłyszysz, zachowasz w tajemnicy.

– Będę milczał jak tysiącletni żółw, który zapomniał nawet, że nigdy nie umiał mówić.

– Dobrze, już dobrze. Herod Antypas wysłał na pustynię wojsko, żeby ukarać pewnego księcia rozbójników. Ja mam im towarzyszyć jako lekarz. Co cię tak śmieszy?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Proces i straty

Drżymy ze strachu już wtedy, kiedy widzimy, jak ktoś inny umiera. Sokrates spał tuż przed śmiercią tak mocno, że trudno go było dobudzić. Gderanie żony znosił z niezwykłą wprost cierpliwością.

TELES

Wspominanie, powtórne przeżywanie, rozmarzenie? Nie umiała nazwać swych uczuć. Afer wyjechał, ale wciąż odczuwała jego obecność. Ślad stopy pośród trawy, zanim źdźbła się ponownie wyprostowały, obłoczek pary po dotknięciu ust na brzegu pucharu. Nieistotne drobiazgi, miły epizod bez konsekwencji, żalu, czy tęsknoty. Kleopatra nie miała czasu na długie rozmyślenia, nawet gdyby miała ochotę się w nich zatopić. Przed południem wyszły z Thais i Arsinoe na dziedziniec. Zamierzały udać się do miasta po sprawunki: jedzenie, wino i maści, ale na schodach zawrócił ją z drogi służący Klaudii Prokuli. Poprosił, żeby poszła za nim. Wręczyła Thais sakiewkę.

– Wszystko tak, jak ustaliłyśmy? Nie pominęłyśmy niczego? – spytała Arsinoe.

– Tak jak mówiłam. Spotkamy się później na górze.

Klaudia Prokula przyjęła ją w niewielkim pomieszczeniu, ani tak obszernym, ani tak skromnym, jak to, w którym widziała się z Piłatem. Stały tam wyściełane fotele i leżanki, na ścianach wisiały greckie tkaniny z postaciami ludzi i bogów. Naprzeciwko wejścia znajdował się ołtarz Augusta, znak, że małżonka prefekta nie zamierzała gościć w swojej komnacie ortodoksyjnych Żydów. Prokula siedziała przy rzeźbionym stole z ciemnego drewna. Wskazała jej taboret obok.

– Siadaj.

Kleopatra wolałaby wyściełany fotel, ale bez słowa usłuchała polecenia.

– Wezwałam cię, żeby wyjaśnić parę spraw – zaczęła Klaudia. Splotła ręce na stole i obrzuciła Kleopatrze chłodnym i wyniosłym spojrzeniem. „Jak przystoi szlachetnie urodzonej

Rzymiance – pomyślała Kleopatra – zwłaszcza, kiedy rozmawia z macedońską heterą”.

– Nie interesuje mnie, co prefekt robi w czasie podróży, beze mnie, w jaki sposób urozmaica sobie chwile samotności. Ale nie życzę sobie takich jak ty i tobie podobne w moim domu. – Klaudia Pokuła powiedziała to chłodno i urzędowym głosem.

– Nie przyszedłbym tu, pani, gdyby nie zmusiły mnie do tego okoliczności. Znam przyjemniejsze rozrywki.

– Nie wątpię. Jakaż to konieczność cię tutaj sprowadza?

– Czy małżonek nic ci nie mówił?

– Ma wiele zajęć.

– Prawda, zapomniałam. Ale to długa historia.

– Opowiedz ją w skrócie.

Kleopatra przedstawiła swoje problemy, a żona prefekta słuchała z kamienną twarzą.

– To nieprzyjemne – skomentowała w końcu. – Teraz rozumiem, dlaczego zwróciłaś się do Piłata. Co zamierza dla ciebie zrobić?

– Jeszcze się nie zdecydował, pani. List do prefekta Egiptu miałby sens, gdyby ten Priskus nie był jego krewnym.

– Każdy jest z kimś spokrewniony. I każdy ma wrogów, których można wykorzystać, żeby mu zaszkodzić.

– Myślisz o kimś konkretnym?

– Dlaczego miałabym ci o tym mówić?

Kleopatra skrzyżowała ramiona na piersi. Zastanawiała się, czy powinna się uśmiechnąć.

– Bo każdy jest z kimś spokrewniony – powtórzyła z uśmiechem słowa Klaudii.

– Jak mam to rozumieć?

– Dziewiętnaście lat temu tuliłaś mnie w ramionach i pocieszałaś, pani.

Prokula zrobiła wielkie oczy, ale jej twarz nie zmieniła wyrazu.

– Ja ciebie? Niby gdzie?

– Czy przypominasz sobie dziewięcioletnią dziewczynkę, która podrzucała w górę trzy, a później cztery gliniane lalki? Jedna z zabawek upadła i rozbiła się na kawałki, a ja zaczęłam płakać.

– Chyba... – Prokula nie próbowała już ukryć zdziwienia. – Pamiętam takie dziecko – przyznała z ociąganiem. Gdzie to się wydarzyło? Zdaje się, że w letniej willi Antonii.

– Niedaleko od Tuskulum, pani.

Prokula wycelowała palec wskazujący w pierś Kleopatry.

– Jak tam trafiłaś?

– Antonia jest przyrodnią siostrą mojego ojca. Jak mam ją nazwać? Pólciotką?

– Niemożliwe – Klaudia Prokula odchyliła się do tyłu i potrząsnęła głową. – Nie wmówisz mi tego. Nie możesz być córką Aleksandra.

– Zwanego Heliosem, czyli Słońcem. Jego siostra-bliźniaczka miała na imię Kleopatra Selene, to znaczy Księżyc. Dzieci królowej Kleopatry i Marka Antoniusza – mówiła spokojnie, bez wyższości czy triumfu. Nie traktowała rozmowy z Klaudią jak walki.

Zona prefekta odchyliła się jeszcze dalej do tyłu. „Dobrze, że fotel ma oparcie – pomyślała Kleopatra – inaczej upadłaby na ziemię”.

– Nie do wiary! Ty – córką Aleksandra! Wnuczką Kleopatry i Marka Antoniusza. Po zwycięstwie, po śmierci twoich dziadków, Oktawian August kazał was przyprowadzić do Rzymu w pochodzie triumfalnym. Nie, ciebie jeszcze nie było na świecie. Twojego ojca i jego siostrę. Oddał ich legalnej żonie Marka Antoniusza – swojej siostrze, Oktawii. Kleopatra Selene poślubiła króla Mauretanii, Jubę. Mieli syna, Ptolemeusza, prawda? Przez dziewięć lat był księciem, później dwa lata współrządzającym, a od siedmiu jest królem Mauretanii.

– Dwa lata po śmierci Juby mój ojciec... pomagał swojej siostrze i siostrzeńcowi – powiedziała Kleopatra z wahaniem. – Szczerze mówiąc, nieźle się przy tym wzbogacił. Od tego czasu mieszka pod strażą na pewnej wyspie w Mauretanii.

– Poczekaj, sama spróbuję odtworzyć dalszą część tej historii. – Prokula przymknęła oczy i zaczęła kreślić palcem na stole zawile, rozgałęzione linie.

– Oktawia, siostra Augusta. Miała z Markiem Antoniuszem dwie córki, obie o imieniu Antonia. Młodsza wyszła za Druzusa i urodziła mu Germanika, Liwillę i Klau-Klau-Klaudiusza. Po śmierci męża opiekowała się rodziną i nie wyszła drugi raz za mąż. Zabrała pozostałe dzieci Marka od Oktawii i także je wychowywała, prawda? Kleopatra Selene mieszkała u Oktawii do czasu, kiedy August wydał ją za Jubę. A Aleksander Helios... – zamilkła.

– Również. Później zabrała go do siebie Antonia. Traktowała swego przyrodniego brata jak zbędny balast. Z tego, co wiem, Druzus także nim gardził. Dlatego Helios udał się do siostry i szwagra, żeby z kolei stać się ciężarem dla królewskiej pary z Mauretanii. Zanim wyjechał, jedna ze służących Antonii zaszła z nim w ciążę. Zmarła przy porodzie, a ciotka Antonia wzięła

mnie do siebie. Opiekowała się mną, podobnie jak całą rodziną, i pielęgnowała tradycyjne rzymskie cnoty.

Prokula uśmiechnęła się.

– Podpora świątyni, *matrona patriae* – mruknęła. – Drugie wcielenie Katona, strażnika republikańskich cnót. Jak to się stało, że ty, z takim wychowaniem, jakie z pewnością...

– ...musiałam otrzymać – dokończyła Kleopatra. – Z tym starannym wykształceniem mogłam zostać tylko westalką albo dziewczką. Uciekłam, wolałam być kurtyzaną w Kanopos niż kapłanką w Rzymie. Przede wszystkim chciałam znaleźć się jak najdalej od tego okropnego środowiska, przesiąkniętego szpiegostwem i zdradą, gdzie każde słowo, nawet najciszej wypowiedziane, trafiało zawsze do uszu Liwii Augusty.

– Naprawdę było tam tak strasznie? – W głosie Klaudii Prokuli pojawiło się coś jakby nutka zrozumienia czy może nawet współczucia. W każdym razie jakiś ślad ludzkich uczuć.

– Koszmarnie. Przynajmniej dla wszystkich osób z otoczenia cesarza. W dodatku, jak zapewne wiesz, pani, Liwia nie przepadała za Antonią.

– Wiem – żona prefekta uśmiechnęła się przelotnie. – I bogowie to wiedzą. Druzus, mąż Antonii, był wspaniałym, ukochanym bratem tego ciemnego typu, Tyberiusza, i ulubieńcem Augusta. Kiedyś się zranił. Szeptano, że zmarniał i umarł zaraz po tym, jak Liwia przysłała do niego swojego osobistego lekarza, ponieważ przeznaczyła na następcę tronu starszego syna, Tyberiusza. Po śmierci Druzusa August rozważał możliwość adoptowania jego wspaniałego syna, Germanika. Ale w końcu usynowił go Tyberiusz. Plotka głosiła, że skłonił go do tego sam August, oczywiście za namową Liwii. Znasz kogoś, kto miał poważniejsze powody, żeby nienawidzić tej kobiety?

Kleopatra wahała się przez chwilę, w końcu odpowiedziała:

– Antonia ma tyle cnót, że nienawiść nawet nie przyjdzie jej do głowy.

– Wróćmy do ciebie. Już prawie rozumiem. Jak najdalej od Liwii, tego jadowitego pająka, więdźmy, która żeby zapewnić tron synowi, zniszczyła najwartościowszych ludzi Rzymu.

– Wierzysz teraz, pani, że przybyłam tu z konieczności? Że nie chcę stawać między tobą a prefektem?

Prokula ostrożnie, jakby z wahaniem kiwnęła głową.

– Porozmawiajmy o tobie, pani – poprosiła Kleopatra.

– O mnie? Dlaczego?

– Nazywasz się Prokula Skrybonia, prawda? Twój dziadek był kuzynem pierwszej żony Oktawiana Augusta, Skrybonii. Czy nie jesteśmy w jakiś sposób spokrewnione?

– Jeżeli łączy nas jakikolwiek łańcuch pokrewieństwa, to żeby policzyć jego ogniwa, nie starczyłoby palców u obydwu rąk. Ale rozumiem, o co ci chodzi. – Wstała, obeszła stół, podała rękę Kleopatrze i pomogła jej się podnieść. – Usiądź tu obok, półsiostró w piątym pokoleniu, półkuzynko w siódmym.

– Wygląda na to, że coś cię jednak zadziwiło? Prokula usiadła z powrotem w fotelu i klepnęła poręcz sąsiedniego. Kleopatra zajęła wskazane miejsce.

– Przeraza mnie, że tyle zła działo się w najściślejszych kręgach.

– Myślałaś, pani, że August opiekował się Antonią?

– Niewiele do nas docierało.

Kleopatra pochyliła się w jej stronę, jakby obawiała się, że ktoś może podsłuchiwać, i szepnęła:

– Mówiono nawet, że Liwia kazała otruć Augusta, kiedy Germanik znajdował się daleko. Wybrała taki moment, żeby Tyberiusz...

– Mówiłam już, że nie należeliśmy do najbliższej rodziny. Małżeństwo Oktawiana, jeszcze wtedy nie Augusta, ze Skrybonia, zostało zawarte wyłącznie z powodów politycznych. Nie przetrwało długo. Pozostała po nim jedyna córka, Julia – Prokula zamilkła, ale kiedy Kleopatra chciała coś powiedzieć, uniosła rękę. – Niech pomyślę. Wasza karawana, Ao Hidis i księżę rozbójników, Belhadad. I ten Rufus, którego uważasz za człowieka Sejana.

– To nie są moje przypuszczenia, sam mi to powiedział. W formie bardzo wyraźnej aluzji. Do czego zmierzasz?

– Do Antonii.

– Och... – Kleopatra poczuła się tak, jakby czyjaś zimna ręka chwyciła ją za serce. Na wspomnienie lodowatych kazań o cnocie całe jej ciało przeszedł chłód. Ogarnął ją lęk na myśl, że mogą powrócić także inne, jeszcze gorsze obrazy z przeszłości.

– Masz z nią jeszcze kontakt?

– Uważasz, pani, że chciałaby znać kogoś takiego jak ja? – Ponownie poczuła zimny skurcz w okolicy serca.

– Jest równocześnie odwrotnością i wierną kopią tego potwora Liwii – powiedziała Klaudia Prokula w zamyśleniu. – Jej cnotliwym lustrzanym odbiciem.

Kleopatra milczała. Wiedziała, co teraz nastąpi, i z całego serca nie chciała tego usłyszeć.

– Również w sensie wpływów – dokończyła Prokula swoją myśl. – Wiesz, komu Piłat zawdzięcza stanowisko?

– Antonii?

– Tak. Nienaganna opinia wraz z odpowiednimi znajomościami i wiedzą bardzo pomagają w zdobyciu władzy. Sama rozumiesz, świnia na wyspie kóz. Cesarz się jej boi. Mogłabyś zwrócić się do niej.

– Może gdybym została w Aleksandrii, spróbowałabym to zrobić – Kleopatra mówiła powoli, ze ściśniętym gardłem – ale z Berenike czy Adane...

– To znaczy, że nadal pozostajesz z nią w kontakcie. – Brzmiało to jak stwierdzenie, nie przypuszczenie. – Ale zdajesz sobie sprawę, co ona uważa za swój obowiązek? Obowiązek pani wobec sług?

Kleopatra w milczeniu skinęła głową.

– Odniosłam wrażenie, że interesowałaś się tym kupcem, Demetriosem – Prokula obrzuciła Kleopatrze złośliwym spojrzeniem – ale po wczorajszej nocy mam wątpliwości.

Kleopatra nie odezwała się ani słowem. Zastanawiała się, co Prokula jeszcze wie.

– Musi ci jednak zależeć na twojej służącej, Glauke. Znalazła się w takim położeniu wyłącznie z twojego powodu.

– Co ja mogę zrobić? Samotna kobieta przeciwko tym wilkom z pustyni.

– Doskonale sobie radziłaś w innym stadzie drapieżników, w Aleksandrii. Kolumella wyjeżdża za parę dni. Możesz się z nim zabrać w okolice Ao Hidis. Będzie cię chronił. To spokojny i godny zaufania człowiek, wojskowy i podwładny cesarza. Spróbuj coś załatwić. Twoje dwie towarzyszki zostaną tu do twojego powrotu. Później się zastanowimy, czy i jak pisać do Antonii.

Piłat i Kolumella przebywali poza twierdzą. Mówiono, że udali się do pałacu królewskiego, żeby porozmawiać z Herodem Antypasem. Kiedy Kleopatra znalazła się w pokoju na piętrze, Thais i Arsinoe nie wróciły jeszcze z miasta.

– No i dobrze – mruknęła. Powoli podeszła do swojego posłania, na które składały się dwie maty, ułożone jedna na drugiej. Chciała się w nie wtulić, narzucić coś na głowę i zacisnąć powieki tak mocno, żeby tylko ciekły łzy, a żadne obrazy ze świata zewnętrznego nie raniły jej źrenic i duszy. Zamiast tego oparła się o ścianę, wczepiła palce w obramowanie okna i patrzyła

bezmyślnie na podwórzu. „Co ja mam zrobić?” – powtarzała w kółko jedno pytanie i nie znajdowała odpowiedzi. Zmuszono ją do czegoś, czego z całego serca nie chciała. Przychodziło jej do głowy tylko jedno słowo: szantaż. Miała ochotę odpłacić tym samym: pojechać do Cezarei i porwać troje dzieci Piłata i Prokuli. Oczywisty nonsens. Jak mogłaby się dostać do pilnie strzeżonego pałacu i opuścić go z trójką sporych dzieci, nie zwracając niczyjej uwagi? Piłat zabrał swoją kohortę do Jerozolimy, ale w pałacu została służba i załogi rzymskich okrętów, które cumowały w porcie. Poza tym na pewno zastosowano wszelkie środki ostrożności. Doszła do wniosku, że nie ma sensu dłużej rozważać takiego absurdalnego pomysłu. Prokula trzymała ją w garści. Wzięła nawet zakładniczki – Thais i Arsinoe. Postawiła warunek: list czy jakakolwiek forma pomocy w odzyskaniu dóbr w Egipcie dopiero po powrocie z pustyni. Ma szukać Glauke i narażać się na zgwałcenie i śmierć z rąk arabskich bandytów. Demetrios. Czemu wtedy, w podróży, kiedy go miała pod ręką, nie złamała wprowadzonej przez siebie zasady? Niech Hades pochłonie całą tę grę pozorów, idiotyczną farsę z udawaniem księżniczki i dam dworu. Lepiej być suką na pustyni niż księżniczką w zimnych, marmurowych pałacach. Myślała gorączkowo na przemian to o Aferze, to o Demetriosie i o obydwu naraz. W końcu stwierdziła, że lepiej zapomnieć o jednym i drugim. Demetrios na pewno dawno już nie żyje, zamordowany albo zamęczony na śmierć. Afer prawdopodobnie wkrótce zejdzie za nim do świata podziemi i będą mogli sobie opowiadać o tym, czego jeden doświadczył, a drugi tylko sobie wymarzył. A ona będzie siedziała gdzieś na kupce rozpalonego piasku, strzeżona przez wojsko Kolumelli, i uciekała przed myślą o śmierci. Do tego czasu zobaczy tak wiele, że będzie budzić się w środku nocy z krzykiem i starać się wymazać z pamięci potworne wspomnienia. W końcu, jeżeli przetrwa cały ten koszmar, ucieszy się z pośpiesznego odwrotu. Pod pewnym względem na politykach zawsze można polegać. Utrzymują odpowiedni dystans do ludzi i dzięki temu potrafią bez wahania wysłać ich na śmierć.

Usłyszała kroki w korytarzu, a potem skrobanie do drzwi. Otworzyła i zobaczyła jednego ze służących. Oznajmił jej, że prefekt i jego żona proszą, żeby przed wyruszeniem w drogę nie chodziła do miasta i nie narażała się na niebezpieczeństwa. Jej towarzyszkę również nie powinny się oddalać. Strażnicy przy bramie otrzymali już odpowiednie instrukcje.

Dopiero dwa dni później zrozumiała motywy postępowania Prokuli. Nie kierowała się żądzą zemsty. Rozrywki męża w Aleksandrii i Kanopos nie zrobiły na szlachetnej Rzymiance żadnego wrażenia. Piłat osiągnął odpowiednio wysokie stanowisko, urodziła mu dzieci, ale nie

przejmowała się tym, jak zabawiał się poza domem. Nie wyprowadziło jej z równowagi także i to, że Kleopatra odważyła się złożyć prefektowi, a więc także i jej, niezapowiedzianą wizytę. Nie miało to żadnego znaczenia, podobnie jak i sama osoba Kleopatry. Kim była jakaś tam Macedonka czy Egipcjanka dla Rzymianki z rodu Skrybonii? Nikim, śmieciem, a może jeszcze gorzej. Kto wie, czy podobnie jak ortodoksyjni Żydzi nie obawiała się, że oddech barbarzyńskiej kobiety skazi powietrze, którym oddycha? O, nie, dla Żyda poganin, nieczysty, stanowił zagrożenie, a zatem coś dla niego znaczył. A Kleopatra nie była dla Klaudii Prokuli więcej warta niż scytyjska pasterka, ormiańska kuchta, żołnierska dziewczka, ryba czy kawał drewna. Ona zaś popełniła niewybaczalny błąd. Podała się za osobę równą urodzeniem, jakby macedońska Egipcjanka mogła być szlachetnie urodzoną. Z taką dumą opowiadała swój rodowód, a przecież była tylko bękartem syna Marka Antoniusza i służącej. Jej ojciec także pochodził z niezalegalizowanego przez prawo związku rzymskiego wodza z diugonosą Egipcjanką. Prawowitą żoną Marka Antoniusza była Oktawia, siostra przyszłego Augusta. A babka? Najpierw żyła z własnym bratem, później z Gajuszem Juliuszem Cezarem. A Kleopatra wróciła do swojego pokoju taka dumna, że sprytnie pokierowała rozmową i powołała się na znakomite koneksje! Popełniła niewybaczalny błąd. Nie dość, że uzurpowała sobie równe z Klaudią Prokulą pochodzenie, to jeszcze usiłowała jej wmówić, że są spokrewnione. Za taką bezczelność groziło biczowanie albo wygnanie na pustynię.

Thais i Arsinoe nie komentowały otrzymanych poleceń. Chyba wolały pozostać w twierdzy jako zakładniczki, niż włączyć się po bezdrożach wraz z oddziałem żołnierzy. Kleopatra wolała nie pytać, co o tym wszystkim myślą.

Kobiety nie mogły opuszczać twierdzy, lecz nie zabraniano im rozmawiać ze służbą. Osoby, które dostarczały im jedzenie, opowiadały czasami o tym, co się dzieje na zewnątrz. Tuż przed świętem Paschy do pękającej już w szwach Jerozolimy przybyło jeszcze więcej pielgrzymów. Zaczęły się też niepokoje. Niektórzy odwiedzili święte miasto nie tylko po to, żeby zgodnie z tradycją czcić jedyne Boga. Przy każdej okazji dawali Rzymianom do zrozumienia, że uważają ich za intruzów, wrogów i zniechęconych okupantów. Kiedy służący przyniósł im miski z prawie niejadalną zupą, rozmawiały właśnie o kaznodziejach, którzy nawołują do powstania przeciwko cesarstwu. Thais zwróciła się do niego:

- Co na to Piłat?
- Nie przejmuję się.

– Przecież to może się okazać niebezpieczne.

– Od tego mamy kohortę. Samarytanie nienawidzą Żydów. Jeżeli dojdzie do konfliktu, można na nich polegać. Będą walczyć zacieklej niż Rzymianie i Grecy.

– Co robi Kajfasz? – spytała Kleopatra.

– Najwyższy kapłan? Jest za mądry, żeby cokolwiek robić. Próbuje uspokoić swoich ludzi. Nie ma wyboru.

– Jak to, mógłby przecież... – zaczęła Arsinoe.

– Nie bardzo – przerwał służący. – Zdaje sobie sprawę z potęgi Rzymu. Wie, że jeżeli wybuchnie powstanie, przybędą legiony i krwawo je stłumią. On zostałby skazany pierwszy. Dlatego stara się utrzymać pokój. Jeżeli zaczną się rozruchy, sam zwróci się przeciwko buntownikom, żeby zachować dobre stosunki z Rzymem – uśmiechnął się. – W każdym razie jesteście tutaj, w twierdzy, zupełnie bezpieczne.

Przez kilka dni Kleopatra próbowała dostać się do Piłata albo przynajmniej do Kolumelli. Strażnicy, pisarze i pomocnicy odpowiadali jej za każdym razem, że obaj są zajęci ważnymi sprawami. „Nie mają czasu dla jakiejś szumowiny z Aleksandrii – myślała z goryczą – dla jakiegoś marnego robaka bez żadnego znaczenia”. Szóstego dnia po niefortunnej rozmowie z Prokulą przyszedł po nią rano pisarz Kolumelli. Doradca prefekta przyjął ją w ciasnym pokoju, pełniącym rolę biura, gdzie dyktował urzędnikom listy i rozkazy.

– Pracujcie dalej – polecił podwładnym – zaraz wracam. Zabrał Kleopatrze do jeszcze mniejszej klitki. Stał tam tylko stół i kilka taboretów. Przeszło jej przez myśl, że znalazła się w poczekalni, gdzie zatrzymują się strażnicy przed zmianą warty.

– Jutro wyruszamy – poinformował ją Kolumella. – Jesteś gotowa?

– Jakim cudem? Nawet nie wiem, jakiej odzieży, broni i ile żywności mogę potrzebować.

– Nie martw się. Nasz oddział musi się bardzo spieszyć. Czeka cię szybka jazda. Wystarczy chiton, chlamida i kapelusz.

– Nie mam ani odpowiedniego płaszcza, ani nakrycia głowy. Niczego, co nadawałoby się na wyprawę wojenną.

– Każę ci zaraz wszystko dostarczyć. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, wyjeżdżamy trzy godziny po wschodzie słońca. Przygotuj się.

– Czy prefekt wie?

– Oczywiście, nic nie dzieje się bez jego wiedzy i przyzwolenia.

– Tego się obawiałam – pokiwała głową. – Ale powiedz mi, panie, dlaczego właśnie jutro? Nie dzisiaj, nie wczoraj, nie pojutrze? Czy są jakieś szczególne powody?

Kolumella potarł oczy. Wyglądał na przemęczonego. „Zbyt wiele pism i zbyt wiele obowiązków – pomyślała. – Chętnie uwolniłabym go przynajmniej od odpowiedzialności za mnie”.

– Trzeba załatwić różne ważne rzeczy – odpowiedział doradca. – Sprawy zaszły już tak daleko, że nie możemy dłużej czekać. Kampania przeciwko Ao Hidis ma się zacząć w określonym dniu. Dlatego właśnie jutro opuszczamy Jerozolimę. Z czego osobiście bardzo się cieszę.

– Lubisz pustynię, walkę i krew?

– Lepsza rana od miecza niż od kamienia, rzuconego z ukrycia. Jutro jest wigilia Paschy, jak nazywają to miejscowi. Według żydowskiego kalendarza, zaczyna się dzisiaj wieczorem. Tak jak zmierzch oznacza dla kruka poranek, a dla gołębia wieczór, albo odwrotnie – uśmiechnął się. – W każdym razie, dla Żydów dziś po zmroku zaczyna się jutrzejszy dzień – wigilia Paschy. Żeby przygotować się do święta, każdy z nich ma obowiązek wypić co najmniej trzy kubki wina. Szykuje się zatem wielka uczta. Jutro, według naszej rachuby oczywiście, wszyscy będą niewyspani i pijani i odejdzie im ochota do kłótni. Doświadczenie uczy, że jeżeli dojdzie do rozruchów, to najpóźniej dzisiaj. Jutro nie będę już prefektowi potrzebny i mogę spokojnie wyjechać.

– Z tego, co zaobserwowałam, wiele awantur zaczyna się właśnie wtedy, kiedy ludzie tego popijają.

Kolumella ziewnął i próbował się uśmiechnąć.

– Na ogół tak bywa, ale nie zapominaj, że oni muszą wypić trzy kubki wina na cześć swojego Boga. Wielu z własnej woli rozszerzy ten zbożny obowiązek o dalsze trzy kubki. Po takiej ilości trunku świat pięknieje i nawet Rzymianie wydają się mili. A Samarytanie stają się mniej ważni niż kilka godzin zdrowego snu. Idź już. Zobaczymy się rano.

Thais i Arsinoe objęły ją na pożegnanie. Nie powstrzymały się od uwag na temat szorstkiego materiału podróżnego płaszcza i brzydkiego kapelusza.

– Mamy cię odprowadzić? – zapytała Thais.

– Zostańcie tu, na górze. Nie znam ich planów, może wyruszymy zaraz, a może będzie trzeba długo czekać. Co komu przyjdzie z waszej obecności?

– Prawdę mówiąc, ja też wolę uczestniczyć w innego rodzaju imprezach – roześmiała się Arsinoe – ale będziemy zachowywać się przyzwoicie. Nic innego nam nie pozostaje.

– Czy mam pozdrowić Leonidasa i Meleagrosa, jeżeli ich spotkam?

– Po co? – roześmiała się Thais – polubiłyśmy ich, ale lepiej przyślij nam dwóch nowych. W najbliższym czasie będziemy i tak prowadzić wyjątkowo monotony tryb życia.

Kiedy Kleopatra wyszła na dziedziniec, przy bramie panowało spore zamieszanie. Jacyś ludzie z zewnątrz wrzeszczeli na wartowników, a ci odpowiadali im w podobnym tonie. Zanościło się na to, że obie strony wkrótce sięgną po broń. Centurion samarytańskiej kohorty, Rzymianin, włókł się znudzony w kierunku arkady. Kleopatra uznała, że nie dzieje się nic poważnego, inaczej dowódca przyspieszyłby kroku. Przeszła do frontowej części dziedzińca i usiadła na kamiennej ławce, niedaleko sali audiencyjnej Piłata.

Po chwili nadszedł, nieco szybciej niż poprzednio, ów znudzony centurion. Za nim dwaj żołnierze prowadzili długowłosego, brodatego mężczyznę, ubranego w szatę do kostek. Kleopatra przypomniała sobie opowieści Kolumelli o Żydach i rozruchach. Ten człowiek wyglądał na Żyda, ale nie na awanturника („Jak właściwie wyglądają awanturnicy?” – zastanawiała się przez chwilę). Kiedy znalazł się tuż obok, stwierdziła, że nie czuć od niego wina. Obserwowała go z ukosa, ukradkiem. Zapewne poczuł na sobie jej spojrzenie, bo odwrócił głowę. „Ma dobrą twarz – pomyślała – łagodną i stanowczą jednocześnie”. Spuściła wzrok i ujrzała silne, muskularne dłonie robotnika. „Może być cieślą albo powroźnikiem – próbowała domyślić się jego zawodu – w każdym razie ani pisarzem, ani uczonego”. Znowu popatrzyła mu w oczy. Trwało to nie dłużej niż potrzeba, aby zaczerpnąć dwa oddechy. Ale miała wrażenie, że w tej krótkiej chwili obcy przejrzał ją na wylot, odkrył jej wszystkie tajemnice. Równocześnie wyczuła jakieś ciepło oraz zrozumienie i pociechę. Wszystko, co dotąd skrywała przed światem, stanęło jej nagle przed oczami: porażki i wstyd, nędzne małe zwycięstwa, nikczemne kłamstwa, impertynencje, zarozumiałość, odwaga i tchórzostwo, to, czego żałowała, nad czym płakała i z czego się śmiała. W jej uszach zabrzmiało każde wypowiedziane i każde przemilczane słowo. Wszystko zostało nagle obnażone i ponownie ukryte. Poczowała się bezsilna i wzmocniona, osądzona, zganiona i nagrodzona równocześnie, jakby jej dusza rozpadła się na małe kawałeczki i ponownie złożyła w jedną całość. „W nową, lepszą całość” – stwierdziła z bezgranicznym zdumieniem. „Co to za człowiek?” – myślała oszołomiona. Drzwi się otworzyły i nieznajomy odwrócił się w tamtym kierunku. Niepowtarzalna, jedyna chwila minęła bezpowrotnie. Usłyszała

głos prefekta. Był wściekły.

– Co to ma znaczyć, na wszystkich bogów? Musicie mi przeszkadzać, kiedy mam tyle roboty?

– Ludzie Kajfasza przyprowadzili nam tego człowieka, panie – tłumaczył centurion z zakłopotaniem. – Twierdzą, że ogłosił się królem żydowskim i nawołuje do powstania przeciwko Rzymowi.

– Co takiego?!

Rozległ się łomot, jakby ktoś gwałtownie roztrzącał krzesła czy stoły. Piłat wyszedł z sali i stanął naprzeciwko rzekomego wicherzyciela. Obrzucił Kleopatrę niechętnym spojrzeniem i zwrócił się do centuriona:

– Gdzie go schwytali?

– W ogrodzie, ubiegłej nocy. Twierdzą, że Kajfasz już go parę godzin przesłuchiwał.

– Jak się nazywa?

– Jehoszua.

– Ten Jehoszua? Z Galilei? – Piłat przyjrzał się mężczyźnie nieco uważniej. Ten nieznacznie skinął głową, przynajmniej tak się Kleopatrze wydawało.

– No i co ja mam z nim zrobić? – jęknął Piłat i skrzyżował ramiona na piersi. Nagle uśmiechnął się dość ponuro.

– Mówicie, że ogłosił się królem? No to zaprowadźcie go do Heroda. Niech król zajmie się królem – odwrócił się i wszedł z powrotem do sali.

– Chodźmy, Jehoszuo, czy jak ci tam – westchnął ciężko legionista – miejmy to wreszcie z głowy.

Idąc do bramy, wykrzyknął jakiś rozkaz. Przypuszczalnie zażądał dodatkowej eskorty, bo dołączyło do nich dwóch strażników. Ale Kleopatra nie słuchała, wpatrzona we własne wnętrze. Usiłowała dojść do ładu ze sobą i światem, poskładać w całość rozrzucone kawałki własnego ja. Zatopiona w myślach, walczyła równocześnie z ogarniającym ją przerażeniem. Wydawało jej się, że nie tylko Jehoszua przejrzał ją na wylot, ale i ona zajrzała w zakamarki jego duszy. Była pewna, że ma łagodny, a mimo to silny charakter. Przeczuwała w nim coś więcej niż siłę. Ten mężczyzna był obdarzony jakąś niezwykłą mocą, pokorny i potężny równocześnie. Ale w jego oczach zobaczyła jeszcze coś, co wywarło na niej najgłębsze wrażenie: nieskończony smutek i determinację. Wyglądał jak ktoś, kto chce umrzeć i wie, że jego los wkrótce się dokona.

Zasłoniła ręką usta. Przypomniała sobie inne przeżycie z Kanopos, sprzed lat. Pewien człowiek wtargnął wtedy w sam środek rozbawionego tłumu i ciął mieczem na prawo i lewo, zabijając każdego, kto stanął mu na drodze, na oślep, bez wyboru. Wykrzykiwał przy tym imię swego boga, bogini, czy też wiele imion, póki żołnierze nie przebili go włóczniami. Kleopatra napotkała jego wzrok i na chwilę zatonęła w otchłani głębokich, mrocznych oczu o niesamowitej sile wyrazu. Ale tamten widok nie wstrząsnął nią tak jak dzisiejsze ciche spotkanie. Kiedy Jehoszua, centurion i dwaj wartownicy odeszli, jeden ze strażników oddalił się od bramy i powiedział coś do służącego przy wejściu do sali przyjęć.

– Prefekt będzie zachwycony – warknął sługa i zniknął za drzwiami.

Po chwili Kleopatra usłyszała jakieś dźwięki, jakby stłumione przekleństwa czy pomruk wściekłości. A zaraz potem głośne, wyraźne pytanie:

– Gdzie jest ten stary, głupi brudas?

– Przed bramą, panie. Wiesz przecież... – zaczął strażnik.

– Wiem, wiem – Piłat uniósł ręce, wybiegł na dziedziniec i szybkimi krokami zmierzał do bramy – oczywiście. Wiem, że jako nędzny śmieć, przedstawiciel cesarza, muszę rozmawiać z tym parszywym psem na ulicy. On nie przekroczy przekłętogo, pogańskiego progu, boby się pobrudził!

Oddalił się szybko, tak że Kleopatra nie słyszała już dalszych złorzeczeń. Próbowwała zapomnieć o spotkaniu z nieznanym, ale bez skutku. W końcu doszła do wniosku, że powinna zachować w pamięci to niezwykle, przenikliwe spojrzenie. „A może lepiej nie?” – biła się jeszcze z myślami, kiedy Kolumella wyszedł z sali. Obejrzał się, dostrzegł ją i podszedł bliżej.

– Przeszkadzono nam, to może jeszcze potrwać. Tutaj ci niewygodnie. Nie wolałabyś zabrać się z pierwszym oddziałem i poczekać gdzieś za miastem? Na przykład przy dzbanie wina?

– Dziękuję, panie. – Była mu naprawdę wdzięczna. – Lepiej znaleźć się gdziekolwiek, niż siedzieć tutaj i patrzeć na to wszystko.

– Rozumiem – skinął głową. – Czy ten Jehoszua zrobił na tobie wrażenie?

– O, tak.

– Mówią, że to człowiek sprawiedliwy. – Kolumella chwycił się za ucho. – Piłat nie wie, co z nim zrobić ani dlaczego Kajfasz go przysłał. Miejmy nadzieję, że król go uwolni.

Kleopatra wyszła na zewnątrz wraz z dwunastoma Grekami. Jeden z nich niósł torbę z jej prowiantem. Za bramą, w odległości trzech kroków od siebie, stali Piłat i Kajfasz. Kleopatra

przyjrzała się kapłanowi z ciekawością, ale nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. Zwyczajny starzec o inteligentnych, ale złych oczach, z siwą brodą i pejsami, w długim czarnym płaszczu. Usłyszała podniesiony głos Piłata:

– A zatem wnosisz skargę z urzędu przeciwko temu sprawiedliwemu?

– Właśnie tak. Tylko nie nazywaj go sprawiedliwym. To wichrzyciel. Chce zburzyć porządek ustanowiony przez Boga, występuje też przeciwko Rzymowi. – Głos najwyższego kapłana, z gorąca, z wściekłości, z nienawiści, brzmiał zgryźliwie i szorstko.

– Nie obchodzą mnie prawa waszego Boga. Podejrzewam, że masz na myśli reguły, które służą tobie i innym do sprawowania władzy i wymuszania posłuchu. – Piłat nie usiłował nawet ukryć rozgoryczenia i niechęci. – Przesłucham go tylko w sprawie wystąpień przeciwko Rzymowi. Jeżeli wniesiesz oficjalne oskarżenie, nie będę miał innego wyjścia.

– Zrobię to.

– Jestem bardzo zajęty. Ostrzegam cię, jeśli mnie do tego zmusisz, nie przysłużysz się naszej przyjaźni.

– Nie przykładam zbyt wielkiej wagi do tego, co nazywasz naszą przyjaźnią.

W drodze do bramy musieli się przeciskać przez gęsty tłum. Kleopatra była wdzięczna losowi, że w ścisłości nie dało się rozmawiać. Dzięki temu miała czas zastanowić się nad tym, co zobaczyła. Prześladowały ją złe oczy Kajfasza – może raczej okrutne, władcze i chytne. Oczy człowieka, którym zawładnął straszliwy demon. „Ale takiego szaleńca traktuje się jak chorego i próbuje się przegnać z niego złe duchy – pomyślała. – Kapłan jest opętany przez swojego Boga. Takich jak on i jemu podobni nie można nazwać pobożnymi, posłusznymi nakazom wiary czy napelnionymi łaską – roześmiała się cicho do siebie. – Może należałoby potraktować ich jak obłąkanych i wypędzić z nich tego dziwnego, wyjątkowo złośliwego demona?”

Kolumella zjawił się wraz z ostatnim tuzinem żołnierzy dopiero po trzech godzinach. Wyglądał na wyczerpanego i przygnębionego. Wypił na stojąco łyk rozcieńzonego wina, oderwał kawał chleba i rozkazał:

– Wstawajcie, nie mamy czasu do stracenia.

Dalsze polecenia wydawał już po drodze. Kleopatra odczekała, aż skończy udzielać instrukcji dwóm podoficerom, i dołączyła do niego.

– Co cię tak długo zatrzymało, panie?

Spojrzał na nią z ukosa z posepnym wyrazem twarzy.

– Jehoszua – mruknął – cóż by innego?

– Jak się zakończyła jego sprawa?

Kolumella nie odpowiedział od razu. Długo poruszał szczęką, jakby miał w ustach olbrzymi, twardy kamień i musiał go dokładnie rozgryźć i przełknąć, zanim wypowie słowo. W końcu wyrzucił z siebie, patrząc gdzieś w bok:

– Wkrótce go ukrzyżują. – Wyciągnął rękę i złapał Kleopatę za ramię. – Tylko nie spadnij z konia.

Kleopatra z trudem chwyciła powietrze. Przerazona i obolała, czuła, jak jej oczy napęcznieją się łzami.

– Co takiego? Mówiliście, że jest niewinny!

– To prawda, ale też i głupi. No nie, przesadziłem. Raczej owładnięty jakąś ideą. Nie potrafię go zrozumieć, ale jestem przekonany, że on chce umrzeć.

– Dlaczego? – prawie wykrzyczała to pytanie.

– Ciszej! – Kolumella przyłożył palec do ust. – Kajfasz złożył na niego oficjalną skargę i Piłat był zmuszony wszcząć śledztwo. Zgodnie z naszym prawem, rozprawa odbyła się w przyspieszonym trybie. Może gdyby król go uniewinnił... nie, to też by nic nie dało. Herod Antypas nie ma władzy nad Jerozolimą.

– Przecież Jehoszua jest porządnym człowiekiem, a oskarżenia Kajfasza to wierutne bzdury.

– Wierutne bzdury – powtórzył jak echo Kolumella – masz rację. Kajfaszowi i innym zależy tylko na utrzymaniu własnej pozycji i wpływów. Jehoszua im zagraża, bo inaczej wyklada zasady wiary. Uświadamia ludziom, że mogą obyć się bez kapłanów i uczonych w Piśmie, że nie powinni bać się Boga, tylko czcić go czystym, kochającym sercem. Ot, marzyciel – zamilkł.

Kleopatra popatrzyła na niego zrozpaczona.

– Ale skoro to człowiek sprawiedliwy... – powtórzyła bezradnie najbardziej oczywisty argument, jaki przychodził jej do głowy.

– Herod odesłał Jehoszuę z powrotem do Piłata z notatką: „Nie znajduję w nim żadnej winy”. Prefekt myślał tak samo. Zamierzał przeprowadzić szybki, formalny proces, zakończony uniewinnieniem. Ale sam Jehoszua mu w tym przeszkodził.

– W jaki sposób? – spytała Kleopatra łamiącym się głosem. Przymknęła oczy i przypomniała sobie tamto spojrzenie: spojrzenie człowieka, który pragnie umrzeć.

– Na początku Piłat zapytał bardziej żartem niż serio: „A więc jesteś królem żydowskim?”.

A Jezus na to: „Ty to powiedziałaś, nie ja”. Później zaczęło się normalne przesłuchanie: imię, nazwisko, pochodzenie i tak dalej.

– I co?

– I nic – Kolumella wzruszył ramionami. – Nie powiedział nic więcej. Ani jednego słowa.

– Ani jednego? – Kleopatra nie poznawała własnego głosu. Jak wszyscy wykształceni mieszkańcy cesarstwa dobrze wiedziała, jakie są konsekwencje milczenia w czasie procesu sądowego. Patrzyła w dal, jakby próbowała znaleźć pocieszenie w kępie krzewów, rosnących obok drogi. „Przyjazne róże – myślała – i wrogie ciernie”.

– Prefekt reprezentuje cesarza – tłumaczył doradca – a kto nie odpowiada na pytania cesarza, popełnia wykroczenie. – Przerwał i próbował znaleźć odpowiednie słowo, a kiedy go nie znalazł, dokończył po łacinie: – *eontumacia*, rozumiesz?

– Sprzeciw – przetłumaczyła – hardość, opór, niesubordynacja.

– Dziękuję. Opór przeciwko Augustowi, którego reprezentuje prefekt, karze się biczowaniem i ukrzyżowaniem. Ach, czemu nie przemówił?

– Co teraz? – spytała słabym głosem.

– Już zaniósł poprzeczną belkę na miejsce kaźni, tam, gdzie ustawiono słupy do krzyżowania. To nie potrwa długo. – Spojrzał w niebo i dokończył. – Co innego też nie.

– Co masz na myśli?

– Nasz matematyk, Astianus, wyliczył, że dzisiaj około południa, albo trochę później, nastąpi zaćmienie słońca. Widzisz? – wskazał tarczę słoneczną, przesłoniętą już częściowo ciemnym kręgiem księżyca.

Na krótko zapanował półmrok. Kleopatra stwierdziła, że ciemności ogarnęły nie tylko całą ziemię, ale przeniknęły także do wnętrza jej duszy. Nagle przerażony koń stanął dęba. Inne zwierzęta zareagowały podobnie.

– Cóż to takiego, koniec świata? – zdumiał się Kolumella. – Nie, już znowu robi się widno.

– Dlaczego niektórzy ludzie postępują w ten sposób? Dlaczego chcą umierać?

– Z wielu powodów – doradca prefekta roześmiał się szyderczo. – Jedni chcą osiągnąć coś, co im się nie udało za życia. Marzą o podziwieniu, uznaniu i rzeszach naśladowców. Inni giną za przekonania, ponieważ cenią pewne zasady bardziej niż własne życie. Niektórzy pragną znaleźć się jak najszybciej na tamtym świecie. Głupota, nikt przecież nie wie, jak on wygląda i co nas tam czeka. Nie zapominaj, że już za parę dni kilka tysięcy gotowych na śmierć mężczyzn ruszy

do boju. Będą narażać własne i cudze życie, tylko dlatego, że dwóch innych tak im kazało.

– Kim są ci, którzy wydają rozkazy?

– Belhadad i ja. Albo cesarz, ale w tym wypadku to wszystko jedno – westchnął ciężko. – To straszne, że dobry człowiek chce umrzeć. Potworne, kiedy umiera sprawiedliwy. Ale nikt nie będzie żył wiecznie. Śmierć Jehoszuy nie ma dla nas większego znaczenia. Dla cesarstwa na razie też nie – uśmiechnął się przelotnie i nieco ironicznie. – O życie duchowe miejscowej ludności zatroszczy się Kajfasz. Porozmawiajmy lepiej o czymś innym. Na przykład o Ao Hidis.

Po czterech dniach szaleńczej, wyczerpującej jazdy tuż przed zachodem słońca dotarli do doliny na pustyni.

– Pozostali powinni już tu na nas czekać. – Kolumella kiwnięciem ręki przywołał jednego z podoficerów. – Mówiłem ci już wczoraj, że chyba pomyliliśmy kierunek i pojechaliśmy za daleko na wschód. Jesteś pewien, że dotarliśmy we właściwe miejsce?

– Ja... – zaczął mężczyzna i przerwał. Uniósł tylko rękę i wskazał grzbiety pobliskich gór. Kilkuset jeźdźców z obnażonymi mieczami jechało po zboczach w dół, w kierunku wejścia do doliny. Grecy bronili się dzielnie, ale nie mieli szans wobec przeważających sił wroga. Przy życiu pozostali tylko trzej żołnierze, Kolumella i Kleopatra. Wojownicy z zasłoniętymi twarzami, na koniach, otoczyli ich zwartym kręgiem i skierowali w ich stronę ostrza włóczni.

– Przygotuj się na śmierć – szepnął Kolumella. – Może wkrótce otrzymasz odpowiedzi na więcej pytań, niż przyszło ci do głowy w ciągu całego życia.

– Kolumella? Doradca prefekta Judei i Samarii? – zapytał jeden z mężczyzn – I księżniczka Kleopatra, prawda? – odsłonił twarz. Kleopatra rozpoznała Araba, który porwał Demetriosą, Ravię i Glaukę.

– Tych dwoje zabieramy – rozkazał herszt. – Resztę zabić!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Próba uciezki

*Dręczy mnie obawa, że zgrzeszyłem przeciwko bogom i właśnie dzięki temu zyskałem
poważanie wśród ludzi.*

IBYKOS

Wszystko wokół wydawało się Demetriosowi nierzeczywiste: pola i ogrody w środku pustyni, oaza zamieniona w miasto, wreszcie sympatia porwanej kobiety do dowódcy gwardii. No i zachowanie ludzi: mieszkańcy Ao Hidis wiedzieli o planowanym ataku Rzymian i wcale się tym nie przejmowali, książę przestał się pojawiać, Rufus albo zdradził swoich, albo uwikłał się w jakąś podwójną grę. Oprawcy, którzy wcześniej grozili więźniom torturami, teraz w ogóle się nimi nie interesowali. A stary Hindus siedział z Grekiem w arabskiej oazie i próbował dowiedzieć się od niego jak najwięcej o Rzymie.

– Dlaczego cię to interesuje? Akurat tu i teraz?

Ravi wpatrywał się we własną dłoń, w którą nabrał piasku.

– Właśnie dlatego.

– Z powodu ręki czy piachu?

– Z obydwu powodów. My dwaj jesteśmy jak te ziarenka. Belhadad i jego ludzie mają nas w garści. Wkrótce zaciśnie się na niej większa, silniejsza dłoń Rzymu. Tę zaś trzyma jeszcze potężniejsza ręka bogów. Niewiele o nich wiem. W młodości modliłem się do bóstw indyjskich, potem już do żadnych. Arabscy nie pociągali mnie zbyt, o rzymskich miałem dość mgliste pojęcie. Jestem pyłem i prochem, jak towarzyszka mojego życia, która zniknęła na zawsze. Znam dłoń, która mnie pojmała i nie wypuszcza z uścisku. Czy to dziwne, że chcę poznać i tę, która ją wkrótce pochwyci, a może nawet zmiążdży? Demetrios milczał przez chwilę.

– Nie jestem pewien, czy masz rację – powiedział cicho. – Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób Rzymianie zamierzają opanować Ao Hidis. Ani jak mogłoby im się to udać. Jestem przekonany, że tylko się niepotrzebnie wykrwawią. Nie ma sensu o tym rozmyślać. Fenicjanie

mawiają: „Po co się drapać tam, gdzie człowieka nie swędzi?”.

– Kiedy mnie właśnie swędzi – Ravi roześmiał się. – Opowiedz mi o Rzymie.

– Co chcesz wiedzieć? Jak wygląda miasto, ludzie, budowle, obyczaje? Czy interesuje cię historia?

– Wszystko. Poznałem paru Rzymian, żołnierzy i kupców. Uważam ich za doskonałych wojowników i zdolnych handlarzy. Ale poza tym są wyjątkowo arogancy. Nie mają pojęcia o świecie i nawet nie próbują zdobywać wiedzy, oprócz tej, która może się okazać przydatna w interesach lub w życiu codziennym.

– Mówimy o panach świata. Na początku zamieszkiwali wioskę na bagnistym brzegu rzeki. Żeby wydostać się z bagien, wspięli się na siedem wzgórz. Byli jeszcze wtedy poddanymi obcych królów. Kiedy uwolnili się spod ich władzy, sami zaczęli napadać i podbijać sąsiadów. Tak rozsmakowali się w wojennym rzemiośle, że wkrótce należała do nich cała Italia. Wtedy przeprawili się przez morze i góry i włączyli do swojej rodziny kolejne kraje i narody. Siłą. Tych, którzy nie chcieli się poddać, wymordowali. Wydaje mi się, że właśnie osiągnęli kres. Nie tego, co mogliby zdobyć, tylko tego, co ich pociąga. Granicę stanowią bagna, pustynie, lasy, morza i góry. To, czego jeszcze nie podbili, albo znajduje się zbyt daleko, albo nie rokuje zysków. Albo, jak w przypadku Partów, wymaga zbyt wielu nakładów. To wszystko, czy chcesz jeszcze coś wiedzieć?

– Tak powstają imperia – Ravi kilkakrotnie pokiwał głową. – W Indiach również. Ale są w stanie przetrwać jedynie wtedy, kiedy okupant daje coś tym, którzy przeżyli wojnę. Co oferują Rzymianie?

– Uciskają poddanych i równocześnie chronią ich przed uciskiem ze strony innych. Zabijają miliony, dlatego bronią tych, którzy przeżyli, przed śmiercią z rąk obcych. Budują drogi, żeby umożliwić swoim wojskom szybki marsz. Później tymi szlakami do okupowanych krajów wędrują kupcy i towary. A także lekarze, żywność i wiedza – Demetrios westchnął. – Moi przodkowie, Grecy, tworzyli wspaniałą sztukę. Ale nie potrafili się porozumieć i ciągle ze sobą walczyli. Może wspólnymi siłami oparliby się najeźdźcom.

– Co zrobili Rzymianie z dziełami twoich przodków?

– Niektóre zabrali, inne skopiowali. Przywłaszczyli sobie również podbitych bogów i wybudowali im świątynie w stolicy. Zagarniają wszystko: bogów, ludzi, rzeźby, złoto. Wszystko – powtórzył.

Ravi przez dłuższą chwilę patrzył przed siebie w milczeniu.

– Masz dla nich szacunek, prawda? I jednocześnie ich nienawidzisz.

– O ile da się pogodzić te dwa uczucia. Szanuję poszczególne osoby, ale denerwują mnie panowie świata. Korzystam z ich dróg i cieszę się, że mogę przejechać tysiąc mil i nie płacić cła setkom ksiąząt. Albo podporządkowywać się tysiącom nieznanych mi przepisów, czy też je łamać. Byłoby wspaniale, gdyby mogło istnieć wiele państw. Lecz gdyby powstały, ich obywatele zaczęliby zaraz walczyć między sobą, jak to już w historii bywało. Może i lepiej, że mamy jedno wielkie cesarstwo. To złożone zagadnienie, przyjacielu. Może ludzie... – przerwał, bo przed nimi wyrósł jak spod ziemi Baradija.

– Poważne tematy, z tego co usłyszałem. Przykro mi, że przerywam, ale ksiązę chce was widzieć.

– Czy wiesz, czego sobie życzy? – spytał Demetrios. Wstał i podał rękę Raviemu.

Baradija zmrużył oko.

– Przerażeni? Nie sędzę, żeby zamierzał was przesłuchiwać. Nie wezwałby was do świątyni. Do tego służy specjalna sala.

– Wydaje się, że za nią nie przepadasz?

– Och... – Baradija roześmiał się. – Ja uwielbiam kobiety. I pokoje, w których można przyjemnie spędzić noc. Lubię tylko takie komnaty, które nadają się do spania. Inne budzą we mnie niechęć. Chodźcie.

Podążyli za nim w kierunku twierdzy tak szybko, jak tylko pozwalały na to zawadzające, brzęczące kajdany. Nie weszli jednak do warowni. Minęli ją i udali się dalej na wschód. Okrążyli mury twierdzy i w końcu znaleźli się przed budynkiem, jakby przyklejonym do skalnej ściany na południu doliny. Smukłe kolumny z czerwonego kamienia, ze spiralnymi żłobieniami, podtrzymywały prosty, płaski dach, pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Pod nim znajdował się rodzaj przedsionka z rzeźbami. Nie wyglądały na wyobrażenia bogów, raczej żołnierzy: potężne postacie w pancerzach, hełmach i płaszczach. Niektóre trzymały oszczepy lub opierały się o długie, proste miecze. Żadna z nich nie miała twarzy. Artysta zostawił idealnie gładką powierzchnię, nie zaznaczając nawet nosa, oczu czy ust.

– Co im jest? – zainteresował się Ravi.

– Pilnują wejścia. – Baradija podszedł do otworu w skale. Jeżeli kiedyś był wylotem jaskini, to został kunsztownie obrobiony i wygładzony. Weszli do pomieszczenia, w którym płonęło

kilka pochodni.

– Jak mogą czegokolwiek strzec, skoro nic nie widzą? – zażartował Demetrios.

– Ale czują – Baradija mówił zupełnie poważnie. – Bogowie i demony nie potrzebują oczu, by widzieć, uszu, by słyszeć, ani ust, aby mówić.

Wprowadził ich do obszernej sali, urządzonej we wnętrzu jaskini. Kiedy wzrok Demetrios'a przyzwyczaił się do ciemności, kupiec aż gwizdnął przez zęby. Całe olbrzymie pomieszczenie wypełniały dość bezładnie poustawiane posągi bogów. „Może to, co my, ludzie, uważamy za chaos, jest właśnie porządkiem wyższych istot” – pomyślał. Rozpoznał egipskie rzeźby: Tota, Anubisa, Ozyrysa, Hathor i Horsa. Obok i pomiędzy nimi stały inne: Afrodyta z marmuru, Zeus ze złota, Apollo z białego kamienia, srebrna Atena z sową, boski Aleksander z czaszką barana na głowie, żelazny Baal, rzadko spotykani w cesarstwie i prawie zapomniani iberyjscy bogowie wiatru i arabskie bóstwa deszczu. Oprócz tego ołtarze różnego rodzaju i w różnym stanie oraz indyjskie posągi z mnóstwem rąk, z wieloma głowami czy łbem słonia. Gdy Ravi je zobaczył, rzucił się w ich kierunku, jak spragniony do źródła.

– Każdy ciągnie do swego – rozległ się za nimi głęboki głos. – Wydawało się, jakby Rufus chciał niemal wpełznąć pod posąg Anubisa. Nie mam pojęcia, dlaczego Rzymianin tak bardzo umiłował to egipskie psie bóstwo. – Belhadad oparł się o rzeźbę z zielonego marmuru, przedstawiającą Heraklesa z lwią skórą. Wsunął kciuki za pasek i przyglądał się Raviemu. Obok niego stały dwa niedokończone posągi.

Demetrios był pewny, że wszystko, co znajdowało się w jaskini, pochodziło z rabunku. Teraz próbował sobie przypomnieć, czy widział w Ao Hidis warsztaty kamieniarskie albo ceramiczne.

– Podejź tutaj – zawołał Belhadad. – Ty też, jak już skończysz z tymi pokłonami. Chcę wam coś pokazać.

Demetrios przywłókł się, pobrzękując łańcuchami. Księżę obserwował go z dwuznacznym uśmiechem.

– Co widzisz? – poklepał niedokończoną statuetkę stojącą po lewej stronie.

Demetrios wyteżył wzrok i próbował rozpoznać szczegóły w słabym świetle pochodni. Kiedy się zorientował, na co patrzy, zbladł. Początkowo myślał, że ogląda niewykończone dzieło. Teraz widział wyraźnie, że drewniana rzeźba, wyższa od człowieka, składa się z dwóch połówek, połączonych bolcami. Nie miało znaczenia, kogo przedstawiała. Najważniejsze znajdowało się w środku. Wydrążone wnętrze postaci najeżone było kolcami i ostrzami.

– Wyobraź sobie, że tam leżysz – opowiadał Belhadad z rozmarzeniem, jak smakosz o wybornej uczcie. – Równie dobrze mógłbyś stać, ale zacznijmy od pozycji leżącej. Znajdujesz się w jednej części, a drugą zostajesz przykryty. Szpikulce dotykają twego ciała. Czy zauważyłeś, że najcieńsze gwoźdźniki umieszczono na wysokości oczu? Obydwie połówki opasujemy rzemieniami. Po zewnętrznej stronie zaopatrzone są w ćwieki. Można je do siebie dociskać szybciej, wolniej, mocniej lub słabiej. Pewien Syryjczyk usiłował mi sprzedać kiepskie konie za dobre złoto. Wytrzymał w środku trzy dni.

Demetrios nie odpowiadał, tylko patrzył Belhadadowi prosto w twarz. „Ma oczy drapieżnego ptaka – myślał – jakby wyrzeźbione z obsydianu za pomocą krwawego dłuta”. Ravi oderwał się od hinduskich bogów i podszedł do nich.

– Po co nam to wszystko opowiadasz, panie? Ku pokrzepieniu naszych serc? Czy po to, żebyśmy powiedzieli ci prawdę o potędze cesarstwa?

Belhadad zmarszczył brwi i skinął na Baradiję.

– Cienkie nożyki i kleszcze, synu – rozkazał.

Twarcz Baradiji nie zdradzała żadnych uczuć. Podszedł do wielkiej skrzyni po lewej stronie, wyjął z niej coś i podał Belhadadowi. Książkę uniósł obydwie przedmioty i wyciągnął jeden z nich w kierunku pochodni. Ząbkowany nóż był wykonany ze srebra.

– Można nim oddzielić cieniutki kawałek skóry, prawie bez mięsa. A tymi cęgami – podniósł drugą rękę – chwyta się odcięty kawałek i odrywa wąskie paski. Im czystsze i węższe płyty skóry, tym dłużej trwa przyjemność.

– Raz jeszcze pytam, panie – wtrącił Ravi słabym głosem – czy mamy mówić o potędze cesarstwa, czy raczej o jego wszechwładzy?

Belhadad oddał Baradiji narzędzia tortur.

– Mamy jeszcze wiele możliwości. Niektóre z nich wypróbujemy jutro wieczorem. Na kim? Tego dowiedzie się we właściwym czasie. Po tej próbie powiecie wszystko, co wiecie. Zdradzicie swoje skrywane pragnienia i wstydlive tajemnice, plany Rzymu i wszystko inne. Idźcie już.

Odwrócili się bez słowa i przemknęli w kierunku przedsionka, pełnego posągów bez twarzy.

– Wiesz, co zamierza jutro zrobić? – spytał Demetrios schrypniętym głosem.

Baradija pokręcił głową. Na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu.

– Nie mam pojęcia. Może zajmie się wami, może zechce torturować kogoś innego. Mamy tu wielu jeńców. Miejscowi przestępcy też muszą zostać straceni w ten czy inny sposób.

Ravi podszedł małymi kroczkami do jednej z rzeźb i oparł się o nią bezwładnie.

– Powiem wszystko, co wiem. Dobrowolnie i natychmiast. Nie wierzę w twoje opowieści o innych skazańcach. To tylko życzliwe kłamstwa, nieudana próba pocieszenia.

Zwiedzanie jaskini zwanej świątynią tylko spotęgowało wrażenie, że trafili do nierzeczywistego świata. Na zgromadzonych tam ołtarzach od wielu lat nikt nie składał ofiar. Zebrała się na nich gruba warstwa kurzu. Posągi gromadzono prawdopodobnie od dziesięcioleci. W dodatku Belhadad zapowiedział tortury właśnie w pomieszczeniu, wypełnionym licznymi przedmiotami kultu. Kogo chciał zamęczyć i dlaczego? I czemu w świątyni? O ile jaskinia rzeczywiście pełniła tę funkcję. Demetrios nie potrafił sobie odpowiedzieć nie tylko na te pytania, ale również na inne, które dręczyły go od jakiegoś czasu. Po co porwano jego, Ravięgo i Glaukę? Jaką grę prowadził Rufus? Jego aluzje i mętne wskazówki nie pomogły Demetriosowi rozwikłać zagadki. I po co próbował się wczłgać pod posąg Anubisa?

Spędził kolejną bezseną noc. Glaukę nie wróciła. Prawdopodobnie spała w ramionach Hiqara na jego posłaniu. Demetrios nasłuchiwał odgłosów nocy: szumu wiatru, sapania zwierząt, ciężkiego oddechu i urywanych krzyków Ravięgo, kiedy starego Hindusa dręczyły senne koszmary. Próbował przynajmniej zrozumieć motywy postępowania Glaukę. Miał nadzieję, że kiedy już upora się z jedną, niezbyt trudną zagadką, łatwiej mu przyjdzie rozwiązanie następnych. Doszedł do wniosku, że po całej serii nieszczęść i przykrych niespodzianek coś pękło w duszy dziewczyny. Przeżyła ostatnio wiele złego: ucieczkę do Berenike, stamtąd przez morze do Adane, wyprawę z karawaną, wtrącenie do arabskiego lochu, dalszą morderczą podróż, wreszcie napad i porwanie. Nieustannie towarzyszył jej lęk przed śmiercią, przed nieznanym i nieprzewidzianym. Zupełnie nieprzygotowana, wpadała w coraz to nowe tarapaty. Być może uczepliła się pierwszej szansy ratunku, jak tonący, porwany przez nurt wezbranej rzeki, chwyciła gałąź najbliższego krzaka. Kiedy wydostanie się na ląd i poczuje pewny grunt pod nogami, puści krzew i poszuka drogi do domu. A może pozostanie tam, gdzie ją rzucił los? Demetrios zapadł w krótką, niespokojną drzemkę. We śnie ukazał mu się Hiqar jako człowiek-roślina z konarami i liśćmi. Na jednej z gałęzi tuż nad ziemią wisiąły kajdany Glaukę. Kiedy się obudził, inne zagadnienie nie dawało mu spokoju. Dręczyło go, dlaczego Ravię właśnie teraz uparł się zadawać mu pytania na temat cesarstwa. Czyżby miał nadzieję, że Rzymianie wkrótce zaatakują Ao Hidis, i próbował dowiedzieć się, jakie mają szanse na zwycięstwo? I tak nie wpłynie to na los jeńców. Zostaną zabici, jak tylko zaczną się obłęzić. Poza tym Rzym nie dysponuje w całej

Syrii i Palestynie ilością wojska potrzebną do pokonania dziesięciu tysięcy wojowników.

Tym bardziej, że zarówno samo położenie miasta w niedostępnej dolinie pomiędzy górami, jak i doskonały system obwarowań zapewniają obrońcom przewagę. A w ogóle gdyby nawet Rzymianom udało się zdobyć Ao Hidis, więźniowie i tak nie dożyją końca bitwy.

Dopiero nad ranem zapadł w nieco dłuższą drzemkę. Sen otulił go nieszczelnie jak dziurawa derka, przez którą, niczym północny wiatr, wdzierał się w jego świadomość powiew rzeczywistości. W sennych koszmarach, czy też w chwilach przytomności, słyszał krzyki, wrzaski, kroki i szcęk broni. Albo też tylko brzęk łańcuchów na własnych nogach. Nie znał źródła tych odgłosów. Nie wiedział, czy jacyś nieznanymi, złośliwi bogowie drwią sobie z niego i mają jego umysł obląkańczymi złudzeniami, czy też dźwięki te pochodzą z najbliższego otoczenia. Ale był zbyt wyczerpany albo oszołomiony, żeby otworzyć oczy i sprawdzić, co się dzieje.

Kiedy wreszcie obudził go hałas, świat wokół wyglądał już zupełnie inaczej. Mężczyźni w pancerzach i hełmach, z tarczami i włóczniami, maszerowali dość szybko, ale bez wielkiego pośpiechu, na zachód, w kierunku muru zamykającego wejście do doliny. Kilka kobiet i chłopców niosło powiązane w pęczki włocznie. Demetrios usłyszał nad sobą śmiech. Uniósł głowę. Ponad doliną, na krawędzi skalnej ściany, ujrzał kilku żołnierzy z tarczami i włóczniami. Przypomniał sobie, że jeszcze poprzedniego dnia wartownicy nie nosili broni. Pomiędzy chatami nie było nikogo. Tylko u wylotów jaskiń stali strażnicy, inni niż poprzednio. Teraz posterunki objęli młodzieńcy. Wpatrywali się w czarne czeluście z marsową miną, jak ludzie obarczeni trudnym i odpowiedzialnym zadaniem. Niemalże się roześmiał, kiedy zdał sobie sprawę z własnego położenia i bezradności: uwięziony człowiek, skuty kajdanami, w środku przyszłego pola bitwy. Podniósł się z trudem i wyszedł na plac przed baraki. Rozejrzał się dookoła. Strumień wojowników nadal płynął w kierunku zachodnim. Naprzeciwko, w pozostałej części doliny, także panowało poruszenie. W zagrodzie siodłano konie i zakładano im uzdy. Z północy, zza kanałów i stawów, ciągnęły na zachód dalsze szeregi żołnierzy. Powyżej, na ostrych szczytach skalnych grzbietów, stali uzbrojeni wartownicy. Na polach, w ogrodach i przy śluzach pojawili się starcy i kobiety w zawojach i innych nakryciach głowy. Ravi nadszedł z lewej strony, prawdopodobnie z latryny.

– Zaczęło się, nareszcie! – wykrzyknął na powitanie i zaklaskał w dłonie. I zaraz potem się rozplakał.

– Co się dzieje? Słyszałeś coś? Widziałeś?

– Baradija zmobilizował żołnierzy. Mówi się, że Rzymianie nadchodzą. Może nawet już stoją przed bramą.

Po plecach Demetriosą przeszedł zimny dreszcz przerażenia. Ale zaraz poczuł ulgę. Oczekiwanie wreszcie się skończyło. Teraz mógł już przyjść tylko strach.

– Spróbujmy sobie zorganizować jakieś śniadanie.

– W tej sytuacji chce ci się jeszcze jeść?

– Czy to mądrzej, piękniej albo szlachetniej umierać z pustym żołądkiem?

Z trudem dowlekli się do kuźni. Łańcuchy na nogach zawadzały bardziej niż zwykle. Ponieważ drewno w Ao Hidis było cennym i bardzo drogim towarem, mieszkańcy doliny korzystali jedynie ze wspólnych kuchni. Paleniskiem w obozie gwardii zarządzał kowal. Przy tym samym ogniu wykuwano broń i gotowano potrawy dla wojska. Rzemieślnik stał przy piecu i mieszał w jakimś kociołku. Demetrios wciągnął powietrze przez nos. Po zapachu zorientował się, że w garnku znajduje się lekko przypalona polewka z mąki, zaprawiona miodem i odrobiną cynamonu.

– Gdzie pozostali? – spytał Demetrios.

– Niektórzy w twierdzy u księcia, inni w drodze na mury – mężczyzna nawet się nie odwrócił.

– Czy ktoś zabronił ci nas nakarmić?

– Nie otrzymałem takiego zakazu – odwrócił się, popatrzył na nich z uśmiechem i odstawił garnek na kamienie obok paleniska. – Weźcie sobie miski.

– Nie musisz iść walczyć?

– Nie wolno mi. Mam sztywną nogę – poklepał się po udzie. – Wiele lat temu spadłem z konia.

W trakcie rozmowy Demetrios ostrożnie przesuwiał się w kierunku ognia. W końcu znalazł się przy stole wykonanym z nierówno obrobionej kamiennej płyty. Chwycił nowy, świeżo naostrzony miecz z dopiero co ukończoną rękojeścią. Brakowało jeszcze poprzeczki, ale to mu nie przeszkadzało. Złapał kowala za ramię i przystawił ostrze do szyi.

– A teraz podaj mi obcęgi – rozkazał.

– Wystarczy, że krzyknę, a przybiegną inni i zabiją was.

– Tylko spróbuj, a będziesz martwy.

Ravi drżącymi rękami chwycił kleszcze. Upuścił je, podniósł, uklęknął za Demetriosem i zaczął się mocować z opornym metalem. Próbował kilka razy, zanim udało mu się rozerwać solidną obręcz na nodze przyjaciela. Kowal zamknął oczy i tylko słuchał.

– I tak tego nie przeżyję – odezwał się w końcu.

– Dlaczego nie miałbym zacząć krzyczeć?

– Milcz, a nie umrzesz.

– Taki dobry metal. I tak zniszczony! – jęknął kowal. Otworzył oczy i krzywił się za każdym razem, kiedy Ravi wyginał i rozrywał obręcze. Później popatrzył ze zdumieniem na Demetriososa.

– Dlaczego nie chcecie mnie zabić?

– Jestem kupcem, nie mordercą – odrzekł Demetrios – chcę mieć swobodę ruchów, żeby móc uciekać. Jeżeli po drodze spotkam Belhadada, jego zabiję bez wahania. Ale ty nic mi nie zrobiłeś – zamilkł.

– Dziwne – kaleka przewrócił oczami. – Gdyby to rzeczywiście był wystarczający powód, żeby kogoś oszczędzić, wielu z tych, którzy leżą pod ziemią, jeszcze by po niej chodziło.

– Teraz masz być cicho. – Demetrios delikatnie poruszył mieczem. Kilka kropli krwi potoczyło się po szyi na obojczyk mężczyzny.

Ravi szybko doszedł do wprawy. Lewą nogę Demetriososa uwolnił dwa razy szybciej niż prawą. Następnie usiadł na ziemi i zaczął rozrywać własne kajdany. Na zewnątrz panowała cisza. Nieprawdopodobne – przemknęło Demetriosowi przez myśl. Wszystko wydawało mu się coraz bardziej nierzeczywiste: dręczące go pytania, brak odpowiedzi i cała ta dolina.

„Co mamy dalej robić?” – zastanawiał się. I nagle sam sobie odpowiedział na głos:

– Wiem!

– Co wiesz? – Ravi wreszcie rozerwał i odgiął obręcz na własnych nogach. – O czym mówisz?

– Głośno myślałem. – Demetrios rozejrzał się. – Widzisz, tam leżą skórzane powrozy. Skrępujemy go teraz i zakneblujemy.

Ravi związał kowalowi ręce na plecach, wepchał mu do ust prawie czystą szmatę, a głowę owinął chustą.

– Połóżmy go.

Okręcili mu powrozem nogi i przywiązali do jednego ze stołów. Spróbowali nalać sobie polewki, ale kleista masa, odstawiona daleko od ogniska, zdążyła już zastygnąć. Demetrios wziął

trochę gęstego kleju do ust i powiedział:

- Szybko! Tam leży trochę chleba. Bierzemy i uciekamy!
- Dokąd?
- Na zewnątrz.

Znalazł jeszcze nóż, podał go Raviemu i wyszli.

- Powoli – pouczył przyjaciela – jesteśmy tutejsi i nigdzie nam się nie spieszy.
- Dokąd idziemy?
- Tu wszystko jest nieprawdziwe. Uciekamy w nierealność.
- Co takiego? Gdzie?
- Do świątyni, człowieku.

Młodzi wartownicy byli tak zajęci pilnowaniem jaskiń, że nie zwrócili uwagi na dwie osoby, poruszające się pod prąd. Przed twierdzą pełnili straż dorośli mężczyźni. Ci z kolei nasłuchiwali odgłosów z dziedzińca: rozkazów, hasła, rżenia koni i skrzypienia powozów. Dlatego również nie zauważyli Demetriosa i Ravięgo.

– Nie wierzę własnemu szczęściu – szepnął Ravi, kiedy już okrążyli do połowy mur zamczyska – chyba prowadzą nas bogowie.

– Zaraz ich odwiedzimy – roześmiał się Demetrios. – Może się uda.

Udało się. Ani w przedsionku, ani w świątyni nie było nikogo. Demetrios ucieszył się na widok posągów bez twarzy, jakby spotkał starych, dobrych znajomych. W jaskini paliła się jedyna pochodnia, wetknięta w dłoń z wypalanej gliny, zawieszoną na ścianie.

– Weź ją i zobacz, czy ktoś nie zaczął się gdzieś w głębi.

Ravi skinął głową, wziął łuczywo i poszedł przeszukać wszystkie zakamarki. Demetrios zaczął badać posągi. Chciał je wykorzystać do zatarasowania wejścia. Niektóre dały się ruszyć, ale większość z nich była za ciężka. Nawet czterech dorosłych mężczyzn nie dałoby rady przesunąć ich bez użycia narzędzi. Hindus wrócił.

– Z tyłu widziałem jakieś korytarze, ale nikogo nie spotkałem.

– Chodź, pomóż mi.

– W czym? Aha.

Aleksander z głową barana dał się stosunkowo łatwo ruszyć. Prawie bezszelestnie umieścili go u wylotu pieczary. Następnie przytaszczyli iberyjskiego boga deszczu. Demetrios o mało nie wybuchnął śmiechem: udało mu się doprowadzić do spotkania Macedończyka z Iberyjczykiem,

co w prawdziwym świecie prawie nie mogło się zdarzyć.

– Nie wystarczy – wysapał Ravi. – Potrzebujemy więcej.

Wybrali rzymską Minerwę. W końcu rozbili Anubisa z głową psa. Kawalki rzeźby posłużyły do wypełnienia luk i umocnienia konstrukcji. Demetrios podniósł cokół, a właściwie podstawę z kamiennej płyty, i rzucił na ziemię.

– Tysiąc odłamków – oznajmił z triumfem. – Rufus już się pod niego nie wczołga.

Zatkał ostatnie szpary resztkami cokołu. Pochodnia wypaliła się. Od czasu do czasu słyszeli hałasy z zewnątrz, ale nikt nie próbował dostać się do środka. Demetrios usnął i zaraz ponownie się obudził. Ravi chodził od jednego hinduskiego boga do drugiego i mamrotał modlitwy. Najdłużej zatrzymał się przy potężnej postaci z głową słonia.

– To bóg szczęśliwego początku – wyjaśnił.

– Wolałbym takiego, który zapewnia szczęśliwe zakończenie.

– Zaufajmy bogini, której tu nie znaleźliśmy – roześmiał się Hindus. – Romie.

Usiedli i posilali się chlebem. Demetrios przeklinał siebie w duchu, że nie pomyślał o wodzie. Ale i tak nie mieliby jej jak przynieść. Wydawało mu się, że zapada zmrok, ale trudno było odgadnąć porę dnia. Już w samym przedsionku było dużo ciemniej niż na zewnątrz, a przez szpary w kamiennej konstrukcji docierało jedynie bardzo słabe światło, tak że we wnętrzu jaskini cały czas panowały ciemności. Nagle usłyszeli kroki i głosy. Ravi zadrżał i szepnął:

– Ktoś nadchodzi... z tyłu.

Po chwili rozbrły pochodnie i z głębi pieczary wyłonił się Didhama z dwunastoma żołnierzami. Otoczyli Ravię i Demetriosą, zanim ci zdążyli sięgnąć po broń.

– Odblokować wejście! – rozkazał Didhama.

Jego ludzie wyciągnęli miecze i włócznie i rozwalili ścianę z posągów. Didhama i inni stali w milczeniu przy jeńcach. Nawet nie trudzili się, żeby ich związać.

– Zawsze to lepiej w beznadziejnej sytuacji nie być spętanym i zakneblowanym – szepnął Ravi.

Z tyłu, od strony świątyni, dały się słyszeć jeszcze inne głosy. Didhama uśmiechnął się złośliwie i popatrzył na Demetriosą.

– Mam dla was jeszcze jedną niespodziankę. Nacieszcie się nią, zanim zaprowadzę was na mury, do księcia – pokazał kciukiem za siebie.

Demetrios odwrócił głowę. Z niezbadanych korytarzy za jaskinią wyłoniła się następna grupa

żołnierzy. Demetrios aż krzyknął z zaskoczenia. Albo ze strachu. Wśród Arabów znajdował się jeden Rzymianin. Obok niego szła Kleopatra.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Krwawa oaza

Na moje życie! – ci, którzy są w ruinach, mają paść od miecza, a którzy są na wolnym polu, tych oddaję dzikim zwierzętom na pożarcie.

KSIĘGA EZECHIELA 33, 27

Trzy stare indyjskie słonie, dwa prawie ślepe, dwanaście wielbłądów o garbach wyglądających jak łupiny zżartych przez robactwo owoców, wozy zaprzężone w woły i wyładowane glinianymi garnkami, sto mniej lub bardziej sprawnych koni, oprócz tego około tysiąca mężczyzn, broń, zapasy, okrycia – i przepełnione latryny...

Afer nie wiedział, jak wygląda sytuacja parę mil dalej, w dolinie, gdzie stacjonowali żołnierze z Syrii. Ich dowódca, siwy Heliodor, próbował go uspokoić i dodać mu odwagi.

– W porównaniu z wami żyjemy jak na polach elizejskich. W każdym razie nie musimy zatykać nosa. Ale nas jest tylko pięciuset.

Nikias zachichotał. Siedział na siodle wielbłąda i skrobał coś na arkuszu papirusu.

– Kto chce dokonać wielkich czynów, musi najpierw trochę pocierpieć.

– Nie wiadomo, czy uda się cokolwiek wskórać – skrzywił się Afer i upił łyk obrzydliwej wody. Wydawało mu się, że przesiąkła zapachem latryn i wielbłądów. Może było to tylko złudzenie, ale wstrętny posmak w ustach jeszcze pogorszył jego nastrój.

– Czym się trapisz? – Nikias zwinął papirus. – Mamy piękny dzień, świeże powietrze i piasku, ile dusza zapagnie. Czego jeszcze chcesz? A może nie masz zaufania do naszych wojowników?

– Przeciwnie, tylko ich obecność podtrzymuje mnie na duchu.

Tysiąc żołnierzy Heroda Antypasa pochodziło z Galilei i Perei, z takich miejscowości, jak Kana, Endor, Magdala, Tyberiada, Sukkot, z Gileadu, znad jeziora Genezaret, znad brzegów Jordanu i Morza Martwego. Sześciuset dzielnych i wiernych królowi Żydów. Znał i szanował tych ludzi. Byli pobożni, ale nie zaślepieni. Trzymali się swojej tradycji, lecz nie gardzili

innowiercami i nie obrażali obcych bogów. Do tego czterystu najemników: Arabów, Nabatejczyków, Fenicjan, hellenizowanych Arabów, sycylijskich Greków, Kreteńczyków i Cypryjczyków. Niektórzy pochodzili z Rodos i Samos, z Kapadocji lub Rzymu. Ci ostatni to starzy centurionowie, którzy po dwudziestu pięciu latach służby woleli zaciągnąć się do armii obcych książąt, niż przejść w stan spoczynku i żyć spokojnie jak zwykli obywatele.

– Nie – powtórzył – ci ludzie nie zawiodą. Ale nie wiem, czy to wystarczy, by wypełnić zadanie, jakie przed nami stoi.

Heliodor splunął na piasek pod stopami.

– Czy mógłbyś wytłumaczyć, co masz na myśli?

– Ci żołnierze – Afer uniósł ręce, jakby chciał objąć całą dolinę – oddziały twoje i Heliodora, a także kohorta Piłata, bez chwili wahania poruszą całe wzgórze. A my musimy zniszczyć potężny łańcuch górski.

– To prawda – Nikias wstał z siodła i stanął przed Aferem z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. – Jest nas za mało, a przeciwników zbyt wielu. To chciałeś powiedzieć? Co byś zrobił na miejscu Belhadada?

– To, co podejrzewasz – mruknął Afer. – Patrzyłbym, ilu przeciwników nadciąga, i śmiałym się, że ta garstka zamierza zdobyć miasto. Kazałbym dziesięciu tysiącom wojowników zrobić wypad przeciwko dwóm tysiącom.

– Właśnie – Nikias roześmiał się ponuro. – Na to liczymy i na tym opieramy nasz plan.

– Bardzo sprytnie – mruknął Heliodor. – Jeżeli się powiedzie, nikt nas nie pochwali, bo nikt na razie nie wie o naszym przedsięwzięciu. Kiedy opowiemy o naszej wyprawie, Partowie będą nam mieli za złe, senatorowie zaczną sarkać, a skarbnicy podniosą krzyk. Nawet niektórzy prefekci zwrócą się przeciwko nam, podobnie jak król Nabatejczyków i tysiąc arabskich książąt. Jeżeli nam się nie uda, nikt nas nie zgani, bo nikt się nie dowie. A umarli, jak wiadomo, nie za bardzo przejmują się krytyką.

– Umarli mogą się martwić do woli, ale ich skargi nie dotrą do żywych, to pewne. – Nikias rozpozgodził się i zwrócił się do Afera:

– A zatem mamy trzech ludzi, trzy filary naszego planu. Resztę musimy załatwić sami, tak?

Afer skinął głową. Heliodor potarł sobie palcem nos.

– Rufus, Hiqar, Perperna. Równie dobrze moglibyśmy próbować przepłynąć staw na listku rzęsy wodnej.

– Tu nie ma stawów, najbliższe znajdują się w Ao Hidis. – Afer nawet nie starał się ukryć zniechęcenia. – Musimy się zdać na tę trójkę, czy nam się to podoba, czy nie.

– Raczej niespecjalnie – mruknął Heliodor. Nikias klasnął w dłonie.

– Nie mówmy o porażce. Jeszcze usłyszą nas bogowie i potraktują nasze narzekania jak życzenie. Rufus to człowiek Sejana. Wszechwładny dowódca pretorianów powierza mu specjalne zadania. Niewielu mu dorówna. Bez wątplenia możemy na nim polegać. Miał się dostać do Ao Hidis, żeby w momencie ataku zdeorganizować obronę i spowodować jak największe straty. A Hiqar... – spojrzał znacząco na Afera. – Można powiedzieć, że ty go stworzyłeś.

– To prawda. Awansował na dowódcę przybocznej gwardii księcia. Cieszy się sympatią i poważaniem. W odpowiedniej chwili zabije Belhadada i obejmie władzę. Z tego, co słyszałem, może liczyć na poparcie swoich podwładnych i jeszcze wielu innych. Także na kobiety. Jak wiesz, Arabki doskonale władają sztyletem.

– Niezależnie od zalet i popularności Hiqara, budujesz swój plan na założeniu, że mieszkańcy Ao Hidis w obliczu zagrożenia powiedzą sobie: „Belhadad nawarzył piwa, czemu my mamy je teraz pić?” – Heliodor popatrzył na zachodzące słońce. – A co się stanie, jeśli pozostaną wierni księciu?

– Nie wolno nam tracić nadziei.

– Pozostaje Perperna. – Nikias zmarszczył czoło. – Najbardziej wątpliwa postać. Twierdzi, że zna tajemne przejścia, ale to już starzec, w dodatku niezupełnie zdrowszy na umyśle.

– Istnieje jeszcze jedno wyjście, panie – uśmiechnął się Afer – odwołać atak, przełożyć oblężenie miasta na następną dekadę i wrócić do domu. W każdej chwili możesz wydać rozkaz.

Nikias posłał mu lodowate spojrzenie.

– Nie – uciął krótko.

Aferowi wydawało się, że dopiero co się położył, kiedy obudził go jeden z żołnierzy. Wokoło panowały jeszcze nieprzeniknione ciemności.

– Co się stało?

– Złe wieści, panie. Chodź ze mną.

Afer wstał z wielkim trudem i poszedł za nim chwiejnym krokiem w kierunku ogniska. Przy ogniu siedzieli Nikias i Heliodor. Obok stało dwóch ludzi w rzymskich zbrojach.

– Z greckiej kohorty z Jerozolimy – wyjaśnił Nikias. Afer skinął głową. Tak właśnie przypuszczał.

– W pewnej dolinie, niedaleko stąd na wschód, natknęliśmy się na zwłoki dwudziestu czterech ludzi z oddziału Kolumelli.

– Zabili wszystkich? – Afer miał wrażenie, że jakieś okrutne oczy śledzą go w ciemnościach. Jakby wszystkie najgorsze przeczucia zgromadziły się wokół ognia i wpatrywały się w niego pustymi oczodołami.

– Tak. Brakuje tylko dwóch osób.

– Kogo?

– Kolumelli i kobiety.

– Jakąż to znowu kobietę zawlókł Kolumella na wojnę? – jęknął Afer.

– Nazywa się Kleopatra.

Afer w milczeniu usiadł na piasku.

– Czy to zmienia postać rzeczy? – spytał Heliodor.

– Jeżeli schwytali Kolumellę – wyjaśnił zgnębiony Nikias – to znają nasze zamiary. Z tego wynika, że musimy z nich zrezygnować i opracować jakąś nową strategię.

„Kleopatra... – myślał Afer – nocny wiatr, nocny płomień, mroczne oczy”. Z największym trudem zapanował nad sobą i powiedział:

– Chyba możemy wykluczyć Nabatejczyków, i w ogóle kogokolwiek, oprócz ludzi Belhadada.

Nikias skinął głową.

– Oznajmiasz miłe rzeczy odpowiednio pogodnym głosem – mruknął Heliodor.

– Spróbuj wszystkiego, żeby Kolumella zdradził im nasze plany. Niewykluczone, że im się uda.

– Nie doceniasz wytrzymałości Rzymianina.

– Doceniam. Ale nie możemy lekceważyć pomysłowości Belhadada w torturowaniu jeńców. Musimy zmienić taktykę.

– Nie możemy. Nie mamy możliwości zawiadomić Rufusa i Hiqara.

– I nie musimy – przerwał Afer. – Powinniśmy tylko jak najprędzej dostać się do Ao Hidis i zmusić ich do obrony. Atak powinien nastąpić nie pojutrze o wschodzie słońca, tylko jutro po południu, zaraz jak tam dotrzemy. Belhadad nie spodziewa się, że zaatakujemy natychmiast po przybyciu. Rufus i Hiqar szybko się zorientują, że coś się dzieje.

– Niezłe – Nikias przygryzł dolną wargę. – Jak na to wpadłeś?

Kiedy zbrodniarze dokonali masakry, natychmiast wyruszyli w powrotną drogę. Jechali jakiś czas nocą, potem aż do wschodu słońca odpoczywali. Mimo wyczerpania Kleopatra nie mogła usnąć. O świcie ruszyli dalej i po południu dotarli do Ao Hidis. Z daleka dało się zauważyć jakieś poruszenie. Wobec tego dowódca zdecydował nie wjeżdżać do miasta przez główną bramę, tylko skorzystać z tylnego przejścia. Droga prowadziła przez pustynię, a później przez niewidoczną z zewnątrz, dobrze strzeżoną przełęcz pomiędzy grzbietami wzgórz. Kleopatra liczyła się z tym, że w Ao Hidis może spotkać Demetriosą. Ale kiedy go zobaczyła, przeraził ją jego wygląd. Robił wrażenie pokonanego i załamanego, podobnie jak Ravi. Hindus w ciągu zaledwie paru dni postarzał się o wiele lat. Tak jak wcześniej przez całą noc nie miała okazji porozumieć się z Kolumellą, tak teraz nie wolno jej było zamienić słowa z Demetriosem. Bandyty odblokowali przejście, które dwaj przyjaciele zatarasowali wcześniej posągami i gruzem, i wypędzili wszystkich do doliny.

Wymieniała z Demetriosem jedynie znaczące i wymowne spojrzenia. Zorientowała się, że błyskawicznie przewyciężył rozczarowanie porażką i odzyskał siły. Z jego oczu wyczytała, że już szuka wyjścia z sytuacji, a może drogi ucieczki. Zaskoczyło ją, że zdruzgotany więzień w ciągu paru chwil przestoczył się z powrotem w opanowanego, sprytnego kupca. Rozejrzał się dookoła, popatrzył na nią, a potem w dal przed siebie. Inaczej niż Ravi. Stary Hindus bezwładnie osunął się na ziemię. Arabowie popędzali go i szturchali włóczniami. Gdy wreszcie wstał, potknął się i znów się przewrócił. Gramolił się powoli, z wysiłkiem, jak schorowany starzec.

Kleopatra próbowała zorientować się w sytuacji i dojść do ładu z własnymi uczuciami. Na pustyni czuła jedynie gniew, rozpacz i żal z powodu bezsensownej śmierci tylu żołnierzy. Z wieloma z nich tak niedawno, jeszcze w drodze z Jerozolimy, rozmawiała i żartowała. Tu, w jaskini Iwa, w siedzibie księcia rozbójników, prawie zapomniała o tym, co przeżyła. Nie, zapomnieć czegoś takiego nie sposób, ale nowe wydarzenia i obawy przytłumiły wspomnienie tego, co już przeszło. Musiała się liczyć z tym, że zarówno ją, jak i pozostałych jeńców czeka nieznany, ale na pewno okrutny los. Lecz strach nie przeszkadzał jej pilnie obserwować tego, co działo się naokoło. Ludzie schodzili z pól w kierunku namiotów, inni ciągnęli na zachód, tam, gdzie dostępu do doliny bronił wielki mur, w miejsce, gdzie miał rozpocząć się ewentualny atak. Jej wyostrzone zmysły chłonęły wszystko: obrazy, dźwięki, zapachy. Przez głowę coraz szybciej przemykały wciąż nowe pytania i wątpliwości: Czy konie, pozostawione przed tajemnym przejściem, zostaną wprowadzone do doliny, czy ktoś je nakarmi i napoi na pustyni? Czy nie

byłoby przyjemnie położyć się z Demetriosem na zielonej murawie wśród krzewów z tamtej strony stawu? Albo z Aferem. Czy biedny Ravi, którego prześladowcy na razie zostawili w spokoju, da sobie radę?

Po lewej stronie muru, czterokrotnie wyższego niż dorosły mężczyzna, wznosiła się potężna, wysoka i szeroka wieża. Wchodziło się na nią po drabinach, które następnie wciągano na górę. Strażnicy na jej szczycie patrzyli w kierunku zachodnim. Kleopatra również spojrzała w tamtą stronę. Dolinę wypełniały już długie, popołudniowe cienie. Tu i ówdzie zgromadzono pochodnie, które później miały zostać rozdane żołnierzom. U stóp muru płonęły trzy ogniska. Naprzeciwko, trzysta lub czterysta kroków na zachód, stały jasne namioty. Kleopatra przypuszczała, że ustawiono je właśnie w tym miejscu, żeby wykorzystać strome grzbiety skalne jako naturalną osłonę. Całą piaszczystą równinę poza murami miasta, aż po zbocza gór, wypełniały długie szeregi żołnierzy, pieszych i na koniach, oraz wozy zaprzężone w woły. Jak przeszły przez pustynię? Co jadły i piły? I co wiozły? Chyba nie zapasy, bo rozładowano by je w obozie, a one bez zatrzymywania jechały dalej w kierunku obwarowań. Zauważyła też szare, ruchome góry. Czyżby słonie? A za nimi coś jakby sylwetki wielbłądów. Nagle usłyszała za sobą głos Rufusa:

– Miło cię znowu widzieć, najdroższy kwiecie Kanopos. Skąd on to wiedział? Nieważne. W tej chwili nie liczyło się nic, oprócz tych ludzi na zewnątrz, szykujących się do ataku. I tych w środku, obrońców. Ale do czego miały służyć słonie?

Przy balustradzie stał potężny, krępy mężczyzna w jasnym płaszczu i rozglądał się dookoła. Odwrócił się do nich i powiedział:

– Witam i dziękuję, że przyjęliście moje zaproszenie. Kolumella zatrzymał się o krok za Kleopatram. Teraz wysunął się do przodu.

– Zaproszenie nie należało do serdecznych. Dlatego nie trwońmy słów, Belhadadzie. Masz dwa wyjścia. Jeżeli złożysz broń i otworzysz bramy, Tyberiusz August uzna cię za sojusznika i młodszego brata.

Belhadad skinął na kilku żołnierzy.

– Hej tam, przygotujcie się – zawołał. Po czym zwrócił się do Kolumelli: – A druga możliwość?

– Zginiesz ty i wszyscy twoi ludzie. – Kolumella wskazał piaszczystą dolinę za miastem. – Skończysz tam w pohańbieniu i wzgardzie. A z Ao Hidis nie pozostanie kamień na kamieniu.

– Obrażasz księcia pustyni, Rzymianinie – warknął jeden z wojowników. – Czy mamy

zaczynać, panie?

– Przygotujcie pochodnie, żebyśmy dobrze widzieli to, co najważniejsze. Na murach również. Do czego im te słonie? Tak Harunie, zaczynajcie.

Na murach i wieży zapłonęły pierwsze światła. Obok Kolumelli, Kleopatry i Belhadada tłoczyli się żołnierze. Platforma na szczycie baszty mogła mieć dwadzieścia na dwadzieścia kroków powierzchni. Stało na niej co najmniej półtora tuzina wojowników. Po wewnętrznej stronie obwarowań, na całej powierzchni, aż do środka doliny, zgromadzono broń: oszczepy, miecze, trochę łuków, kołczanów, pęki pochodni oraz gliniane garnki. Kleopatra przypuszczała, że wypełniono je jakimś łatwopalnym płynem. Mogły też zawierać olej lub smołę do wylania na głowy napastników. Obok wiązek włóczni leżał drewniany krzyż. Dwaj mężczyźni przywlekli go i zatrzymali się obok Kolumelli. Starszy, siwy człowiek, zwany Harunem, rozkazał coś dwóm innym, na tyle cicho, że nie dało się go zrozumieć.

– Na kolana, Rzymianinie – wrzasnął. – Złóż hołd królowi pustyni.

– Klękam tylko przed Augustem i przed bogami – odrzekł z dumą Kolumella. Nagle krzyknął. Nie zdążył stłumić okrzyku bólu, bo jeden z oprawców niespodziewanie złapał go za kark, a dwaj inni podcięli mu kolana. Kolumella upadł. Kleopatra zakryła ręką usta i bezsilnie patrzyła, jak Rzymianin zagryza wargi.

– Już klęczy, panie – oznajmił Harun.

– To dobrze – Belhadad skinął głową. – Przywiążcie go do krzyża i postawcie tam, z przodu.

Kleopatra zacisnęła powieki. Kiedy znowu otworzyła oczy, Kolumella już wisiał. Pionowy słup wciśnięto między dwa głazy, które utrzymywały krzyż w pionie.

– Będą cię widzieć, kiedy zaatakują, najpóźniej jutro rano. Ty też możesz na nich patrzeć. Jak myślisz, ilu ich jest?

Harun uniósł rękę do czoła i osłonił oczy przed słońcem.

– Trudno powiedzieć, panie. Tysiąc, może trochę więcej. Ale następni mogą jeszcze nadejść zza wzgórz.

Książę skinął głową.

– Ilu żołnierzy wyruszyło na wyprawę, Kolumello? Rzymianin mruknął przez zęby jakieś przekleństwo i odrzekł:

– Wystarczająco wielu, żeby posiekać na kawałki ciebie i całą twoją załogę.

– Masz całą noc na liczenie. – Belhadad splunął przez balustradę. – Zaatakują jutro rano, jak

zwykle. Pozwolić im podejść czy wyprawić się na nich i od razu zakończyć całą tę bitwę?

– To zależy – Harun przeciągnął dłonią po zawiniętej chustą głowie. – Wydaje mi się, że na razie lepiej zaczekać i zorientować się, co zamierzają zrobić.

– Dobrze. Rozstawileś strażę?

– Tak jak kazałeś. W nocy spędzimy konie. Do rana wszystko będzie gotowe.

– W porządku. Czas na wieczerzę, przyjaciele. Ale, na wszystkich bogów, po co im słonie?

Belhadad zatrzymał się pod krzyżem i patrzył w dół, poza obwarowania. Harun podszedł do niego wraz z żołnierzami. Rufus zdjął hełm i bawił się rzemieniem. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Dwaj Arabowie z obnażonymi mieczami trzymali Demetriosą przy zwieńczeniu muru. Na drabinie pojawiali się kolejni ludzie, ale Kleopatra patrzyła przed siebie. Ogromne słonie z pewnością pochodziły z Indii. Dźwigały na grzbietach dziwne konstrukcje, podobne do wielkich koszy, trochę inne niż typowe wieżyczki dla łuczników czy oszczepników. Pierwszy niósł na karku jeszcze jeden mniejszy kosz, zapewne osłonę dla poganiacza. Zwierzęta miały na sobie pancerze – skórzane derki z przymocowanymi płytkami z metalu. Obrońcy celowali w nie oszczepami i wypuszczali strzały, ale wszystkie odbijały się i spadały na ziemię. Chwiejna góra mięsa dowlokła się do olbrzymiej dwuskrzydłowej bramy głównej. Nagle słoń zatrzymał się, zatoczył, stęknął i upadł.

– Co oni wyprawiają? Co to ma znaczyć? – wrzasnął Belhadad.

Ktoś z tyłu odpowiedział:

– Hindus, tak nazywają poganiaczy, panie, wbił mu kołek w czoło.

Kleopatra odwróciła się. Obok Rufusa stał młody Arab w hełmie i skórzanym pancerzu, z dystynkcjami oficerskimi na ramionach. Tak przynajmniej przypuszczała; znaki nie pełniły zapewne funkcji ozdobnej.

– Wiem, jak się nazywają – ryknął Belhadad. – Ale po co to zrobił?

Drugie zwierzę zatrzymało się przed ciałem pierwszego. Wyglądało na to, że poganiacz próbuje je zmusić, żeby stanęło na zwłokach. Słoń przystanął, zawahał się, zatrąbił głośno, w końcu postawił przednią nogę na zadzie martwego towarzysza. Później zaczął się kiwać w przód i w tył i nagle padł jak rażony piorunem.

– Prawdopodobnie wykorzystali stare i bezużyteczne zwierzęta – wyjaśnił młody oficer.

– Herod Antypas ma trzy – dodał Harun – może to właśnie te?

– Możliwe – młodzieniec skinął głową. – Ciekaw jestem, co się znajduje w koszach.

– Lepiej powiedz mi, Hiqarze, czemu cała ta akcja ma służyć? – Belhadad wpatrywał się w niego z ponurą miną.

Trzeci słoń minął dwa martwe ciała i zatrzymał się tuż przed bramą. Opiekun zabił go, podobnie jak dwa poprzednie.

– Zablokowali bramę trzema olbrzymimi trupami, żebyśmy nie mogli jej otworzyć i na nich napaść – wyjaśnił Hiqar. Włożył rękę za pancerz i ostrożnie ujął rękojeść miecza.

W pobliżu bramy zapłonął ogień. Kleopatra mogłaby przysiąc, że rozpoznała w jego blasku rzymskich legionistów, pomimo że zapuścili brody i nosili arabskie burnusy. Dwaj weszli właśnie na platformę wieży i zbliżali się do Rufusa. Starali się nie patrzeć na Kleopatrze. Demetrios obrzucił ich szybkim spojrzeniem i powoli, drobnymi kroczkami, zaczął się przesuwać w jej kierunku. Wybrał okrężną drogę, tak że cały czas znajdował się za plecami Hiqara.

– Co zrobimy? – w głosie Belhadada dało się słyszeć raczej wściekłość niż zmartwienie. – Jak je usuniemy spod bramy?

W przejściu, na szczycie drabiny, ukazały się głowy Glauke i Mukhatara. Dziewczyna otworzyła usta i krzyknęła:

– Kle...! – Nie dokończyła, bo Arab wymierzył jej potężny cios, i upadła.

Przed bramą biegały wielbłądy. Obrońcy ostrzeliwali je z łuków.

– Nie strzelać! – rozkazał Belhadad.

– Dlaczego? – zapytał któryś z jego podwładnych. Poganiacze, ubrani w zbroje, skierowali wielbłądy w tę stronę, gdzie leżały zwłoki słoni. Następnie każdy jednym szybkim, eleganckim ruchem podciął swemu wierzchowcowi gardło. Do muru powoli zbliżały się wozy zaprzężone w woły. Umieszczono na nich niewielkie rusztowania, z których wylatywały ciemne przedmioty.

– Katapulty! – krzyknął któryś z Arabów.

Przez mur przelatywały gliniane garnki. Kiedy się rozbiły, okazało się, że zawierają jadowite węże, skorpiony i...

– Gówno! – wrzasnął jeden z obrońców – opróżnili latryny i... – nie dokończył, bo coś długiego i czarnego wspięło się po jego nodze i zniknęło pod burnusem. Żaden z tych niezwykłych pocisków nie dotarł na wieżę, ale na mury i w dolinę spadało mnóstwo naczyń. Kiedy się rozbijały i uwalniały zawartość, ludzie opuszczali swoje stanowiska i w popłochu, z wrzaskiem rozbiegali się na wszystkie strony. Belhadad wykrzykiwał rozkazy, ale nikt ich na dole nie słyszał. Gdy zamilkł na chwilę, Kleopatra usłyszała spokojny głos Hiqara:

– Zablokowali bramę padliną i obrzucają nas trucizną i gnojem. Co mamy zrobić, panie?

Belhadad odwrócił się twarzą do niego. Równocześnie Rufus wystąpił krok do przodu i zawołał:

– Zanim zaczniemy radzić o czymkolwiek, musimy porozmawiać o tym tutaj, książę – wskazał palcem Hiqara.

– Dowódca twojej straży przybocznej jest zdrajcą. Otworzy bramy Rzymianom.

Hiqar szybkim ruchem wyciągnął miecz z pochwy i zamierzył się na Rufusa. Dwaj brodacze rzucili się na niego. Gwardziści popatrzyli na Hiqara, również sięgnęli po broń i chcieli zaatakować Rufusa. Harun stał przy Belhadadzie z uniesionym w górę mieczem. Demetrios wpatrywał się w Rufusa w osłupieniu. Glauke oprzytomniała po uderzeniu. Wstała powoli i próbowała usunąć się z pola walki, żeby uniknąć ciosu od miecza. Strzała, wypuszczona przez jednego z gwardzistów Hiqara, a przeznaczona najprawdopodobniej dla Rufusa, przeszła jej gardło. Kleopatra pochyliła się nisko, potrąciła kilku mężczyzn, przedarła się do Demetriosia i wczepiła palce w jego ramię.

– Kto to wymyślił?! Należałoby go związać i zakneblować – zlorzeczył jakiś grecki najemnik z kohorty w sąsiedztwie Afera.

Nubo stał parę kroków za nim. Odwrócił głowę i uśmiechnął się.

– Teraz rozumiesz, dlaczego Leonidas i Meleagros woleli zostać z innymi.

– A ty? – spytał Afer. – Czemu ryzykujesz życiem, zostając razem z nami?

Wielki Murzyn roześmiał się i uderzył pięścią w wiązkę metalowych narzędzi, którą dźwigał na ramieniu: były tam motyki, oskardy i dłuta ciesielskie.

– Nie miałby mnie kto zastąpić, nikt poza mną nie ma dość siły.

Afer zabrał ze sobą stu Greków z kohorty. Dwie grupy po pięćdziesiąt osób miały dostać się do doliny tylnymi przejściami albo przynajmniej ściągnąć i zatrzymać tam część obrońców. Inni, około trzystu osób, o ile wszystko pójdzie zgodnie z oczekiwaniami, powinni wdrzeć się na mury Ao Hidis na krótko przed zachodem słońca. Próbował w myślach jeszcze raz przeanalizować wszystkie szczegóły planu, ale nie mógł się skupić, ponieważ Perperna ani przez chwilę nie przestawał mówić. Pochyleni, przemykali wąwozami i wspinali się na piaszczyste wzgórza. Musieli zachowywać się bardzo ostrożnie, żeby nie dostrzegli ich strażnicy. A Perperna cały czas gadał. Wymachiwał przy tym lewą ręką, zakończoną niezwykłą konstrukcją ze skóry i żelaza. Na początku kampanii zdjął i wyrzucił szmatę, którą osłaniał kikut. Zamiast niego kazał

sobie przymocować rzemieniami do ramienia sztylet. Afer pomyślał, że staruszek pewnie zagadał na śmierć kowala, który realizował niezwykle zamówienie. Teraz też zamęczał towarzyszy historią porażek Aeliusza Gallusa, opisem urody niewolnic, opowieściami o chorych na biegunkę wielbłądach czy szczególnie nikczemnych właścicielach niewolników. Od czasu do czasu rzucał złote myśli w rodzaju:

– Koń lepiej zna swego jeźdźca niż jeździec konia. A niewolnik więcej wie o swoim panu niż pan o niewolniku.

Kiedy wspinali się na wydmę, a starzec ani myślał się uciszyć, jeden z Greków nie wytrzymał:

– Jeżeli natychmiast nie zamkniesz gęby... Perperna z łatwością dotrzymywał kroku młodemu żołnierzowi. Zajrzał mu w oczy i zapytał:

– To co mi zrobisz, syneczku? Wybijesz mi resztkę zębów? I kto was wtedy doprowadzi do ukrytego korytarza? Mówiłem już przecież, że niełatwo tam trafić. Kto nie zna drogi, sam jej nie znajdzie. Uważam nawet, że wielu z tych, którzy ją znali przed laty, dzisiaj już by jej nie odnalazło. Przeciwnie niż ja. Były niewolnik wie, gdzie znajduje się wejście. Odszukałbym je nawet, gdybym nie wiedział, gdzie powinno być. Bo widzisz, ono jest... całkiem blisko, mianowicie... tutaj. – Zamilkł i wskazał wyschnięty krzak u stóp zbocza.

– Ciesz się moje milczenie – powiedział Afer – ale widzę tylko suchy krzew.

– Odrzuć go na bok. Albo znajdź sobie żołnierza, któremu najbardziej czuć z ust. Niech nabierze powietrza w płuca i go zdmuchnie.

Żołnierze porąbali wyschnięte konary mieczami. Ich oczom ukazał się skrawek ziemi, porośnięty trawą i drobnymi roślinami. Perperna wysunął się do przodu, złożył głęboki ukłon, uśmiechnął się do wszystkich po kolei i zagłębił w murawę kikut ze sztyletem. Przeorał ziemię kilkoma szybkimi cięciami. Następnie za pomocą prawej ręki zerwał i odrzucił na bok płat darni. Ukazało się wejście do jaskini, zavalone kamieniami, gruzem, resztkami drewna i powyginanym żelazem.

– Podziwiamy cię – pochwalił jeden z centurionów – ale proszę, bądź nadal cicho.

Nubo zdjął z ramienia dłuto i wetknął je w jedną z większych szczelin. Inni odczekali, aż spadną największe głazy. Potem zaczęli mu pomagać mieczami i ostrzami włóczni. Jakiś wyjątkowo potężny mężczyzna chwycił za kilof. Kiedy już odgruzowali wejście, jeden z żołnierzy zapalił trzy pochodnie. Jedną z nich wręczył człowiekowi z przodu, drugą niósł ktoś

w środku, a trzecią chwycił żołnierz zamykający pochód. W ten sposób wkroczyli do podziemnego świata Ao Hidis. Szli przez kręte korytarze i sale pełne fantastycznych kamiennych kształtów. Mijali liczne zakręty, przewężenia i komory. W pewnym momencie spostrzegli, że posuwają się w dół. Dotarli do wyżłobienia o wilgotnych, jasnobłękitnych ścianach. W jednej z nisz stał stojak na włócznie, a w położonym dalej korytarzu – ułożone w piramidę skorupy potłuczonych amfor. Wylot jaskini także był zawalony gruzem i kamieniami. Afer pochylił się nad kawałkami naczyń, powąchał i orzekł:

– Pachnie olejem sezamowym. Niech bogowie mają nas w swojej opiece. Idziemy.

Demetrios próbował uwolnić rękę z uścisku Kleopatry.

– Marzyłem o twoim dotknięciu – szepnął – ale we śnie było delikatniejsze.

W ich położeniu nie miało to żadnego znaczenia. Spostrzegł jednak, że pod wpływem jego słów z twarzy kobiety na chwilę zniknęło napięcie. Nie trwało to długo. Zesztywniała ponownie, kiedy tylko usłyszała krzyk umierającego człowieka. Szczęknęła broń, a za nimi rozległ się tubalny głos Belhadada.

– Wiem, kim on jest. Ale kim ty jesteś, Rufusie?

– Wiesz, że Hiqar to zdrajca?

Demetrios odwrócił się. Dowódca gwardii przybocznej stał przed księciem bez broni. Ciało Baradiji zwisało z korony muru. Ludzie Haruna zabijali szybko i niezawodnie. Trudno powiedzieć, co się działo na dole, ale na wieży młodzi gwardziści Hiqara bronili się resztkami sił. Inni spośród jego zwolenników leżeli już martwi w kałużach krwi.

– Wiesz? – powtórzył Rufus. Demetrios po raz pierwszy zobaczył go zbitego z tropu.

– Mądry książę musi umieć przewidywać. Także i to, że zawsze znajdą się niezadowoleni – odparł Belhadad. Wyciągnął sztylet i obserwował grę światła na jego ostrzu. – Zawczasu wybiera sobie człowieka, który skupi wokół siebie buntowników. Dzięki temu może ich obserwować, albo nakazać obserwację, i ma wszystko pod kontrolą. Prawda, Harunie?

– Tak, panie – Arab wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

– Hiqar nie wie o jednym – Belhadad mówił powoli, przeciągając słowa – mam swoich ludzi w jego klanie, niedaleko Damaszku. Kiedy Rzymianie szukali kogoś do swojej brudnej roboty, moi zwolennicy polecili im Hiqara. Powiedzieli, że jest dobry. W dodatku podobny do mnie. Wspomnieli także, że spałem z jego matką dwadzieścia pięć lat temu.

Hiqar wpatrywał się w księcia tak intensywnie, że o mało oczy nie wyszły mu z orbit.

– Ty... moim ojcem?

– Tak, ja twoim ojcem. A ponieważ cię spłodziłem, chcę uczynić następny krok, właściwie już trzeci. Drugim było wyniesienie cię do pozycji, którą obecnie zajmujesz. Teraz zamierzam odebrać ci wszystko, co ode mnie otrzymałeś. Zabić go!

Belhadad wydał ten rozkaz Harunowi. Ale siwobrody nie usłyszał, zajęty czymś innym. Na murach, w kłębowisku węży i skorpionów, walczyli przeciwko sobie zwolennicy księcia i Hiqara. Tak jakby już wiedzieli, co się stało na wieży. Prawdopodobnie ci, którzy stali blisko, obserwowali całe zajście, może nawet coś słyszeli i przekazali innym. Na dole odbywała się krwawa rzeź. Ludzie jeden po drugim padali na ziemię, przebici mieczami lub włóczniami. Wśród ciemności płonęły pochodnie. Swąd czarnego dymu mieszał się z odorem odchodów, potu i krwi. Ranni krzyczeli z bólu. „Noc w Hadesie” – pomyślał Demetrios. Nie próbował nawet zorientować się w przebiegu walki. Pociągnął tylko Kleopatę na ziemię, kiedy obok przemknęła strzała.

Z zewnątrz napierali żołnierze. Wdrapywali się na góry martwych ciał słoni i wielbłądów, dostawiali drabiny i wspinali się po nich. Już prawie nikt nie bronił murów. Nie słuchano i nie wykonywano rozkazów. Porządek i hierarchia w Ao Hidis załamały się. Ale Demetrios nie robił sobie fałszywych nadziei. Obrońców było zbyt wielu, nacierających zbyt mało. Był pewien, że zwolennicy Belhadada i Haruna nie od razu zwyciężą, ale muszą wygrać tę bitwę, ponieważ mają ogromną przewagę liczebną.

Jeden z legionistów Rufusa próbował przedostać się do Haruna. Inny wojownik, ten, który ochronił Haruna i groził mieczem Hiqarowi, stanął mu na drodze. Brodaty Rzymianin złapał żołnierza za podbródek i potylicę, obrócił jego głowę lekko w prawo, potem szybkim ruchem w lewo i skręcił mu kark. Harun wyciągnął rękę, żeby wziąć od Belhadada sztylet. Broń, którą ojciec kazał uśmiercić syna. Belhadad wyciągnął miecz, zrobił kilka szybkich kroków, złapał Kleopatę, przyciągnął ją do siebie i podszedł wraz z nią do krzyża, na którym wisiał Kolumella. Ostrze miecza dotykało jej szyi.

– Czy jest tam na dole ktoś, kto chce rokowań? – wykrzyknął szorstkim, tubalnym głosem.

Mukhatar zbliżył się do nich.

– Posłuchaj, szlachetny stryju. Jeszcze w Adane ten tutaj... – zaczął i zamilkł, kiedy miecz Rufusa wbił się w jego plecy.

Harun przystawił sztylet do gardła Hiqara. Demetrios wyrwał najbliższemu stojącemu

żołnierzowi włócznię i wbił ją w plecy Haruna.

Jakieś mroczne cienie wśliznęły się niepostrzeżenie na wieżę. Demetrios rozpoznał w świetle pochodni rysy twarzy i kolor skóry Mauretanina. Nowo przybyły przemknął pomiędzy walczącymi, uchylając się zwinnie przed ciosami mieczy. Złapał Belhadada za prawe ramię i powoli odciągnął je do tyłu na taką odległość, że ostrze jego miecza nie mogło już dosięgnąć szyi zakładniczki.

– O, bogowie! – krzyknęła Kleopatra. – To Afer – wyrwała włócznię z ciała Haruna i próbowała ugodzić Belhadada, ale chybiła.

Coraz więcej żołnierzy wspinało się po drabinach na mury. Ludzie Haruna wycofali się. Pozostali przy życiu gwardziści Hiqara ścigali wrogów i połączyli się z napływającymi Grekami, Żydami i Syryjczykami. Jakiś człowiek z krzykiem spadł z muru prosto w ogień. Niektórzy podwładni Haruna wdarli się na wieżę, żeby bronić księcia. Jeden z Arabów rzucił się w stronę Hiqara. Demetrios chwycił Jeżący na ziemi miecz i wbił go napastnikowi w brzuch. Hiqar odskoczył w bok, wyrwał komuś broń i zaatakował Belhadada. Księżę oparł się o krzyż Kolumelli. Afer (Demetrios wątpił, czy było to jego prawdziwe imię) przycisnął go do zwieńczenia muru. Jeden z legionistów uchylił się przed ciosem miecza i wpakował mu w oczy palce prawej ręki. Nagle z ciemności wyłonił się potężny, czarny cień – Nubo. Wymachiwał długim, żelaznym drągiem. Zakręcił nim dookoła. Rozległ się krzyk, trzask łamanych kości, łomot spadających hełmów. Potężny Arab przedarł się w kierunku Demetriososa i raz po raz atakował go mieczem. Osłabiony, poraniony Demetrios mocno krwawił. Brakowało mu sił, żeby wytrącić przeciwnikowi broń. Nagle zobaczył Perpernę. Stary Rzymianin wyciągnął rękę zakończoną sztyletem, kręcił się w kółko jak fryga i ciął dookoła, bez przerwy coś mamrocząc. W chwili, gdy olbrzymi Arab szykował się do zadania Demetriosowi śmiertelnego ciosu, Perperna jednym płynnym ruchem poderżnęła mu gardło. Następnie wbił ostrze sztyletu w pierś najbliższego żołnierza. Kleopatra krzyknęła i Demetrios rozpoznał Rufusa. Belhadad stracił równowagę, puścił krzyż Kolumelli, wypadł za mur i pociągnął za sobą Afera. Demetrios próbował przedostać się do Kleopatry, ale nie mógł, bo rozdzielał ich tłum walczących. Złapał miecz i zaczął ciąć na prawo i lewo. Poczul smak i zapach krwi, przyjemność mordowania. Torował sobie drogę wśród krzyczących, padających, drżących w ostatnich konwulsjach ciał. Rozpierało go nieporównane z niczym uniesienie – uczucie samotności w krwawiącym, nacierającym, broniącym się i umierającym tłumie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ukojenie

Przynieś mi wodę i wino, młodzieńcze.

I przynieś nam wieńce.

Pragnę spróbować swoich sił w walce na pięści z Erosem.

ANAKREONT

Masakra trwała aż do rana. Kleopatra dopiero później poznała dalszy jej przebieg. Część żołnierzy twierdziła, że o wyniku bitwy zadecydowały trupy słoni i wielbłądów. Pomimo liczebnej przewagi obrońcy nie mogli otworzyć bramy i napaść na przeciwnika. Zdaniem innych najczęściej działy węże, skorpiony i zawartość latryn. Lucjusz Postumus największe zasługi przypisywał swojemu dowódcy. Uważał, że Rufus w najbardziej odpowiednim momencie wywołał zamieszanie i niezgodę w szeregach wroga. Kleopatra była pewna, że decydujące znaczenie miał pojedynek Afera z Belhadadem, zakończony śmiercią obojgu. Lub też genialny zamysł mauretańskiego centuriona: wprowadzenie oddziału do miasta zapomnianym, od lat nieużywanym, tajemnym przejściem. Nie ulegało wątpliwości, że zarówno opracowanie, jak i realizacja tego wspaniałego planu były możliwe tylko dzięki niezawodnej pamięci Perperny i jego doskonałej orientacji w mieście. Przypuszczalnie wszystkie te czynniki złożyły się na ostateczny rezultat.

Ale te przemyślenia przyszły później. Zanim miała okazję posłuchać relacji uczestników i zebrać myśli, musiała walczyć o przetrwanie. Z początku myślała, że tym razem nie wyjdzie cała z opresji. Nawet jeżeli krwawa jatka trwała krótko, jej ten czas wydał się wiecznością. Po tym, jak Afer i Belhadad wypadli poza balustradę, a Harun zginął od włóczni, na wieży broniło się jeszcze dziesięciu czy jedenastu Arabów. Później przez całą długą noc trzeba było odpierać kolejne zaciekle ataki arabskich wojowników na mury i wieżę. W pewnym momencie pojawił się przed nią Demetrios: zdyszany, z zaczerwienionymi oczami i ociekającym krwią mieczem. Musiała nim potrząsnąć, żeby oprzytomniał.

– Wróć do rzeczywistości – krzyknęła. – Skończyło się, słyszysz?

Dopiero po jakimś czasie jego oczy straciły straszliwy, obłąkany wyraz. Wyglądał teraz jak człowiek, który powoli i z trudem budzi się z koszmarne snu. Albo raczej jak ktoś, kto nie chce powrócić ze stanu jakiegoś niezwykle uniesienia czy ekstazy do normalności.

– Wszystko skończone? – zapytał słabym głosem, jakby w półśnie. Próbował spojrzeć Kleopatrze w twarz, lecz jego wzrok ześlizgnął się po jej postaci i spoczął na ostrzu ociekającego krwią miecza i odbiciu światła pochodni w purpurowej kałuży.

– Skończone, Demetriosie. O ile jesteś Demetriosem. Uśmiechnął się przelotnie, lecz uśmiech zgasł szybko na jego twarzy jak wypalona pochodnia w środku nocy.

– Był sobie kiedyś handlarz o takim imieniu. Teraz masz przed sobą rzeźnika. Pocałuj mnie – zatoczył się i upuścił miecz.

Schwyciła go i podtrzymała. Oparł głowę na jej ramieniu. Kleopatrze ogarnęły mieszane uczucia. Przeraziła ją ta straszna postać. Krew sączyła mu się z ran, spryskała twarz, nabiegła do oczu, pobrudziła ubranie i nappełniła rozgorączkowany umysł żądzą mordy. Z trudem rozpoznawała dawnego kupca. Człowiek, którego trzymała w ramionach, był jej zupełnie obcy. Nie wiedziała, czy powinna się go brzydzić. Lecz gdy uniósł głowę i poszukał ustami jej warg, nie czuła wstrętu. Smakował jak krew, siła i pożądanie. Trzymała w objęciach ciało, które znała. Lub raczej które pragnęła poznać i które posiadała w marzeniach. Trwali w długim, namiętym pocałunku, aż ktoś odepchnął ich na bok.

– Z drogi! To pewnie bardzo przyjemne, ale teraz są pilniejsze sprawy.

Prawie wszyscy walczący na wieży odnieśli jakieś obrażenia. Zdrowi zdjęli Kolumellę z krzyża, obmywali towarzyszy i opatrywali ich rany. Ci, którzy mogli jeszcze walczyć, powyrzucali zwłoki za mury i ponownie chwycili za broń. Ceremonie pogrzebowe i składanie ofiar życzliwym bogom należało odłożyć na następne dni. Teraz nie mieli na to czasu.

Łucznicy z Kapadocji zajęli stanowiska na wieży. Na murach i wewnątrz doliny żołnierze odpierali kontratak ludzi Belhadada. Hiqar zebrał resztkę swojej gwardii i pozostałych zwolenników. Przedostali się do miasta, żeby tam walczyć i zagrzewać innych do boju. Brodaci Rzymianie poznikali z otoczenia wieży i obwarowań. Kleopatra drżała na samą myśl o wypadzie w ciemność, pomiędzy wrogów. Poczła kłujący ból w karku na wspomnienie straszliwego ciosu. Rufus leżał niedaleko Kolumelli. Legioniści z początku uznali go za martwego i chcieli wyrzucić za mur. Ale jeden z nich zauważył, że centurion jeszcze oddycha. Po ciosie Perperny

Rzymianin utracił bardzo dużo krwi. Rana była otwarta, rozległa i głęboka, a oddech bardzo słaby i płytki. Kleopatra uklękła przy nim. Otworzył oczy i wyszeptał:

– Kwiatusek z Kanopos.

– Nic nie mów, jesteś zbyt słaby – otarła mu twarz i próbowała odciągnąć jego rękę od zakrwawionej, zaskorupiałej chusty przykrywającej brzuch.

– Zostaw to. Jak zakończyła się walka?

– To jeszcze nie koniec – ruchem głowy pokazała na miasto. Musiał słyszeć krzyki i szczęk broni.

– Czy... – westchnął, dotknął brzucha i cofnął rękę – zwyciężymy?

– Zależy, kogo masz na myśli – odpowiedział Demetrios. Skończył opatrywać jednego z rannych i podszedł do Kleopatry. Zauważyła, że przygląda się Rufusowi z głęboką odrazą.

– Może mówić? – zapytał Kolumella szorstkim, ochrypniętym od bólu głosem. – Jeżeli tak, to połóżcie nas obok siebie.

– Zanim umrze, chcę się dowiedzieć, dlaczego mnie obrabował i zamordował moich przyjaciół – zażądał Demetrios.

– Co takiego?! Najpierw musi odpowiedzieć na znacznie ważniejsze pytania. Przynieście go do mnie – sprzeciwił się Kolumella.

Lekarz, który opiekował się najciężej rannymi, podszedł i pochylił się nad Rufusem. Rzymianin syknął coś przez zaciśnięte zęby.

– Nie wolno go ruszać. Długo nie pożyje.

– No to zanieście mnie do niego – Kolumella był wyraźnie wściekły – a reszta niech się wynosi.

– Kim ty jesteś, żeby wydawać polecenia? – denerwował się medyk.

– To Kolumella. Reprezentuje prefekta i cesarza – wyjaśnił centurion, który odniósł tylko niewielkie rany i objął dowództwo na wieży. – Rób, co ci każe.

Dwaj mężczyźni chwycili kawałek derki, na której leżał Rufus, i zawlekli go niezbyt delikatnie w pobliże Kolumelli. Lekarz zasłonił oczy ręką i ciężko westchnął. Później zwrócił się do Kleopatry:

– Przypuszczam, że jesteś... księżniczką. Nazywam się Eleazar. Afer był moim przyjacielem. Mówił o tobie w drodze.

– Odłóżmy wspomnienia na później. Porozmawiamy, jak stąd wyjedziemy. Teraz mamy

pełne ręce roboty, a ja jestem przerażona, tyle tu krwi, serce mnie boli.

– Masz rację. Mnie też potrzebują gdzie indziej – posłał jej zmęczony uśmiech, skinął głową i ruszył po schodach na mury.

W końcu udało im się opatryć wszystkich rannych. Nieliczni lekarze i pielęgniarze nasłuchiwali oddalających się odgłosów bitwy. Walka trwała już tylko w dolinie. Na wieży pozostali najbardziej poszkodowani i kilku wartowników. Demetrios wyciągnął skórzany bukłak.

– Woda z winem. Wypij za całą tę krew, kwiecie z Kanopos.

Kleopatra przepłukała sobie usta, a potem piła zachłannie, długimi łykami. Oddała Demetriosowi naczynie i popatrzyła na niego. W migotliwym świetle pochodni wyglądał obco i równocześnie znajomo. „Ten sam Demetrios – myślała – i ta sama Kleopatra w nowym, zupełnie innym życiu”.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Z pewnego listu, którego nie powinienem przeczytać.

– Z jakiego?

– Glauke napisała z Egiptu, z Adane, do brata. Zadała mu parę pytań. Odpowiedź czekała na nią w Leukekome, ale odebrał ją Rufus.

Kleopatra odwróciła głowę i obserwowała, jak Rufus rozmawia z Kolumellą. Właśnie skończyli. Doradca prefekta położył się na plecach i patrzył w gwiazdy, a twarz Rufusa ktoś przykrył chustą.

– Już go nie spytamy, dlaczego to zrobił – powiedziała ze smutkiem. – A Glauke... – uniosła ramiona do góry.

– Pomimo całego zła, które wyrządził, nie potrafię go nienawidzić. Ale chciałabym zrozumieć motywy jego postępowania.

Demetrios wziął ją za rękę i ruchem głowy wskazał na zachód.

– Chodź, popatrzymy na pustynię. Jest tak samo zabójcza jak te wszystkie pokrętne intrygi, tylko bardziej zrozumiała.

Pozwoliła się zaprowadzić w kierunku murów. Ich ramiona się stykały. Kiedy Demetrios potknął się o kamień, złapał ją za rękę. Za murami, przy bramie, piętrzyły się brązowoszare wzniesienia. Białe namioty na zboczach wyglądały jak żagle. Jak uniesione wysoko na grzbietach fal statki, które wkrótce pogrążą się w kipiącej otchłani. Kleopatra myślała, że gdyby się mocniej wychyliła, dostrzegłaby stopy gruzów, zwłoki słoni, wielbłądów i ludzi. A także ciało Afera. Po

dłuższej chwili zadumy spytała:

– Co było w tym liście?

– Niewiele. Parę słów o księżniczce Kleopatrze i jej dwóch towarzyszkach: Thais i Arsinoe.

I jeszcze o ogrodach rozkoszy w Kanopos i pewnym małym pałacyku w Aleksandrii.

– Czasami trzeba skłamać, żeby zbliżyć się do prawdy – westchnęła cicho.

– Jakiej prawdy?

– Czy dążenie do urzeczywistnienia własnych marzeń nie jest tak samo prawdziwe jak przeszkody, które trzeba pokonać?

– Nie wiem, co by na to powiedział Sokrates, ale sofisci na pewno by ci przy kia snęli.

– Jesteś zły, że nie powiedziałam ci prawdy? – rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. – W tym znaczeniu, w jakim pojmuję ją większość ludzi, oczywiście.

– Nie gniewam się za to, że przedstawiłaś własne marzenia jako fakty. Ani za powoływanie się na pokrewieństwo z królową Kleopatram. Ale gdybyś wcześniej podzieliła się z nami pewnymi informacjami, na przykład o Ao Hidis, zaoszczędziłabyś nam wiele kłopotów.

– Nie wiedziałam zbyt wiele – uśmiechnęła się łagodnie – ale skoro masz do mnie żal, muszę się zastanowić, jak cię udobruchać.

Demetrios skinął głową.

– Na pewno jak już będzie po wszystkim, wymyślę jakiś sposób zadośćuczynienia. Jeżeli przeżyjemy.

Bitwa zakończyła się trzy godziny po wschodzie słońca. Kleopatra nie miała ochoty oglądać jej skutków.

– Pierwszą grupę już opatrzyliśmy – zameldował Eleazar. Pracował do utraty tchu. Pomimo to wcale się nie cieszył, kiedy otrzymał rozkaz wymarszu wraz z pierwszą grupą, opuszczając Ao Hidis.

– Tyle jeszcze pozostało do zrobienia – narzekał. – Ale kiedy panowie dowódcy rozkazują, trzeba się podporządkować.

– Kto wydał taki rozkaz? – spytała Kleopatra i przeniosła wzrok w głąb doliny w poszukiwaniu Demetriosia.

– Kolumella, któżby inny. A Nikias się nie sprzeciwił.

– Przypuszczam, że chce mieć przy sobie najlepszego lekarza.

Eleazar przetarł zmęczone oczy.

– Jeżeli zna lepszych ode mnie, to niech sobie ich zabierze. Ale jeżeli to ja jestem według niego najlepszy, to moje umiejętności bardziej przydadzą się tutaj. Ale utyskiwanie nic mi nie pomoże – uniósł ręce do góry i opuścił je w geście rezygnacji – muszę słuchać poleceń przełożonych.

Pierwsza kolumna wyruszyła z rannymi, pielęgniarzami, łupami i eskortą. Nie wszystkie wielbłądy zostały zabite. Na te, które przeżyły, i na niektóre wozy załadowano pierwszą część skarbów, zgromadzonych przez Belhadada i jego przodków. Żołnierze z konwoju opowiadali Kleopatrze potworne, ale wiarygodne historie o walkach w dolinie. I inne, zupełnie nieprawdopodobne: o górach monet i stosach drogich kamieni, których pilnowali. Kleopatra miała ochotę zostać i wyjaśnić niektóre sprawy. Ale Demetrios zatroszczył się o to, żeby wyjechała z pierwszą grupą.

– Co chcesz tu robić? – pytał. – Liczyć trupy czy patrzeć, jak twierdza Belhadada zostanie zburzona?

– Gdzieś tu musi znajdować się pewien posąg z wyrytymi na cokole znakami.

– Jaki posąg?

– Boga Anubisa.

– Rozbiłem go. Jego podstawę również, a odłamkami zatarasowałem wejście do świątyni...

Och!

– Co? – Musiała włożyć wiele wysiłku w to, żeby wypowiedzieć choćby to krótkie słowo. Ale brzmiało w nim wszystko – i rozczarowanie, i bezdena rozpacz.

– Belhadad mówił, że Rufus próbował wcisnąć się pod ten posąg. Co tam było?

– Później. Później ci powiem.

Eleazar opowiedział jej o pewnym zajeździe w Dekapolis, w okolicach Gadary. Należał on do zhellenizowanego Babilończyka. Oferował doskonale jedzenie, piękne łaźnie i przestronne pokoje. W ogrodach na dziedzińcach szemrały fontanny i pachniały różnobarwne kwiaty, a wieczorem oswojone ptaki śpiewały pieśni do księżyca. Tam Kleopatra postanowiła czekać na Demetriosia i innych, pozostałych przy życiu. Przed ich przybyciem zamierzała napisać długi list. Kiedy wyjeżdżała, nie wiedziała jeszcze, kto przeżył. Bardzo chciała się tego dowiedzieć i równocześnie skóra jej cierpła na myśl o tym, jak długa będzie lista poległych. Nie miała natomiast sił, by oglądać dzieło zniszczenia. Ktoś powiedział jej, że zabite słonie i wielbłądy miały na grzbietach pojemniki z olejem i żywicą. Planowano zebrać razem zwłoki ludzi

i zwierząt, drewno ze szczątków bram i inne łatwopalne przedmioty i podpalić cały ten stos. Mury, wieża i twierdza miały zostać zburzone. Mówiono, że Hiqar zostanie ze swymi zwolennikami w mniejszej, nieobwarowanej dolinie, jako sojusznik Rzymu i Nabatejczyków. Ci ostatni nic jeszcze o tym nie wiedzieli. Pozostałym przy życiu mieszkańcom Ao Hidis przeznaczono rolę niewolników. Zostawiła to wszystko za sobą: pożar, ruiny, zgliszczą i zniewolonych ludzi. Szła piechotą, razem z Eleazarem, ponieważ wszystkie zwierzęta wykorzystano do transportu rannych i łupów. Dla Kolumelli zbudowano lektykę. Niosło ją kilku silnych mężczyzn, byłych wojowników Belhadada. Na ich ramionach pojawiły się krwawe pręgi. Właściciel gospody nazywał się Aristides i był o połowę wyższy i dwa razy grubszy od przeciętnego mężczyzny.

– Mam ostro przyprawioną kielbasę z osła – zachwalał – tłusciutkie jagnię z rusztu i wiele gatunków ryb z naszych rzek i jezior. Komu religia nie zabrania, może zjeść świnkę albo małe i duże ptaszki w panierce z miodu i sezamu. Możesz, pani, napić się mleka, wina z Syrii albo z wysp greckich i posłuchać śpiewu słowika. A jeśli zechcesz się wykąpać, silny niewolnik o zręcznych dłoniach obsłuży cię, a potem nasmaruje wybornymi, wonnymi maściami.

Zaprowadził ją do obszernego pomieszczenia. Wyrzała przez okno z ruchomą ramą, obciągniętą cienką skórą. Wychodziło na drugi z trzech dziedzińców. Wokół obmurowanej studni pyszniły się różnobarwne kwiaty. Rozejrzała się po pokoju. Na szerokim posłaniu leżało mnóstwo miękkich okryć. Obok stał solidny stół, dzbanek, miska i dwie lampy.

– Taki przepych musi drogo kosztować – westchnęła.

– Pewnie w drodze do Jerozolimy będę musiała zebrać, ale nie mogę się oprzeć.

– Zebrać? – powtórzył Aristides. – Cóż za pomysł! Twój przyjaciel, Eleazar uratował kiedyś życie mojej córce. Wiele mu zawdzięczam. Miałem poważne problemy z żołądkiem, ale dzięki jego wiedzy i doświadczeniu mój system trawienny działa teraz bez zarzutu. Dlatego mojemu znakomitemu lekarzowi i jego przyjaciółom oferuję korzystne ceny. A gdyby i na to nie było cię stać – wzruszył ramionami – zawsze jest coś do zrobienia w kuchni. Znajdą się też mężczyźni, gotowi zapłacić za innego rodzaju usługi.

– Przemyślę to.

Nie zamierzała przyjmować tego typu propozycji, ani nawet się nad nią zastanawiać. Nie teraz, nie tutaj i w ogóle nie. Przynajmniej dopóki istniały inne możliwości.

Łaźnia była rzeczywiście obszerna i wygodna. Kleopatra rozkoszowała się kąpielą w gorącej,

letniej i zimnej wodzie. Dobrze wyszkolony niewolnik o zręcznych palcach natarł ją i wyszorował, a po wyjściu z wody wymasował i namaścił olejkami. Pierwszy raz po tylu miesiącach, spędzonych na statkach, w nędznych arabskich gospodach, na pustyni i w Ao Hidis, mogła naprawdę o siebie zadbać, nacieszyć się wyborną kąpielą i fachowymi usługami. Łaźni Klaudii Prokuli nie warto było nawet wspominać „Niech ją porwą bogowie Hadesu” – pomyślała ze złością. Czysta, wypielęgnowana i zadowolona, mogła w pełni docenić rozkosze wykwintnej wieszery. O zmierzchu ułożyła się na miękkiej leżance pod arkadami dziedzińca, jadła małe ptaszki, świeże owoce i pachnący chleb i popijała aromatycznym winem. Próbowwała nie myśleć o Ao Hidis. Im usilniej się starała, tym natrętniej straszliwe wspomnienia atakowały jej wyobraźnię, tym wyraźniejsze obrazy pojawiały się pod powiekami. Widziała ciemne, skradające się postacie z zakrzywionymi mieczami. A kiedy usłyszała daleki odgłos kroków, po plecach przeszedł jej zimny dreszcz przerażenia. Ale zamiast mrocznych, okrutnych cieni ujrzała Eleazara i zaraz się uspokoiła. Lekarz zgodnie z rozkazem wyruszył około południa wraz z grupą Kolumelli. Teraz wrócił. Stał obok Kleopatry, położył jej rękę na ramieniu, wziął od niej kubek, wypił do dna, westchnął i usiadł na brzegu leżanki.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała zdziwiona. – Myślałam, że masz towarzyszyć żołnierzom Kolumelli aż do Jerozolimy.

– Takie właśnie polecenie otrzymałem. Ale sprawy potoczyły się inaczej. Przedstawiciele rady miejskiej z Gadary zwrócili się do swego przyjaciela, szlachetnego Rzymianina, z pewną prośbą. Zależało im, żeby przedstawił ich petycję cesarzowi, senatowi i ludowi rzymskiemu. Żeby zyskać jego przychylność, hojnie go obdarowali. Prócz bogatych upominków otrzymał do dyspozycji wierzchowce, zwierzęta juczne, wygodne, wyściełane wozy, lekarzy i pielęgniarzy. W tłoku nikt już nie zwracał uwagi na jednego żydowskiego medyka.

– Witam cię serdecznie, żydowski medyku. Jesteś głodny?

– Aristides już wie, że burczy mi w brzuchu. Jak tylko się umyję, znowu zakłócę twój spokój.

Towarzystwo Eleazara w niczym Kleopatrze nie przeszkadzało. Przeciwnie, sprawiało jej wielką przyjemność, okazał się bowiem miłym, wykształconym, dobrze wychowanym i obytym w świecie człowiekiem. W następnych dniach opowiadał ciekawe historie ze swych licznych podróży, znaleźli nawet wspólnych, choć niezbyt bliskich, znajomych. Obydwoje żalowali Aferę, chociaż z różnych powodów.

– Życzyłam mu lepszego losu – westchnęła Kleopatra ze smutkiem. – Byłby wspaniałym ojcem rodziny.

– Nie jestem co do tego przekonany – Eleazar wzruszył ramionami – nigdy specjalnie nie interesował się dziećmi.

– Wielu mężczyzn zmienia nastawienie, kiedy na świat przychodzi ich własne potomstwo.

– Przede wszystkim nie poznał jeszcze odpowiedniej kobiety. Pewnie w końcu by ją znalazł... gdzieś indziej – uśmiechnął się i cicho westchnął – to znaczy na pewno nie wśród moich rodaków.

Kleopatra obserwowała jego twarz w migotliwym świetle lampki oliwnej.

– Nie przepadasz za swoim narodem, prawda?

– Nie ująłbym tego w ten sposób – Eleazar wyduł wargi.

– Uważam, że Afer był bardzo inteligentny i spostrzegawczy. Kiedyś powiedział mi tak: „Są wśród was wspaniali ludzie i bestie, jak wszędzie. Uważacie się za naród wybrany, ale to mi nie przeszkadza. Wierzę, że kiedyś zrozumiecie, że to nie powód, żeby pogardzać tymi, których wasz Bóg nie wybrał. Może uda wam się uciszyć waszych ponurych kaznodziejów i zmusić uczonych w Piśmie, żeby uczciwie zarabiali na życie, zamiast wciąż objaśniać znaki i interpretować stare wersety”. Tak to mniej więcej brzmiało. Zresztą kiedyś zakochał się w Żydówce, ale nic z tego nie wyszło.

– Czy twoi rodacy zabronili jej poślubić cudzoziemca?

– Nie. Można powiedzieć, że była ponad... to wszystko. Ale poznała i pokochała tego wędrownego kaznodzieję, Jehoszuę. Wyszła za niego. Piękna, mądra kobieta, miała na imię Miriam.

– Za Jehoszuę?

– Wymówiłaś to imię w taki sposób, jakbyś go znała.

– Widziałam go kiedyś. Był dobrym, sprawiedliwym człowiekiem. Ukrzyżowano go.

– Afer wspominał mi o tym. – Eleazar był wstrząśnięty.

– Mówił o nim same dobre rzeczy. Kiedy to się stało?

– W dniu, kiedy wyjeżdżałam wraz z Kolumellą z Jerozolimy.

Opowiedziała Eleazarowi wszystko, co widziała i słyszała. Żałowała tylko, że nie dowiedziała się więcej.

– Ci straszliwi uczeni... – lekarz westchnął ciężko.

– Gdyby tylko Piłat zadał sobie trochę trudu... ale co się stało, to się nie odstanie. Pozostaniemy przy Aferze. Skończyliśmy na tym, że obydwójce życzyliśmy mu lepszego losu.

– Ja już powiedziałam, jak wyobrażałam sobie jego przyszłość, a ty?

– Myślę, że pięknie zakończył życie. W walce przeciwko potężnemu wrogowi, w pełni sił, a nie w słabości i chorobie. Zginął jak bohater, jak wojownik. Trudno sobie wyobrazić lepszy koniec dla żołnierza. Jestem pewien, że wolałby umrzeć w ten niż w jakikolwiek inny sposób. Szkoda mi tylko, że nie zyska należytą mu sławę.

– Dlaczego tak uważasz?

– O tej bitwie nie będzie się mówić. Mało kto się o niej dowie, a jej bohaterowie pozostaną bezimienni. Afer uczestniczył w tajnej misji na pustyni. Ktoś inny, daleko w Rzymie, splatał sieci i pociągał za sznurki. Powiedz, żałujesz go?

Kleopatra zastanawiała się przez chwilę. Musiała zajrzeć w głąb własnej duszy, żeby udzielić szczerzej odpowiedzi.

– Tak, jako człowieka, ale nie jako mężczyzny. To, co razem przeżyliśmy, było piękne, ale skończyło się bezpowrotnie. Dalszy ciąg i tak by nie nastąpił. Dlaczego pytasz?

– Jesteś mądra, wykształcona, bywała w świecie – odrzekł cicho – i piękna. Nie widziałem piękniejszej kobiety pomiędzy Babilonem a słupami Heraklesa. Gdybyś cierpiała po utracie Afera, chciałbym ukoić twój żal, chociaż wiem, że nie jestem tego godny.

Kleopatra roześmiała się, wstała z leżanki, ujęła jego twarz w dłonie i ucałowała go w usta.

– Pięknie to powiedziałeś. Aż się prosi, żeby odrzucić tę propozycję – puściła go i usiadła z powrotem.

– Trzeba przynajmniej spróbować – uśmiechnął się, trochę przebiegle, a trochę smutno. – Teraz czekam na wyjaśnienia. Czy masz jakiś ważny powód, żeby mi odmówić?

– Nie potrzebuję pociechy. A mimo to czekam na kogoś, kto przyniesie mi ukojenie.

– Kto to taki, jeżeli można wiedzieć?

– Demetrios. Widziałeś go na wieży. Eleazar pokiwał głową.

– Mogłem się tego spodziewać. Nie zostaną długo, księżniczko. Prawdopodobnie będę potrzebny pewnym Rzymianom.

– Dokąd się wybierasz?

– Nie wiem, może do Aleksandrii.

– Będę miała otwarty dom daleko stąd, w Koptos. Jeżeli będziesz tamtędy przejeżdżać, wstąp

do mnie.

– Jak mógłbym oprzeć się twojemu zaproszeniu i twojemu urokowi?

Trzy dni później pojawił się Demetrios, ale nie sam. Wraz z nim przybyli Nubo, Perperna, Meleagros oraz Ravi. Nikt nie wiedział, jak i gdzie stary Hindus przetrwał koszmarną, krwawą noc. Ale najważniejsze, że przeżył.

– Gdzie Leonidas? – spytała Kleopatra, pomimo że przeczuwała, jaką odpowiedź usłyszy.

– Walczył dzielnie i zginął z honorem, jak jego słynny imiennik ze Sparty. Pomodliliśmy się za jego duszę do wszystkich bogów, w których nie wierzył – powiedział Meleagros.

Nowo przybyli stali w sali jadalnej i opowiadali swoje przeżycia. Demetrios rozejrzał się dookoła i poprosił Aristidesa:

– Daj im jakieś pokoje. Razem lub osobno, jak chcą. Moje życzenia przedstawię ci później.

– Masz jakieś życzenia? – spytała Kleopatra. Zauważyła z pewnym niezadowoleniem, że jej serce bije nieco szybciej, niż powinno. Po chwili jednak stwierdziła, że to wcale nie takie przykre, a nawet bardzo przyjemne uczucie.

– Tak, księżniczko, mam – schylił się i podniósł z podłogi ciężką torbę podróżną.

– Powinieneś powiedzieć raczej: „kwiecie z Kanopos”.

– Czy wolno mi nadal tytułować cię księżniczką?

– Jak sobie życzysz.

– Chcę ci coś pokazać.

– Kolekcję posągów pisarzy? Już omdlewam z zachwyty.

– Nie wlokłem ich przez pustynię – uśmiechnął się. – Coś zupełnie innego. Ale nie tutaj. Chodź.

Kiedy wchodzili po schodach, czuła na sobie spojrzenie Demetriosa. Cieszyła się, że patrzy na nią w taki sposób. Zaprowadziła go do swojego pokoju. Rozejrzał się po obszernym pomieszczeniu i powiedział:

– Dużo lepiej niż w tych wszystkich gospodach po drodze. – A po chwili milczenia: – Broń się, księżniczko!

– Widzisz przecież, że jestem bezbronna.

– Mam nadzieję – roześmiał się, ale nie pochwycił jej w ramiona. Wyjął z torby mniejszy woreczek, rozwiązał go i wysypał na stół zawartość: monety, sztabki złota, kamienie.

– Trzykrotna wartość tego, co wszyscy razem utraciliśmy – oznajmił – a i inni coś mają. –

Sięgnął za pasek, jakby zamierzał jeszcze coś wyjąć.

– Podział łupów?

– Właśnie – położył jej dłonie na ramionach – Kiedy Kolumella wyjechał, Nikias przejął dowództwo i ustalił zasady. Jak wiesz, nie jest z pochodzenia Rzymianinem, ale to dzięki niemu wszystko odbyło się bez konfliktów. O ile cię to uspokoi.

Skinęła głową bez słowa.

– Twoje oczy błyszczą – zauważył. – Rano się kąpałem, ale znowu ubrudziłem się w podróży.

– Czystych mężczyzn jest tu pod dostatkiem – roześmiała się – ale ja czekałam na zakurzonego Demetriosia.

– O ile pamiętam, obiecałaś mnie ułagodzić. Potrząsnęła głową i rozwiązała mu pas.

– Odurzyć?

Uniosła dolny brzeg jego chitonu. Demetrios podniósł ręce, żeby mogła go zdjąć przez głowę.

– Przekupić?

Sięgnęła rękami do przepaski na biodrach, rozwiązała ją i odrzuciła. Demetrios palcami nóg zsunął sandały.

– Oczyszczyć?

– Nie, nie trzeba. To też nieodpowiednie słowo. Nie widzę na tobie żadnego brudu, tylko kurz – zdjęła chiton, a kiedy ściągała go przez głowę, poczuła na biodrach jego ręce.

– Uwolnić? – uklęknął i patrzył na nią z uniesioną głową. – Och, jak pachniesz, ty i twoja dżungla – włożył rękę pomiędzy jej uda i dotknął ustami gęstych, kręconych włosów.

– Nie – postawiła lewą nogę na ramie łożka. – Ukoić. Chcę cię ukoić. Chodź – położyła się na pościeli.

Później, a także w następnych dniach, powoli szukali rozwiązania wszystkich zagadek. Demetrios dowiedział się trochę od Lucjusza Postumusa, ale niezbyt wiele. Rzymianin niechętnie i z oporami udzielał mu informacji. Wraz z Nubo i Perperną składali razem strzępy informacji, jak ktoś, kto próbuje uszyć ubranie ze ścinków materiału. W końcu udało im się pozszywać w całość oderwane fragmenty, a luki łątali domysłami. Nie uzyskali jednak pełnego obrazu gry, w którą zostali uwikłani. Wiedzieli zbyt mało, żeby coś przedsięwziąć, na przykład wysłać raport do Rzymu, ale na tyle dużo, by zyskać przynajmniej ogólne pojęcie o minionych wydarzeniach.

Marek Waleriusz Rufus był zaufanym człowiekiem wszechwładnego Sejana. Pracowali dla niego także inni. Na przykład posłowie, którzy odwiedzili ojca Nubo. Uzyskali wtedy od niego zapewnienie, że pod koniec lata wyśle do północnej Libii wojsko, żeby zatrzymać rzymskie legiony, gdyby zaszła taka potrzeba. To znaczy gdyby sprzeciwiły się przejęciu przez Sejana całkowitej władzy w Rzymie. Podobny cel miała kampania w Ao Hidis. Zadaniem Rufusa było wywołać konflikt i dezorientację wśród obrońców. Po zakończeniu walk Hiqar miał przejąć władzę, zawrzeć rozejm z okupantami, a potem zatrzymać rzymskie oddziały w Syrii i Palestynie. Nikt nie spodziewał się, że do akcji włączy się Afer. No i nieoceniony Perperną. Liczono się za to z możliwością porażki. W przypadku niepowodzenia całego zamysłu Rufus i jego ludzie mieli zachować się jak prawdziwi Rzymianie i walczyć aż do zwycięstwa. Osłabiony, lecz wciąż potężny Hiqar pod koniec lata wystąpiłby przeciwko oddziałom wiernym cesarzowi lub też poszukano by innego rozwiązania.

– Nieźle się zabezpieczył – skomentował Meleagros.

– Kto? Rufus? – Perperną, tym razem wyjątkowo niezbyt rozmowny, uniósł głowę.

– Skąd, Sejan. W obydwu przypadkach problem Ao Hidis zostałby rozwiązany. Nawet gdyby ujawniono jego zamysły, zawsze mógł powiedzieć: „Czego od nas chcecie? Zażegnaliśmy niebezpieczeństwo, a cała reszta to tylko podle oszczerstwa”.

– Dodatkowe zabezpieczenie stanowiła obecność Mukhatara – dodał Demetrios. – Był spokrewniony z Belhadadem, prawda? Ponadto ojciec zobowiązał go do spłaty długu. Rufus zażądał, żeby wprowadził go do Ao Hidis i ręczył za niego. Gdyby nie udało się zrealizować pierwotnych zamierzeń, Mukhatar, jako krewny Belhadada, mógłby zostać jego następcą zamiast Hiqara. Bardzo sprytne.

– Ale na czym polegały te wszystkie machinacje w Adane? I dlaczego tak się starał, żeby jak najszybciej dotrzeć do Ao Hidis?

– Tego właśnie nie wiem – Demetrios zmarszczył czoło. – Przypuszczam, że otrzymał taki rozkaz. Może polecenia przełożonych dotarły do niego za późno. Jak się domyślam, wyliczył sobie, że zdąży na czas, tylko jadąc na najszybszych wierzchowcach. Ponieważ nie miał ich za co kupić, zatroszczył się o to, żeby moja karawana wyruszyła jak najprędzej.

– Ale jak twoim zdaniem do tego doprowadził? – Nubo potrząsnął głową.

– Wraz ze swoim oddziałem reprezentował w Adane władzę Rzymu. Stacjonowali tam dość długo. Mógł wcześniej dowiedzieć się czegoś, co w odpowiedniej chwili posłużyło mu do

wywarcia nacisku. Niewykluczone, że wcale nie musiał uciekać się do szantażu; wystarczyło, że zagroził bronią. W każdym razie wyniosły i nieżyczliwy Kharkhair nagle stał się wobec mnie bardzo przyjazny. A ja się ucieszyłem i nie stawiałem żadnych pytań. Rufus wynajął kilku zbirów, żeby na mnie napadli. On i jego żołnierze niby przypadkiem znaleźli się w pobliżu i uratowali mnie z rąk bandytów. W ten sposób zyskał moje zaufanie i pewność, że go ze sobą zabiorę. Chwilami ta cała intryga wydaje mi się okropnie zawikłana, a niektóre poczynania wręcz zbyt czyste. Ale kiedy rozpoczyna się tego rodzaju grę... Podejrzewam też, że zagroził czymś Mukhatarowi. Mógł mu powiedzieć coś w tym rodzaju: „Albo będziesz ze mną współpracował, albo trzydziestu sześciu moich ludzi jeszcze tej nocy zniszczy cały towar w twoich składach”. Mukhatar, zobowiązany przez ojca do wyjazdu do Ao Hidis i spłaty długu, nie miał wyjścia i zgodził się. Znając jego miłość do cudzoziemców, jestem pewien, że podróż w tym towarzystwie nie sprawiała mu wielkiej przyjemności. Takimi to sposobami Rufus spowodował, że karawana szybko wyruszyła. A przy pierwszej okazji wtrącił wszystkich, którzy już nie byli mu potrzebni, do lochu, sprzedał cały towar i zwierzęta juczne, kupił najszybsze wielbłądy pod wierzch i – dalejże, na północ!

– A Preksaspes? A dziewczyna? – dopytywał się Meleagros.

– Dziewczyna była nie tylko niema, lecz również głucha. I tak nie usłyszałyby opowieści Perperny. Dlatego odeszła.

– Ha, ha! Dalej! – zaśmiał się stary.

– Preksaspes chciał jej dotrzymać towarzystwa albo działała mu na nerwy paplanina Perperny.

– Jeszcze raz ha, ha!

– Rufus i Mukhatar skorzystali z okazji, że prawie wszyscy siedzieli przy ognisku. Oddalili się od obozu, żeby dopracować plany: podzielić zadania, rozważyć, kiedy nadarzy się najlepsza sposobność, i tak dalej. Kiedy dostrzegli w pobliżu Preksaspesa i jego przyjaciółkę, uznali, że należy ich uciszyć na zawsze.

– A dlaczego porwali ciebie, Raviego i Glaukę? A później mnie i Kolumellę? – spytała Kleopatra.

– Trudno to wyjaśnić – westchnął. Kleopatra zastanawiała się, co on naprawdę wie i czy chce ujawnić wszystkie posiadane informacje w obecności tylu osób.

– Trudno to wyjaśnić – powtórzył. – Najłatwiej wytłumaczyć uprowadzenie Kolumelli.

Chyba każdy rozumie, co znaczy mieć w garści dowódcę przeciwnego obozu.

Można z nim pertraktować, można przez niego szukać dróg w Rzymie. Rufus prawdopodobnie nie przewidział, że Belhadad w ten sposób z nim postąpi, ale... Natomiast porwanie Glauke uważam za błąd Didhamy. Przykro mi to mówić, księżniczko, ale wydaje mi się, że Rufus kazał Arabowi pochwyć najpiękniejszą. Dla Rzymianina była nią Kleopatra, ale bandycie najbardziej podobała się najmłodsza. Nie potrafię odgadnąć, do czego mógł im się przydać Ravi. Może zaciekał ich jako cudzoziemiec. Albo też mieli nadzieję, że prowadząc przez tyle lat gospodę, wiele widział i słyszał. Ja pracuję w służbach informacyjnych kupców, dlatego mnie porwali. Meleagros był jedyny który się odezwał:

– Domyślałem się tego od dawna, panie. A Preksaspes?

– Tylko on jeden o tym wiedział.

– Niewykluczone – wtrąciła Kleopatra – że Rufusowi zależało na zdemaskowaniu informatorów innych tajnych służb Rzymu. Chciał rozpoznać i być może usunąć ludzi, którzy mogliby coś przedsięwziąć przeciwko Sejanowi.

– Łącznie z tajemniczą czwartą siatką? Być może. – Demetrios skrzywił się. – Wszystko zawikłane. I tak zaplanowane, że Sejan w każdym przypadku musiał wygrać. – Nagle się roześmiał. – Jeszcze dwie rzeczy przyszły mi do głowy. Przypuszczalnie chodziło również o to, żeby przeszkodzić w zawarciu sojuszu pomiędzy Belhadadem a Partami. W całym Ao Hidis nie spotkałem ani jednego Parta. Druga sprawa dotyczy ciebie, Perperno.

Były niewolnik zamknął oczy.

– Mnie tu nie ma.

– Ciąłeś swoją zakończoną ostrzem protezę na prawo i lewo. W zamieszaniu, w ferworze walki, twój sztylet przypadkiem ugodził Rufusa. Tak to przynajmniej wyglądało. Ale czy rzeczywiście zrobiłeś to nieumyślnie, czy też zemściłeś się za obrabowanie karawany, morderstwa i kradzież? Czy też już wcześniej doszedłeś do tych samych wniosków co my teraz?

Perperna powoli otworzył oczy i usiadł.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Czy opowiadałem wam już o kraju Asir?

– Połóż mi wszystko na brzuchu – poprosiła Kleopatra.

Demetrios, zmęczony po miłosnych zmaganiach, siedział na brzegu łóżka, brał w ręce monety i przesypywał je do woreczka.

– Wszystko? Są zimne, ostrzegam!

- Nie szkodzi. I tak jest nam gorąco.
- Jeszcze jak! Ale szkoda byłoby zwalczyć tę gorączkę.
- Uśmierzyć – Kleopatra zaśmiała się – albo złagodzić.

– Ach... – Demetrios wysypał zawartość sakiewki na brzuch Kleopatry. Wiele monet stoczyło się i spadło na posłanie, ale i tak chłodny dotyk drogiego ciężaru na nagiej skórze sprawił jej wielką przyjemność.

- Mam coś jeszcze.
- Co takiego?

Demetrios pochylił się i zaczął czegoś szukać w stercie odzieży, rozrzuconej na podłodze.

– Perperna mówił mi, że słyszał, jak rozmawiałaś z Rufusem czy z kimś innym o posągach i pierścieniach. Rzeźbę Anubisa zniszczyłem, a ten pierścień – uniósł mały przedmiot w górę, do światła lampy; błysnęło złoto i zielony kamień – Perperna ściągnął jednemu Arabowi, któremu wcześniej odciął palec. Powiedział, żeby księżniczka sobie go wzięła, jeżeli jej się spodoba, w zamian za to, co mu przyrzekła. Co mu obiecałaś?

– Ze jeżeli odzyskam moje dobra, dam mu dach nad głową i utrzymanie do końca życia. Pokaż go!

Demetrios wręczył Kleopatrze klejnot. Przybliżyła go do światła i serce jej mocniej zabiło.

- Może to właśnie ten, ale żeby zyskać pewność, musiałabym go zniszczyć.
- Perperna zapewnia, że nawet jeśli szczątki pierścienia sprawią ci radość, uszczęśliwisz go.
- Ukoję?
- Nie, tego nie mówił. Chyba jest już na to za stary.
- A ty? Jak późnej starości chciałbyś dożyć?
- Zależy od okoliczności. I towarzystwa. Co jest w tym pierścieniu?

– Jeżeli to ten, o którym myślę, na spodniej stronie kamienia ma wryty rysunek. To plan drogi do starej kopalni na północ od Berenike. Znajdują się tam złoża szmaragdów – wyjaśniła cicho.

Demetrios milczał przez chwilę. Potem powiedział w skupieniu:

- Szmaragdy Ptolemeuszy. Czy na pewno masz do nich prawo?
- Nie odziedziczyłam wprawdzie po babce nosa, ale... inne rzeczy tak – ociągała się przez chwilę. Demetrios miał wrażenie, że coś po cichu rozważa, wreszcie przemogła się i powiedziała:
- Chciałabym ci coś zaproponować. W razie gdyby...

– Gdyby co?

– Czy kupiec i agent wywiadu Demetrios zamierza wrócić do swoich zajęć? Czy też może sobie wyobrazić uczestnictwo w poszukiwaniu szmaragdów? W wyprawie, która w dodatku przyniesie mu chwilę miłego ukojenia?

– Mam zobowiązania i muszę je wypełnić. Ale ciągle podróżowałem. Czemu nie miałbym oddalić się na trochę dłużej?

Zaczął pakować kamienie, monety i sztabki złota z powrotem do sakiewki.

– Te drobiazgi zajmują miejsce, dla którego znam lepsze przeznaczenie. Dlaczego pytasz?

– Nie chcę małżeństwa, tylko romansu. Dopóki trwa namiętność.

– Dlaczego nie chcesz wyjść za mąż? – pochylił się i pieścił jej pępek czubkiem języka. – Zawsze można się rozwieść, kiedy szal zmysłów przeminie.

Kleopatra przeciągnęła ręką po włosach – Ale widzisz, wtedy nie powinno się mieć żadnych tajemnic.

– Na przykład jakich, księżniczko z Kanopos?

– Na stole leży papirus. Nie podnoś głowy, zostaw go tam, gdzie go położyłam. Napisałam długi list i zrobiłam odpis. Wkrótce wyślę go do Rzymu.

Demetrios uniósł głowę i popatrzył jej w oczy.

– Rufus był człowiekiem Sejana, ty zajmujesz się wywiadem handlowym. Kolumella i Afer pracowali dla cesarza i legionów.

Demetrios skinął głową.

– Kiedy mówisz tak ważne rzeczy, muszę patrzeć ci w oczy. Ale moje ręce, zwłaszcza ten palec, mogą oddawać się innym zajęciom.

– Mogą? Faktycznie. Co to ja chciałam?

– ...oprócz ukojenia?

– Przyrzeknij, że nie powtórzysz nikomu tego, co teraz usłyszysz. Czy mogę na tobie polegać?

– Znam przyjemniejsze zajęcia dla ust i języka niż plotkowanie.

– Przestań i popatrz na mnie. Chodzi o czwartą siatkę szpiegowską.

– O szpiegów Liwii Augusty? – uniósł się z posłania. Pożałowała, że ręce Demetriososa już nie dotykają wrażliwych miejsc na jej ciele.

– Liwia była występłą egoistką. Kto miał przejąć jej zabójczą pajęczą sieć, jak nie wzór

przyzwoitości i cnót obywatelskich?

– Masz na myśli... – Demetrios aż otworzył usta ze zdziwienia.

Kleopatra roześmiała się.

– Masz uroczo głupią minę. Kocham cię. Uruchom swe zręczne paluszki, a opowiem ci ciąg dalszy.

– Słucham i jestem posłuszny, księżniczko.

– Kiedy Liwia Augusta dołączyła do panteonu bogów, w Rzymie pozostało tysiąc par oczu, które nie wiedziały, kogo mają teraz obserwować, i tysiąc języków, które nie miały już komu donosić. Ponieważ stara żmija zmarła, zaopiekował się nimi wzór wszelkich cnót. Obecnie to ona korzysta z usług tajnych informatorów Liwii.

– Czy dobrze cię zrozumiałem?

– Antonia, młodsza córka Marka Antoniusza. Moja przyrodnia ciotka, jeżeli tak można określić nasze pokrewieństwo. To ona przejęła zwierzchnictwo nad donosicielami Liwii. O czym nikt nie wie i dowiedzieć się nie może, słyszysz?

Demetrios w milczeniu kiwnął głową.

– Działają tam podli ludzie. Cnota posługuje się występkiem do szlachetnych celów. Antonia wychowywała mnie, przynajmniej do czasu, kiedy poczułam, że w jej szacownym domu się duszę, i uciekłam. Ale do pewnego stopnia jestem jej wdzięczna za to, co dla mnie zrobiła. Dlatego przez te wszystkie lata informowałam ją o sprawach, które wydawały mi się ważne.

– Czy napiszesz jej także o pewnych palcach...? Kleopatra roześmiała się.

– Nie przerażyłyby jej tego typu nowiny. Przynajmniej dopóki te ręce nie zaczną mieszać w sprawach państwowych. List, który leży na stole, napisałam do Antonii, O tym, co usłyszałam od ciebie i innych, a także, czego tylko się domyślam. To, co mam do przekazania, ani cesarzowi, ani senatorom, ani pisarzom by nie wystarczyło. Ale Antonia wiele wie. To, co przeczyta, może powiązać z informacjami z innych źródeł i w odpowiedni sposób wykorzystać. Mam nadzieję, że pomoże mi również odzyskać moją własność, jeżeli Piłat nic nie wskóra.

Thais i Arsinoe zajmowały się domem na obrzeżach Koptos. Przynosił niezłe dochody. Zatrzymywali się tam ważni urzędnicy z administracji okręgu, dowódcy legionów z Teb, ludzie interesu, muzycy i poeci. Nubo wyjechał, żeby pogodzić się z ojcem albo pozbawić go władzy.

– Ojcowie są mniej pewni niż matki – powiedział na pożegnanie – za to bardzo uciążliwi. Czyż my wszyscy nie doświadczyliśmy przez nich kłopotów? I ty, księżniczko, i ty, Demetriosie,

a nawet Mukhatar – niech sępy porwą jego ścierwo! Z opowieści Afera wynikało, że miał podobne problemy. Szlachetni ojcowie! Najpierw ich potrzebujemy, później stają się ciężarem.

Perperna pilnował domu w Koptos, a Meleagros nadzorował robotników nowo otwartej kopalni szmaragdów. Kleopatra i Demetrios jeździli tam niekiedy, żeby śledzić postępy prac nad udostępnieniem złoża.

Zimą, kilka miesięcy po rozpoczęciu robót, podobnie jak wszyscy w Rzymie, dowiedzieli się, że potęga wszechwładnego Sejana się skończyła. Mówiono, że stosowne informacje przekazała cesarzowi Antonia. Potomek Liwii Augusty, adoptowany syn i dziedzic Oktawiana Augusta, Tyberiusz, w siedemnastym roku swojego panowania opuścił wyspę Kapreę i udał się do Rzymu. Kilka dni później Sejan, prefekt pretorianów, został usunięty z urzędu, a następnie stracony.